

Kinsella Sophie

Pani mecenas ucieka

Młoda prawniczka, bez pojęcia o pracach domowych, przypadkowo zostaje gosposią

Samantha - świetna prawniczka z londyńskiego City - popełnia fatalny błąd, ucieka w szoku z biura i przypadkowo zostaje... gosposią! Jej pracodawcy nie mają pojęcia, że obsługuje ich absolwentka Harvardu z ilorazem inteligencji 158, a ona sama nigdy by nie przypuszczała, że łatwiej wskazać klientowi, jak oszczędzić miliony funtów, niż przyszyć guzik i uruchomić piekarnik...

1

Czy uważasz, że jesteś zestresowana?

Nie, nie jestem.

Jestem... zajęta. Mnóstwo ludzi w dzisiejszym świecie jest zabieganych. Tak to już jest. Mam bardzo odpowiedzialną pracę, moja kariera jest dla mnie bardzo ważna i lubię robić to, co robię.

No dobrze. Czasem rzeczywiście czuję się nieco spięta. Trochę jakby pod presją, ale przecież w końcu jestem prawnikiem w City. Czego niby miałabym oczekiwać?

Naciskam długopisem na kartkę tak mocno, że przedzieram papier. Cholera.

Nie szkodzi. Przejdźmy do kolejnego pytania.

Przeciętnie ile godzin dziennie spędzasz w biurze? 44

To zależy.

Czy gimnastykujesz się regularnie?

Pływam regularnie

~~*Od czasu do czasu chodzę na basen*~~

Zamierzam zacząć regularne sesje pływania, kiedy będę miała czas. Ostatnio jestem bardzo zajęta w pracy, ale to tylko okres przejściowy.

2

Czy pijesz 8 szklanek wody dziennie?

Tak

~~Czas~~

Nie.

Odkładam długopis i chrząkam. Maya spogląda na mnie z drugiego końca pokoju, gdzie akurat ustawia naczynka z woskiem i lakiery do paznokci. Maya będzie dzisiaj moją kosmetyczką. Ma zebrane w warkocz długie czarne włosy z jednym białym pasemkiem i malutki srebrny kolczyk w nosie.

- Jakież kłopoty z kwestionariuszem? - pyta miękko.

- Jak już wspominałam, nieco się spieszę - odpowiadam uprzejmie. - Czy to naprawdę konieczne?

- Musimy uzyskać jak najwięcej informacji, aby ocenić twoje potrzeby pielęgnacyjne i zdrowotne - odpowiada łagodnie, lecz stanowczo.

Zerkam na zegarek. Za piętnaście dziesiąta.

Nie mam na to czasu. Naprawdę nie mam, ale to mój prezent urodzinowy i obiecałam cioci Patsy, że z niego skorzystam.

Właściwie to zaległy prezent za zeszłe urodziny. Ponad rok temu ciocia Patsy wręczyła mi kupon na „Doskonałą kurację relaksującą”. Ciocia Patsy to siostra mojej mamy. Zawsze bardzo się martwi o kobiety, które robią karierę. Przy każdym spotkaniu chwytą mnie za ramiona i przypatruje mi się zaniepokojona. Na kartce okolicznościowej, którą przysłała wraz z kuponem, napisała: „Znajdź trochę czasu dla siebie, Samantha!!!”.

Co zresztą zamierzałam zrobić, tyle że po drodze mieliśmy w firmie kilka bardzo pracowitych okresów i tak się jakoś złożyło, że minął cały rok, a ja nie znalazłam ani jednej wolnej chwili. Jestem prawniczką w firmie Carter Spink i, niestety, akurat jesteśmy zawałeni robotą. To tylko faza przejściowa. Będzie lepiej, po prostu muszę jakoś przebrnąć przez najbliższe kilka tygodni.

W każdym razie w tym roku ciocia Patsy wysłała mi ko-lcjiii| kartkę urodzinową i nagle zdałam sobie sprawę, że nie-

długo wygaśnie data ważności kuponu. Dlatego dziś, w dniu moich dwudziestych dziewiątych urodzin, siedzę tu, na kanapie, ubrana w biały szlafrok frotté i surrealistyczne papierowe majtki. Mając do dyspozycji pół dnia. Najwyżej.

Palisz?

Nie.

Pijesz alkohol?

Tak.

Czy spożywasz regularnie domowe posiłki?

Spoglądam sponad kartki odrobinę defensywnie. Co to ma wspólnego z czymkolwiek? Dlaczego niby jedzenie domowej roboty jest najlepsze?

Jem odżywcze, zróżnicowane posiłki, piszę wreszcie.

Co jest zdecydowanie prawdą.

Wszyscy przecież wiedzą, że Chińczycy żyją dłużej niż my, więc czy może być coś zdrowszego niż ich kuchnia? Z kolei pizza, jako potrawa śródziemnomorska, prawdopodobnie jest znacznie zdrowsza niż posiłki domowe.

Czy uważasz, że twoje życie jest zbalansowane?

Tak

Ni Tak.

- Skończyłam - oznajmiam i wręczam kwestionariusz Mai, która zaczyna odczytywać moje odpowiedzi. Jej palec wskazujący wędruje po kartce w ślimaczym tempie, zupełnie jakbyśmy mieli mnóstwo czasu.

Może zresztą ona go ma, ale ja naprawdę muszę wrócić do biura na pierwszą.

- Przeczytałam uważnie twoje odpowiedzi. - Maya patrzy na mnie przenikliwie. - Jesteś bardzo zestresowaną kobietą.

Co takiego? Skąd ona to wyczytała? Przecież wyraźnie napisałam, że nie jestem zestresowana.

11

- To nieprawda - mówię, prezentując uśmiech w stylu „zobacz, jak bardzo jestem rozluźniona”.

Maya nie wygląda na przekonaną.

- Twoja praca bardzo cię obciąża psychicznie.

- Presja zawodowa mi sprzyja - wyjaśniam.

To prawda. Wiem o tym, od kiedy... cóż, od kiedy powiedziała mi o tym moja matka. Miałam wtedy osiem lat. „Rozkwitasz pod presją, Samantha”. Napięcie służy całej naszej rodzinie. To takie nasze rodzinne motto albo coś w tym stylu.

Oczywiście z wyjątkiem mojego brata, Petera, który przeszedł załamanie nerwowe. Ale reszcie rodziny presja zdecydowanie sprzyja.

Kocham moją pracę. Uwielbiam satysfakcję, jaką odczuwam, gdy znajdę lukę prawną w kontrakcie, podnieca mnie uderzenie adrenaliny, gdy zamykam kontrakt, dreszcz emocji podczas negocjacji. Kocham dyskusje i chwile, gdy mam rację. To prawda, że od czasu do czasu - choć niezbyt często - czuję się, jakby ktoś zwalił na mnie kupę kamieni, ogromnych betonowych bloków, które muszę utrzymać bez względu na to, jak bardzo jestem wyczerpana... ale każdy pewnie ma podobne odczucia. To normalne.

- Twoja skóra jest odwodniona - Maya potrząsa głową. Przesuwa wyćwiczoną dłońią po moim policzku i opiera palce pod szczęką, wpatrując się we mnie z niepokojem. - Masz przyspieszony puls. To niezdrowy objaw. Czy czujesz się w tych dniach szczególnie spięta?

- Mam teraz mnóstwo pracy - wzruszam ramionami. - To chwilowe. Wszystko w porządku.

Możemy już z tym skończyć?

- No tak. - Maya wstaje, naciska guzik wbudowany w ścianę i w pokoju rozlega się łagodna muzyka fletni Pana.

-Mogę jedynie powiedzieć, że przyszedłeś w odpowiednie miejsce, Samantha. Naszym celem tutaj jest relaksacja, rewitalizacja i detoksykacja.

Cudownie - odpowiadam, na w pół słuchając. Właśnie przed sekunda, przypomniałam sobie, że nie oddzwoniłam do

Davidę Ellldridge'a w sprawie kontraktu na ukraińską ropę naftową. Powinam się była do niego odezwać już wczoraj. Cholera!

- Celem Centrum Zielonego Drzewa jest zapewnienie miejsca wyciszenia, z dala od codziennych zmartwień. - Maya wciska kolejny guzik w ścianie i w pokoju przygasają światła. - Zanim zaczniemy, czy masz jakieś pytania?

- Właściwie to tak - pochylam się do przodu.

- Doskonale! - rozjaśnia się. - Jesteś ciekawa szczegółów dzisiejszego zabiegu czy to bardziej ogólny problem?

- Czy mogłabym wysłać króciutki mejl? - pytam uprzejmie. Uśmiech Mai zamiera.

- Bardzo szybko - dodaję. - Zabierze mi to najwyżej dwie se...

- Samantha, Samantha... - Maya potrząsa głową. - Jesteś tutaj, żeby się odprężyć, znaleźć chwilę dla siebie, a nie po to, żeby wysłać mejle. To twoja obsesja! Uzależnienie! Tak samo szkodliwe, jak alkohol lub kofeina.

Do jasnej Anielki, nie mam żadnej obsesji! To czysty idiotyzm. Sprawdzam mejle tylko co... jakieś trzydzieści sekund. Problem w tym, że przez trzydzieści sekund wiele się może zmienić.

- Poza tym, Samantha - ciągnie Maya - czy widzisz w tym pokoju komputer?

- Nie - odpowiadam, rozglądając się po spowitym w półmroku pomieszczeniu.

- Dlatego właśnie prosimy, aby klienci zostawiali urządzenia elektroniczne w sejfie. Nie zezwalamy na wnoszenie telefonów komórkowych ani palmtopów. - Maya rozkłada ręce. - To miejsce odpoczynku. Ucieczka od świata.

- Jasne - kiwam potulnie głową. Pewnie to niezbyt dobry moment na wyznanie, że w papierowych majtkach ukryłam BlackBerry*.

* Palmtop nowej generacji, z możliwością odbierania i wysyłania poczty elektronicznej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

- Zatem zaczynamy - uśmiecha się Maya. - Połóż się na kanapie i przykryj ręcznikiem. I proszę cię, zdejmij zegarek.

- Ale ja go potrzebuję!

- To kolejne uzależnienie - cmoka z dezaprobatą. - Podczas pobytu tutaj nie musisz wiedzieć, która godzina.

Odwraca się dyskretnie, a ja z ociąganiem pozbywam się zegarka. Potem niezgrabnie układam się na kanapie, usiłując przy tym nie zmiażdżyć cennego palmtopa. Czytałam przepisy dotyczące zakazu wnoszenia sprzętu elektronicznego. Oddałam nawet do depozytu dyktafon, ale trzy godziny bez BlackBerry? A jeśli nagle coś wypadnie w biurze? Jeśli wyniknie jakaś pilna sprawa do załatwienia? Poza tym w ogóle nie widzę w tym wszystkim sensu. Gdyby naprawdę chcieli, żeby ludzie się tutaj odprężali, pozwoliliby im zatrzymać BlackBerry i komórki, a nie konfiskowali na czas sesji.

Tak czy owak, Maya na pewno nie dostrzeże ani jednego, ani drugiego pod ręcznikiem.

- Zaczniemy od relaksującego masażu stóp - mówi i czuję, jak rozprowadza mi na podszewkach jakiś balsam. - Postaraj się oczyścić umysł.

Posłusznie wpatruję się w sufit. Oczyścić umysł. Mój umysł jest czysty jak przezroczysta... szklanka...

Co ja zrobię z Elldridge'em? Powinam się z nim skontaktować. Będzie czekał na moją odpowiedź. A jeśli powie pozostałym współnikom, że się nie przykładałam do pracy? Może to zmniejszyć moje szanse na wejście do rady. Czuję ukłucie strachu. To nie jest odpowiednia chwila, by pozostawiać wszystko przypadkowi.

- Postaraj się nie myśleć o niczym... - intonuje Maya. - Poczuj, jak odpływa z ciebie napięcie...

Może zdołam wysłać mu króciutki mejl spod ręcznika? Ukradkowo sięgam w dół i wyczuwam twardy róg BlackBerry. Stopniowo, centymetr po centymetrze wyciągam go z papierowych majtek. Nieświadoma niczego Maya nadal masuje mi stopy.

Twoje eiulo robi się ciężkie... umysł się oczyszcza...

Opieram BlackBerry na piersi i podnoszę na tyle, żeby zobaczyć ekran pod ręcznikiem. Dzięki Bogu w pokoju panuje półmrok. Staram się ograniczyć moje ruchy do minimum. Zaczynam pisać jedną ręką.

- Odpręż się... - ciągnie Maya łagodnym tonem. - Wyobraź sobie, że spacerujesz po plaży...

- Uhm... - mruczę spolegliwie.

David, piszę jednocześnie. Odnośnie kontraktu na ropę ZFN. Przeczytałam poprawki. Uważam, że powinniśmy...

- Co ty robisz? - pyta Maya, nagle zaalarmowana.

- Nic! - rzucam, pospiesznie chowając palmtopa pod ręcznikiem. - Ja tylko się... eeee... relaksuję.

Maya podchodzi do mnie i spogląda na wypukłość ręcznika tam, gdzie kurczowo trzymam w dłoni BlackBerry.

- Coś tam chowasz? - pyta z niedowierzaniem.

- Nie!

Ukryty pod ręcznikiem BlackBerry emituje ciche piknięcie. Cholera.

- To chyba był samochód - usiłuję nadać głosowi swobodny ton. - Na ulicy.

Oczy Mai zwężają się w szparki.

- Samantho - zaczyna powoli, złowieszczym głosem. - Czy chowasz pod ręcznikiem sprzęt elektroniczny?

Mam wrażenie, że jeśli się nie przyznam, i tak zerwie ze mnie okrycie.

- Chciałam tylko wysłać mejl - mówię w końcu i nieśmiało wyciągam palmtopa.

- Wy, pracoholicy! - Maya wyrywa mi go ze złością. - Mejl może poczekać. Wszystko może poczekać. Po prostu nie wiecie, jak się odprężyć!

- Nie jestem pracoholiczką! - odpowiadam oburzona. - Jestem prawniczką! To zupełnie co innego!

- Nie potrafisz się do tego przyznać. - Maya potrząsa głową.

- Nieprawda! Posłuchaj, mamy teraz w firmie kilka dużych kontraktów do zamknięcia. Nie mogę tak po prostu tego

wyłączyć, zwłaszcza teraz. Jestem... mam szansę na awans. Na wspólnika - wypowiadam te słowa na głos i czuję znajome szarpnięcie nerwów. Pozycja wspólnika w jednej z najznakomitszych firm prawniczych w kraju. Moje największe marzenie. - Mam szansę wejść do rady nadzorczej - powtarzam spokojniej. - Jutro podejmą decyzję. Jeśli mnie awansują, zostanę najmłodszym wspólnikiem w całej historii firmy. Czy wiesz, jakie to ważne? Masz pojęcie... - Każdego stać na kilka godzin wolnego - przerywa Maya i kładzie dłonie na moich ramionach. - Samantha, jesteś potwornie znerwicowana. Masz spięte ramiona, twoje serce galopuje w przerażającym tempie... jesteś na granicy załamania.

- Czuję się dobrze.

- Jesteś kłębkim nerwów!

- Nie jestem!

- Musisz sama postanowić o zwolnieniu tempa - Maya spogląda na mnie z powagą. - Tylko ty możesz zmienić swoje życie. Czy zamierzasz to zrobić?

- Hmm... cóż... - przerywam, piszcząc z zaskoczenia, gdy w moich papierowych majtkach rozlega się cichy warkot. Komórka. Wepchnęłam ją tam wraz z palmtopem i przełączyłam na tryb wibrujący, żeby nie narobiła hałasu.

- Co to jest? - Maya wpatruje się w mój drżący ręcznik. - Co do diaska tak... wibruje?

Nie mogę się przyznać, że to telefon. Nie po wpadce z BlackBerry.

- Hmm... - chrząknięciem oczyszczam gardło - to moja specjalna... zabawka erotyczna.

- Twoje co? - Maya wydaje się całkowicie zbита z tropu. Telefon znów wibruje w moich majtkach. Muszę go odebrać. Mogą dzwonić z biura.

No wiesz... jestem w trakcie dochodzenia... do bardzo intymnego momentu - spoglądam na Mayę znacząco. - Czy mogłabyś, hmm... wyjść na chwilę z pokoju? W spojrzeniu Mai pojawia się podejrzliwość.

- Chwileczkę! - znów zerka na mój ręcznik. - Schowałaś tam komórkę? Ją również przemyciłaś?!
O Boże. Chyba jest wściekła.

- Posłuchaj - zaczynam przepraszająco. - Wiem, że macie te swoje zasady i tak dalej. Szanuję to, ale problem w tym, że potrzebuję telefonu. - Sięgam pod ręcznik i wyciągam go na wierzch.

- Zostaw to! - Krzyk Mai całkowicie mnie zaskakuje. -Samantho - dodaje, z całych sił usiłując zachować spokój -jeśli zrozumiałaś choć trochę z tego, co powiedziałam, natychmiast wyłączysz komórkę.

Telefon znowu wibruje w mojej dłoni. Zerkam na identyfikator rozmówcy i czuję ściskanie w dołku.

- To z biura.

- Mogą zostawić wiadomość. Zaczekają.

- Ale...

- To twój czas wolny - pochyła się i chwyta moje dłonie.-Czas dla ciebie.

Boże, ona naprawdę tego nie chwyta! Chce mi się śmiać.

- Jestem pracownikiem firmy Carter Spink - wyjaśniam. -Nie mam czasu dla siebie - odbieram telefon i słyszę w słuchawce zagzewany męski głos.

- Samantho, gdzie ty się do cholery podziewasz?

Czuję, jak wszystko we mnie tężeje. To Ketterman, szef naszego działu do spraw korporacyjnych. Przypuszczam, że ma jakieś imię, ale wszyscy mówią o nim wyłącznie po nazwisku. Ma ciemne włosy, okulary w stalowej oprawce i przenikliwe szare oczy. Kiedy zaczynałam pracę w Carter Spink, często pojawiał się w moich koszmarach nocnych.

- Umowa Fallonsa wróciła na stół. Przyjeżdżaj natychmiast. Zebranie zaczyna się o dziesiątej trzydzieści.

Wróciła?

- Postaram się być jak najszybciej - zamykam klapkę telefonu i spoglądam na Mayę z żalem. - Przepraszam.

Nie jestem uzależniona od zegarka, ale zdecydowanie na nim polegamy. Wy też mielibyście podobne odczucia, gdyby wasz czas był mierzony w sześciominutowych odcinkach, za które powinnam obciążać klienta opłatą. Wszystko jest zapisane w szczegółowym komputerowym planie dnia.

11.00-11.06 Przygotowałam kontrakt do projektu A 11.06-11.12 Wniosłam poprawki do dokumentacji dla Klienta B

11.12-11.18 Skonsultowałam się w sprawie klauzuli w umowie C

Kiedy zaczynałam pracę w Carter Spink, trochę przerażało mnie to, że muszę rozliczać się pisemnie z każdej minuty mojego dnia pracy. Myślałam sobie: a jeżeli przez sześć minut zdarzy mi się nic nie robić? Co mam wtedy napisać?

11.00-11.06 Wpatrywałam się bez celu w okno

11.06-11.12 Śniłam na jawie o wypadnięciu na ulicy na

George'a Clooneya 11.12-11.18 Próbowałam dotknąć językiem czubka nosa

Prawda jednak jest taka, że człowiek przy wyka do mierzenia swego życia w małych, sześciominutowych odcinkach czasu. I do pracowania przez cały czas.

Będąc prawnikiem w Carter Spink, nie wygląda się przez okno ani nie śni na jawie. Nie wtedy, gdy każde sześć minut jest warte tyle pieniędzy. Ujmę to w ten sposób: jeżeli pozwolisz upłynąć sześciu minutom bez żadnego osiągnięcia, firma traci na tobie 50 funtów. Dwanaście minut to 100 funtów, osiemnaście - 150.

Jak już powiedziałam, w Carter Spink nie można się lenić.

18

2

Kiedy pojawiaam się w biurze, Ketterman stoi przy moim biurku, przyglądając się z niesmakiem bezładnej mieszance papierów i folderów. Muszę przyznać, że moje stanowisko pracy nie należy do najbardziej uporządkowanych na świecie. Właściwie to chyba... trochę przypomina wysypisko śmieci. Oczywiście zamierzam zrobić tu wreszcie porządek i poukładać wszystkie stare kontrakty w schludnych kupkach na podłodze. Kiedy wreszcie znajdę na to czas.

- Spotkanie za dziesięć minut - rzuca Ketterman, spoglądając na zegarek. - Przynieś projekt finansowy.
- Naturalnie - odpowiadam, starając się zachować spokój, chociaż sama jego obecność sprawia, że przechodzą mnie dreszcze.

W najlepszym przypadku Ketterman jest irytujący. Emanuje przerażającą potęgą umysłu, tak jak inni mężczyźni wodą po goleniu. Dziś jednak jest milion razy gorzej, ponieważ Ketterman zasiada w komisji. Jutro on i trzynastu pozostałych członków rady nadzorczej odbędą ważne posiedzenie, na którym zostanie wybrany nowy wspólnik. Jutro przekonam się, czy osiągnęłam upragniony sukces, czy też moje życie jest jedną wielką porażką. Nie, żebym się tym przejmowała, bynajmniej.

- Projekt jest tutaj... - sięgam w kierunku sterty papierów i wyciągam z niej coś, co wygląda jak kartonowa teczka z ozdobnikiem.

Stare pudełko po pączkach z kremem i polewą. Pospiesznie wrzucam je do kosza.

- Na pewno jest gdzieś tutaj... - przekładam nerwowo pa-pierzyska i wreszcie udaje mi się znaleźć odpowiedni folder. Dzięki Bogu! - Proszę.

- Nie wiem, jak możesz pracować w takim bałaganie, Sa-mantho. - Głos Kettermana jest przesycony sarkazmem, a w jego oczach nie ma ani krzty rozbawienia.

- Przynajmniej wszystko mam pod ręką! - chichoczę nie-

12

śmieła, ale Ketterman stoi sztywno, jakby kij połknął. Zdenerwowana, wyciągam spod biurka fotel. Spada zeń na podłogę plik listów, które zapomniałam przejrzeć.

- Dawniej mieliśmy tu zasadę, że do osiemnastej wszystkie biurka muszą być doprowadzone do porządku - mówi Ketterman lodowatym głosem. - Może powinniśmy wprowadzić ją ponownie.

- Może - próbuję się uśmiechnąć, ale Ketterman wywołuje we mnie coraz większą nerwowość.

- Samantha! - przerywa nam ktoś o bardzo miłym głosie. Rozglądam się i z ulgą myślę, że należy on do Arnolda Saville'a, który właśnie pojawił się na korytarzu.

Arnold jest moim ulubionym starszym wspólnikiem. Ma kręconą szpakowatą czuprynę, która zawsze wydaje się zbyt nieuporządkowana jak na prawnika, oraz śmiałe gusta, jeśli chodzi o dobór krawatów. Dzisiaj włożył jaskrawoczerwony halsztuk pasujący do chusteczki w kieszonce marynarki. Wita mnie szerokim uśmiechem, a ja odpowiadam tym samym.

Nieco się odprężam. Jestem pewna, że Arnold będzie optował za przyjęciem mnie do rady nadzorczej, podobnie jak Ketterman będzie temu przeciwny. Arnold jest indywidualistą - łamie reguły firmy i nie dba o tak nieistotne szczegóły, jak nieuporządkowane biurka.

- List z podziękowaniami dla ciebie - Arnold uśmiecha się jeszcze szerzej i wyciąga kartkę papieru. - Od samego naczelnego Gleiman Brothers.

Zaskoczona, chwytam opatrzony nagłówkiem list i spoglądam na odręczną notkę, „...ogromne uznanie... jej usługi są niezmiennie wysoce profesjonalne...”.

- Zdaje się, że zaoszczędziłaś mi ładnych parę milionów, chociaż zupełnie na to nie liczył - mówi Arnold z błyskiem w oku. - Jest zachwycony.

- Ach tak - rumienię się lekko. - To nic wielkiego. Po prostu zauważyłam anomalię w konstrukcji ich finansów.

- Najwyraźniej zrobiłaś na nim ogromne wrażenie. - Arnold strzyże krzaczastymi brwiami. - Chce, żebyś od tej

chwili zajmowała się wszystkimi jego kontraktami. Dobra robota, Samantha! Fantastycznie się spisałaś!

- Hmm... dzięki. - Spoglądam na Kettermana, sprawdzając, czy przypadkiem nie zrobiło to na nim choćby minimalnego wrażenia. On jednak nadal krzywi się z niecierpliwością.

- A ja chcę, żebyś zajęła się również tym - rzuca na moje biurko folder z dokumentami. - Przygotuj mi z tego oficjalny raport ekonomiczno-finansowy. Masz czterdzieści osiem godzin.

Cholera! Gdy spoglądam na gruby plik, mam ochotę się rozplakać. Opracowanie zajmie mi całe godziny.

Ketterman zawsze obciąża mnie dodatkową, nieciekawą robotą, którą nie chce się sam zajmować. Właściwie to wszyscy współpracownicy tak robią, również Arnold. W połowie przypadków nawet mi o tym nie mówią, po prostu porzucają na moim biurku dokumenty z odręcznie nabazgraną notatką od siebie i oczekują, że się z tym rozprawię.

- Jakiś problem? - pyta Ketterman ze zwężonymi oczami.

- Skądże znowu! - odpowiadam szybko tonem potencjalnego współpracownika, dla którego nie ma nic niemożliwego. - Do zobaczenia na zebraniu.

Ketterman oddala się, ja zaś rzucam wzrokiem na zegarek. Dziesiąta dwadzieścia dwie. Mam dokładnie osiem minut, aby się upewnić, że umowa Fallonsa jest w porządku. Otwieram plik i szybko przeglądam kolejne strony, szukając ewentualnych błędów i rozbieżności. Odkąd pracuję w Carter Spink, nauczyłam się czytać dużo szybciej. Właściwie to wszystko robię dużo szybciej. Chodzę szybciej, mówię szybciej, jem szybciej... uprawiam seks szybciej...

Ostatnimi czasy nie korzystałam wprawdzie zbyt często z tego ostatniego, ale parę lat temu byłam zaangażowana w znajomość ze starszym współpracownikiem w firmie Berry Forbes. Jacob zajmował się umowami międzynarodowymi dużego kalibru. W związku z tym miał jeszcze mniej czasu niż ja. Pod koniec znajomości wypracowaliśmy sześciominutową rutynę, co byłoby całkiem przydatne, gdybyśmy obciążali siebie za to

płatnością (choć oczywiście nie było o tym mowy). On robił mi dobrze i ja robiłam mu dobrze, potem zaś sprawdzaliśmy mejle. Praktycznie biorąc, mieliśmy jednoczesny orgazm, więc nikt nie wmówi mi, że to nie był dobry seks. Czytuję „Cosmo” i znam się na tych rzeczach.

W każdym razie Jacob otrzymał bardzo intratną propozycję i przeniósł się do Bostonu. To był koniec naszego związku, ale nie przeszkadzało mi to zbytnio. Szczerze powiedziawszy, wcale mi się nie podobał.

- Samantha? - ktoś przerywa moje rozmyślenia. To moja sekretarka, Maggie. Zaczęła pracować zaledwie kilka tygodni temu i jeszcze się w pełni nie wdrożyła. - Podczas twojej nieobecności ktoś zostawił wiadomość. Jakaś Joannę?

- Joannę z Clifford Chance? - spoglądam na nią z zainteresowaniem. - Dobrze. Przekaż jej, że dostałam mejla w sprawie czwartego punktu umowy i oddzwonię do niej po lunchu...

- Nie ta Joannę - przerywa mi Maggie. - Twoja nowa sprzątaczką. Chciała wiedzieć, gdzie trzymasz worki do odkurzacza.

Spoglądam na nią bezmyślnie.

- Moje co?

- Worki do odkurzacza - powtarza Maggie cierpliwie. - Nie może ich znaleźć.

- Dlaczego odkurzacz musi być w worku? - pytam zaintrygowana. - Chce go gdzieś wynieść?

Maggie patrzy na mnie, jakby nie była pewna, czy żartuję, czy też mówię poważnie.

- Worki, które wkłada się do odkurzacza - wyjaśnia ostrożnie. - Te, w których zbiera się kurz. Masz je w domu?

- Och! - odpowiadam szybko. - Ach, te worki. Hm... - marszczę brwi z zastanowieniem, jakbym miała odpowiedź na końcu języka. Prawda jednak jest taka, że nie potrafię sobie nawet przypomnieć, jak wygląda mój odkurzacz. Czy w ogóle go widziałam? Wiem, że go dostarczono do domu, ponieważ przesyłkę przyjął osobiście portier.

- Może to dyson - sugeruje Maggie. - W nich nie ma to-

rebek. Czy ma pionowy cylinder? - Patrzy na mnie wyczekująco.

Nie mam pojęcia, o czym mówi, ale nie zamierzam się do tego przyznać.

- Załatwię to sama - odpowiadam służbowym tonem i zaczynam zbierać papiery. - Dziękuję, Maggie.

- Pytała jeszcze o coś. - Maggie spogląda w notatnik. - Jak się włącza twój piekarnik?

Przez chwilę nadal gromadzę papiery, zupełnie, jakbym nie usłyszała. Nie mam bladego pojęcia, jak włączyć piekarnik.

- No... po prostu przekręca się ten... no... gałkę - odpowiadam wreszcie, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko.

- To naprawdę proste...

- Joannę powiedziała, że twój piekarnik ma jakąś dziwną blokadę czasową. - Maggie marszczy brwi w zamyśleniu.

- Jest elektryczny czy na gaz?

Dobra, powinnam natychmiast zakończyć tę rozmowę.

- Maggie, naprawdę muszę pilnie do kogoś zadzwonić - odpowiadam z żalem w głosie, wskazując na telefon.

- Co mam powiedzieć twojej sprzątacze? - nie ustępuje Maggie. - Czekaj na odpowiedź.

- Powiedz jej... niech już skończy na dzisiaj. Zajmę się wszystkim.

Maggie wychodzi z mojego biura, a ja sięgam po długopis i postity.

1. Dowiedzieć się, jak włączyć piekarnik?

2. Kupić wkłady do odkurzacza

Odkładam długopis i masuję czoło. Naprawdę nie mam na to czasu. Chodzi mi o worki od odkurzacza. Nie wiem nawet, jak wyglądają, a co dopiero gdzie je kupić... nagle wpadam na doskonały pomysł. Zamówię nowy odkurzacz, taki z zainstalowanym wkładem. O!

- Samantho.

- Słucham? O co chodzi? - podskakuję zaskoczona i otwieram oczy. W drzwiach stoi Guy Ashby.

Guy jest moim najlepszym przyjacielem w firmie. Ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu, oliwkową cerę, ciemne oczy i zazwyczaj jest przylizany, odpicowany na błysk, jak każdy prawnik. Dzisiejszego poranka jednak jego czupryna jest nieco zmierzwiona, a pod oczami ma cienie.

- Wyluzuj - uśmiecha się. - To tylko ja. Idziesz na zebranie?

Ma najbardziej zabójczy uśmiech na świecie. To nie jest wyłącznie moja opinia, wszyscy to dostrzegli od pierwszej chwili, gdy pojawił się w biurze.

- Och... hmmm... tak, oczywiście. - Chwytam dokumenty i dodaję nieopatrnie: - Wszystko w porządku, Guy? Wyglądasz na... wymizerowanego.

Zerwał ze swoją dziewczyną. Pokłócili się o coś ostatniej nocy i odszedł od niej na dobre...

Nie. To ona wyemigrowała do Nowej Zelandii...

- Kolejna zarwana noc - odpowiada, puszczając do mnie oko. - Pieprzony Ketterman. Jest nieludzki. - Ziewa przeraźliwie, odsłaniając garnitur idealnie białych zębów, których dorobił się podczas studiów prawniczych na Harvardzie. Twierdzi, że to nie był jego wybór. Podobno nie dopuszczają cię tam do obrony, dopóki nie dostaniesz zielonego światła od chirurga plastycznego.

- To kiepsko - uśmiecham się ze współczuciem, a potem odgarniam włosy. - Chodźmy.

Znam Guya od roku, kiedy to zaczął pracować w naszym dziale jako wspólnik. Jest inteligentny, zabawny, ma takie samo podejście do pracy jak ja i po prostu jakoś tak... się polubiliśmy.

Owszem, być może w innych okolicznościach wywiązałyby się między nami romans, nastąpiło jednak głupie nieporozumienie i... W każdym razie nic się między nami nie zdarzyło. Szczegóły są nieistotne. Nie rozpamiętuję tej sytuacji. Jesteśmy przyjaciółmi, i to mi odpowiada.

No dobrze, oto co się stało.

Podobno Guy zainteresował się mną od samego początku pracy w firmie, podobnie jak ja nim. Był chętny, wypytywał ludzi, czy jestem wolna. Byłam. To najważniejsza rzecz w całej tej historii: byłam wolna. Właśnie rozstałam się z Jaco-bem. Wszystko doskonale się składało. Próbuję nie myśleć zbyt często o tym, jak cudownie mogłoby się nam razem ułożyć. Niestety, Nigel MacDermot, ten głupi, bezmyślny palant powiedział Guyowi, że jestem związana ze starszym wspólnikiem z Berry'ego Forbesa.

Chociaż byłam wolna.

Moim zdaniem cały nasz system sygnalizacji jest kompletnie bezużyteczny. Powinien być bardziej przejrzysty. Ludziom należałoby zamontować takie wyświetlacze jak w toaletach. Zajęty. Wolny. Nie byłoby wtedy miejsca na dwuznaczność.

Tylko że ja nie miałam żadnego wyświetlacza, a jeżeli nawet, to był najwyraźniej nieadekwatny. Nastąpiło kilka żenujących tygodni, gdy uśmiechałam się często do Guya, a on reagował dziwnie i próbował mnie unikać, ponieważ nie miał ochoty a) stać się przyczyną rozpadu mojego związku lub b) na trójkąt ze mną i Jacobem. Nie wiedziałam, co się dzieje, więc ostatecznie wycofałam się z prób nawiązania bliższej znajomości. Potem usłyszałam od kogoś, że zaczął widywać się z dziewczyną o imieniu Charlotte, którą spotkał na jakiejś weekendowej prywatce. Miesiąc czy dwa później pracowaliśmy razem nad pewnym dużym projektem, zaprzyjaźniliśmy się, i to właściwie już cała historia.

Naprawdę, wszystko jest w porządku. Daję słowo. Takie jest życie. Niektóre rzeczy się zdarzają, a inne nie.

Najwyraźniej Guy nie był mi pisany. Tylko że gdzieś w głębi duszy... nadal uważałam, że był.

- Jak tam, wspólniku? - Guy strzyże brwiami, gdy zdążamy korytarzem w kierunku sali obrad.

- Nie mów tak! - syczę przerażona. Wszystko zapeszy.

- Daj spokój. Przecież wiesz, że to pewniak.

- Nic podobnego.
- Samantho, jesteś najbystrzejszą prawniczką z całego twojego rocznika. I najciężej pracującą. Ile wynosi twój współczynnik inteligencji? Sześćset?
- Zamknij się - wpatruję się w bladobłękitny dywan. Guy zaczyna się śmiać.
- Ile jest 124 razy 75?
- Dziewięć tysięcy trzysta - odpowiadam naburmuszona. To jedna z tych rzeczy, które irytują mnie w Guyu. Od dziesiątego roku życia potrafiłam przeliczać wielkie sumy w głowie. Bóg wie dlaczego i jak - po prostu umiałam. Zazwyczaj ludzie, dowiedziawszy się o tym, wykrzykują: „wspaniale!", a potem zwyczajnie zapominają. Guy natomiast ciągle do tego wraca i każe mi coś sumować, jakbym była dziwaczką z cyrku. Pewnie uważa, że to zabawne, ale mnie tym wkurza.
- Pewnego dnia powiedziałam mu zły wynik dodawania. Zrobiłam to specjalnie, a potem okazało się, że akurat wtedy rzeczywiście potrzebował mojej odpowiedzi. Umieścił ją w kontrakcie i przez to umowa niemal nie doszła do skutku. Nigdy więcej nie próbowałam go w ten sposób przerobić.
- Trenowałaś już przed lustrem pozy do nowego zdjęcia na naszą witrynę? - Guy robi zamyśloną minę, opierając palec wskazujący na brodzie. - Pani Samantha Sweeting, współnik.
- Nawet nie zaczęłam o tym myśleć - odpowiadam, wywracając oczami z lekceważeniem.
- To oczywiście kłamstwo. Zaplanowałam już nową fryzurę, specjalnie do fotografii. Zdecydowałam też, który spośród moich czarnych kostiumów włożę na tę okazję. Tym razem zamierzam się uśmiechnąć. Na zdjęciu, które mam teraz na naszej stronie internetowej, wyglądam zdecydowanie za poważnie.
- Słyszałem, że twoja prezentacja powaliła ich na kolana - mówi Guy, poważniejąc.
- Naprawdę? - Moje lekceważenie znika jak za dotknię-

ciem czarodziejskiej różdżki. Staram się nie wypaść na zbyt spragnioną informacji. - Tak słyszałeś?

- No i to twoje wystąpienie w sprawie Williama Griffithsa? - Guy krzyżuje ramiona i przygląda mi się z uśmiechem.

- Czy kiedykolwiek zdarzyła ci się pomyłka, Samantha?

- O, tak. Wiele razy - odpowiadam lekko. - Uwierz mi. (Na przykład wtedy, gdy nie powiedziałam ci pierwszego dnia naszego spotkania, że jestem wolna).

- Pomyłka nie jest błędem... chyba że nie można jej potem naprostować. - Kiedy wypowiada te słowa, wpatruje mi się bardzo uważnie w oczy. A może po prostu jest trochę zmęczony po nieprzespanej nocy? Nigdy nie byłam dobra w odczytywaniu mowy ciała.

Zamiast prawa powinnam studiować właśnie to. Umiejętności w odczytywaniu przekazów pozawerbalnych przydałyby mi się znacznie bardziej. Honorowy licencjat w dziedzinie nauk humanistycznych, specjalizacja w rozpoznawaniu, kiedy podobasz się mężczyźnie, a kiedy po prostu wzbudzasz w nim przyjazne uczucia.

- Gotowi? - Za naszymi plecami rozlega się ostry głos Kettermana. Oboje podskakujemy z zaskoczenia i odwracamy się, aby ujrzeć falangę poważnie ubranych mężczyzn i dwie jeszcze stateczniej odziane kobiety.

- Oczywiście. - Guy kiwa głową, a potem odwraca się i mruga do mnie.

A może powinnam zrobić jakiś kurs telepatii?

3

Dziewięć godzin później nadal siedzimy na zebraniu.

Ogromny mahoniowy stół usiany jest kserokopiami projektów kontraktu, raportami finansowymi, zabazgranymi notatnikami, plastikowymi kubkami z kawą oraz postitami. Pudełka po jedzeniu na wynos zalegają od lunchu na podłodze.

20

Sekretarka rozdaje nowe kopie projektu umowy. Dwoje prawników z przeciwnej drużyny wstało od stołu i teraz mamroczą coś do siebie w „saperce”. Każda sala obrad jest zaopatrzona w jeden z takich wyciszonych pokoiów na wypadek, gdyby ktoś poczuł się zbyt „podminowany”.

Atmosfera napięcia w sali obrad nieco opadła. Nastąpiło coś w rodzaju odpływu. Wszyscy nadal są czerwoni ze zdenerwowania, ale przestaliśmy już na siebie krzyczeć. Klienci wyszli. Osiągnęli porozumienie koło godziny czwartej, uścisnęli sobie dłonie i odpłynęli w swych lśniących limuzynach.

Teraz wszystko jest w naszych rękach. To my, prawnicy, musimy zrozumieć, co takiego powiedzieli i co przez to mieli na myśli (jeżeli sądzicie, że to jedno i to samo, możecie darować sobie studia prawnicze), a wreszcie przekształcić to w projekt umowy, która powinna być gotowa na jutrzejsze spotkanie.

Na którym prawdopodobnie znowu zaczną krzyczeć.

Pocieram zmęczoną twarz i pociągam łyk cappuccino, zanim zdaję sobie sprawę, że wzięłam zły kubek z zimną kawą sprzed godziny. Łeee. Łeeeeeeeeeee! Przęłykam obrzydliwy napój z grymasem. Nie mogę przecież wypluć go na stół.

Światła jarzeniówek rażą mnie w oczy. Czuję się kompletnie wyprana z sił. W tej sprawie zajmuję się stroną finansową, dlatego też do mnie należało wynegocjowanie pożyczki dla naszego klienta w banku PGNI. To ja uratowałam sytuację, gdy w którejś z filii kompanii pojawiła się nagle czarna dziura długu. To ja spędziłam dziś po południu niemal trzy godziny, dyskutując o zastosowaniu pewnego głupiego wyrażenia w klauzuli 29(d). Chodziło o sformułowanie „usilne starania”. Przeciwna drużyna chciała to zmienić na „wysiłki w granicach rozsądku”.

Wygraliśmy, ale nie czułam triumfu. Wiedziałam tylko, że jest dziewiętnaście po siódmej i dokładnie za jedenaście minut powinnam się znaleźć po drugiej stronie miasta, na kolacji z matką i bratem Danielem.

Muszę to odwołać. Moją własną kolację urodzinową.

Kiedy to myślę, słyszę w głowie rozwścieczony głos mojej starej przyjaciółki z czasów szkolnych, Frei: „Nie mogą cię zatrzymać w pracy w dniu twoich urodzin!”.

Spotkanie z nią, dwa tygodnie temu, także musiałam odwołać. Miałyśmy się wybrać do klubu z kabaretem. Tak się jednak złożyło, że pewna umowa miała być podpisana następnego dnia rano i naprawdę nie miałam wyjścia.

Freya nie rozumie jednego: najważniejsze są terminy. Koniec i kropka. Wcześniejsze zobowiązania, urodziny, znajomi - to wszystko się nie liczy. Co tydzień ktoś odwołuje wakacje. Naprzeciwko mnie przy stole siedzi Clive Sutherland z działu rachunkowości. Dzisiaj rano jego żona urodziła bliźniaki, a w porze lunchu był już z powrotem w pracy.

- W porządku, ludzie. - Głos Kettermana stawia wszystkich na baczność.

To jedyny człowiek w tym pokoju, który nie ma czerwonej twarzy, nie jest zmęczony ani nawet znużony. Wygląda jak robot - wypolerowany i lśniący od samego rana. Kiedy się złości, nie rzuca się, nie rwie włosów z głowy.

Emanuje cichą, stalową furją.

- Musimy odroczyć posiedzenie.

Co takiego? Spoglądam na niego zdziwiona. Inni też. Niemal widzę kondensującą się w powietrzu nadzieję.

Jesteśmy niczym uczniowie podstawówki, wyczuwający zawirowanie podczas klasówki z matematyki, ale bojący się poruszyć, żeby przypadkiem nie kazano im zostać za karę po lekcjach.

- Dopóki nie dostaniemy dokumentacji z Fallonsa, nie możemy nic zrobić. Macie tu być jutro rano o dziewiątej.

Wychodzi. Wypuszczam powietrze z płuc, gdy drzwi zamykają się za nim. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że wstrzymałam oddech.

Clive Sutherland już ruszył ku wyjściu, inni rozmawiają przez telefony komórkowe o kolacji, filmach, anulują odwołanie wcześniejszych ustaleń. Panuje radosny nastrój. Sama mam ochotę wykrzyknąć „Juppi jaj!”, ale to byłoby poniżej poziomu współnika.

Zbieram papiery, wrzucam je do swojej teczki i odsuwam krzesło.

- Samantho, byłbym zapomniał - to Guy. - Mam coś dla ciebie.

Wręcza mi biały pakunek, ja zaś czuję głupi przypływ radości. Prezent urodzinowy! Jest jedynym człowiekiem w całej firmie, który pamiętał o moich urodzinach.

- Guy, naprawdę nie powinieneś! - promienieję, rozrywając tekturowe opakowanie.

- Nie ma sprawy - odpowiada Guy, wyraźnie zadowolony z siebie.

- Mimo wszystko - śmieję się. - Myślałam, że...

Przerywam gwałtownie, widząc firmowe DVD w laminowanym pudełku. Podsumowanie prezentacji partnerów europejskich, w którym uczestniczyliśmy jakiś czas temu. Wspomniałam wtedy, że chciałabym dostać kopię.

Obracam pudełko w rękach, upewniając się jednocześnie, że zanim spojrzę na Guya, mój uśmiech będzie całkowicie radosny. Oczywiście, że nie pamiętał o urodzinach. Dlaczego w ogóle tak pomyślałam? Pewnie nawet nie wiedział, że to dziś.

- To... wspaniale - mówię wreszcie. - Dzięki!

- Nie ma za co. - Chwyta swoją teczkę. - Miłego wieczoru. Masz coś w planach?

Nie mogę mu powiedzieć, że dziś są moje urodziny. Pomyśli... że...

- Tylko małe spotkanie rodzinne - uśmiecham się. - Do zobaczenia jutro.

Tak czy owak, najważniejsze, że udało mi się wyrwać na czas. Nie muszę odwoływać kolacji i nawet nie za bardzo się spóźnię!

Podczas gdy taksówka próbuje przedrzeć się przez korki na Cheapside, ja bebeszę torebkę w poszukiwaniu kosmetyczki z nowym zestawem do makijażu. Jakiś czas temu w porze lunchu wstąpiłam do sklepu Selfridges, nagle bowiem

zdałam sobie sprawę, że używam tej samej szarej kredki do oczu oraz tuszu, który kupiłam sześć lat temu z okazji wręczenia dyplomów. Nie miałam czasu na demonstrację makijażu, ale poprosiłam dziewczynę ze stoiska kosmetycznego, żeby przygotowała mi wszystko, w co jej zdaniem powinnam się zaopatrzyć. Nie słuchałam jej zbyt uważnie, gdy objaśniała, do czego służą poszczególne mikstury, ponieważ rozmawiałam jednocześnie z Elldridge'em na temat kontraktu ukraińskiego. Pamiętam jedynie jej nalegania, że powinnam używać specyfiku o nazwie „puder brązujący”. Powiedziała, że moja skóra nabierze od tego blasku i przestanę wyglądać tak potwornie...

Tu przerwała na chwilę.

- Błado - dokończyła wreszcie. - Wygląda pani trochę... błado.

Wyjmuję puderniczkę, wielki pędzel i zaczynam pokrywać kompaktem policzki oraz czoło. W pewnym momencie spoglądam w swoje odbicie w lustrze i prychem śmiechem. Moja twarz nabrała idiotycznego złotawego, lśniącego odcienia. Wyglądam jak kretyńka.

Kogo próbuję oszukać? Prawniczka z City, która nie była na wakacjach od dwóch lat, nie miewa opalenizny ani nawet złotawego odcienia skóry. Równie dobrze mogę wpleść we włosy paciorki i udawać, że przed chwilą przyleciałam z Barbadosu.

Przyglądam się swojemu odbiciu przez kilka sekund, a potem wyjmuję z torebki chusteczkę do demakijażu i ścieram puder brązujący, aż robię się znowu biała, z lekkim odcieniem szarego. Powrót do normalności. Sprzedawczyni wspominała coś również o cieniach pod oczami. Problem w tym, że gdybym ich nie miała, z pewnością wyrzuciliby mnie z pracy.

Mam na sobie czarny kostium, jak zwykle. Moja mama kupiła mi pięć takich kompletów na dwudzieste pierwsze urodziny i od tego czasu nigdy nie zmieniłam swoich przyzwyczajień. Jedynym kolorowym elementem mojej garderoby jest

czerwona torebka. To również prezent od mamy, sprzed dwóch lat. Tak naprawdę oryginalna torebka była czarna. Z jakiegoś jednak powodu - może tego dnia świeciło słońce, a może zamknęłam jakiś fantastyczny kontrakt, nie pamiętam, ale pod wpływem impulsu wymieniłam ją na czerwoną. Nie jestem pewna, czy mama kiedykolwiek mi to wybaczyła.

Zdejmuję gumkę z włosów, przeczesuję je szybko i znów spinam w kok. Włosy nigdy nie były dla mnie powodem do dumy. Są średniej długości, lekko kręcone i mysiego koloru. A przynajmniej tak było ostatnim razem, kiedy na nie spojrzałam. Bo przeważnie noszę je upięte w ciasny kok.

- Miły wieczór w planach? - pyta taksówkarz, zerkając na mnie w lusterku.

- Dzisiaj są moje urodziny.

- Wszystkiego najlepszego! - uśmiecha się do mnie promiennie. - W takim razie szykuje się zabawa, tak? Noc pełna szaleństw.

- Hm... coś w tym rodzaju.

Moja rodzina i szalone prywatki niezupełnie do siebie pasują. Niemniej, dobrze jest spotkać się od czasu do czasu, pogadać, nadrobić zaległości. Nie zdarza się to nam zbyt często.

Nie znaczy to, że nie chcemy się widywać. Po prostu wszyscy jesteśmy ludźmi zajętymi, mamy swoje kariery. Moja matka jest adwokatem, i to bardzo znanym. Dziesięć lat temu założyła własną kancelarię i w zeszłym roku wygrała nagrodę organizacji „Women in Law”. Mój brat Daniel ma trzydzieści sześć lat i jest szefem działu inwestycji w Whit-tonsie. Ostatnio został oceniony jako jeden z najlepszych przedsiębiorców w City.

Jest jeszcze Peter, drugi brat, ale jak już wspominałam, ten przeszedł załamanie nerwowe. Teraz mieszka we Francji, uczy angielskiego w lokalnej szkole i nie ma nawet automatycznej sekretarki. Oczywiście muszę jeszcze wspomnieć o tacie, który jest w południowej Afryce ze swoją trzecią żoną. Od trzeciego roku życia prawie go nie widuję, ale nie przejmuję się tym. Mama ma energii rodzicielskiej za dwoje.

Taksówka przyspiesza na Strand. Spoglądam na zegarek. Siódma czterdzieści dwie. Zaczynam czuć podniecenie.

Kiedy to widziałam się z mamą ostatni raz? Chyba... na Gwiazdkę, sześć miesięcy temu.

Zatrzymujemy się przed restauracją. Płacę taksówkarzowi, wręczając mu suty napiwek.

- Doskonałej zabawy, złotko! - mówi. - I jeszcze raz wszystkiego najlepszego!

- Dziękuję!

Wbiegam do restauracji, rozglądając się za mamą i Danielem, ale nie widzę żadnego z nich.

- Dobry wieczór - mówię do maître d'. - Jestem umówiona na spotkanie z panią Tennyson.

To moja mama. Należy do kobiet, które nie uznają przybierania nazwiska męża. Nie pochwała również pań, które po wyjściu za mąż zostają w domu, gotują, piorą, sprzątają lub uczą się pisania na maszynie. Uważa, że wszystkie kobiety powinny zarabiać więcej niż ich mężowie, ponieważ są z natury bystrzejsze.

Maître d' prowadzi mnie do pustego stolika w rogu. Opadam na zamszowe siedzenie.

- Hej - uśmiecham się do kelnera, który pojawia się przy mnie. - Poproszę o buck's fizz, korkociąg i martini. I niech pan przyniesie drinki, dopiero kiedy pojawią się pozostali goście.

Mama lubuje się w korkociągach, a choć nie mam pojęcia, co lubi obecnie Daniel, na pewno nie odmówi wypicia martini.

Kelner kiwa głową i znika. Rozwijam serwetkę i przyglądam się innym osobom w restauracji. Maxim to naprawdę niezłe miejsce. Podłogi z drzewa wenge, stalowe stoliki i nastrojowe oświetlenie. To bardzo popularna restauracja wśród prawników. Mama ma tutaj otwarty rachunek. Kilka stolików dalej siedzi dwóch wspólników z Linklaters, a przy barze dostrzegam jednego z najbardziej renomowanych londyńskich prawników, specjalizujących się w sprawach o oszczerstwa.

Hałas rozmów, odgłosy wyskakujących z butelek korków i stukanie widelców o talerze jest niczym ryk wzburzonego morza. Od czasu do czasu przez salę przebiega fala śmiechu, sprawiająca, że wszystkie głowy odwracają się nagle w kierunku jej źródła.

Przebiegam wzrokiem kartę dań i nagle czuję, że umieram z głodu. Nie jadłam porządnego posiłku od tygodnia, a tutaj wszystko wygląda tak apetycznie. Glazurowane foie gras. Jagnięcina z humusem na ostro. Na tablicy z potrawami dnia widnieje suflet czekoladowo-miętowy i dwa sorbety domowej roboty. Mam tylko nadzieję, że mama będzie mogła zostać do deseru. Ma dziwny zwyczaj pojawiania się i wychodzenia w połowie posiłku. Słyszałam z jej ust wystarczająco wiele razy, że połowa obiadu każdemu wystarczy. Problem w tym, że nigdy nie była specjalnie zainteresowana jedzeniem, podobnie jak osobami choć trochę mniej inteligentnymi niż ona. Co oczywiście wyklucza z jej towarzystwa większość ludzi. Daniel na pewno zostanie. Kiedy mój brat otworzy butelkę wina, czuje się w obowiązku dopić ją do końca.

- Panna Sweeting? - Spoglądam w górę na podchodzącego do stolika maître d' z telefonem bezprzewodowym w dłoni. - Mam dla pani wiadomość. Pani matkę coś zatrzymało w kancelarii.

- Ach - próbuję ukryć zawód. Nie powinnam narzekać. Sama robiłam jej to samo dziesiątki razy. - Zatem... o której tu będzie?

Maître d' spogląda na mnie w milczeniu. Wydaje mi się, że w jego oczach dostrzegam błysk współczucia.

- Mam ją na linii. Jej sekretarka połączy panią z matką... halo? - mówi do słuchawki. - Przekazuję telefon córce pani Tennyson.

- Samantha? - słyszę w uchu żwawy, precyzyjny głos. - Kochanie, obawiam się, że nie mogę dziś przyjść na obiad.

- Nie możesz przyjść w ogóle? - Uśmiech znika z mojej twarzy. - Nawet... nawet na drinka?

Jej kancelaria jest pięć minut stąd, na Lincoln's Inn Fields.

- Mam zbyt wiele roboty. To bardzo duża sprawa, jutro jest posiedzenie w sądzie... nie, podaj mi inną teczkę - rzuca do kogoś. - Takie rzeczy się zdarzają - podejmuje rozmowę ze mną. - Baw się dobrze z Danielem. Och, i wszystkiego najlepszego. Przełałam na twoje konto trzysta funtów.

- Ach tak - odpowiadam po chwili milczenia. - Dziękuję.

- Masz już jakieś wiadomości na temat awansu?

- Jeszcze nie. - Słyszę, jak stuka długopisem o telefon.

- Ile godzin wypracowałaś w tym miesiącu?

- Hmm... prawdopodobnie około dwustu...

- Czy to wystarczy? Samantha, nie chcesz chyba, żeby cię pominęli przy awansie. Pojawia się nowi prawnicy i ktoś taki jak ty może bardzo szybko stać się przeżytkiem.

- Dwieście godzin to całkiem sporo - próbuję wyjaśnić. - W porównaniu z innymi...

- Musisz być lepsza niż inni! - Jej ostry jak nóż głos ucina moją wypowiedź, jakbyśmy byli na sali sądowej. - Nie możesz sobie pozwolić na to, żeby twoje wyniki były choć odrobinę gorsze od doskonałych. To najważniejszy moment... nie tę teczkę - rzuca znów niecierpliwie. - Zaczekaj chwilę, Samantha...

- Samantha?

Spoglądam zdezorientowana na uśmiechającą się szeroko dziewczynę w błękitnym kostiumie, która podchodzi do mojego stolika. W ręku trzyma koszyk z prezentami, przyozdobiony kokardą.

- Jestem Lorraine, asystentka Daniela - mówi dźwięcznym, nagle znajomym głosem. - Obawiam się, że nie będzie mógł przyjść dziś wieczorem, ale przyniosłam ci mały prezencik od niego. Poza tym chciał się przywitać - wyciąga w moją stronę komórkę. Kompletnie zdezorientowana, biorę ją i przykładam do drugiego ucha.

- Cześć, Samantha - mówi Daniel. - Posłuchaj, słońce, zamykamy duży kontrakt. Nie mogę przyjść. Czuję uderzenie nagłego niepokoju. Żadne z nich nie zamierza się pojawić?

- Naprawdę mi przykro, kochanie. To jedna z tych rzeczy, rozumiesz. Niemniej baw się dobrze z mamą. Przeżyłam kilka razy. Nie mogę się przyznać, że ona też wystawiła mnie do wiatru. Nie mogę mu powiedzieć, że siedzę tutaj całkiem sama.

- OK! - jakoś zdobywam się na radosny ton. - Masz to jak w banku!

- Przełałem trochę pieniędzy na twoje konto. Kup sobie coś fajnego. Wysłałem też Lorraine z czekoladkami. Sam je wybierałem - dodaje dumnie.

Zaglądam do koszyka. To nie czekoladki, tylko mydło.

- To naprawdę miło z twojej strony, Danielu - udaje mi się wykrztusić. - Bardzo ci dziękuję.

„Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam...” śpiewa nagle chór głosów za moimi plecami. Odwracam się i widzę kelnera z koktajlem, z którego wystaje sztuczny ogień. Na stalowej tacy wypisane jest karmelem „Wszystkiego najlepszego, Sa-mantho”. Obok leży miniaturowe menu-podarunek, podpisane przez szefa kuchni. Za moim kelnerem podążają kolejni trzej, śpiewając zgodnym chórem. Po chwili Lorraine również się do nich dołącza. „Sto lat, sto lat...”

Kelner stawia tacę na stole przede mną, ale obie ręce mam zajęte telefonami.

- Potrzykam to. - Lorraine odbiera mi słuchawkę, przez którą rozmawiałam z Danielem. Przykładają do ucha i uśmiecha się do mnie promiennie: - On śpiewa! - mówi, wskazując na telefon.

- Samantho? - odzywa się w moim uchu mama. - Jesteś tam jeszcze?

- Ja tylko... śpiewają mi *Sto lat*...

Odkładam telefon. Nie zastanawiając się zbyt długo, Lorraine również odkłada komórkę na blat. Oto moje rodzinne przyjęcie urodzinowe. Dwa telefony komórkowe.

Widzę dookoła siebie ludzi, którzy przyłączają się do chóru. Ich uśmiechy bledną nieco, gdy widzą, że siedzę tu cał-

kiem sama. Na twarzach obsługi dostrzegam cień współczucia. Staram się trzymać fason, ale policzki płoną mi ze wstydu. Nagle pojawia się kelner, u którego zamawiałam napoje na samym początku. Na tacy niesie trzy drinki. Spogląda zdeorientowany na pusty stół.

- Dla kogo ma być martini?

- Teoretycznie dla mojego brata...

- Czyli Nokia - podpowiada usłużnie Lorraine, wskazując na komórkę.

Po chwili milczenia, z beznamiętnym, profesjonalnym wyrazem twarzy kelner stawia kieliszek na podkładce obok telefonu. Chce mi się śmiać, ale jednocześnie czuję szczypanie w oczach i nie wiem, jak by się to skończyło, gdybym sobie pofolgowała. Kelner umieszcza drugi drink na stoliku, skłania głowę i odchodzi. Zapada niewygodna cisza.

- No dobrze... - Lorraine chwyta telefon Daniela i wrzuca do torebki. - Wszystkiego najlepszego i baw się dobrze! Stukając obcasami, wychodzi z restauracji. Podnoszę do ucha drugi telefon, żeby pożegnać się z mamą, ale ona już odłożyła słuchawkę. Śpiewający kelnerzy odpłynęli gdzieś i zostałam sam na sam z koszykiem pełnym mydła.

- Zechce pani zamówić coś do jedzenia? - Przy moim krześle pojawia się maître d'. - Polecam risotto i może jakąś smaczną sałatkę - mówi uprzejmie. - Do tego kieliszek wina?

- Właściwie - zmuszam się do uśmiechu - poproszę tylko o rachunek. Dziękuję.

Nieważne.

Prawda jest taka, że nigdy nie udałoby się nam spotkać razem przy obiedzie. To tylko fantazja. Nie powinniśmy nawet próbować. Wszyscy jesteśmy zajęci, mamy swoje kariery. Tak już po prostu jest z moją rodziną.

Stoję przed restauracją, do której nagle podjeżdża taksówka. Szybko wyciągam rękę, aby ją zatrzymać.

Tylne drzwi otwierają się i na zewnątrz pojawia się roz-

klapciana, ozdobiona paciorkami japonka, a za nią postrzępione dzinsy, haftowany kaftan, znajoma blond czupryna i...

- Proszę tu zaczekać - instruuje taksówkarza przybyła. -Będę z powrotem za pięć minut.

- Freya? - pytam z niedowierzaniem.

Dziewczyna odwraca się i jej oczy rozszerzają się ze zdumienia.

- Samantha! Co ty robisz przed wejściem?

- To ja pytam, co ty tutaj robisz? - odparowuję. - Myślałam, że wyjeżdżasz do Indii.

- Jestem w drodze! Spotykam się z Lordem na lotnisku za... - spogląda na zegarek - jakieś dziesięć minut.

Robi minę winowajczynie, a ja nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Znamy się z Freyą od siódmego roku życia, kiedy to obie zaczęłyśmy naukę w szkole z pensjonatem. Pierwszej nocy powiedziała mi, że jej rodzice to cyrkowcy, że umie jeździć na słoniu i chodzić po linie. Wierzyłam jej przez cały semestr. Wysłuchiwałam historii o jej egzotycznym życiu cyrkowym, dopóki nie przyjechali po nią rodzice, którzy okazali się parą księgowych ze Staines. Nawet wtedy Freya się nie spieszyła. Powiedziała tylko, że jej rodzice byli kiedyś cyrkowcami.

Freya ma jasnoniebieskie oczy i cerę usianą piegami. Jest wiecznie opalona przez ciągle podróże. Widzę, że łuszczy jej się skóra na nosie, a poza tym nabawiła się nowego kolczyka w samym czubku ucha. Ma najbielsze i najbardziej krzywe zęby, jakie widziałam w życiu, a kiedy się śmieje, unosi się jej kącik górnej wargi.

- Jestem tutaj, żeby wkręcić się na twoje przyjęcie urodzinowe. - Freya spogląda podejrzliwie na restaurację. -

Myślałam, że się spóźnię. Co się stało?

- Ja... - waham się. - Problem w tym, że... mama i Daniel...

- Wyszli wcześniej? - Spogląda na mnie i jej wyraz twarzy zmienia się w maskę oburzenia. - Nie pojawili się w ogóle? Jezu Chryste, co za gnojki! Nie mogliby chociaż raz po-

traktować cię jak coś ważniejszego niż te ich pieprzone... -przerywa, oddychając ciężko. - Przepraszam. Wiem, to twoja rodzina.

Freya i moja mama niezupełnie się dogadują.

- Nie szkodzi - mówię z żalonym wzruszeniem ramion. -Naprawdę. I tak mam jeszcze kupę roboty.

- Roboty? - wpatruje się we mnie. - Teraz? Mówisz poważnie?! Czy to się nigdy nie skończy?

- Jesteśmy bardzo zajęci w firmie - bronię się. - To okres przejściowy.

- To zawsze jest okres przejściowy! Non stop macie jakiś kryzys. Każdego roku musisz odłożyć plany dobrej zabawy...

- To nieprawda.

- Co rok mówisz mi, że następnym razem będzie lepiej, ale nigdy się tak nie dzieje! - Spogląda na mnie szczerze zmartwiona. - Samantho, co się dzieje z twoim życiem?

Wpatruję się w nią przez chwilę. Obok nas, z rykiem silników przejeżdżają samochody. Nie jestem pewna, co mam odpowiedzieć. Szczerze mówiąc, nie pamiętam już, jak wyglądało kiedyś moje życie.

- Chcę być współnikiem w Carter Spink - odpowiadam wreszcie. - To moje marzenie, które wymaga poświęceń z mojej strony.

- A kiedy już dostaniesz awans? - nie ustępuje Freya. -Czy wtedy będzie lepiej?

Wzruszam ramionami, unikając odpowiedzi. Nie zastanawiałam się jeszcze, co będzie dalej. Awans na współnika jest niczym sen, gwiazdka na niebie.

- Na Boga, masz dwadzieścia dziewięć lat! - Freya zaczyna wymachiwać kościstą, opierścienioną dłonią. - Powinnaś zrobić coś spontanicznego w swoim życiu, przynajmniej od czasu do czasu. Powinnaś zwiedzać świat!- Chwyta mnie za ramię. - Słuchaj, jedź ze mną do Indii! Teraz!

- Co takiego? - wybucham śmiechem. - Nie mogę tego zrobić!

- Weź sobie miesiąc urlopu. Dlaczego nie? Przecież cię

nie zwolnią. - Chwyta mnie za ramię. - Pojedź ze mną na lotnisko. Kupimy ci bilet i...

- Freya, jesteś szalona. Naprawdę. - Ściskam jej ramię. - Kocham cię, ale jesteś wariatką.

Powoli jej uścisk się rozluźnia.

- Ja też cię kocham - mówi. - Jesteś szalona, ale kocham cię.

Jej komórka dzwoni, ale Freya ją ignoruje. Przetrzęsa haftowaną torbę, aż wreszcie wyciąga malutką, misternie wykonaną srebrną buteleczkę perfum, niedbale zapakowaną w kawałek purpurowego jedwabiu.

- Proszę - wręcza mi.

- Rety - obracam prezent w dłoni. - To jest piękne.

- Wiedziałam, że ci się spodoba. - Wyciąga komórkę z kieszeni. - Hej! - rzuca niecierpliwie do słuchawki. -

Posłuchaj, Lord, zaraz tam będę, dobra?

Jej mężem jest Lord Andrew Edgerly. Freya zaczęła przezywać go „lord” dla kawału i jakoś już tak zostało. Poznali się pięć lat temu w kibucu i pobrali w Las Vegas. Technicznie rzecz biorąc, Freya jest teraz lady Edgerly, ale nikomu nie chce się to pomieścić w głowie, a zwłaszcza rodzinie Edgerly.

- Dzięki za to, że wpadłaś. I za prezent - ściskam ją. -Bawcie się dobrze w Indiach.

- Będziemy. - Wsiada do taksówki. - Jeżeli zechcesz przyjechać, daj mi znać. Wymyśl jakąś nagłą sprawę rodzinną... cokolwiek. Podaj im mój numer telefonu. Będę cię kryła, cokolwiek wymyślisz.

- Jedź - mówię ze śmiechem i popycham ją lekko. - Jedź do Indii.

Drzwi samochodu się zatrząskują. Freya wygląda przez okno.

- Sam... powodzenia jutro. - Chwyta mnie za rękę i spogląda w oczy, nagle poważna. - Jeżeli rzeczywiście tego wlaś- nie chcesz, mam nadzieję, że to dostaniesz.

- Chcę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. - Spoglądam na moją starą przyjaciółkę i cała wykalkulowana non-

szalancja znika. - Freya... nie potrafię ci nawet opisać, jak bardzo tego pragnę.

- Będiesz to miała, jestem pewna. - Całuje moją rękę, a potem macha na pożegnanie. - Tylko nie wracaj dzisiaj do biura. Obiecuj mi! - krzyczy na cały głos, kiedy samochód włącza się do ruchu.

- Dobrze! Obiecuję! - odpowiadam. Czekam, aż zniknie, a potem przywołuję taksówkę.

- Do firmy Carter Spink proszę - rzucam do kierowcy. Obiecywałam ze skrzyżowanymi palcami. Oczywiście, że zamierzam wrócić do biura.

Przyjeżdżam do domu o jedenastej, wyczerpana fizycznie i umysłowo. Przedarłam się zaledwie przez połowę dokumentacji Kettermana. Cholerny gnój, myślę, otwierając drzwi wejściowe przedwojennej kamienicy, w której mieszkam. Cholerny Ketterman. Cholerny... cholerny...

- Dobry wieczór, Samantho.

Podskakuję prawie kilometr w górę. Ketterman. Stoi przed windą, z wyładowaną teczką. Zastygam przerażona. Co on tu robi? Czy zwariowałam i zaczynam mieć halucynacje z najważniejszymi udziałowcami firmy w roli głównej?

- Ktoś mi powiedział, że tu mieszkasz - spogląda na mnie zza okularów. - Kupiłem mieszkanie numer 32, jako pied-a-terre. Będziemy sąsiadami w ciągu tygodnia.

Nie. Proszę, niech to się nie dzieje. On tu mieszka?

- Hmm... witam w naszej kamienicy! - mówię, ze wszystkich sił próbując nadać głosowi odcień szczerości. Drzwi od windy otwierają się i oboje wchodzimy do środka.

Numer 32. Zaledwie dwa piętra nade mną.

Czuję się tak, jakby wprowadził się tutaj dyrektor szkoły. Jakim cudem mam się teraz czuć odprężona? Dlaczego musiał wybrać właśnie ten budynek?

Wjeżdżamy na górę w milczeniu, ja zaś czuję się coraz bardziej nieswojo. Czy powinnam zacząć niezobowiązującą konwersację? Lekką, sąsiedzka pogawędkę?

- Robię postępy z dokumentami, które mi dałeś - mówię wreszcie.

- To dobrze - kiwa głową.

Tyle w temacie przyjacielskiej pogawędki. Powinnam od razu zacząć z grubej rury.

Czy zostanę jutro współnikiem?

- Cóż... dobranoc - rzucam niepewnie, wychodząc z windy.

- Dobranoc, Samantho.

Kiedy zamykają się za mną drzwi, z moich ust wydobywa się bezgłośny krzyk. Nie mogę mieszkać w tym samym budynku, co Ketterman! Będę się musiała przeprowadzić. Zamierzam właśnie umieścić klucz w zamku, kiedy uchylają się drzwi sąsiedniego mieszkania.

- Samantho?

To już koniec! Zupełnie jakbym nie miała wystarczająco wielu wrażeń tego wieczora. Pani Farley, moja sąsiadka, ma siwe włosy, trzy malutkie pieski i niezaspokojoną potrzebę dowiadywania się szczegółów o moim życiu. Jest jednak bardzo miła i odbiera moją pocztę oraz dostawy, więc po prostu pozwalam jej wściubiać nos w moje sprawy.

- Znowu przyszło coś do ciebie, złociutka - mówi. -Z pralni chemicznej. Zaraz przyniosę.

- Dziękuję - odpowiadam z ulgą, otwierając drzwi. Na wycieraczce leży kupka reklamówek. Odgarniam je na bok, na większą stertę, która wyrasta pod ścianą korytarza. W wolnej chwili zamierzam wynieść wszystko do recyklingu.

Wpisałam to nawet na listę rzeczy do zrobienia.

- Znowu wróciłaś późno do domu. - Pani Farley pojawia się u mojego boku, dzierżąc w ręku bluzki opakowane w plastikowe torby. - Wy, dziewczęta, wszystkie jesteście takie zajęte! - cmoka. - Od tygodnia nie wróciłaś do domu przed jedenastą!

To właśnie miałam na myśli, mówiąc „nienasycona potrzeba dowiadywania się szczegółów o moim życiu”.

Prawdopodobnie zapisuje wszystko w notatniku.

- Bardzo dziękuję - próbuję odebrać jej z rąk rzeczy z pralni, ale ku mojemu przerażeniu, pani Farley przeciska się obok mnie i wchodzi, krzycząc:

- Nie, pomogę ci je wnieść do środka!

- Hmm... przepraszam za... eee... za ten bałagan - mówię, gdy przechodzi koło kupki zdjęć ułożonej pod ścianą. - Zamierzam je w końcu powiesić... i pozbyć się tych pudełek...

Pospiesznie kieruję ją w stronę kuchni, z dala od sterty kart restauracyjnych z daniami na wynos, leżących na stoliku w przedpokoju. Natychmiast żałuję swojej decyzji. Na stole w kuchni zastaję pełno starych puszek i paczek, wraz z notką od mojej nowej sprzątaczkii:

DROGA SAMANTHO

TWOJE JEDZENIE JEST PRZEDATOWANE. MAM JE WYRZUCIĆ?

CZY MASZ W DOMU JAKIEKOLWIEK ŚRODKI CZYSZCZĄCE, NP. BIELINKĘ? NIE MOGĘ ICH ZNALEŹĆ.

CZY KOLEKCJONUJESZ KARTONY PO CHIŃSZCZYŹNIE NA WYNOS? NA WSZELKI WYPADEK ICH NIE WYRZUCAŁAM.

TWOJA NOWA SPRZĄTACZKA JOANNĘ

Widzę, że pani Farley czyta list i niemal słyszę obracające się w jej głowie trybiki. W zeszłym miesiącu urządziła mi mały wykład na temat tego, że nie mam naczyń do gotowania na wolnym ogniu. Mogłabym wtedy po prostu nastawić rano kurczaka z warzywami. Przecież pokrojenie marchewki zajmuje pięć minut, prawda?

Nie mam pojęcia.

- Eee... dziękuję pani. - Pospiesznie odbieram pranie od pani Farley, rzucam je na płytę kuchenki, a potem odprowadzam staruszkę do drzwi wyjściowych, cały czas czując na sobie jej świdrujące, wszędobylskie spojrzenie. - To naprawdę miło z pani strony.

- Żaden kłopot - przesywa mnie wzrokiem. - Nie chcę

się wtrącać, złociutka, ale bawełniane bluzki mogłabyś prać w domu. W ten sposób zaoszczędzisz sporo pieniędzy. Spoglądam na nią w osłupieniu. Gdybym się na to zdecydowała, musiałabym je również wysuszyć. A potem wyprasować.

- Poza tym zauważyłam, że jednej z nich brakuje guzika -dodaje. - Tej w różowo-białe paski.

- O, naprawdę - mówię. - Tak... nic nie szkodzi. Odeślę ją z reklamacją. Nie policzą mi za to.

- Przecież możesz przyszyć ten guzik sama, złociutka! -Pani Farley wygląda na poruszoną. - Zajmie ci to nie więcej niż dwie minuty. Chyba masz zapasowe guziki w przyborniku do szycia?

W czym?

- Nie mam przybornika - wyjaśniam uprzejmie. - Zazwyczaj nie zajmuję się krawiectwem.

- Ale zwykły guzik przecież umiesz przyszyć! - wykrzykuje.

- Nie - odpowiadam, nieco urażona jej wyrazem twarzy. - Nic nie szkodzi. Odeślę tę bluzkę do pralni.

Pani Farley wygląda na kompletnie zdegustowaną.

- Naprawdę nie potrafisz przyszyć guzika? Matka cię tego nie nauczyła?

Na myśl o mojej rodzicielce przyszywającej guzik parskam śmiechem.

- No... nie. Nie nauczyła mnie.

- W moich czasach dobrze wychowane dziewczęta uczyło się przyszywać guziki, cerować skarpetki i wybielać kołnierzyki - mówi pani Farley, kręcąc głową.

Nie mam pojęcia, o czym opowiada. Wybielanie kołnierzyków? To jakaś bzdura.

- W moich czasach było inaczej - odpowiadam uprzejmie. - Uczono nas przygotowania się do egzaminów, żebyśmy mogły zrobić karierę. Uczono nas mieć swoje zdanie, używać mózgow - nie mogę się powstrzymać, by nie dodać tego ostatniego.

Pani Farley mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Taka szkoda - mówi wreszcie i klepie mnie przyjaźnie po ramieniu.

Usiłuję zachować spokój, ale napięcie całego dnia przeradza się powoli w gniew. Mam dziś nieistniejące urodziny, jestem sterana i potwornie głodna... a ta starucha mówi mi, że powinnam umieć przyszywać guziki?

- Nie szkoda - odpowiadam sucho.

- W porządku, złociutka - mówi pani Farley uspokajającym tonem i rusza korytarzem do swojego mieszkania. Nie wiedzieć czemu, prowokuje mnie to jeszcze bardziej.

- Niby dlaczego szkoda? - pytam głośno dość oschłym tonem, stając w drzwiach. - Dlaczego? Dobrze, może i nie potrafię przyszyć guzika, ale umiem zmodyfikować korporacyjną umowę finansową i zaoszczędzić klientowi trzydzieści milionów funtów. To właśnie potrafię robić.

Pani Farley przygląda mi się z progu swojego mieszkania. Wygląda na jeszcze pełniejszą współczucia niż przed chwilą.

- Taka szkoda - powtarza, jakby nie usłyszała tego, co mówię. - Dobranoc, złociutka.

Zamyka drzwi, a ja wydaję z siebie odgłos rozpaczy.

- Słyszała pani kiedyś o feminizmie? - krzyczę. Nie odpowiada.

Ze złością wycofuję się do swojego mieszkania, zamykam drzwi i chwytam telefon. Wciskam klawisz zaprogramowany na połączenie z pizzerią i zamawiam to, co zwykle: pieczoną na ogniu z drewna pizzę capricciosa i paczkę chipsów Kettle. Nalewam sobie kieliszek wina z kartonu, który stoi w lodówce, a potem wracam do pokoju i włączam telewizję.

Przybornik! Też coś! Co jeszcze powinnam jej zdaniem mieć w domu? Druty? Krosno?

Opadam na sofę, trzymając w ręku pilota. Przerzucam kanały telewizyjne, przyglądając się nieuważnie migającym obrazom. Wiadomości... francuski film... jakiś film przyrodniczy...

Zaraz. Przerrywam wędrowkę po programach, odkładam pilota i moszczę się wygodniej-na poduszkach.

Waltonowie.

Doskonale odprężający program. Tego właśnie potrzebowałam.

Właśnie rozgrywa się finalna scena. Cała rodzina zebrała się przy stole, babcia odmawia modlitwę dziękczynną. Upijam nieco wina i czuję, że zaczynam się rozluźniać. W głębi duszy zawsze kochałam *Waltonów*, już jako dziecko. Przesiadywałam w ciemności, gdy nikogo nie było w domu, i udawałam, że także mieszkam na Górze Waltonów. A teraz ostatnia scena, na którą zawsze najbardziej czekałam: nocny widok domu Waltonów, światła w oknach, muzyka świerszczy i głos Johna Boya w tle. Cały dom pełen ludzi. Obejmuję kolana i patrzę tęsknie w ekran, gdzie dogasa już znajoma muzyka.

- Dobranoc, Elizabeth!

- Dobranoc, babciu - odpowiadam na głos. Przecież nikt mnie nie usłyszy.

- Dobranoc, Mary Ellen!

- Doranoc, John Boy - mówię jednocześnie z Mary Ellen.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

4

Budzę się z walącym w piersi sercem, niemal od razu zrywam się na nogi, szukając długopisu i pytając głośno: - Słucham? Co proszę?

Zawsze się tak budzę. To chyba rodzinne. Wszyscy śpimy dość nerwowo. Podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia, które spędziliśmy w domu, koło trzeciej nad ranem wturlałam się do kuchni po szklanekę wody i zastałam mamę w szlafroku, czytającą raport z sądu i Daniela łykającego xanax, oglądającego przy tym w telewizji notowania indeksu Hang Seng.

46

Chwiejnym krokiem docieram do łazienki i wpatruję się w swoje blade odbicie w lustrze. Dziś jest ten dzień. Cała moja praca, studia, zarwane noce... wszystko to prowadziło do tej jednej chwili.

Wspólnik. Albo nie.

O Boże. Przestań. Nie myśl o tym.

Idę do kuchni i otwieram lodówkę. Cholera! Skończyło się mleko. Kawa też. Muszę znaleźć jakąś firmę dostarczającą jedzenie. I mleczarza. Sięgam po długopis i do listy „RZECZY DO ZROBIENIA” dopisuję: „47. firma dostarczająca zakupy/mleczarz”.

Lista „RZECZY DO ZROBIENIA” wisi na ścianie jako pożyteczne przypomnienie tego, co zamierzam kiedyś zrobić. Pożółkła już nieco, a atrament na jej szczycie wyblakł tak bardzo, że niemal nie da się odczytać pisma.

Niemniej to doskonały sposób na organizację życia.

Przychodzi mi do głowy, że powinnam wykreślić niektóre z wcześniejszych wpisów. W końcu początki listy sięgają trzech lat wstecz, gdy wprowadziłam się do tego mieszkania. Na pewno udało mi się wykonać niektóre z moich zamierzeń. Chwytam długopis i mrużąc oczy, odczytuję pierwsze wyblakłe wpisy:

1. Znaleźć mleczarza.
2. Zorganizować firmę dostarczającą artykuły spożywcze.
3. Dowiedzieć się, jak włączyć piekarnik?

Ach tak.

No cóż, naprawdę zamierzam zorganizować dostawę zakupów. Zrobię to w weekend. A potem rozprawię się z piekarnikiem. Przeczytam instrukcję i już.

16. Zorganizować mleczarza.

17. Zaprosić przyjaciół?

18. Znaleźć sobie hobby?

40

Owszem, chcę zaprosić do siebie przyjaciół i mieć hobby, oczywiście kiedy w pracy trochę się rozluźni. Spoglądam na późniejsze wpisy, chyba sprzed niecałego roku, ponieważ atrament wciąż jest jeszcze niebieski.

41. Wybrać się na wakacje?

42. Wydać przyjęcie w domu?

43. MLECZARZ??

Wpatruję się w listę z lekkim oszołomieniem. Jakim sposobem udało mi się nie zrobić niczego z listy? Ze złością rzucam na stół długopis i nastawiam czajnik, opierając się pokusie podarcia pożąłkłego papieru na strzępy. Kiedy woda zaczyna się gotować, zaparzam jakąś dziwną ziołową herbatę, którą dostałam kiedyś od klienta. Sięgam po jabłko z miski na owoce i odkrywam, że jest spleśniałe. Wyrzucam z obrzydzeniem całą zawartość naczynia do kosza i podjadam kilka płatków pszenicznych Shreddies prosto z paczki.

Nie obchodzi mnie ta głupia lista. W moim życiu liczy się tylko jedna rzecz.

Przybywam do biura z silnym postanowieniem niepokazania nikomu, że to dla mnie bardzo szczególny dzień. Nie będę szalała, po prostu zabiorę się do pracy, jak zwykle. Kiedy jednak wędruję w stronę windy, ludzie mruczą: „Powodzenia”, a na korytarzu gość z działu podatkowego chwyta mnie znacząco za ramię:

- Trzymam kciuki, Samantho - mówi.

Skąd on zna moje imię?

Pędzę do biura i zamykam drzwi, usiłując zignorować fakt, że przez szklaną ściankę działową widzę rozmawiających i spoglądających na mnie ludzi. Naprawdę nie powinnam dzisiaj przychodzić. Mogłam udać, że jestem poważnie chora.

Nieważne. Wszystko jest pod kontrolą. Po prostu zajmę się jakąś pracą. Otwieram folder podrzucony wczoraj przez

41

Kettermana i zaczynam przedzierać się przez dokument o transferze akcji sprzed pięciu lat.

- Samantha?

Spoglądam w górę. W drzwiach stoi Guy z dwiema kawami. Stawia jedną na moim biurku.

- Cześć - mówi. - Jak nastrój?

- W porządku - odpowiadam, przerzucając stronę w iście profesjonalnym geście. - Czuję się... tak jak zwykle. Nie rozumiem, skąd to całe zamieszanie.

Rozbawione spojrzenie Guya wytrąca mnie z równowagi. Przerzucam kolejną stronę, by pokazać mu, że naprawdę tak myślę i udaje mi się przy tym strącić na podłogę cały plik dokumentów. Dzięki Bogu za spinacze! Czerwona na twarzy zbieram papiery, wrzucam z powrotem do teczki i upijam nieco kawy.

- Uhm - kiwa głową Guy. - Właściwie to dobrze, że się nie denerwujesz ani nie jesteś podminowana, czy coś w tym stylu.

- To prawda - przytakuję, nadal siedząc. - Nie sądzisz?

- Do zobaczenia później. - Chwyta swoją kawę, unosząc ją jakby w toaście, a potem wychodzi. Spoglądam na zegarek.

Jest dopiero ósma pięćdziesiąt trzy. Nie wiem, czy zdołam to wytrzymać.

Jakoś udaje mi się przetrwać poranek. Kończę czytać pliki Kettermana i zaczynam pisać raport. Jestem w połowie trzeciego akapitu, kiedy w moich drzwiach znów pojawia się Guy.

- Hej - rzucam bez spoglądania na niego. - Czuję się dobrze. I nic jeszcze nie słyszałam.

Guy nie odpowiada.

W końcu podnoszę głowę. Stoi tuż przy biurku i spogląda na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Nigdy takiego nie widziałam. Mieszanina dumy i podniecenia, tłumione pod maską zawodowego pokerzysty.

- Nie powinienem tego robić - mruczy i pochyla się ni-

zej. - Udało ci się. Zostałaś współpracowniczką. Za godzinę dowiesz się oficjalnie.

Przepływa przeze mnie fala gorąca. Zapiera mi dech w piersiach.

Udało mi się. Udało mi się.

- Nie mówiłem ci tego, dobrze? - uśmiecha się przelotnie. - Świetna robota.

- Dzięki... - udaje mi się wykrztusić.

- Do zobaczenia później. Pogratuluję ci wtedy odpowiednio - odwraca się i wychodzi, zostawiając mnie wpatrzoną niewidzącym wzrokiem w komputer.

Zostałam współpracowniczką.

O mój Boże. O mój Boże. O mój BOŻE!

Chwytam lusterko i spoglądam w swoje wyczerpane odbicie. Mam czerwone policzki. Chciałabym skoczyć na równe nogi i wrzasnąć: „HURRRRA!”. Chciałabym tańczyć i krzyczeć. Jak ja przetrwam godzinę? Czy zdołam usiedzieć spokojnie na miejscu? Nie dam rady skoncentrować się teraz na raporcie Kettermana.

Wstaję i podchodzę do szafki na dokumenty. Chcę się czymś zająć, otwieram więc na oślep kilka szuflad i znów je zamykam. Potem odwracam się i mój wzrok pada na biurko zavalone dokumentami i teczkami, ze stertą książek piętrzących się na komputerze.

Ketterman ma rację, wygląda to okropnie. Zupełnie nie jak biurko współpracownicy.

Posprzątam tu. To doskonały sposób na przetrwanie godziny. 12.06-13.06 sprawy biurowe. Mamy nawet na to specjalny kod w komputerowym planie dnia.

Zapomniałam, jak bardzo nienawidzę sprzątanania, wprost się nim brzydę.

Kiedy przedzieram się przez bałagan na moim biurku, znajduję najprzeróżniejsze rzeczy. Listy firmowe... kontrakty, które trzeba wprowadzić do kartoteki... stare zaproszenia... ulotka o pilatach... CD, który kupiłam trzy miesiące temu i myślę-

lałam, że gdzieś zgubiłam... zeszłoroczna kartka świąteczna od Arnolda, z jego wizerunkiem jako wełniastego renifera... uśmiecham się na ten widok i odkładam pocztówkę na stertę „rzeczy, dla których muszę znaleźć miejsce”. Są również „płyty nagrobkowe” - grawerowane, oprawione w ramki kawałki pleksiglasu, jakie otrzymujemy po zamknięciu wielkich kontraktów. I jeszcze... o Boże, połowa snickersa, którego najwyraźniej nie dokończyłam jeść. Wrzucam go do kosza na śmieci i zabieram się do kolejnej sterty papierzyśk.

Nie powinni nam przydzielać takich wielkich biurków. Nie mogę uwierzyć, ile się tu mieści.

Wspólnik! krzyczy we mnie wszystko. W głowie wybuchają fajerwerki radości. WSPÓLNIK!

Przestań, nakazuję sobie surowo. Skoncentruj się na tym, co robisz. Kiedy wyciągam stary egzemplarz „Prawnika” i zastanawiam się, po kiego diabła go zatrzymałam, na podłogę upadają jakieś spięte dokumenty. Sięgam po nie i spoglądam na pierwszą stronę, już chwytając następną rzecz - notatkę od Arnolda.

Sprawa Third Union Bank

Załączam obligacje dla Glazerbrooks Ltd. Proszę, zarejestruj je w kancelarii sądu handlowego.

Spoglądam na dokumenty z zainteresowaniem. Third Union Bank to klient Arnolda. Ja miałam z nimi do czynienia tylko raz. Teraz chodzi o pożyczkę na pięćdziesiąt milionów dla Glazerbrooks Ltd. Wszystko, co muszę zrobić, to zarejestrować sprawę w ciągu dwudziestu jeden dni w kancelarii sądu handlowego. Jeszcze jedno z prozaicznych zadań, jakimi obciążają mnie wspólnicy. Ale koniec z tym, myślę, czując przyływ determinacji. Zamierzam zlecić to komuś innemu. Automatycznie spoglądam na datę.

A potem jeszcze raz. Dwudziesty szósty maja.

Pięć tygodni temu? To nie może być prawda.

51

Zaintrygowana, przerzucam szybko papiery, szukając błędu w maszynopisie. Tyle że go nie znajduję. W całym dokumencie data jest ta sama: 26 maja.

Dwudziesty szósty maja?

Siedzę skamieniała, wpatrując się w papiery. Czy to znaczy, że leżały niezauważone na moim biurku przez całe pięć tygodni?

To... to przecież niemożliwe. Jak to... no, jak to tak? To by oznaczało...

Przełykam gulę, która nagle urosła mi w gardle. Musiałam coś źle zrozumieć. Nie mogłam przecież popełnić tak podstawowego błędu. Żadną miarą nie udałoby mi się zapomnieć o rejestracji umowy przed upływem terminu.

Zawsze robię to na czas.

Zamykam oczy, starając się uspokoić. Chyba po prostu coś pokręciłam. To przez podniecenie z powodu przyjęcia mnie do rady nadzorczej. Ogłupiło mnie to kompletnie. No dobrze, spójrzmy jeszcze raz, tym razem dokładniej.

Otwieram oczy i widzę dokładnie to samo, co przed chwilą. „Zarejestruj obligacje”. Notatka z dnia 26 maja, czarno na białym. Oznacza to, że naraziłam naszego klienta na niezabezpieczoną pożyczkę, a zatem popełniłam najbardziej podstawowy błąd, jaki może zrobić prawnik.

Mój radosny nastrój pryska. Wzdłuż kręgosłupa zaczyna wędrować zimna ameba przerażenia. Rozpaczliwie staram się sobie przypomnieć, czy Arnold wspominał przy mnie coś o tej umowie. Nie pamiętam, żeby powiedział choćby słowo, ale z drugiej strony, po co miałby sobie strzepić język? To przecież zwykła umowa o pożyczkę, jedna z tych, którymi zajmujemy się, nie przerywając snu. Pewnie założył, że wypełniłam polecenie. Przecież mi ufa.

O Jezu!

Przełgdam jeszcze raz dokument, trochę szybciej, szukając rozpaczliwie jakiegoś kruczka, paragrafu, który sprawi, że wykrzyknę z ulgą: „Ach, no oczywiście!”. Nic. Ściskam kurczowo papiery, czując zawroty głowy. Jak to się mogło

52

stać? Czy odłożyłam je na bok, żeby zająć się nimi później? Nie pamiętam. Nie mogę sobie przypomnieć, do cholery!

Co ja teraz zrobię? Zdaję sobie sprawę z konsekwencji i ogarnia mnie panika. Third Union Bank pożyczył firmie Glazerbrooks pięćdziesiąt milionów funtów. Bez rejestracji umowy ta multimilionowa transakcja pozostaje niezabezpieczona. Jeżeli Glazerbrooks zbankrutują, Third Union Bank ustawi się w kolejce wraz z innymi kredytodawcami, ale prawdopodobnie nie dostanie ani grosza z powrotem.

- Samantha! - odzywa się Maggie z progu. Ze strachu podskakuję pod sufit. Instynktownie przykrywam dłonią notkę od Arnolda, chociaż wiem, że moja sekretarka i tak na nią nie patrzy, a jeśli nawet, to nie zrozumie jej wagi.

- Właśnie się dowiedziałam! - mówi scenicznym szeptem. - Guy się wygadał. Moje gratulacje!

- Eee... dzięki! - jakimś sposobem zmuszam się do uśmiechu.

- Idę po herbatę. Przynieść ci?

- To byłoby... cudowne, dzięki.

Maggie znika, a ja chowam głowę w dłoniach. Usiłuję zachować spokój, ale w moim sercu rośnie przerażenie.

Muszę stanąć twarzą w twarz z problemem. Popełniłam błąd.

Popełniłam błąd.

Co ja teraz zrobię? Cała jestem spięta, nie mogę myśleć jasno... A potem nagle przypominają mi się wczorajsze słowa Guya i czuję niemal przyływ ulgi. Pomyłka nie jest błędem... chyba że nie można jej potem naprostować.

Właśnie. Przecież mogę wszystko naprawić. Zarejestrować pożyczkę.

Będzie to bardzo bolesne. Będę musiała opowiedzieć o całej sprawie bankowi, firmie Glazerbrooks, Arnoldowi i Kettermanowi, przygotować nową dokumentację. Poza tym wszyscy się dowiedzą, że popełniłam szkolny, bezmyślny błąd na poziomie stażysty.

Może to oznaczać koniec mojego partnerstwa w firmie, przechodzi mi przez myśl i od razu czuję mdłości.

Nie mam jednak innej możliwości. Muszę naprawić tę sytuację.

Szybko loguję się na stronę internetową sądu handlowego i wpisuję w wyszukiwarce nazwę Glazerbrooks. Jeśli tymczasem nikt nie zarejestrował innej pożyczki dla tej firmy, praktycznie rzecz biorąc, wyjdzie na to samo...

Wpatruję się w ekran z niedowierzaniem.

Nie.

To nieprawda.

W zeszłym tygodniu BLLC Holdings zarejestrowała pięć-dziesięciomilionową pożyczkę dla Glazerbrooksa. Tym samym nasz klient spadł na sam dół listy wierzycieli. W moim umyśle panuje chaos. Jest źle. Jest bardzo niedobrze. Muszę szybko z kimś porozmawiać, zrobić coś z tą sprawą, zanim zarejestruje się ktoś jeszcze. Muszę... powiedzieć wszystko Arnoldowi.

Sama myśl o tym paraliżuje mnie kompletnie.

Nie mogę tego zrobić. Nie potrafię tak po prostu oświadczyć, że popełniłam najprostszą, najbardziej elementarną pomyłkę na świecie i wystawiłam 50 milionów klienta na ryzyko. Nie. Zamiast tego... zacznę załatwiać sprawę, zanim komukolwiek o tym powiem. Ograniczę rozmiar szkód. Tak. Najpierw zadzwonię do banku. Im szybciej się dowiedzą, tym lepiej.

- Samantho?

- Co takiego? - niemal spadam z krzesła.

- Ależ jesteś dzisiaj nerwowa! - śmieje się Maggie i podchodzi do biurka z kubkiem herbaty. - Czy czujesz się, jakbyś była na szczycie świata? - mruga do mnie radośnie.

Przez chwilę naprawdę nie wiem, o czym mówi. Mój świat zredukował się do mojej osoby i popełnionego przeze mnie błędu oraz tego, co zamierzam z tym zrobić.

- Och! Tak, oczywiście! - Próbuję się uśmiechnąć i ukradkiem wycieram wilgotne od potu ręce w chusteczkę.

- Założę się, że jeszcze nie zesłaś z Olimpu swojego sukcesu. - Opiera się o szafkę na dokumenty. - W lodówce czeka schłodzony szampan.

54

- Świetnie. Posłuchaj, Maggie, naprawdę muszę się skoncentrować...

- Och - wygląda na urażoną. - Oczywiście, nie ma sprawy. Zostawię cię samą.

Gdy wychodzi, w jej ruchach widzę oburzenie. Pewnie uważa, że jestem kompletną krową, niemniej każda minuta opóźnienia zwiększa ryzyko. Muszę natychmiast zadzwonić do banku.

Przełgądam dokumenty w poszukiwaniu telefonu i nazwiska osoby, z którą powinnam się skontaktować w Third Union Bank. Charles Conway. Oto człowiek, do którego muszę zadzwonić i którego dzień zakłócę, wyznając mu całą prawdę o swoim fatalnym zaniedbaniu. Drżącą ręką podnoszę słuchawkę. Czuję się, jakbym nastawiała się psychicznie na zanurkowanie w obrzydliwym bagnisku pełnym pijawek.

Przez kilka chwil siedzę bez ruchu, wpatrzona w guziki, zmuszając się do wystukania numeru. Wreszcie robię to i kiedy słyszę sygnał, moje serce zaczyna galopować.

- Charles Conway - słyszę.

- Dzień dobry! - mówię zrównoważonym głosem. - Tu Samantha Sweeting z firmy Carter Spink. Nie miałam przyjemności spotkać pana osobiście.

- Witaj, Samantho - wydaje się bardzo przyjacielski. -W czym mogę pomóc?

- Dzwonię w sprawie... w sprawie technicznej. Chodzi o... o... firmę Glazerbrooks - ostatni wyraz nie chce mi przejść przez gardło.

- Wnoszę, że już o tym słyszałaś. Wieści szybko się rozchodzą.

Pokój nagle kurczy się wokół mnie. Chwytam słuchawkę mocniej.

- Słyszałam o czym? - pytam piskliwym głosem. - O niczym nie słyszałam.

- Och! Myślałem, że dlatego właśnie dzwonisz - przerywa Conway. Słyszę, jak poleca komuś w gabinecie, żeby poszukał „tej cholerniej rzeczy w Googlach”. - Tak. Wczoraj

powiadomili telefonicznie odbiorców. Najwyraźniej ostatni, awaryjny plan ocalenia firmy nie zadziałał...
Mówi coś dalej, ale ja nic już nie słyszę. Kręci mi się w głowie, przed oczami tańczą czarne plamy.
Firma Glazerbrooks zbankrutowała. Chyba śnię. Zaraz zacznę bredzić coś w panice. Mam ochotę rzucić słuchawką o ziemię i uciec jak najszybciej. Głos Charlesa Conwaya nagle przywołuje mnie do rzeczywistości
- Skoro już o tym mowa, dobrze, że dzwonisz - słyszę, jak wystukuje coś na klawiaturze, zupełnie nieprzejęty całą sytuacją. - Może przy okazji sprawdzisz zabezpieczenie naszej pożyczki.
Zatyka mnie na dobre kilka chwil.
- Oczywiście - mówię wreszcie schrypniętym głosem. Odkładam słuchawkę. Cała się trzęsę i chyba zaraz wymiotuję.
Spieprzyłam sprawę.
Spieprzyłam totalnie. Nie mogę nawet...
Nie mogę...
Na wpół przytomna odsuwam krzesło. Muszę stąd uciec. Daleko.

5

Na autopilocie przechodzę koło recepcji. Chwilę później znajduję się na słonecznej, zatłoczonej ulicy. Stawiam jedną stopę za drugą; jedna z wielu urzędniczek zdążających gdzieś w porze lunchu. Tylko że ja jestem inna. Mój klient właśnie stracił przeze mnie pięćdziesiąt milionów funtów.
Pięćdziesiąt milionów, rozbrzmiewa w mojej głowie niczym walenie bębnow.
Nie rozumiem, jak to się mogło zdarzyć. Nie mam pojęcia. Nieustannie przerabiam ten scenariusz, raz po raz, od nowa, obsesyjnie. Jak mogłam nie zauważyć... jak mogłam nie dopatrzeć...

56

Nie widziałam tego dokumentu, nie zanotowałam go nawet przez sekundę. Musiał zostać położony na moim biurku, a potem przykryty czymś innym, stertą kontraktów, kubkiem kawy.

Jeden błąd. Jedna pomyłka. Jedyna, jaką kiedykolwiek popełniłam. Chcę się obudzić, przekonać, że to tylko jakiś koszmarny sen, że to wszystko zdarzyło się w głupim filmie albo przytrafiło się komuś innemu. Chcę, żeby była to tylko historia, którą usłyszałam w pubie, i podekscytowana, dziękowałam szczęśliwym gwiazdom, że nie mnie dotyczy...

Tylko że zdarzyło się właśnie mnie. Moja kariera jest skończona. Ostatnią osobą, która popełniła podobny błąd w Carter Spink, był Ted Stephens, który w 1983 roku naraził klienta na stratę dziesięciu milionów funtów. Z miejsca go zwolnili.

Ja zaprzepąściłam pięć razy więcej.

Mój oddech staje się krótki, urywany. Kręci mi się w głowie i czuję się, jakby ktoś mnie dusił. Chyba zaraz będę miała atak paniki. Siadam na ławce, czekając, aż poczuję się lepiej.

Ale nie czuję się lepiej, tylko gorzej.

Nagle zrywam się w przerażeniu. Moja komórka wibruje w kieszeni. Wyciągam ją i spoglądam na identyfikator. To Guy. Nie mogę z nim rozmawiać. Nie mogę rozmawiać z nikim. Nie w tej chwili.

Sekundę później telefon informuje mnie o nowej wiadomości w poczcie głosowej. Przykładam słuchawkę do ucha, wciskam klawisz z numerem jeden i słucham niefrasobliwego głosu Guya.

„Samantho! Gdzie jesteś? Czekamy na ciebie wszyscy z szampanem, żeby publicznie ogłosić mianowanie nowego wspólnika”.

Wspólnik. Chce mi się płakać, ale... nie mogę. To zbyt wiele. Wrzucam telefon do kieszeni i wstaję. Zaczynam iść, szybciej i szybciej. Przedzieram się przez tłum pieszych, ignoruję zdziwione spojrzenia. Moja głowa pulsuje z bólu. Nie mam pojęcia, dokąd idę - po prostu nie potrafię się zatrzymać.

Wędruję tak przez kilka godzin, nieprzytomna, bezmyślna. Moje stopy poruszają się ślepo wzdłuż chodnika. Słońce już zachodzi, ulice są zakurzone i po jakimś czasie czuję, że głowa mi pęka z bólu. W jakimś momencie komórka znów wibruje w kieszeni, ale ignoruję ją. W końcu, kiedy nogi sygnalizują zmęczenie, zwalniam i zatrzymuję się. Mam sucho w ustach, jestem potwornie odwodniona. Muszę się czegoś napić. Spoglądam wokoło, próbując się zorientować, gdzie jestem. Jakimś cudem dotarłam do stacji Paddington. Czemu właśnie tu?

Otępiała, kieruję kroki ku wejściu. W środku panuje hałas. Dworzec jest przepelniony podróżnymi. Fluorescencyjne oświetlenie, klimatyzacja i jarzące się tablice z rozkładem jazdy pociągów wywołują we mnie nagłe drżenie. Kiedy ruszam w stronę sklepiku z butelkowaną wodą, znowu odzywa się komórka. Wyciągam ją i spoglądam na wyświetlacz. Piętnaście nieodebranych połączeń i kolejna wiadomość od Guya sprzed dwudziestu minut.

Waham się, serce trzepocze w mojej piersi niczym ranny ptak. Potem naciskam „jedynekę” i słucham:

„Chryste, Samantha, co się stało?!” Jego głos nie jest już jowialny, lecz pełen napięcia. Czuję, jak po piecuch przechodzą mi ciarki. „O wszystkim już wiemy - ciągnie. - Wiemy o sprawie Third Union Bank. Dzwonił do nas Charles Conway, a potem Ketterman znalazł papiery na twoim biurku. Musisz wrócić do firmy, i to natychmiast. Oddzwoń do mnie”.

Koniec wiadomości. Nie ruszam się, sparaliżowana strachem.

Oni wiedzą. Wszyscy wiedzą.

Czarne punkciki tańczą mi przed oczami, w żołądku wzbierają mdłości. Cały personel Carter Spink wie, że spieprzyłam sprawę. Z niezdrowym podnieceniem ludzie będą dzwoniли do siebie, wysyłali wiadomości mej lem.

Słyszales o...

Gdy tak stoję, chwytam coś kątem oka. Znajoma twarz, ledwo widoczna wśród tłumu. Odwracam głowę i wpustruję się intensywnie w tego człowieka, próbując go umiejscowić. Po-

tem czuję nowe uderzenie strachu. To Greg Parker, jeden ze starszych wspólników. Kroczy przez halę w kosztownym garniturze, z komórką przy uchu. Jego brwi łączą się w długą kreskę niepokoju.

- Gdzie ona jest? - słyszę jego głos.

Zalewa mnie fala paniki. Muszę się ukryć, zejść mu z oczu. Natychmiast. Chowam się za wielką kobietą w beżowym berecie i próbuję przykucnąć, żeby nie było mnie widać. Ona jednak nieustannie się przemieszcza, a ja muszę przesuwając się wraz z nią.

- Chce pani czegoś? Jest pani żebraczką? - nagle odwraca się i przygląda mi podejrzliwie.

- Nie! - rzucam wstrząśnięta. - Ja tylko...

Nie mogę powiedzieć: „Próbuję się za panią schować”.

- Proszę mnie zostawić w spokoju! - wykrzykuje kobieta i rusza żwawo w kierunku budki Costa Coffee. Czuję, że za chwilę serce wyskoczy mi z piersi. Stoję na samym środku hali dworcowej, w zasięgu wzroku Grega Parkera, który przystanął pięćdziesiąt metrów ode mnie, wciąż rozmawiając przez telefon. Jeżeli się poruszę, zobaczy mnie. Jeżeli będę tu tkwiła... zobaczy mnie.

Nagle tablica informacyjna aktualizuje czasy przyjazdów i odjazdów. Grupa ludzi, którzy wpatrywali się w nią, chwytając bagaże oraz gazety i rusza w kierunku peronu dziewiątego. Dołączam do nich bez namysłu. Ukryta w środku grupy przedostaję się na peron numer dziewięć. Przechodzimy przez otwarte barierki, wsiadamy razem do pociągu. Potem przemierzam kolejne wagony tak szybko, jak mogę.

Pociąg odjeżdża, a ja opadam na siedzenie, naprzeciwko rodzinie ubranej w podkoszulki z logo londyńskiego zoo. Uśmiechają się do mnie i jakimś cudem udaje mi się odwzajemnić uśmiech. Czuję się kompletnie, absolutnie nierealnie.

- Przekąski! - W wagonie pojawia się pomarszczony mężczyzna pchający wózek. Uśmiecha się do mnie przyjaźnie.

- Zimne i gorące kanapki, kawa, herbata, napoje bezalkoholowe i alkoholowe?

- To ostatnie poproszę - usiłuję nie zrobić na nim wrażenia desperatki. - Podwójną porcję... czegokolwiek. Nikt nie sprawdza, czy mam bilet, nikt się mną nie interesuje. Wsiadłam chyba do jakiegoś ekspresu. Przedmieścia wkrótce przechodzą w pola, a pociąg jedzie dalej. Wypijam trzy małe butelki dżinu zmieszanego z sokiem pomarańczowym, pomidorowym oraz z czekoladowym napojem jogurtowym. Lodowata gula w moim żołądku zdołała już stopnieć. Czuję się dziwnie oderwana od rzeczywistości.

Popełniłam największą pomyłkę w swojej karierze. Prawdopodobnie straciłam pracę. Nigdy nie zostanę współnikiem.

Jedno głupie przeoczenie.

Rodzinka w podkoszulkach z londyńskiego zoo otwiera paczkę chipsów. Częstują mnie i próbują zachęcić do wspólnej gry w podróżne scrabble. Kobieta pyta nawet, czy podróżuję w sprawach zawodowych, czy prywatnie.

Nie potrafię jej odpowiedzieć.

Wreszcie serce przestaje mi walić jak oszalałe. Nabawiam się za to potwornego bólu głowy. Siedzę więc, dłonią przesłaniając oko, żeby zablokować dopływ światła.

- Panie i panowie... - odzywa się konduktor w trzeszczących głośnikach. - Bardzo nam przykro... roboty kolejowe... alternatywny transport...

Nie rozumiem, co mówi. Nie wiem nawet, dokąd jadę. Poczekam po prostu do najbliższej stacji, wysiądę z pociągu i wtedy zobaczymy.

- Rodzynek pisze się inaczej - instruuje jedno ze swoich dzieci matka z londyńskiego zoo. Nagle pociąg zaczyna zwalniać. Spoglądam przez okno, wyglądając stacji. Lower Ebury. Wszyscy ściągają z półek bagaże i wysiadają. Jak robot podnoszę się z siedzenia i podążam na peron za rodzinką z zoo. Rozglądam się dookoła. Stoję na środku malutkiej wiejskiej stacyjki, obok której widzę pub o nazwie Dzwon. Szosa zakreśla łuk w obu kierunkach. W oddali widzę pola. Na poboczu stoi autokar. Widzę, że wszyscy pasażerowie ładują się do niego.

Matka z londyńskiego zoo odwraca się i macha do mnie ponagląco.

- Tędy - mówi usłużnie. - Chce pani złapać transport do Gloucester? Do dużej stacji?

Na myśl o podróży autokarem żołądek podchodzi mi do gardła. Nie chcę żadnego transportu dokądkolwiek. Chcę proszek na ból głowy, zanim ta rozpadnie mi się na dwie części.

- Emm... nie, dziękuję. Ja zostaję, dzięki - uśmiecham się na tyle przekonywająco, na ile potrafię i, zanim kobieta ma okazję powiedzieć coś jeszcze, odchodzę.

Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jestem.

Nagle w mojej kieszeni znów zaczyna wibrować komórka. Wyciągam ją. To Guy. Znowu. Chyba ze trzydziesty raz. Zawsze prosi, żebym oddzwoniła i pyta, czy odebrałam jego mejle.

Nie, nie odebrałam. Byłam tak przerażona i zgubiona, że zostawiłam palmtopa na biurku. Mam tylko telefon, który znowu wibruje, a ja przez kilka chwil potrafię się tylko weń wpatrywać. Potem żołądek zaciska się z nerwów w bolesny supełek, przykładam słuchawkę do ucha i odbieram połączenie.

- Hej - mój głos brzmi jak zdarta płyta. - To... to ja.

- Samantha? - słyszę jego pełen niedowierzania głos. - To ty? Gdzie ty się podziewasz?!

- Nie wiem. Musiałam się stamtąd wydostać... chyba... chyba byłam w szoku...

- Samantho, nie wiem, czy dostałaś moje wiadomości, ale... - waha się. - Wszyscy już wiedzą.

- Tak. - Opieram się o stary, rozsypujący się murek i zaciskam powieki, próbując ignorować migrenę. - Wiem.

- Jak to się stało?! - Jest tak samo oszołomiony, jak ja. - Jakim cudem zrobiłaś tak fatalnie prosty błąd? Jezu Chryste, Samantho...

- Nie wiem - odpowiadam wypranym z uczuć głosem. - Ja po prostu... nie widziałam tego dokumentu. To pomyłka...

- Ty nigdy nie popełniasz pomyłek!

- Najwyraźniej jednak tak! - Czuję, jak pod powiekami

zbierają mi się łzy, i mrugam zapamiętałe, żeby powstrzymać płacz. - Co... co teraz?

- Nie jest dobrze - głośno wzdycha. - Ketterman rozmawia z prawnikami Glazerbrooksa i z bankiem na temat zminimalizowania strat... z ubezpieczycielami oczywiście również.

Ubezpieczyciele. Profesjonalna asekuracja firmy. Nagle czuję przyływ radosnej nadziei. Jeżeli ubezpieczyciele zapłacą bez dyskusji, może nie będzie tak **źle**, jak myślałam. Czuję iskierkę nadziei, chociaż wiem, **że** zachowuję się niczym tonący, który chwyta się brzytwy. Ubezpieczyciele nigdy nie wypłacają całej sumy. Zdarza się to bardzo rzadko, a wtedy podnoszą stawki składek do niewyobrażalnych sum.

- Co powiedzieli ubezpieczyciele? - mamroczę. - Czy ...

- Jeszcze nic nie wiadomo.

- Rozumiem. - Ocieram spoconą twarz i zmuszam się do zadania kolejnego pytania. - A co... co **ze** mną?

Guy milczy i wymowa tej ciszy sprawia, **że** zataczam się, jakbym za chwilę miała zemdleć. Oto moja odpowiedź.

Otwieram oczy i widzę patrzących na mnie dwóch małych chłopców na rowerach.

- To już koniec, prawda? - próbuję powiedzieć to spokojnie, ale nie mogę powstrzymać drżenia głosu. - Koniec mojej kariery.

- Ja... nie wiem. Posłuchaj, Samantha, zdenerwowałaś się, to zrozumiałe, ale nie możesz się ukrywać. Musisz wrócić.

- Nie mogę - podnoszę głos przerażona. - Nie mogę stanąć twarzą w twarz ze wszystkimi.

- Samantha, bądź rozsądna!

- Nie mogę tego zrobić! Nie potrafię! Potrzebuję trochę czasu...

- Saman...-wyłączam telefon.

Czuję się słabo. Głowa mi pęka i muszę się czegoś napić, ale pub wygląda na zamknięty, w okolicy zaś nie widzę żadnego sklepu. Zataczając się, idę wzdłuż drogi, **aż** docieram do bramy wjazdowej, zawieszanej pomiędzy dwoma wysokimi rzeźbionymi słupami z wizerunkami lwów. Dom. Zadzwonię

do drzwi i poproszę o środek przeciwbólowy oraz szklanę wody. Zapytam też o jakiś hotel w sąsiedztwie. Otwieram żelazne wrota i wlokę się po żwirowanej ścieżce w kierunku ciężkich dębowych drzwi. To ogromna posesja, zbudowana z miodowego kamienia, ze stromymi dachami, wysokimi kominami i dwoma porsche na podjeździe. Podnoszę rękę i pociągam za dzwonek u drzwi.

Cisza. Stoję tak przez chwilę, ale dom wydaje się wymarły. Zamierzam właśnie zrezygnować i powlec się z powrotem na drogę, kiedy nagle drzwi otwierają się na oścież. Widzę przed sobą kobietę z lakierowaną blond fryzurą do ramion i długimi, migoczącymi kolczykami. Ma bardzo mocny makijaż, długie jedwabne spodnie w dziwnym brzoskwiowym odcieniu, w jednej ręce dzierży papierosa, w drugiej koktajl.

- Witam - zaciąga się i spogląda na mnie podejrzliwie. -Pani z agencji?

6

Nie mam pojęcia, o czym mówi. Głowa boli mnie tak bardzo, że ledwie widzę, nie mówiąc o słyszeniu.

- Dobrze się czujesz? - Kobieta przygląda mi się uważnie. - Wyglądasz okropnie!

- Mam potworną migrenę - udaje mi się wymamrotać. -Czy mogłabym dostać szklanę wody?

- Oczywiście! Wejź! - Macha dłonią z papierosem tuż przed moją twarzą i wprowadza mnie do ogromnego, imponującego przedsionka ze zdobnym sklepieniem. - I tak przecież musisz obejrzeć dom. Eddie?! - krzyczy piskliwie. -Eddie, przyszła jeszcze jedna! Nazywam się Trish Geiger -mówi do mnie. - Dla ciebie pani Geiger. Tędy...

Prowadzi mnie do luksusowej kuchni wyposażonej w klonowe meble i otwiera kilka szuflad, zanim wreszcie wykrzykuje:

56

- Aha!

Wyciąga plastikowe pudełko i otwiera je. Moim oczom ukazuje się około pięćdziesięciu różnych buteleczek i opakowań z lekarstwami. Pani Geiger zaczyna grzebać w pudle po-lakierowanymi długimi szponami.

- Mam aspirynę... paracetamol... ibuprofen... bardzo łagodne valium. - Prezentuje wściekle czerwoną pigułkę. - Ta jest z Ameryki - mówi. - Tutaj nielegalna.

- Hmm... cudownie. Ma pani... dużo środków przeciwbólowych.

- Och, w tym domu uwielbiamy lekarstwa - odpowiada, spoglądając na mnie znacząco. - Po prostu je kochamy.

Eddie! - Wręcza mi trzy zielone tabletki i po kilku próbach udaje się jej wreszcie zlokalizować szafkę ze szklankami.

-O, tutaj są. Te pigułki zwalczą każdy ból głowy. - Nalewa mi zimnej wody z lodówki. - Masz, wypij.

- Dziękuję - odpowiadam, przełykając tabletki z grymasem bólu na twarzy. - Jestem bardzo wdzięczna. Naprawdę, strasznie boli mnie głowa i nie mogę jasno myśleć.

- Bardzo dobrze mówisz po angielsku - przygląda mi się uważnie, jakby oceniające - Naprawdę doskonale.

- Och - odpowiadam nieco zdezorientowana. - Tak. Jestem Angielką, to pewnie dlatego.

- Jesteś Angielką? - moje słowa elektryzują Trish. - No proszę! Chodź, usiądziesz sobie. Lekarstwa zaraz zaczną działać. Jeśli nie, dam więcej.

Wyprowadza mnie z kuchni na korytarz.

- To jest salon - mówi, zatrzymując się przy kolejnych drzwiach i szerokim gestem wskazuje na ogromny pokój, przy okazji strzepując popiół z papierosa na dywan. - Jak widzisz, jest tu dużo odkurzania... wycierania kurzów... czyszczenia sreber - spogląda na mnie wyczekująco.

- Tak - kiwam głową. Nie mam pojęcia, dlaczego ta kobieta opowiada mi o robotach domowych, ale wyraźnie czeka na odpowiedź. - To bardzo piękny mebel - mówię wreszcie, wskazując na lśniący stolik z mahoniu.

64

- Trzeba go polerować. - Jej oczy zwężają się w szparki. - Regularnie. Takie rzeczy nie uchodzą mojej uwagi.
 - Tak, oczywiście - ponownie kiwam głową, nieco speszona.
 - Chodźmy tutaj - prowadzi mnie przez następny wielki pokój do przestronnej pełnej pierzastych roślin oranżerii pod szklaną kopułą, wyposażonej w wykwintne meble z drzewa tekowego i dobrze zaopatrzonej barek.
 - Eddie! Choć no tutaj! - stuka w szklankę. Spoglądam przed siebie i widzę opalonego, zamożnie wyglądającego mężczyznę w spodniach do golfa, który zbliża się ku nam po dobrze utrzymanym trawniku. Gospodarz domu ma już pod pięćdziesiątkę. Trish zresztą prawdopodobnie również, myślę, przyglądając się kurzym łapkoms w kącikach jej oczu, kiedy odwraca się od okna. Coś jednak mi mówi, że Trish dobije czterdziestu dziewięciu lat i nie zestarzeje się ani dnia więcej.
 - Piękny ogród - mówię.
 - Och - przygląda się mu bez specjalnego zainteresowania. - Tak, nasz ogrodnik jest bardzo dobry. Ma mnóstwo pomysłów. A teraz usiądź - macha rękami, a ja, czując się nieco dziwnie, siadam w fotelu. Trish usadawia się na plecionym krześle naprzeciwko i sączy swój koktajl.
 - Czy potrafisz przyrzadzić krwawą mary? - pyta nagle. Wpatruję się w nią, przerażona.
 - Nieważne - przysysa się do swojego papierosa. - Nauczę cię.
- Co takiego zrobi?
- Jak tam twoja głowa? - pyta i zanim mam szansę odpowiedzieć, ciągnie dalej: - Już lepiej? Ach, oto Eddie!
 - Witam. - Drzwi otwierają się i do oranżerii wchodzi pan Geiger. Z bliska nie wygląda tak imponująco, jak wtedy, gdy wędrował przez trawnik. Ma nieco przekrwione oczy i wyraźnie zarysowany brzusek piwny.
 - Eddie Geiger - przedstawia się, jowialnie wyciągając dłoń na przywitanie. - Pan domu.

- Eddie, to jest... - Trish spogląda na mnie zdziwiona. - Jak masz na imię?
 - Samantha - odpowiadam. - Przepraszam, że państwa fatyguję, ale miałam okropną migrenę...
 - Dałam Samancie trochę tych środków przeciwbólowych na receptę - wtrąca Trish.
 - Dobry wybór. - Eddie otwiera butelkę szkockiej whisky i nalewa sobie porcję. - Powinnaś spróbować czerwonych pigułek. Letalne!
 - Eee... rozumiem.
 - Nie dosłownie, oczywiście! - wybucha krótkim śmiechem. - Nie zamierzamy cię otruć!
 - Eddie. - Trish uderza go po ramieniu, brzęcząc bransoletkami. - Nie strasz jej!
- Oboje przyglądają mi się i mam wrażenie, że oczekują jakiejś mojej reakcji.
- Naprawdę jestem bardzo wdzięczna - mówię z lekkim uśmiechem. - Byliście dla mnie państwo bardzo mili. Przepraszam, że zakłóciłam państwu wieczór.
 - Bardzo dobrze mówi po angielsku, nie sądzisz? - Eddie unosi brwi i spogląda na Trish.
 - Bo jest z Anglii! - Trish wyciąga królika z kapelusza. - Rozumie wszystko, co się do niej mówi!
- Czegoś tutaj nie pojmuję. Czy ja wyglądam na obcokrajowca?
- Pokażemy jej dom? - pyta Eddie żonę.
- Załamuję się lekko. Ludzi, którzy mają zwyczaj oprowadzania wszystkich po swojej posesji, powinno się usuwać ze społeczeństwa. Myśl o wędrowaniu po całym domu i konieczności wypowiadania się o każdym pokoju jest wręcz nieznośna. Chcę po prostu posiedzieć i poczekać, aż zaczną działać pigułki.
- To naprawdę nie jest konieczne - zaczynam. - Jestem przekonana, że cały dom jest przepiękny...
 - Oczywiście, że to konieczne! - Trish gasi papierosa. - Idziemy.

Podnoszę się i czuję zawroty głowy. Muszę przytrzymać się jukki, żeby się nie przewrócić. Ból głowy zaczyna mijać, ale robię się dziwnie lekka i oderwana od rzeczywistości. Trochę jak we śnie.

Ta kobieta w ogóle nie ma życia. Wydaje się zainteresowana wyłącznie domem. Kiedy zwiedzamy kolejne wspaniałe urządzone pokoje, pokazuje mi meble i przedmioty, z których należy ścierać kurze ze szczególną dbałością. Prowadzi mnie także do schowka na odkurzacz. Teraz z kolei opowiada mi o pralce.

- Wydaje się... bardzo... wydajna - odpowiadam, ponieważ wyraźnie oczekuje ode mnie jakiegoś komplementu.

- Lubimy zmieniać pościel co tydzień. Oczywiście musi być wyprasowana - spogląda na mnie ostro.

- Oczywiście - kiwam głową, starając się ukryć zdumienie. - Dobry pomysł.

- A teraz chodźmy na górę!

Wybiega z kuchni. Boże, jest tego jeszcze więcej?

- Pochodzisz z Londynu, Samantha? - pyta Eddie Geiger, gdy wchodzimy po schodach na piętro.

- Tak.

- Masz tam pełnoetatowe zajęcie?

Pyta jedynie z uprzejmości, ale przez kilka chwil nie mogę skleić żadnej odpowiedzi. Właśnie, czy mam jeszcze pracę?

- Miałam - odpowiadam wreszcie. - Szczerze mówiąc... nie wiem, jaka w tej chwili jest moja sytuacja.

- W jakich godzinach pracowałaś? - Trish odwraca się, nagle zainteresowana konwersacją.

- We wszystkich - wzruszam ramionami. - Jestem przyzwyczajona do pracy przez cały dzień, a czasem nawet i nocą.

Geigerowie wydają się kompletnie wstrząśnięci moją odpowiedzią. Ludzie nie mają pojęcia, jak wymagające jest życie prawnika.

- Pracowałaś także nocami? - Trish jest oszołomiona. - Sama?

- Ja i pozostały personel. Ktokolwiek był akurat potrzebny.
- Zatem byłaś zatrudniona... w dużej organizacji?
- W jednej z największych w Londynie - kiwam głową na potwierdzenie.

Trish i Eddie spoglądają po sobie. Para dziwaków.

- Tutaj jesteśmy pod tym względem nieco bardziej zrelaksowani. Pewnie cię to ucieszy! - Trish chichocze. - Oto główna sypialnia... pokój gościnny...

Przechodzimy korytarzem, a ona otwiera i zamyka kolejne drzwi, pokazując mi łoża z baldachimem i ręcznie wykonane kotary. Zaczynam powoli odpływać. Nie wiem, co było w tych pigułkach, ale z minuty na minutę czuję się coraz dziwniej.

- Zielona sypialnia... powinnaś wiedzieć, że nie mamy dzieci ani zwierząt domowych... Palisz? - pyta nagle Trish, zaciągając się dymem z papierosa.

- Och... nie, dziękuję.

- Zresztą nie obchodzi nas to zbyt.

Kiedy schodzimy małą klatką schodową, chwytam się ściany, żeby nie upaść, ale ona wydaje się odsuwać ode mnie gmatwaną tapetowych kwiatów.

- Dobrze się czujesz? - Eddie chwytam mnie, zanim osuwam się na ziemię.

- Chyba te środki przeciwbólowe były za mocne - mamrocę.

- Rzeczywiście, są dosyć silne. - Trish przygląda mi się z uwagą. - Piłaś dzisiaj jakiś alkohol?

- Mmm... tak...

- Aaaa - krzywi się. - Nie szkodzi, chyba że zaczniesz mieć halucynacje. Wtedy trzeba będzie wezwać lekarza. A... oto jesteśmy! - ciągnie, otwierając drzwi teatralnym gestem. - Pomieszczenia dla pracowników.

Wszystkie pokoje w tym domu są ogromne. Ten tutaj ma rozmiary całego mojego mieszkania. Białe ściany, kamienne gotyckie okna wychodzące na ogród, najprostsze łóżko, jakie widziałam w całym domu, lecz również wielkie, kwadratowe,

ze świeżą białą pościelą. Z trudem pokonuję nagle, niemal wszechogarniające pragnienie, aby się położyć, dać odpocząć mojej nieszczęsnej głowie, odpłynąć w nicłość.

- Wspaniale - mówię uprzejmie. - To piękny pokój.

- Doskonale! - Eddie klaszcze w dłonie. - W takim razie, Samantha, przyjmujemy cię do pracy!

Spoglądam na niego oszołomiona.

Pracy?

Jakiej pracy?

- Eddie - karci go Trish. - Nie możesz tak po prostu zaoferować jej posady! Nie skończyliśmy jeszcze wywiadu.

Wywiadu?

Czy coś mnie ominęło?

- Nie opisaliśmy jej jeszcze, co miałyby robić! - Trish nadal upomina Eddiego. - Nie przeszliśmy przez szczegóły!

- W takim razie zrób to! - odcina się Eddie. Trish rzuca mu rozeźlone spojrzenie i chrząka.

- Samantha - zaczyna oficjalnym tonem - do twoich obowiązków jako gospodyni domowej będzie należało...

- Słucham?-wpatruję się w nią. Trish cmoka ze złością.

- Do twoich obowiązków jako gospodyni domowej - powtarza wolniej - będzie należało sprzątanie całego domu, pranie i gotowanie. Będziesz nosiła uniform, zachowywała się uprzejmie i z szacunkiem...

Moje obowiązki jako...

Ci ludzie myślą, że chcę się zatrudnić jako ich gosposia? Przez chwilę jestem zbyt osłupiała, żeby cokolwiek powiedzieć.

- ...mieszkanie i wyżywienie - ciągnie Trish. - Do tego będziesz miała cztery tygodnie wakacji rocznie.

- Jaka jest pensja? - pyta Eddie z zainteresowaniem. -Będziemy jej płacić więcej niż ostatniej dziewczynie?

Trish spojrzała na niego tak, jakby go chciała uśmiercić wzrokiem.

- Przepraszam cię na moment, Samantha.

62

Zanim mam szansę otworzyć usta, wyciąga Eddiego z pokoju i z trzaskiem zamyka drzwi, spoza których zaczynają dobiegać wściekle, tłumione odgłosy kłótni.

Rozglądam się po pokoju, próbując pozbierać się do kupy.

Myślę, że jestem gosposią. Gosposią! To śmieszne. Muszę wyjaśnić im całe to nieporozumienie.

Zalewa mnie kolejna fala zamroczenia. Przysiadam na łóżku, a potem nie mogę się powstrzymać. Kładę się na białej chłodnej pościeli i zamykam oczy. Zupełnie jakbym zapadała się w pierzaste chmury. Nie chcę wstawać. Nie chcę wychodzić z tego łóżka. To moje niebo.

Miałam ciężki dzień. Długi, wyczerpujący, boleśnie koszmarne dzień. Chcę, żeby się wreszcie skończył.

- Samantho, bardzo mi przykro. - Otwieram oczy i z trudem koncentruję się na tyle, żeby zobaczyć wracającą Trish, za którą drepcze czerwony na twarzy Eddie. - Zanim przejdziemy do następnego etapu, czy masz jakieś pytania na temat swojej posady?

Wpatruję się w nią. Potwornie kręci mi się w głowie. Teraz jest odpowiedni moment, żeby wyjaśnić im tę pomyłkę.

Wytłumaczyć, że nie jestem gosposią, tylko prawnikiem. Z moich ust jednak nie wychodzą żadne słowa.

Nie chcę wychodzić. Chcę leżeć w tym łóżku i odpłynąć w zapomnienie.

Mogłabym zostać na jedną noc, przebiega mi przez myśl. Tylko jedną noc. Jutro wyjaśnię to całe nieporozumienie.

- Ja... czy mogłabym zacząć od dzisiaj? - słyszę siebie, wypowiadając te słowa.

- Nie widzę przeszkód... - zaczyna Eddie.

- Nie podejmujemy pochopnej decyzji - przerywa mu surowo Trish. - Mamy już kilka zdolnych dziewcząt ubiegających się o tę posadę, Samantho. Niektóre z nich są naprawdę niezwykle. Jedna potrafi nawet gotować wykwinne francuskie potrawy. Ma dyplom kucharski!

Zaciąga się znowu papierosem, spoglądając na mnie wyzywająco. Coś we mnie tężeje. To chyba odruch bezwarunko-

wy, nie mogę nic na to poradzić. Jest silniejszy ode mnie i od mego pragnienia, aby opaść na miękkie, białe piernaty. Czy ta kobieta sugeruje...

Czy ona daje mi do zrozumienia, że mogłabym nie dostać tej posady?

Przyglądam się Trish w milczeniu przez długi moment. Gdzieś wewnątrz mnie, pomimo odurzenia, czuję słabiutkie drgnięcie. To dawna Samantha. Czuję, jak zasiedziała we mnie ambicja podnosi głowę i węszy, zakasuje rękawy i zaciera ręce. Z pewnością mogę pokonać jakąś tam dziewczynę z dyplomem kucharskim. Nigdy w życiu nie odrzucono mnie na rozmowie kwalifikacyjnej i nie zamierzam dopuścić do tego w tej chwili.

- Zatem - Trish spogląda na swoją listę - masz doświadczenie w praniu różnego rodzaju rzeczy?

- W szkole dostałam nagrodę za pranie - odpowiadam, skromnie spuszczać głowę. - Dzięki temu właśnie zaczęłam myśleć o karierze gospodyni domowej.

- Mój Boże! - Trish jest zaskoczona. - Umiesz gotować wykwintne potrawy francuskie?

- Trenowałam pod okiem Michela de la Roux de la Blanc -zawieszam głos z poważną miną. - Jego nazwisko oczywiście mówi wszystko.

- Naturalnie! -. odpowiada Trish, spoglądając niepewnie na Eddiego.

Znów siedzimy w oranżerii. Trish bombarduje mnie pytaniami zupełnie jak z ulotki na temat „Jak zatrudnić gospodynię domową”. Odpowiadam na każde z nich z ogromną pewnością siebie. W głowie pobrzmiwa mi wprawdzie słabiutki głosik: „Co ty robisz? Co ty do diabła wyprawiasz?”. Nie słucham go jednak. Nie chcę. Jakimś cudem udało mi się zablokować rzeczywistość, moją fatalną pomyłkę, zaprzepaszczonej karierę, cały koszmar dzisiejszego dnia... cały świat. Nie istnieje nic poza tą rozmową. W głowie nadal mi się kręci i czuję się, jakbym w każdym momencie miała opaść - ale

w środku zagnieżdża się we mnie twarde ziarno determinacji. Dostanę tę pracę.

- Czy mogłabyś zaproponować mi jakieś menu, na przykład na proszony obiad? - Trish zapala kolejnego papierosa.
Potrawy... imponujące potrawy...

Nagle przypominam sobie wczorajszy obiad w Maximie i kartę dań, którą dostałam jako prezent urodzinowy.

- Zerknę tylko do swoich notatek - odpinam torbę i dyskretnie spoglądam na menu restauracji.

- Na formalny obiad zaserwowałam... no cóż... obsmażane foie gras w morelowej glazurze... jagnięcinę z pikantnym humusem... a na deser suflet czekoladowo-miętowy z dwoma sorbetami domowej roboty.

Co powiesz na to, dziewczyno z dyplomem?

- No, no! - Trish wygląda na zdumioną. - Muszę przyznać, że to bardzo imponujące.

- Fantastyczne! - Eddie zaraz zacznie się ślinić. - Obsmażane foie gras! Czy możesz dziś przyrządzić porcyjkę dla nas?

Trish rzuca mu rozzłoszczone spojrzenie.

- Rozumiem, że masz list polecający, Samantho? List polecający?

- Oczywiście, będziemy potrzebować jakichś referencji. - Trish marszczy brwi.

- Proszę porozmawiać z lady Freyą Edgerly - odpowiadam w nagłym przypiływie geniuszu.

- Lady Edgerly? - Trish unosi brwi, a na jej szyi zaczynają wykwiatać czerwone plamy.

- Znam lady i lorda Edgerly od wielu lat - kiwam głową na potwierdzenie. - Jestem pewna, że lady Edgerly za mnie poręczy.

Trish i Eddie spoglądają na mnie, zelektryzowani tymi wieściami. Może powinnam dodać kilka „gospodarskich” szczegółów?

- Cudowna rodzina - zaczynam koloryzować. - Utrzymanie ich rezydencji w czystości wymagało sporej pracy... podobnie jak polerowanie tiar lady Edgerly.

Cholera. Posunęłam się za daleko.

Ku mojemu zdziwieniu jednak nie zauważam u żadnego z nich nawet cienia podejrzliwości.

- Gotowałaś dla nich, tak? - pyta Eddie. - Śniadania i tak dalej?

- Naturalnie. Lord Edgerly bardzo gustował w mojej specjalności, jajkach Benedict - upijam łyk wody.

Widzę, że Trish próbuje robić porozumiewawcze miny do Eddiego. Chyba wydaje się jej, że jest bardzo dyskretna.

Wyraźnie podniecony Eddie potakuje. Równie dobrze mogliby sobie wytatuować na czołach: „Zatrudniamy ją!”.

- Jeszcze jedno - Trish zaciąga się głęboko papierosem. -Podczas naszej nieobecności będziesz musiała przyjmować telefony. Zależy nam na utrzymaniu dobrego wizerunku w społeczeństwie. Proszę, zademonstruj, jak będziesz to robiła - wskazuje na telefon na pobliskim stoliku.

Chyba nie mówią tego poważnie! Tyle że... mówią to poważnie.

- Powinnaś powiedzieć: „Dobry wieczór, rezydencja państwa Geigerów” - sugeruje Eddie.

Posłusznie wstaję. Ignorując zawroty głowy, podchodzę do stolika i podnoszę słuchawkę.

- Dobry wieczór, rezydencja państwa Geigerów - mówię najbardziej czarującym, oficjalnym tonem, na jaki mnie stać. -Czym mogę służyć?

Eddie i Trish spoglądają na siebie, jakby nagle dostali gwiazdkę z nieba.

7

Następnego poranka budzę się i widzę nad sobą nieznamy biały sufit. Wpatruję się weń zdumiona przez kilka chwil, a potem lekko przechylam głowę. Prześcieradło szeleści, kiedy się poruszam. Co się dzieje? Moje prześcieradła nie robią niczego takiego.

66

No tak, leżę w pościeli Geigerów.

Układam się wygodniej na poduszce i nagle uderza mnie kolejna myśl.

Kim są Geigerowie?

Pocieram twarz, próbując sobie przypomnieć. Czuję się, jakbym miała kaca i jednocześnie wciąż była pijana. Pośród zamglonych myśli pojawiają się ni stąd, ni zowąd przebłyski wspomnień z dnia wczorajszego. Nie jestem pewna, co zdarzyło się naprawdę, a co jest tylko snem. Wsiadłam do pociągu... tak... miałam migrenę... stacja Paddington... wyszłam z biura...

O Boże, nie, błagam!

Mdlącą falą strachu powracają wspomnienia mojego koszmaru. Zupełnie jakby ktoś uderzył mnie w splot słoneczny. Przeoczona notatka. Third Union Bank. Pięćdziesiąt milionów funtów. Pytanie do Guya o moją posiadłość... jego milczenie.

Leżę nieruchomo przez kilka minut, pozwalam, żeby wróciła mi pamięć wszystkich wczorajszych rewelacji. Moja kariera jest skończona, nie mam szans na wejście do zarządu. Prawdopodobnie straciłam pracę. O ile wiem, wszystko skończone.

Wreszcie odsuwam kołdrę i wychodzę z łóżka, słaba i rozdygotana. Nagle zdaję sobie sprawę z tego, że wczoraj nie zjadłam nic poza garścią płatków rano. Wczoraj o tej porze byłam w swojej kuchni, szykowałam się do pracy, radośnie nieświadoma tego, co się ma wydarzyć. W innym świecie, w równoległym kosmosie, obudziłabym się dzisiaj współnikiem firmy Carter Spink, wśród gratulacji i życzeń powodzenia. Moje życie byłoby spełnione. Zaciskam mocno oczy, próbując odpędzić od siebie myśli, które natrętnie cisną mi się do głowy, i osłabiające rozważania na temat „co by było, gdyby”. Gdybym wcześniej spostrzegła notkę od Arnolda... gdybym miała większy porządek na biurku... gdyby Arnold sam załatwił sprawę, zamiast powierzać ją mi...

Nie, to nie ma sensu. Ignorując dudnienie w głowie, podchodzę do okna. Co się stało, już się nie odstanie. Muszę się z tym jakoś pogodzić. Przyglądam się ogrodowi z poczuciem surrealizmu. Do tej chwili każda godzina mojego życia była dokładnie zaplanowana. Egzamin, praktyki wakacyjne, kolejne szczeble kariery... wiedziałam dokładnie, dokąd zmierzam. Teraz zaś znalazłam się w dziwnym pokoju, w domu na wsi, a moje życie zawodowe jest zrujnowane.

Poza tym... jest jeszcze coś. Coś, co nie daje spokoju mojemu ogłupiałemu mózgowi. Ostatnia brakująca część łami-główki. Za chwilę sobie przypomnę.

Opieram czoło o kojąco chłodną szybę i przyglądam się widocznemu na horyzoncie mężczyźnie, który spaceruje z psem. Może da się jeszcze wszystko uratować. Może nie jest aż tak źle, jak sądzę. Czy aby na pewno Guy powiedział, że straciłam pracę? Muszę zadzwonić do niego i zapytać, jak bardzo jest źle. Oddycham głęboko i przesuвам dłonią po splecionych włosach. Boże, ależ mi wczoraj odbiło. Kiedy pomyślę, jak zareagowałam, uciekając z biura, wskakując do pierwszego lepszego pociągu... naprawdę chyba urwałam się z choinki. Gdyby Geigerowie nie okazali mi takiego zrozumienia...

Gonitwa myśli urywa się gwałtownie.

Geigerowie.

Coś związanego z nimi, czego nie pamiętam... coś, co zapala w mózgu czerwone ostrzegawcze światełko...

Odwracam się i rozglądam po pokoju. Na drzwiach szafy dostrzegam niebieską sukienkę, coś w rodzaju uniformu z lamówkami. Skąd się tu wzięła...

Dzwonki alarmowe brzęczą coraz głośniej, szaleją w mojej głowie. Nagle wspomnienie powraca do mnie niczym okropny pijacki sen.

Przyjęłam posadę gospodyni domowej?

Przez chwilę nie mogę się poruszyć. O Jezu, co ja zrobiłam?! Co ja najlepszego zrobiłam?!

W mojej głowie zaczyna pulsować ból. Wreszcie zdaję so-

bie sprawę z sytuacji. Znajduję się w domu dziwnej pary i udaję kogoś innego, niż jestem. Spałam w ich łóżku, w jednym ze starych podkoszulków Trish. Po tym, jak wymyśliłam historię o skradzionej w pociągu walizce, podarowali mi szczoteczkę do zębów. Pamiętam, że zanim odplłynęłam w sen, usłyszałam, jak Trish chwali się komuś przez telefon:

- Jest Angielką! Tak, doskonale mówi po angielsku! Świetna dziewczyna. Umie gotować francuskie frykasy! Muszę im powiedzieć, że to wszystko nieprawda. Ktoś puka. Podskakuję ze strachu.

- Samantha? Mogę wejść?

- Och! Eee... tak!

Drzwi otwierają się i do pokoju wchodzi Trish w blad różowym stroju sportowym z logo wypisanym dżetami. Jest umalowana i wyperfumowana jakimś bardzo ciężkim zapachem, od którego dławi mnie w gardle.

- Zrobiłam ci herbatę - mówi, wręczając mi kubek z dość sztucznym uśmiechem. - Pan Geiger i ja chcemy, żebyś poczuła się tu mile widziana.

- Och! - przelkam nerwowo ślinę. - Dziękuję.

Pani Geiger, muszę pani coś powiedzieć. Nie jestem gosposią.

Dziwne, ale żadne słowa nie wychodzą z moich ust. Trish mruży oczy, jakby już zaczęła żałować swojej uprzejmości.

- Oczywiście nie myśl, że będziemy cię tak traktować codziennie! Ponieważ jednak wczoraj nie czułaś się dobrze...

-stuka w zegarek. - Zaczynij się ubierać. Oczekujemy cię na dole za dziesięć minut. Jemy wyłącznie lekkie śniadania. Tost, kawa i tym podobne. Jadłospis na resztę dnia możemy ustalić później.

- Eee... dobrze - odpowiadam słabo.

Trish zamyka za sobą drzwi. Odstawiam herbatę. Jezu, co ja teraz zrobię? Co?! No co?!

OK, uspokój się. Ustal priorytety. Przede wszystkim musisz zadzwonić do firmy, dowiedzieć się, jak bardzo jest źle. Czuję spazm strachu. Sięgam do torby i wyciągam telefon

komórkowy. Wyświetlacz jest pusty. Chyba wyczerpała się bateria. Wpatruję się w aparat. Wczoraj pewnie byłam tak nieprzytomna, że zapomniałam go podładować. Wyciągam prostownik, włączam do kontaktu i podłączam do telefonu, który natychmiast zaczyna ciągnąć prąd. Czekam na pojawienie się sygnału... ale nic się nie dzieje. Nie ma zasięgu! Nagle przypominam sobie o telefonie stojącym na podeście schodów. Widziałam go na stoliku pod małym wykuszem. Mogłabym z niego skorzystać.

Na korytarzu nie ma nikogo. Ostrożnie drepczę w kierunku wykusza i podnoszę słuchawkę telefonu. Ciągły sygnał dźwięczy uspokajająco w moim uchu. Nabieram powietrza w płuca i wykręcam numer do biura Arnolda. Nie ma jeszcze dziewiątej, ale powinien już być w pracy.

- Biuro Arnolda Saville'a - słyszę radosny głos Lary, jego sekretarki.

- Lara - mówię nerwowo. - To ja, Samantha. Samantha Sweeting.

- Samantha?! - Lara wydaje się tak zaskoczona, że kurczę się ze strachu. - O mój Boże! Co się stało?! Gdzie ty się po-dziewasz?! Wszyscy... - nagle milknie.

- Ja... wyjechałam z Londynu. Czy mogłabym porozmawiać z Arnoldem?

- Oczywiście. Zaraz połączę - zamiast jej głosu słyszę przez chwilę beztroski utwór Vivaldiego.

- Samantha - słyszę przyjazny, pokrzepiający głos Arnolda. - Moje drogie dziecko, ale się urządziłaś, nie sądzisz? Tylko Arnold mógł podejść do pięćdziesięcimilionowej straty w taki sposób. Mimo lęku, moje usta rozciągają się w lekkim uśmiechu. Wyobrażam sobie Arnolda w jego kamizelce, z krzaczastymi brwiami połączonymi w jedną linię.

- Wiem - mówię, próbując dostosować się do jego tonu. -Nie... nie jest dobrze.

- Muszę powiedzieć, że twoje nagłe zniknięcie z pracy w dniu wczorajszym nie pomogło.

- Wiem. Przepraszam. Wpadłam w panikę.

- To zrozumiałe, niemniej zostawiłaś po sobie niezły bałagan.

W jowialnym zachowaniu Arnolda wyczuwam obce pokłady stresu. Arnold nigdy się nie stresuje. Musi być naprawdę źle. Mam ochotę upaść na kolana, pokajać się, krzycząc: „Tak bardzo mi przykro!”. Tylko że nikomu to nie pomoże. I tak już zachowałam się wystarczająco nieprofesjonalnie.

- Powiedz... jak wygląda sytuacja? - usiłuję sprawić wrażenie opanowanej. - Czy jest coś, co może zrobić syndyk masy upadłościowej?

- Nie sądzę. Powiedzieli nam, że mają związane ręce.

- Rozumiem. - Odczuwam to niczym uderzenie młotem w żołądek. Zatem wszystko skończone. Pięćdziesiąt milionów funtów poszło do piachu. - Co z ubezpieczeniem?

- To oczywiście kolejny krok. Koniec końców uda się wyciągnąć całą sumę, ale nie bez komplikacji. Myślę, że rozumiesz.

- Tak - szepczę.

Przez kilka minut milczymy. To bardzo złe wiadomości, myślę, czując tępy ból zrozumienia. Tym razem to, co złe, nie wyjdzie na dobre. Spieprzyłam i koniec.

- Arnold - mówię załamującym się głosem. - Nie mam pojęcia, jak mogłam zrobić taką... taką głupią rzecz. Nie rozumiem, jak to się stało. Nie przypominam sobie nawet, żeby te dokumenty leżały na moim biurku...

- Gdzie jesteś? - przerywa mi Arnold.

- Jestem w... - spoglądam bezradnie za okno. - Szczerze mówiąc, nie wiem dokładnie, gdzie jestem, ale mogę przyjechać do firmy. Zaraz wracam - mamroczę. - Wskoczę w najbliższy pociąg... będę za kilka godzin.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - w głosie Arnolda słyszę coś nowego, co sprawia, że zatrzymuję się w połowie zdania.

- Czy... czy zostałam zwolniona?

- O tym jeszcze nie rozmawialiśmy - jest chyba rozdrażniony. - Mieliśmy nieco ważniejsze sprawy na głowie.

- Oczywiście - czuję uderzenie krwi do głowy. - Przepraszam, ja tylko... - czuję, jak zaciska mi się gardło. Zamykam oczy, próbując odzyskać samokontrolę. - Pracowałam dla Carter Spink przez całe życie. Nigdy nie pragnęłam niczego innego, jak...

Nie potrafię tego powiedzieć.

- Samantha, wiem, że jesteś utalentowaną prawniczką -wzdycha Arnold. - Nikt w to nie wątpi.

- Ale popełniłam błąd.

Słyszę trzaskanie na linii. Nie, to echo mojego pulsu.

- Samantha, zrobię wszystko, co w mojej mocy - mówi wreszcie Arnold. - Mogę ci powiedzieć, że dziś rano mamy zebranie w twojej sprawie.

- Uważasz, że powinnam się na nim pojawić? - przygryzam wargę.

- W tej chwili mogłoby to przynieść więcej szkody niż pożytku. Zostań tam, gdzie jesteś. Ja się wszystkim zajmę -w jego głosie słyszę wahanie. - Obiecuję, Samantha, zrobię, co w mojej mocy.

- Będę czekać - odpowiadam szybko. - Bardzo ci dziękuję - ale Arnold już się rozłączył. Powoli odkładam słuchawkę.

Nigdy w życiu nie czułam się tak bezsilna. Wyobrażam sobie nagle wszystkich współników, siedzących w ponurym nastroju wokół okrągłego stołu konferencyjnego. Arnold, Ket-terman, może nawet Guy zdecydują, co ze mną zrobić. Muszę myśleć pozytywnie. Nadal mam szansę. Jeżeli Arnold jest po mojej stronie, inni będą zbyt...

- Świetna dziewczyna. - Podskakuję na dźwięk głosu Trish. - Oczywiście, że sprawdzę jej referencje, ale, Gillian, doskonale potrafię ocenić charakter. Nie można mnie łatwo oszukać...

Zza rogu wychodzi Trish, rozmawiając przez komórkę. Szybko odsuwam się od telefonu.

- Samantha - mówi zdziwionym głosem. - Co ty robisz? Jeszcze nieubrana? Pospiesz się!

Rusza dalej, ja zaś wycofuję się do swojego pokoju i spo-

glądam na siebie w lustrze. Nagle czuję się źle. Właściwie to bardzo źle. Jak zareagują Geigerowie na wieść, że jestem oszustką? Że nie potrafię gotować francuskich frykasów i w ogóle nie jestem profesjonalną gospośią, tylko chciałam się tu zatrzymać przez noc?

Nagle wyobrażam sobie, jak rozzłoszczeni wypędzają mnie z domu. Będą się czuli wykorzystani. Może nawet wezwą policję, każą mnie aresztować. O Boże, to może się skończyć naprawdę źle. Ale przecież nie mam wyjścia. Nie mogę...

Nie?

Przesuwam palcami po niebieskim uniformie. Myśli wirują w mojej głowie jak na karuzeli.

Byli naprawdę mili, przygarniając mnie wczoraj wieczorem. Poza tym przecież i tak chwilowo nie mam się czym zająć ani gdzie pójść. Może drobne prace gospodarskie pomogą mi zapomnieć o ważniejszych rzeczach... Nagle podejmuję decyzję. Poudaję gospośią do śniadania. To nie może być takie trudne. Przyrządzę im tosty, pościeram kurze z mebli i tak dalej. Będzie to moje podziękowanie za ich gościnność. Po tym, jak Arnold zadzwoni z wieściami, będę miała przekonywające usprawiedliwienie do odejścia, Geigerowie zaś nigdy się nie dowiedzą, że nie jestem gospośią.

Pospiesznie wciągam na siebie uniform i przeczesuję grzebieniem włosy. Potem staję przed lustrem.

- Dzień dobry, pani Geiger - mówię do swojego odbicia. - W jaki sposób życzy sobie pani, żebym odkurzyła salon? Nie ma sprawy, poradzę sobie.

Kiedy schodzę w dół, widzę oboje Geigerów u stóp schodów, wpatrujących się we mnie. Nigdy wcześniej nie czułam się bardziej skrępowana.

Jestem gospośią. Muszę się zachowywać odpowiednio do mojej roli.

- Witamy, Samantha! - mówi Eddie, gdy zstępuję do holu. - Dobrze spałaś?

80

- Znakomicie, dziękuję, panie Geiger - odpowiadam skromnie.

- To świetnie! - Eddie buja się na piętach. Jest jakiś dziwny. Właściwie to oboje są dziwni. Pod makijażem, opalenizną i drogimi ciuchami Geigerów kryje się coś kuriozalnego.

Podchodzę do ławy pod ścianą i poprawiam poduszkę, starając się sprawić wrażenie starej wyjadaczki.

- Zapewne chcesz zobaczyć swoją nową kuchnię - mówi radośnie Trish.

- Oczywiście - odpowiadam z profesjonalnym uśmiechem. - Nie mogę się doczekać!

To tylko kuchnia. Tylko jeden poranek. Poradzę sobie.

Trish prowadzi mnie do obszernego pomieszczenia, wyposażonego w klonowe meble. Tym razem przyglądam się znacznie uważniej, próbując zapamiętać wszystkie szczegóły. Po lewej stronie widzę wielką płytę palnikową, wbudowaną w granitowy blat. W ścianę wmontowano rząd piekarników. Gdziekolwiek spojrzę, widzę lśniące chromowane urządzenia elektryczne. Nad naszymi głowami wiszą rzędy patelni, garnków i różnorodnych utensyliów kuchennych, wszystkie z nierdzewnej stali.

Nie mam bladego pojęcia, do czego służą.

- Oczywiście możesz urządzić się tutaj po swojemu - mówi Trish, wskazując ręką wewnątrz. - Zmień co tylko chcesz, ustaw tak, żeby wszystko grało. W końcu jesteś profesjonalistką!

Oboje spoglądają na mnie wyczekująco.

- Naturalnie - odpowiadam urzędowym tonem. - Mam swój własny... system. Na przykład, to nie powinno być tutaj

- wskazuję na przypadkowo wybrany gadżet. - Będę musiała to przelożyć.

- Naprawdę? - Trish jest wyraźnie zafascynowana. - Dlaczego?

Zapada cisza. Nawet Eddie wydaje się zainteresowany.

- Teoria... ergonomicznej... kuchni - improwizuję. - Zatem na śniadanie chcieliby państwo tosty? - dodaję szybko.

- Tosty dla nas obojga - mówi Trish. - Plus kawa z chudym mlekiem.

- Zaraz wszystko przyszykują. - Uśmiecham się z lekką ulgą. Na pewno umiem przyrządzić tosty. Muszę się tylko najpierw zorientować, które z tych urządzeń jest opiekaczem.

- Przyniosę wszystko za kilka minut - dodaję, próbując jakoś wypchnąć ich z kuchni. - Czy mam podać w jadalni? Z holu dobiega nas jakiś hałas.

- Dzisiejsza prasa - mówi Trish. - Tak, możesz podać śniadanie w jadalni, Samantho. Wychodzi pospiesznie, ale Eddie zostaje.

- Chyba zmieniłem zdanie - uśmiecha się do mnie jowialnie. - Zapomnij o tostach. Zrób mi te twoje słynne jajka Benedict. Przez ciebie wczoraj w nocy nabrałem na nie apetytu!

Wczoraj w nocy? Co takiego powiedziałam wczoraj w...

O Jezu. Jajka Benedict, moja specjalność, uwielbiana przez lorda Edgerly. Co ja sobie myślałam?! Nie mam nawet pojęcia, jak wyglądają jajka Benedict.

- Jest pan pewien, że tego właśnie chce? - udaje mi się zachować spokój.

- Jakże mógłbym zrezygnować ze skosztowania twojego popisowego dania. - Eddie masuje się po żołądku. - To moje ulubione śniadanie. Najlepsze jajka Benedict, jakie jadłem, podają u Carlyle'a w Nowym Jorku, ale założę się, że twoje będą jeszcze lepsze!

- Nie jestem przekonana! - Jakimś cudem udaje mi się uśmiechnąć.

Dlaczego do cholery powiedziałam, że potrafię przyrządzić jajka Benedict? No dobrze, zachowaj spokój. To nie może być trudne. Potrzebuję jajek i... czegoś jeszcze.

Eddie opiera się o granitowy blat, spoglądając na mnie wyczekująco. Mam nieprzyjemne wrażenie, że czeka, aż zacznę gotować. Z wahaniem zdejmuję ze stojaka błyszczący garnek i w tej samej chwili w kuchni pojawia się Trish z naręczem gazet. Przygląda mi się z ciekawością.

- Po co ci garnek do szparagów, Samantho?

Cholera.

- Chciałam tylko... mu się przyjrzeć. Tak - kiwam głową, jakby garnek potwierdził moje podejrzenia, a potem ostrożnie odwieszam go na stojak. Robi mi się coraz bardziej gorąco. Nie mam pojęcia, od czego powinnam zacząć. Mam rozbić te jajka? Ugotować je? Rzucić nimi o ścianę?

- Proszę, oto jajka - Eddie kładzie na blacie ogromne pudełko i otwiera pokrywkę. - Powinno wystarczyć, prawda? Wpatruję się w rządęk brązowych jajek i czuję zawrót głowy. Co ja sobie wyobrażam? Nie potrafię zrobić cholernych jajek Benedict. Nie umiem przyrządzić tym ludziom śniadania. Muszę wszystko wyjaśnić. Odwracam się i nabieram powietrza w płuca.

- Pani Geiger... panie Geiger...

- Jajka? - przerywa mi ostro Trish. - Eddie, nie będziesz jadł jajek! Pamiętasz, co powiedział lekarz? - spogląda na mnie ze zwięzonymi oczami. - O co cię prosił? Jajka na miękko?

- Ja... pan Geiger życzył sobie jajek Benedict, aleja...

- W żadnym wypadku nie dostaniesz jajek Benedict! -skrzeczy Trish. - Są pełne cholesterolu!

- Będę jadł to, na co mam ochotę! - protestuje Eddie.

- Lekarz rozpisał dla niego dietę. - Trish wściekle zaciąga się papierosem. - Dziś rano i tak zdążył już pochłonąć całą miskę płatków kukurydzianych!

- Byłem głodny! - broni się Eddie. - Ty wzięłaś sobie czekoladowego muffina!

Trish zachłystuje się, jakby ją właśnie uderzył, a na jej policzkach pojawiają się małe czerwone plamki. Przez kilka chwil nie jest w stanie wydobyć głosu.

- Proszę nam podać kawę, Samantha - rzuca wreszcie tonem pełnym godności. - Możesz ją przynieść do sali telewizyjnej. Użyj różowej porcelany. Eddie, idziemy! - I wychodzi, zanim jestem w stanie cokolwiek powiedzieć. Rozglądam się po kuchni, nie wiedząc, czy się śmiać, czy płakać. To idiotyczne. Nie mogę dłużej bawić się w tą szara-

dę. Muszę tam pójść i powiedzieć im prawdę. Natychmiast. Zdecydowanym krokiem wychodzę z kuchni na korytarz i zatrzymuję się w pół kroku. Zza zamkniętych drzwi małego salonu dobiega mnie świdrujący głos Trish, gromiącej Eddiego niezrozumiałym potokiem słów. Co jakiś czas słyszę jego defensywne pomrukiwania. Szybko wracam do kuchni i nastawiam czajnik. Chyba najprościej będzie, jeżeli zrobię kawę. Dziesięć minut później udaje mi się ustawić na srebrnej tacy różowy czajniczek, filiżanki, dzbanuszek na mleko, cu-kierniczkę i gałązkę różowych kwiatów, którą urwałam z doniczki na zewnątrz okna kuchennego. Jestem z siebie bardzo dumna.

Zatrzymuję się przed drzwiami sali telewizyjnej, odkładam tacę na pobliski stolik i pukam ostrożnie.

- Wejść! - woła Trish.

Kiedy wchodzę, zastaję ją na fotelu przy oknie, z jakimś czasopismem, które trzyma pod dziwacznym kątem. Eddie stoi po drugiej stronie saloniku, przyglądając się drewnianej rzeźbie.

- Dziękuję, Samantha - Trish pochyła lekko głowę, gdy nalewam jej kawy. - To wszystko na razie.

Czuję się, jakbym znalazła się nagle w dziwnym dramacie kostiumowym prosto z Merchant Ivory*, w którym egzotyczne ubrania zastąpiono różowym strojem do jogi i golfem.

- Tak jest, proszę pani - odpowiadam posłusznie, potem zaś pod wpływem głupiego impulsu dygam.

Zapada pełna zdumienia cisza. Oboje Geigerowie wpatrują się we mnie, jakby zobaczyli ducha.

- Samantha... czy ty przed chwilą... dygnęłaś? - pyta w końcu Trish.

Spoglądam na nią zmrożona. Co ja sobie wyobrażałam? Po co dygałam, do jasnej cholery? Pomyśli sobie, że się z niej nabijam. Dzisiejsze gosposie nie dygają. To nie Gosford Park!

* Firma producencka specjalizująca się w ekranizacjach dramatów kostiumowych.

Geigerowie nadal wpatrują się we mnie wyczekująco. Muszę coś powiedzieć.

- Państwo Edgerly życzyli sobie, żebym dygała - czuję, że z zażenowania piecze mnie cała twarz. - To mój nawyk. Bardzo przepraszam, proszę pani. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

Trish przechyla głowę na bok, coraz bardziej i bardziej, mrużąc przy tym oczy. Przygląda mi się, jakby chciała mnie rozpracować. Przecież musi widzieć, że tylko udaję.

- Podoba mi się to - oznajmia nagle i kiwa głową z satysfakcją. - Tak, zdecydowanie mi się to podoba. Tutaj też możesz dygać.

Co takiego? Mogę co robić?

Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, a ja mam dygać przed kobietą o imieniu Trish? Otwieram usta, żeby zaprotestować - i zaraz je zamykam. Nieważne. To przecież nie jest na serio. Mogę przed nimi podygać przez jedno przedpołudnie.

8

Wychodzę z saloniku, wbiegam po schodach, pędem pokonuję korytarz i wchodzę do swojego pokoju. Sprawdzam komórkę, ale jest dopiero w połowie naładowana, poza tym nie mam pojęcia, gdzie złapać zasięg. Jeżeli Trish rozmawiała przez telefon, to mnie też powinno się udać. Ciekawe, w jakiej jest sieci...

- Samantho?! - woła Trish z dołu. - Samantho?!

Chyba jest czymś zirytowana. Słyszę, jak wchodzi na górę.

- Tak, proszę pani? - szybko wybiegam na korytarz.

- Ach więc tu jesteś! - marszczy brwi. - Czy mogłabyś nie zniknąć w swoim pokoju w godzinach pracy? Nie chcę za każdym razem po ciebie przychodzić.

78

- Tak, pani Geiger - odpowiadam. Razem schodzimy na dół i czuję, jak żołądek wywraca mi się na drugą stronę. Na stoliku leży „The Times”, otwarty na stronie ekonomicznej. Wielki nagłówek głosi: GLAZERBROOKS POD SEKWESTREM SĄDOWYM.

Przebiegam wzrokiem tekst, podczas gdy Trish zajęta jest szukaniem czegoś w wielkiej białej torbie Chanel. Nie dostrzegam w gazecie wzmianki o Carter Spink. Dzięki Bogu! Najwyraźniej dział do spraw kontaktu z mediami zdołał powstrzymać przeciek informacji.

- Gdzie są moje klucze? - rzuca rozdrażniona Trish. - Gdzie one są? - przegrzebuje torbę coraz gwałtowniej. Wypada z niej złota szminka i ląduje u moich stóp. - Dlaczego rzeczy mają tendencję do znikania?

Chwytam szminkę i wręczam ją Trish.

- Czy pamięta pani, gdzie zgubiła pani klucze, pani Geiger?

- Nie zgubiłam ich - zachłystuje się powietrzem. - Zostały skradzione. To oczywiste. Musimy zmienić wszystkie zamki. Odbiorą nam naszą tożsamość - chwyta się za głowę. - Ci oszuści tylko na to czyhają, wiesz? W „Mail” był na ten temat obszerny artykuł...

- Czy to ten komplet? - dostrzegam breloczek od Tiffa-ny'ego, połyskujący na parapecie. Chwytam go i wręczam Trish pęk kluczy.

- Tak! - Trish jest zaskoczona - Tak, to one! Samantho, jesteś wspaniała! Jakim cudem je znalazłaś?

- Bez problemu - wzruszam skromnie ramionami.

- Jestem pod wrażeniem! - spogląda na mnie znacząco. - Opowiem to panu Geigerowi.

- Tak, proszę pani - odpowiadam, starając się zawrzeć w swoim głosie nutę ogromnej wdzięczności. - Dziękuję.

- Pan Geiger i ja za chwilę wychodzimy - ciągnie Trish, wyciągając dezodorant i spryskując się nim obficie. - Proszę, przygotuj na pierwszą po południu lekki lunch z kanapek i sprzątnij pomieszczenia na parterze. O obiedzie porozma-

wiamy później - odwraca się na pięcie. - Muszę powiedzieć, że oboje jesteśmy pod wrażeniem twojego menu z foie gras.

- Och... eee... miło mi.

Wszystko w porządku. Do tego czasu już mnie tu nie będzie.

- A teraz - Trish poprawia włosy po raz kolejny. - Pozwól ze mną do salonu.

Posłusznie drepczę za nią. Podchodzimy do kominka.

- Zanim wyjdę, a ty zabierzesz się do odkurzania, chciałabym, abyś zapoznała się z ustawieniem ozdób - mówi Trish, wskazując na rząd porcelanowych figurek stojących na gzymsie. - Niełatwo to zapamiętać. Z jakiegoś powodu sprzątaczkę nigdy nie odstawiały ich na miejsce, dlatego proszę, skoncentruj się.

Posłusznie spoglądam na kominek.

- To ważne, żeby te pieski były do siebie zwrócone pyskami - Trish pokazuje parę spanieli rasy King Charles. -

Widzisz? Nie spoglądają na pokój, tylko na siebie.

- Na siebie - powtarzam, kiwając głową. - Oczywiście.

- Twarze pasterek z kolei muszą być zwrócone lekko na zewnątrz, rozumiesz? Na zewnątrz - mówi powoli i wyraźnie, jakbym miała inteligencję opóźnionej w rozwoju trzylatki.

- Na zewnątrz - powtarzam usłużnie.

- Zrozumiałaś? - Trish spogląda na mnie uważnie. -Sprawdźmy. Jak mają stać psy? - mówiąc to, zasłania ręką gzyms.

Nie mogę w to uwierzyć. Ona mnie testuje.

- Porcelanowe pieski. W którą stronę patrzą? - powtarza pytanie.

O Boże. Nie mogę się powstrzymać.

- Mmm... - przez kilka chwil udaję, że się zastanawiam. -Na zewnątrz?

- Na siebie! - wykrzykuje zirytowana Trish. - Spoglądają na siebie!

- Och, tak - mówię przeprasząco. - Oczywiście. Przepraszam. Teraz już wiem.

Trish zamyka oczy i przykłada dwa palce do skroni, jakby stres spowodowany taką drobnostką był dla niej zbyt wielkim obciążeniem.

- Nieważne - mówi wreszcie. - Jutro spróbujemy znowu.

- Zabiorę tackę do kawy - sugeruję skromnie. Chwytną ją, zerkam na zegarek. Dwanaście po dziesiątej. Ciekawe, czy zaczęli już zebranie.

Zapowiada się poranek nie do wytrzymania.

Do jedenastej trzydzieści zamieniam się w kłębek nerwów. Komórka już się doładowała, w kuchni znalazłam zasięg mojej sieci, ale nikt do mnie nie zadzwonił. Nie dostałam też żadnej wiadomości, chociaż sprawdzałam telefon co minutę.

Załadowałam zmywarkę i po zaledwie pięćdziesięciu podejściach udało mi się ją włączyć. Odkurzyłam też porcelanowe piecki chusteczką. Poza tym, większą część czasu spędziłam przemierzając kuchnię w tę i w tę. Niemal natychmiast poddałam się z robieniem kanapek na „lekki lunch”. Pokroiłam chyba ze dwa bochenki chleba, w rezultacie czego uzyskałam dziesięć ogromnych, grubych kromek, każda bardziej nierówna niż poprzednia. Reszta chleba zamieniła się w morze okruszków. Bóg jeden wie, co takiego robiłam źle. Pewnie nóż był niedobry.

Mogę jedynie podziękować niebiosom za książkę telefoniczną i usługi cateringowe. No i oczywiście za kartę American Express. Trish i Eddie będą mieli swój „wykwintny lunch kanapkowy” dostarczony przez Cotswold Caterers. Kosztowało mnie to jedyne 45,50 funta, chociaż zapłaciłabym dwa razy więcej. Szczerze mówiąc, nawet i dziesięć razy więcej.

Teraz siedzę na krześle, z dłonią zaciśniętą nerwowo na komórce, spoczywającej w kieszeni. Modlę się, żeby zadzwoniła, a jednocześnie jestem przerażona samą myślą o tym.

Wreszcie nie mogę znieść już dłużej tego napięcia. Muszę zrobić coś, cokolwiek, żeby się odprężyć. Jednym szarpnięciem otwieram lodówkę Geigerów i wyciągam butelkę białego wina. Nalewam sobie kieliszek i opróżniam go dusz-

kiem. Właśnie zamierzam nalać sobie drugą porcję, kiedy czuję dziwne mrowienie na karku. Zupełnie jakby... jakby ktoś mnie obserwował.

Odwracam się i niemal wyskakuję ze skóry. W drzwiach kuchennych stoi mężczyzna. Jest wysoki, barczysty, bardzo opalony, ma intensywnie niebieskie oczy i lekko kręcone zło-tobrązowe włosy z rozjaśnionymi końcówkami.

Ubrany jest w stare dżinsy, podarty podkoszulek i najbardziej ubłocone buty na świecie.

Spogląda pełnym zwątpienia wzrokiem na niezgrabne, pokruszone kromki chleba na blacie, a potem na kieliszek wina.

- Hej - mówi wreszcie. - Czy to ty jesteś nową profesjonalną gosposią z dyplomem kucharskim?

- No... tak! - wyglądam uniform. - To ja. Mam na imię Samantha. Witaj.

- Jestem Nathaniel - wyciąga dłoń, a ja po chwili wahania ściskam ją na przywitanie. Jego ręka pokryta jest twardą i chropowatą skórą, która przypomina w dotyku korę. - Jestem ogrodnikiem Geigerów. Zapewne będziesz chciała omówić ze mną kwestię warzyw.

Spoglądam na niego niepewnie. Dlaczego niby miałabym z nim rozmawiać o warzywach?

Nathaniel opiera się o framugę i krzyżuje ręce, ja zaś nie mogę nie zauważyć, jak masywne są jego przedramiona. Nigdy przedtem nie spotkałam mężczyzny z takimi rękami. W moim prawniczym świecie tacy nie istnieją.

- Mogę wyhodować praktycznie wszystko - ciągnie. - Oczywiście sezonowo. Po prostu powiedz, co by cię interesowało.

- Och, warzywa - mówię, nagle zdając sobie sprawę, o czym mówi. - Do gotowania. Hmm... tak, zdecydowanie będę ich potrzebowała.

- Powiedziano mi, że szkolił cię jakiś mistrz kucharski uznany przez Michelina - marszczy brwi. - Nie mam pojęcia, jakich wymyślnych warzyw zechcesz używać, ale zrobię, co

w mojej mocy - wyciąga mały, umazany błotem notatnik i ołówek. - Jakich roślin krzyżowych będziesz używała? Krzyżowych?

Co to są rośliny krzyżowe?

Pewnie to jakiś rodzaj warzywa. Gorączkowo przeszukuję swój umysł, ale widzę tylko rząd krzyży rosnących na wielkiej grządce.

- Muszę sprawdzić mój jadłospis - mówię wreszcie z profesjonalnym skinieniem głowy. - Dam ci odpowiedź później.

- Ale generalnie czego używasz najczęściej? - spogląda na mnie. - Żebym wiedział, co mam posadzić.

O Boże. Nie śmiem wymienić żadnej nazwy w obawie przed popełnieniem pomyłki..

- Używam... różnych - uśmiecham się do niego. - Wiesz, jak to jest z krzyżowymi. Czasem masz ochotę na jedną, a czasem na... zupełnie inną!

Nie mam pojęcia, czy zabrzmiało to przekonywająco. Nathaniel jest skonsternowany.

- Niedługo będę zamawiał pory - mówi powoli. - Którą odmianę wolisz? Albinstar czy bleu de solaise?

Wpatruję się w niego, czując, jak na mojej twarzy pojawiają się rumieńce. Kompletnie nie wiem, o czym mówi.

- Raczej... hmm... tę pierwszą - mówię wreszcie. - Ma dobre walory... smakowe.

Nathaniel odkłada notatnik i przygląda mi się przez chwilę. Przesuwa wzrok na kieliszek. Nie jestem pewna, o czym mówi jego wyraz twarzy.

- Właśnie miałam wlać wino do sosu - rzucam pospiesznie. Nonszalancko chwytam garnek ze stojaka, stawiam na kuchence i wlewam wino. Wsypuję trochę soli, a potem mieszam drewnianą łyżką. Dopiero po chwili zdobywam się na odwagę, żeby rzucić spojrzenie Nathanielowi. Przygląda mi się z niedowierzaniem.

- Powiedziałaś, że gdzie uczyłaś się gotować? - pyta.

- U... u francuskiego mistrza kuchni. - Moje policzki płoną. Dodaję jeszcze szczyptę soli do wina i mieszam szybko.

- Nie włączyłaś palnika - zauważa Nathaniel.
- To zimny sos - odpowiadam, nie podnosząc głowy. Nadal mieszam przez chwilę, a potem odkładam łyżkę. - Teraz zostawię to, żeby... się zamarynowało - wreszcie spoglądam na niego. Nadal opiera się o framugę, obserwując mnie w milczeniu. W jego błękitnych oczach widzę coś, od czego ściska mnie w gardle.
On wie. Wie, że jestem oszustką.
Proszę, nie mów Geigerom, proszę go w myślach. Błagam. Niedługo mnie tu nie będzie.
- Samantho? - Trish wsadza głowę do kuchni. Podskakuję nerwowo. - Och, poznałaś już Nathaniela! Opowiedział ci o naszym ogródku warzywnym?
- Eee... tak. - Nie mogę na niego spojrzeć. - Opowiedział.
- Wspaniale! - zapala papierosa. - Wróciliśmy już z panem Geigerem i zjemy lunch za dwadzieścia minut.
Spoglądam z zaskoczeniem. Dwadzieścia minut? Przecież jest dopiero dziesięć po dwunastej. Ludzie z cateringu nie pojawiają się tu przed pierwszą.
- Czy zechcieliby państwo najpierw się czegoś napić? -pytam desperacko.
- Nie, dziękuję, podaj tylko kanapki. Właściwie to jesteśmy dość głodni, więc gdybyś mogła się pospieszyć...
- Oczywiście - przełykam głośno ślinę. - Nie ma problemu!
Gdy Trish wychodzi, automatycznie dygam. Od strony Nathaniela dobiega mnie coś w rodzaju parsknięcia.
- Ty dygasz - mówi.
- Tak, dygam - odpowiadam wyzywającym tonem. - Czy widzisz w tym coś złego?
Wzrok Nathaniela spoczywa na pokruszonych, niezgrabnych kromkach chleba, leżących na desce.
- To ma być lunch? - pyta.
- Nie, to nie jest lunch! - odcinam się, zdenerwowana. -Czy mógłbyś wyjść z kuchni? Potrzebuję przestrzeni do pracy.

Nathaniel unosi brwi.

- W takim razie do zobaczenia. Powodzenia z sosem -kiwa głową w kierunku garnka z winem.

Kiedy zamyka za sobą drzwi, czym prędzej wyciągam z kieszeni komórkę i dzwonię do firmy cateringowej.

Niestety, odzywa się tylko automatyczna sekretarka.

- Dzień dobry - mówię bez tchu po sygnale. - Zamawiałam wcześniej kanapki, ale potrzebuję ich już teraz, jak najszybciej. Dziękuję.

Odkładając telefon, zdaję sobie sprawę, że to bezowocne wysiłki. Ludzie z cateringu nigdy nie pojawią się na czas. Geigerowie czekają.

Rośnie we mnie determinacja. Dobrze, zrobię to! Potrafię przyrządzić kilka kanapek.

Szybko chwytam dwie najrówniejsze kromki chleba, biorę nóż i zaczynam obcinać skórę, aż zmniejszają się do mikroskopijnych rozmiarów. Mimo to wyglądają w miarę dobrze. Odkrawam porcję masła stojącego w naczyniu obok i próbuję rozsmarować na kromce, rozdzierając ją przy tym na pół.

Cholera!

Nie szkodzi, skleję ją jakoś. Nikt nie zauważy.

Otwieram kredens i rozpaczliwie przebieram w słoikach... musztarda... sos miętowy... dżem truskawkowy. Wybór jest prosty. Kanapki z dżemem, angielski klasyk. Pospiesznie smaruję jedną kromkę dżemem, na drugą nakładam więcej masła i składam obie razem. Odsuwam się na krok i przyglądam swemu dziełu.

Kompletna porażka. Spomiędzy nie do końca kwadratowych kromek wycieka dżem. Nigdy w życiu nie widziałam bardziej odrażającej kanapki. Absolutnie nie mogę jej zaserwować Geigerom. Zrezygnowana, powoli odkładam nóż na blat. To koniec. Przyszedł czas na złożenie rezygnacji. Wpatruję się w upačkaną dżemem tragedię i czuję rozczarowanie sama sobą. Myślałam, że uda mi się przetrwać chociaż do popołudnia.

Z rozmyślań wyrywa mnie pukanie. Odwracam się szybko i widzę, że przez okno kuchenne zagląda do środka dziewczyna w błękitnej aksamitnej opasce na włosy.

- Dzień dobry - mówi. - Czy to pani zamawiała kanapki dla dwudziestu osób?

Wszystko dzieje się tak szybko. Przed chwilą stałam jeszcze, bezradnie przyglądając się dżemowo-chlebowej fuszerce, a teraz dwie kobiety w zielonych fartuszkach wnoszą do kuchni kolejne półmiski pełne profesjonalnie wykonanych kanapek.

Pięknie ukrojone kromki białego i ciemnego chleba, poukładane są w zgrabne piramidki, przybrane gałązkami świeżych ziół i plasterkami cytryny. Są tam nawet malutkie chorągiewki z wypisanym składem nadzienia.

Tuńczyk, mięta i ogórek. Wędzony łosoś, ser topiony i kawior. Kurczak po tajlandzku i rakieta.

- Bardzo przepraszam za tę pomyłkę z ilością - mówi dziewczyna w błękitnej opasce, podsuwając mi rozliczenie do podpisu. - Naprawdę wyglądało to jak dwadzieścia, a że zazwyczaj nie dostajemy zamówień dla dwojga ludzi...

- Nie ma sprawy! - odpowiadam, niemal wypychając ją za drzwi. - Naprawdę nie szkodzi. Po prostu obciążcie za to moje konto.

Wreszcie zamykają się za nimi drzwi, a ja rozglądam się po kuchni, kompletnie oszołomiona. Nigdy w życiu nie widziałam tylu kanapek naraz. Talerze zajmują niemal wszystkie stoły i blaty. Musiałam nawet postawić kilka na kuchence.

- Samantha? - słyszę zbliżającą się Trish.

- Eee... chwileczkę - podbiegam do drzwi, starając się zablokować widok.

- Jest już pięć po pierwszej - mówi nieco ostrym tonem. - Prosiłam chyba wyraźnie o... - przestaje mówić, kiedy staje w drzwiach. Na jej twarzy widać zdumienie. Odwracam się i spoglądam w tym samym kierunku, na morze kanapek.

- Mój Boże! - wreszcie udaje jej się odzyskać głos. - To... niezwykle imponujące!

- Nie byłam pewna, z czym chcielibyście państwo kanapki - mówię. - Oczywiście następnym razem nie przygotuję aż tylu...

- Och! - Trish jest chyba nieco zagubiona. Podnosi jedną z chorągiewek i odczytuje na głos: „krwista wołowina, sałata i chrzan”. - Spogląda na mnie ze zdumieniem. - Nie kupowałam wołowiny od tygodni! Skąd ją wzięłaś?

- No... z zamrażarki?

Zaglądałam do niej wcześniej i znalazłam tam tyle jedzenia, że można by nim przez tydzień karmić mieszkańców małego afrykańskiego państwa.

- No jasne! - Trish cmoka z zadowoleniem. - Sprytna z ciebie dziewczyna!

- Nałożę dla państwa po kilka kanapek z każdego rodzaju i zaraz przyniosę do oranżerii.

- Wspaniale. Nathaniel! - Trish puka w okno. - Chodź, poczęstujesz się!

Staję jak wryta. Nie. Tylko nie on.

- Przecież nie możemy pozwolić, żeby się zmarnowały, prawda? - Trish unosi brwi. - Samantho, jeżeli miałabym coś krytykować, to jedynie tę... rozrzutność. Nie to, że jesteśmy biedni - dodaje nagle. - Nie chodzi o to.

- Oczywiście, proszę pani.

- Nie lubię rozmawiać o pieniądzach - Trish ścisza nieco głos. - To bardzo wulgarne, niemniej...

- Pani Geiger?

W drzwiach prowadzących do kuchni znów pojawia się Nathaniel, z zabłoconą łopatką w ręku.

- Chodź, poczęstuj się jedną z pysznych kanapek Saman-thy! - wykrzykuje Trish, wskazując na kuchnię. - Popatrz tylko! Czyż nie jest wspaniała?

Następuje długa chwila milczenia, podczas której Nathaniel przygląda się piętzącym się stertom kanapek. Nie potrafię mu spojrzeć w oczy. Znowu strasznie pieką mnie policzki. Chyba zaraz zwariuję. Znajduję się w kuchni, w domu stojącym w szczerym polu, w niebieskim nylonowym uniformie,

udając gosposię, która czarodziejskim sposobem potrafi wyczarować kanapki z niczego.

- Niezwykłe - mówi wreszcie Nathaniel.

Zbieram się na odwagę i spoglądam na niego. Przygląda mi się ze zmarszczonymi brwiami, jakby nie potrafił mnie rozszyfrować.

- Nie zajęło ci to dużo czasu - mówi wreszcie, z lekkim pytaniem w głosie.

- Potrafię być bardzo szybka, kiedy muszę - uśmiecham się do niego błado.

- Samantha jest niesamowita! - wykrzykuje Trish, wgrzyzając się chciwie w jedną z kanapek. - A na dodatek taka porządna! Spójrz na tę lśniącą kuchnię!

- Najlepsza szkoła - odpowiadam skromnie.

- Och! - Trish wpycha kolejną kanapkę do ust i niemal osuwa się na podłogę z rozkoszy. - Ten kurczak po tajlandzku jest boski!

Ukradkiem ściągam jedną kromkę z piramidki i odgryzam kęs. Cholera, naprawdę niezły, myślę sobie.

Do wpół do trzeciej kuchnia jest wysprzątana. Trish i Eddie zdołali wtrząchnąć ponad połowę kanapek i gdzieś pojechali. Nathaniel jest w ogrodzie, a ja przechadzam się po kuchni z łyżką w dłoni, co trzydzieści sekund spoglądając na zegarek.

Niedługo powinien zadzwonić Arnold. Minęły już całe wieki.

Nie potrafię myśleć o niczym innym. Mój umysł stał się ciasnym, jednotorowym tunelem i dbam już tylko o to, co zobaczę na jego końcu.

Wyglądam za okno. Mały brązowy ptaszek wydziobuje coś z ziemi. Odwracam się i siadam na krześle, zapatrzona w stół. Obsesyjnie przesuwam kciukiem po gładkim, wypolerowanym drewnianym blacie.

Popelniłam jeden błąd. Jeden. Inni ludzie mogą robić więcej pomyłek, takie są zasady. A może nie? Już sama nie wiem.

Nagle czuję wibrowanie telefonu. W piersi eksploduje mi kula przeraźliwego strachu. Potwornie trzęsącą się dłonią wyciągam komórkę z kieszeni. Identyfikator wskazuje, że dzwoni Guy. Oddycham głęboko i odbieram.

- Guy? - usiłuję mówić z pewnością siebie, ale z mojego gardła wydobywa się piskliwy, wystraszony głosik.

- Samantha, to ty? - Guy jest niczym burza gradowa. -Gdzie ty się do cholery podziewasz? Dlaczego cię tutaj nie ma? Nie dostałaś moich mejli? '*

- Nie wzięłam ze sobą palmtopa - odpowiadam, wytrącona z równowagi. - Dlaczego nie dzwoniłeś?

- Próbowałem, ale nie odpowiadałaś! Potem byłem na spotkaniach, ale cały czas wysyłałem do ciebie mejle...

Sa-mantho, na Boga, gdzie ty jesteś?! Powinnaś być tutaj, w biurze, a nie ukrywać się w jakiejś norze!

Jestem wstrząśnięta. Ukrywać się?

- Ale... ale przecież Arnold powiedział, żebym się nie pojawiała! Powiedział, że tak będzie najlepiej! Kazał mi zostać na miejscu i obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy...

- Czy masz pojęcie, jak to wygląda? - przerywa mi bezpardonowo Guy. - Najpierw ci odbija, potem znikasz z horyzontu. Ludzie mówią, że pomieszało ci się w głowie, że załamałaś się nerwowo... krążą nawet plotki o tym, że uciekłaś z kraju...

Prawda uderza we mnie falą gorącej, zapierającej dech w piersiach paniki. Nie mogę uwierzyć, że tak fatalnie wszystko rozegrałam, że okazałam się taką idiotką. Co ja tu robię, siedząc w tej kuchni, dziesiątki kilometrów od Londynu?

- Powiedz im, że zaraz przyjeżdżam - jąkam się. - powiedz Kettermanowi, że za chwilę tam będę... zaraz złapię pociąg...

- Może być za późno - Guy jest ponury, ma wyraźne wątpliwości. - Samantho, ludzie gadają o tobie różne historie.

- Historie? - serce wali mi w piersi tak mocno, że z trudem wypowiadam kolejne słowa. - Jakie znów historie?

Nie mogę tego znieść. Czuję się tak, jakby mój samochód nagle zjechał z drogi, zupełnie bez mojej woli, jakbym nie mogła go zatrzymać. Myślałam, że wszystko jest pod kontrolą, że zostając tutaj i pozwalając Arnoldowi wstawić się za mną, robię właściwą rzecz.

- Podobno ludzie twierdzą, że nie można na tobie polegać - mówi wreszcie Guy. - Że to nie był pierwszy raz, że pomyłki zdarzały ci się już wcześniej.

- Pomyłki? - zrywam się na równe nogi, krzyżąc, jakby mnie obdzierano ze skóry. - Kto tak powiedział? Nigdy przedtem nie popełniłam żadnego błędu! O czym oni opowiadają?

- Nie wiem. Nie byłem na zebraniu... Skoncentruj się. Czy kiedykolwiek wcześniej popełniłaś jakiś błąd? Skoncentruj się?

Wpatruję się z osłupieniem w telefon. Nie mogę w to uwierzyć. Guy we mnie wątpi?

- Nigdy - mówię, starając się zachować spokój. - Nigdy, rozumiesz? Żadnych pomyłek! Jestem dobrym prawnikiem. Jestem dobrym prawnikiem. - Nagle, ku własnemu zdziwieniu czuję, że po policzkach spływają mi łzy. - Nie załamalam się nerwowo! Wiesz o tym doskonale, Guy.

Zapada nerwowa cisza. Niewypowiedziane słowa zawisają między nami niczym wyrok. Popełniłam błąd.

- Guy, nie wiem, jakim cudem przeoczyłam dokumentację dotyczącą Glazerbrooks - zaczynam mówić coraz szybciej i szybciej. - Nie wiem, jak to się stało. To nie ma sensu. Wiem, że na moim biurku jest bałagan, ale mam swój system, do cholery! Nigdy nie omijam takich rzeczy. Po prostu nie...

- Samantho, uspokój się.

- Jak mogę się uspokoić? - nieomal wyję. - Chodzi o moje życie! Moje całe życie! Wszystko co mam! - Wycieram łzy z twarzy. - Nie zamierzam tego stracić. Przyjeżdżam, natychmiast.

Wyłączam telefon. Narasta we mnie panika. Powinnam była wrócić. Powinnam była pojechać do firmy od razu, za-
90

miast tracić tutaj czas. Nie wiem, o której odjeżdżają stąd pociągi, ale nie obchodzi mnie to. Muszę się stąd wydostać. Chwytam kartkę papieru, ołówek i piszę:

Szanowna Pani Geiger,

Obawiam się, że muszę zrezygnować z posady gospodyni w Pani domu. Chociaż czas spędzony z Państwem był niezwykle miły

M

Daj spokój. Nie ma czasu na takie bzdury. Muszę wyjść w tej chwili. Kładę kartkę na stole i ruszam w kierunku drzwi. Nagle się zatrzymuję. Nie mogę wyjść, pozostawiając list urwany w połowie z dania. Będzie to za mną chodziło przez całą resztę dnia.

Chociaż czas spędzony z Państwem był niezwykle miły, wydaje mi się, że potrzebuję nowego wyzwania. Bardzo dziękuję za Państwa dobroć.

Z wyrazami szacunku

Samantha Sweeting

Odkładam ołówek i odsuwam krzesło. Kiedy jestem przy drzwiach, mój telefon znów wibruje. Guy, myślę natychmiast. Sięgam po słuchawkę i już zamierzam odebrać połączenie, kiedy spoglądam na identyfikator. To nie Guy.

Dzwoni Ketterman.

Wzdłuż kręgosłupa pełźnie zimno. Wpatruję się w nazwisko na wyświetlaczu i czuję strach, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyłam. To jak dziecięcy koszmar. Wszystko we mnie mówi, że bym nie odbierała. Tylko że jest już za późno. Nacisnęłam guzik. Powoli przykładam telefon do ucha.

- Halo?

- Samantha? Mówi John Ketterman.

- Tak - odpowiadam schrypniętym ze strachu głosem. - Witam.

Następuje długa przerwa. Wiem, że powinnam teraz coś

powiedzieć, ale sparaliżowało mnie. Gardło mam wypchane watą, nie potrafię znaleźć odpowiednich słów. Wszyscy wiedzą, jak bardzo Ketterman pogardza przeprosinami, wymówkami i tłumaczeniem.

- Samantha, dzwonię, żeby cię poinformować, iż twój kontrakt z firmą Carter Spink został zerwany.

Krew odpływa mi z twarzy.

- Wysłałem już list ze szczegółowymi wyjaśnieniami tej decyzji - ciągnie Ketterman formalnym, bezosobowym tonem. - Poważne zaniedbanie połączone z nieprofesjonalnym zachowaniem. Rozliczenie podatkowe zostanie ci wysłane przez kadry. Twoja przepustka została anulowana. Prosiłbym, abyś nie pojawiała się więcej w budynku naszej firmy.

To za szybko. To wszystko dzieje się za szybko.

- Proszę, nie... - wyrzucam z siebie desperacko. - Proszę mi dać jeszcze jedną szansę. Popełniłam tylko jeden błąd. Jedną szansę.

- Prawnicy w Carter Spink nie popełniają błędów, Samantha, a tym bardziej nie uciekają przed odpowiedzialnością.

- Wiem, że postąpiłam źle. Naprawdę wiem - cała się trzęsę. - Po prostu byłam w takim szoku... nie myślałam jasno...

- Naraziłaś na szwank reputację firmy i swoją. - Ketterman mówi głośniej, jakby rozmawiało mu się coraz trudniej.

-Przez twoje zaniedbanie nasz klient stracił pięćdziesiąt milionów funtów, ty zaś uciekłaś bez wyjaśnienia. Chyba nie oczekiwałaś innego zakończenia tej historii, prawda?

Znów zapada długa cisza. Przyciskam czoło do wnętrza dłoni, mocno, bardzo mocno. Próbuje skoncentrować się na oddychaniu. Wdech, wydech. Wdech, wydech.

- Nie - szepczę wreszcie.

To koniec. To naprawdę koniec.

Ketterman zaczyna uprzednio przygotowaną gadkę o spotkaniu z działem personalnym, ale ja już nie słucham.

Kuchnia wiruje wokół mnie i nie mogę złapać oddechu.

To koniec. Cała moja kariera, wszystko, na co pracowałam

od dwunastego roku życia, przypadło. W ciągu dwudziestu czterech godzin zrujnowałam sobie życie. W końcu dochodzi do mnie, że Ketterman się rozłączył. Wstaję i zataczając się, podchodzę do lśniącej lodówki. Przyglądam się swojemu szarozielonemu odbiciu. Moje oczy są niczym dwie ogromne, wypalone dziury. Nie wiem, co robić. Nie wiem, od czego zacząć. Przez długą, długą chwilę stoję tak, wpatrując się w swoją twarz, aż wszystko przestaje mieć jakikolwiek sens, aż wirujący wokół mnie świat się rozmywa.

Zwolniona z pracy, dźwięczy w moich uszach. Zostałam zwolniona z pracy. Mogę teraz przejść na zasiłek. Sama myśl

O tym wywołuje bolesny śmiech. Wyobrażam sobie, jak stoję w kolejce dla bezrobotnych, razem z facetami z *Goło i wesolo*, poruszając biodrami do melodii *Hot Stuff*.

Nagle słyszę odgłos klucza przekręcanego w zamku drzwi wejściowych. Moim oczom powraca ostrość widzenia. Odsuwam się od lodówki. Nie mogą mnie zastać w takim stanie. Nie zniosę wypytywania ani współczucia. Poza tym się boję, że po prostu zacznę płakać i nigdy nie przestanę. Sięgam na oślep po ściereczkę i zaczynam nią zakreślać bezsensowne kółka na blacie. Potem mój wzrok pada na list do Trish, wciąż leżący na stole. Chwytam go, zgniatam w kulkę i wrzucam do kosza. Później. Zrobię to później. W tej chwili nie wiem, czy potrafiłabym z siebie wydobyć choć jedno rozsądne zdanie, nie wspominając o przemówieniu na okoliczność rezygnacji z pracy.

- Tu jesteś! - Trish wtacza się do kuchni ze stukotem drewnianych obcasów i trzema wypchanymi siatkami na zakupy.

- Samantha! - zatrzymuje się na mój widok. - Wszystko w porządku? Znowu masz migrenę?

- Ja... czuję się dobrze - odpowiadam trzęsącym się głosem. - Dziękuję.

- Wyglądasz okropnie! Mój Boże, musisz zażyć jakieś lekarstwa!

- Ja naprawdę...

- No już! Ja też sobie łyknę. Czemu nie? - dodaje radośnie. - A teraz usiądź, a ja zrobię ci filiżankę herbaty. Rzuci siatki na ziemię i włącza czajnik, a potem zaczyna szperać w swoim ulubionym pudełku w poszukiwaniu tabletek.

- Te ci pomogły, prawda? - mówi, wyciągając pigułki, którymi poczęstowała mnie wczoraj

- Chyba wolałabym wziąć dzisiaj aspirynę - odpowiadam szybko. - Oczywiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Jesteś pewna? - Podaje mi szklankę wody i dwie tabletki aspiryny. - A teraz usiądź i odpręż się. Nawet nie myśl o robieniu czegokolwiek! Masz czas do kolacji - dodaje po namyśle.

- Jest pani bardzo miła - udaje mi się wykrztusić. I nagle uświadamiam sobie, że naprawdę tak myślę. Uprzejmość Trish może jest nieco wypaczona, ale na pewno nieudawana.

- Proszę. - Stawia przede mną filiżankę herbaty i przez chwilę przygląda mi się uważnie. - Tęsknisz za domem? -pyta wreszcie z triumfem w głosie, jakby udało jej się rozwiązać jakąś niezwykłą zagadkę. - Nasza gosposia z Filipin czasem była bardzo smutna, ale zawsze jej powtarzałam, rozchmurz się, Manuela! - przerywa nagle, jakby zdziwiona. - Potem okazało się, że naprawdę ma na imię Paula. Przedziwne.

- Nie tęsknię za domem - odpowiadam, przełykając herbatę. Myśli trzepoczą w mojej głowie jak skrzydła oszalałego motyla. Co ja teraz zrobię?

Wrócę do domu.

Sama myśl o powrocie do kamienicy, w której mieszka również Ketterman, sprawia, że czuję mdłości. Nie mogę stanąć z nim twarzą w twarz. Nie potrafię. Zadzwońię do Guya. Na pewno mnie u siebie przyjmie. Mają duży dom w Islington z wieloma pokojami gościnnymi. Zostawałam już u nich na noc. A potem... sprzedam mieszkanie i znajdę pracę.

Jaką pracę?

- To cię rozweseli. - Głos Trish przerywa moje rozmyśla-

nia. Ze źle ukrywaną radością klepie siatki z zakupami. - Po twoim niesamowitym popisie kulinarnym w porze lunchu... poszłam na zakupy i mam dla ciebie niespodziankę! Na pewno się ucieszysz!

- Niespodziankę? - spoglądam na nią przerażona. Trish zaczyna wyciągać z siatki kolejne paczki.
- Foie gras... ciecierzycyca... łopatką jagnięcą... - rzuca kawał mięsa na stół, spogląda na mnie wyczekująco, a potem cmoka niecierpliwie na widok mojej zaskoczonej miny#-Składniki do twojego menu! Jeżeli nie masz nic przeciwko, zjemy obiad o ósmej.

9

Wszystko będzie w porządku.

Powtarzam to sobie tyle razy, że musi to być prawda. Wiem, że powinnam zadzwonić do Guya. Kilka razy się do tego przymierzałam, trzymałam telefon w dłoni. Zawsze jednak powstrzymywało mnie updkorzenie. To prawda, jest moim przyjacielem, najbliższą mi osobą z całej firmy, ale to mnie wyrzucono z pracy. To ja okryłam się hańbą, nie on.

W końcu siadam, pocieram twarz i usiłuję zebrać się w sobie. Przecież to Guy. Na pewno chce, żebym się do niego odezwała. Pomoże mi, bez wątpienia. Otwieram klapkę telefonu i wybieram numer. Chwilę później słyszę na korytarzu coraz głośniejsze stukanie drewnianych obcasów. Trish. Wyłączam telefon, wrzucam go do kieszeni i sięgam po brokuły.

- Jak ci idzie? - pyta Trish od progu. - Jakies postępy? -Wchodzi do kuchni i z zaskoczeniem konstatuje, że siedzę dokładnie w tym samym miejscu, w którym mnie zostawiła. -Wszystko w porządku?

- Ja tylko... po prostu szacuję składniki - improwizuję. -Wyczuwam je.

W tym momencie obok Trish pojawia się nieznajoma far-

95

bowana blondynka w zdobionych dżetami okularach przeciwsłonecznych zatkniętych na czubku głowy. Przygląda mi się z ogromnym zainteresowaniem.

- Jestem Petula - oznajmia. - Jak się masz?

- Petula właśnie skosztowała twoich kanapek - wtrąca się Trish. - Uważa, że były fantastyczne.

- Słyszałam opowieści o twoim foie gras w glazurze mo-relowej ! - Petula unosi brwi. - Imponujące!

- Samantha potrafi ugotować absolutnie wszystko! -oznajmia zarumieniona z dumy Trish. - Szkoliła się u Miche-la de la Roux de la Blanc! U samego mistrza!

- Jak będziesz robiła polewę do foie gras? - pyta Petula z zainteresowaniem. W kuchni zapada cisza. Obie kobiety czekają, wyraźnie podekscytowane.

- Cóż - chrząkam kilka razy. - Prawdopodobnie użyję... klasycznej metody. Słowo „glazura" naturalnie wskazuje na przezroczystość... wykończenia... i dopełnia gras. Foie -dodaję. - De gras. Mieszanina... smaków.

Gadam kompletne bzdury, ale ani Trish, ani Petula zdają się tego nie zauważać. Obie są wyraźnie pod wrażeniem.

- Skąd ty ją wytrzasnąłaś? - pyta Petula szeptem, który, jak zapewne sobie wyobraża, jest dyskretny. - Moja dziewczyna jest beznadziejna. Nie potrafi gotować i nie rozumie ani słowa z tego, co do niej mówię.

- Sama się zgłosiła, nagle i niespodziewanie! - odpowiada przyciszonym głosem Trish, nadal zarumieniona z zadowolenia. - Angielka! Z dyplomem kucharskim! Nie mogliśmy w to uwierzyć!

Spoglądają na mnie obie, jakbym była jakimś rzadkim zwierzęciem z rogami wyrastającymi z głowy. Nie potrafię tego dłużej znieść.

- Czy mam przygotować paniom herbatę i podać w oranżerii? - pytam desperacko.

- Nie. Wychodzimy na manikiur - odpowiada Trish. - Do zobaczenia później, Samantha.

Następuje pauza, pełna oczekiwania. Nagle zdaję sobie

sprawę, że Trish chce, abym dygnęła. Z zakłopotania zaczynam się rumienić. Po jaką cholere to robiłam?

- Tak jest, pani Geiger - pochylam głowę i wykonuję dziwaczny ukłon. Kiedy spoglądam w górę, widzę ogromne jak talerze oczy Petuli. Kiedy obie kobiety wychodzą z kuchni, dobiega mnie szept znajomej Trish:

- Ona dyga? Przed tobą?

- To po prostu wyraz szacunku - odpowiada Trish beztrąsko. - Bardzo efektywny. Wiesz, Petula, powinnaś wypróbować* wać tego ze swoją gospożą...

O Boże, co ja narobiłam?!

Czekam, aż ucichnie odgłos stukania obcasów, a potem na wszelki wypadek przenoszę się do spiżarki, otwieram telefon i jeszcze raz dzwonię do Guya. Odbiera po trzecim sygnale.

- Samantha - wydaje się nieco spięty. - Cześć. Czy już...

- Wszystko w porządku, Guy. - Na chwilę zaciskam powieki. - Rozmawiałam z Kettermanem. Wiem wszystko.

- Chryste, Samantha - głośno wypuszcza powietrze z płuc. - Tak mi przykro, naprawdę...

Nie mogę znieść jego współczucia. Jeśli powie coś jeszcze, chyba się rozpłaczę.

- Nie ma sprawy - przerywam mu. - Naprawdę. Nie rozmawiajmy już o tym, tylko... o przyszłości. Muszę wrócić do normalności.

- Jezu, ależ ty jesteś opanowana! - W jego głosie słyszę cień podziwu. - Nic cię nie wytrąca z równowagi, prawda?

Odgarniam włosy z twarzy. Wydają się przesuszone, zaniedbane i pełne rozdwojonych końcówek.

- Po prostu muszę... jakoś sobie radzić - udaje mi się utrzymać kontrolę nad głosem. - Powinnam wrócić do Londynu, ale nie mogę pojechać do domu. Ketterman kupił mieszkanie w mojej kamienicy. Teraz będzie tam mieszkał.

- Tak, słyszałem o tym. - Guy przetyka głośno ślinę. - Co za niemiły zbieg okoliczności.

- Nie mogę stanąć z nim twarzą w twarz, Guy. - Czuję, że znowu jestem bliska płaczu i zmuszam się do zaczerpnięcia

kilku głębokich oddechów. - Dlatego zastanawiałam się, czy nie mogłabym zatrzymać się u ciebie na jakiś czas. Tylko kilka dni.

Zapada cisza. Nie spodziewałam się jej.

- Samantho, chciałbym ci pomóc, ale muszę się porozumieć z Charlotte - mówi wreszcie Guy.

- Oczywiście - odpowiadam, nieco zbity z tropu.

- Nie rozłączaj się, zaraz do niej zadzwonię.

Przełącza mnie na tryb oczekiwania. Siedzę więc i czekam, słuchając jakiejś cichej melodyjki wygrywanej na klawesynie i usiłując nie poddać się konsternacji. To nierozsądne z mojej strony spodziewać się, iż zgodzi się od razu.

Oczywiście, że musi najpierw uzgodnić to ze swoją dziewczyną.

Wreszcie znowu zgłasza się na linii.

- Samantho, nie jestem pewien, czy to możliwe.

- Rozumiem. - Nie wierzę własnym uszom. Usiłuję się uśmiechnąć, mówić naturalnym tonem, jakby nic wielkiego się nie stało. - Nie szkodzi. To nieważne.

- Charlotte jest teraz bardzo zajęta... przerabiamy nasze sypialnie... to nie jest najlepszy moment...

Wydaje się niepewny, jakby chciał skończyć rozmowę. Nagle zaczynam rozumieć. Nie chodzi o Charlotte. To tylko wymówka. Guy nie chce się ze mną zadawać. Zupełnie jakby moja hańba była zaraźliwa i jego kariera mogła przez to ucierpieć. Jeszcze wczoraj byłam jego najlepszą przyjaciółką. Wczoraj, kiedy miałam zostać mianowana nową współpracowniczką, stał przy moim biurku, uśmiechając się i żartując. Dzisiaj nie chce mnie znać.

Wiem, że nie powinnam nic mówić, zachować godność, ale nie mogę się powstrzymać.

- Nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego, prawda? - wybucham.

- No coś ty! - broni się. - Nie bądź głupia.

- Nadal jestem tą samą osobą. Myślałam, że jesteś moim przyjacielem, Guy.

- Bo jestem! Nie możesz jednak oczekiwać ode mnie...

muszę się liczyć z Charlotte... nie mamy aż tylu wolnych pokoi... Posłuchaj, zadzwoń do mnie za kilka dni, może spotkamy się przy drinku...

- Naprawdę się nie martw - usiłuję kontrolować emocje. - Przepraszam, że zawracam ci głowę.

- Poczekaj! - wykrzykuje. - Nie rozłączaj się. Co zamierzasz zrobić?

- Och, Guy - udaje mi się roześmiać. - Mówisz, jakbyś rzeczywiście chciał wiedzieć. *

Wyłączam komórkę z niedowierzaniem. Wszystko się zmieniło. A może nie? Może Guy zawsze był taki właśnie, tylko ja nie zdawałam sobie z tego sprawy?

Wpatruję się w wyświetlacz komórki, oddychając ciężko. Mijają kolejne sekundy. Zastanawiam się, co robić dalej.

Nagle telefon wibruje w mojej dłoni, a ja niemal wyskakuję ze skóry. Tennyson, odczytuję na wyświetlaczu.

Mama.

Czuję spazm lęku. Pewnie już się dowiedziała. Powinnam się tego spodziewać. Mogłabym zatrzymać się u niej.

Dziwne, że nie przyszło mi to wcześniej do głowy. Otwieram klapkę telefonu i robię głęboki oddech.

- Cześć, mamó.

- Samantho - jej głos wwierca mi się w uszy. - Jak długo zamierzałaś przede mną ukrywać swoje niepowodzenie?

-pyta bez dalszych wstępów. - Czy muszę się dowiadywać o hańbie własnej córki z *Humoru internetowego*'? -
wypluwa te słowa z obrzydzeniem.

- Humor internetowy? - powtarzam słabym głosem. - Co masz na myśli?

- Nie wiedziałaś? Najwyraźniej pewne kręgi określają stratę pięćdziesięciu milionów funtów terminem „Samantha”.

Daję ci słowo, wcale nie było mi do śmiechu, kiedy to czytałam.

- Mamó, tak mi przykro...

- Na szczęście cała ta historia nie wyszła poza świat prawniczy. Rozmawiałam z ludźmi w Carter Spink i zapew-

niono mnie, iż wieść nie rozniesie się dalej. Powinnaś się cieszyć.

- Pewnie... pewnie masz rację.

- Gdzie jesteś? - przerywa mi bezpardonowo. - Gdzie teraz jesteś?

Stoję w spizarce, otoczona opakowaniami płatków śniadaniowych.

- Jestem... w czyimś domu, poza Londynem.

- Jakie masz plany?

- Nie wiem - pocieram twarz. - Muszę... muszę się zebrać w sobie, znaleźć pracę.

- Pracę - mówi zjadliwie. - Sądzisz, że teraz zatrudni cię jakaś dobra firma prawnicza?

Wzdrygam się, słysząc jej ton.

- Ja... nie wiem, mam. Dopiero co dowiedziałam się o zwolnieniu z pracy. Nie mogę...

- Owszem, możesz. Dzięki Bogu, załatwiłam to za ciebie. Załatwiła to za mnie?

- Co masz...

- Uruchomiłam wszystkie moje kontakty. Nie było to proste, ale starszy wspólnik w Fortescues przyjmie cię u siebie jutro o dziesiątej.

Wpatruję się w telefon z niedowierzaniem.

- Zorganizowałaś mi rozmowę kwalifikacyjną?

- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, przyjmą cię na stanowisko starszego asystenta - mówi mama szorstko. - Dostaniesz tę szansę jako osobistą przysługę dla mnie. Jak niewątpliwie się domyślasz, Fortescues ma pewne... wątpliwości co do twojej osoby. Jeżeli więc chcesz coś osiągnąć, Samantho, musisz naprawdę dobrze się spisać, poświęcić pracy każdą chwilę swojego życia.

- Tak - zamykam oczy. W głowie wirują myśli. Mam spotkanie w sprawie przyjęcia do pracy. Nowy początek.

Rozwiązanie moich koszmarów. Dlaczego nie czuję ulgi, wszechogarniającego szczęścia?

- Będiesz musiała dać z siebie więcej niż w Carter

100

Spink - tokuje mama prosto do mojego ucha. - Żadnych luzów ani popadania w samozadowolenie. Będziesz musiała podwójnie udowodnić, że jesteś coś warta. Rozumiesz?

- Tak - odpowiadam automatycznie.

Więcej godzin. Więcej pracy. Więcej siedzenia w biurze po nocy. Niemal czuję, jak ramiona przygniata mi podwójny ciężar. Więcej i więcej, ciężej i ciężej.

- To znaczy nie - słyszę własne słowa. - Nie, nie chcę tego. Nie chcę. Nie mogę... to zbyt wiele... *

Słowa same wychodzą z moich ust. Nie planowałam ich, nigdy nawet o nich nie myślałam, ale teraz, kiedy je wypowiedziałam, wydają mi się... właściwe.

- Słucham? - pyta ostro mama. - Samantho, co ty, do diabła, wygadujesz?

- Nie wiem - masuję czoło, próbując zrozumieć cokolwiek z tego, co powiedziałam. - Pomyślałam... że mogłabym sobie zrobić przerwę.

- Przerwa oznacza koniec twojej kariery - ucina bezpardonowo. - Ostateczny.

- Mogłabym robić coś innego.

W innym zawodzie nie przetrwałabyś nawet dwóch minut! - wydaje się urażona. - Jesteś prawnikiem. Do tego byłaś trenowana.

- Są inne rzeczy na świecie poza prawem! - wykrzykuję zdenerwowana.

Zapada złowieszcza cisza.

- Samantho, jeżeli przechodzisz jakieś załamanie nerwowe...

- Nic z tych rzeczy! - podnoszę głos z rozpacz. - To, że kwestionuję swoje dotychczasowe życie, nie oznacza, że przechodzę załamanie! Nigdy cię nie prosiłam, żebyś znalazła mi pracę. Nie wiem, czego chcę. Potrzebuję trochę czasu... do namysłu.

- Pojawisz się na tym spotkaniu, Samantho - głos mamy jest niczym uderzenie bata. - Pojawisz się tam jutro o dziesiątej.

108

- Nie!

- Powiedz, gdzie jesteś. Zaraz wyślę po ciebie samochód.

- Nie! Zostaw mnie w spokoju.

Rozłączam się, wychodzę ze spizarki i brutalnie rzucam telefon na stół. Moja twarz płonie żywym ogniem, a oczy pieką od gorących łez. Komórka zaczyna wibrować gniewnie na blacie, ale ignoruję ją. Nie zamierzam odbierać. Nie chcę z nikim rozmawiać. Teraz się czegoś napiję, a potem ugotuję ten cholerny obiad.

Nalewam sobie trochę białego wina do kieliszka i wychylam kilkoma łykami, po czym spoglądam na stertę surowych produktów, czekających na mnie na stole.

Potrafię gotować. Jestem w stanie przyrządzić ten obiad. Nawet jeżeli całe moje życie legło w gruzach, to na pewno potrafię zrobić. Umiem myśleć, jakoś to sobie wykombinuję.

Nie zwlekając, zdejmuję plastikowe opakowanie z jagnięciny. Włożę ją do pieca na jakiejś tacce. Proste. Ciecierzycę też upiekę, a potem rozgniotę i zrobię humus.

Otwieram szafkę i wyciągam z niej cały zestaw błyszczących czystością form do pieczenia. Wybieram jedną i wrzucam do niej ciecierzycę. Część ziaren odbija się od dna i spada na podłogę, ale nie przejmuję się tym. Chwytam butelkę oleju z blatu i polewam groch. Już zaczynam się czuć jak kucharka. Wkładam formę do pieca i włączam go na pełny gaz. Następnie wsadzam jagnięcinę do głębokiego żaroodpornego naczynia i także wkładam do piekarnika. Jak dotychczas idzie mi nieźle. Teraz muszę przewertować książki kucharskie Trish i znaleźć przepis na obsmażane foie gras w glazurze morelowej.

Nie znalazłam żadnego przepisu na obsmażane foie gras, nie wspominając już o glazurze morelowej. Najbardziej zbliżoną potrawą był flan morelowo-malinowy. Może uda mi się jakoś dostosować ten przepis?

- Wymieszaj palcami mąkę i masło, aż mieszanina zacznie przypominać tartą bułkę - odczytuję na głos. To nie ma

sensu. Bułka tarta? Z mąki i masła? Wpatruję się w kartkę nierozumiejącym wzrokiem. W mojej głowie szaleje burza myśli. Przed chwilą zaprzepaściłam prawdopodobnie moją jedyną szansę nowego startu. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłam. Jestem prawnikiem, do tego zostałam stworzona. Co innego miałabym robić? Co teraz ze mną będzie? O Boże! Dlaczego z piekarnika wydobywa się dym?!

Jest siódma, a ja wciąż gotuję, a przynajmniej wydaje mi się, że to robię. Oba piekarniki nastawione są na pełny gaz. Na palnikach gotują się różne rzeczy, a mikser pracuje na najwyższych obrotach. Dwa razy poparzyłam sobie prawą dłoń, próbując wyciągnąć coś z pieca. Na stole i blatach leży osiem otwartych książek kucharskich. Jedna z nich jest urna-zana olejem, inna znowu surowym żółtkiem. Czerwona na twarzy, spocona jak mysz, co jakiś czas usiłuję wkładać rękę pod strumień zimnej wody.

Gotuję tak od trzech godzin i nie zrobiłam jeszcze niczego, co dałoby się przełknąć. Jak do tej pory wyrzuciłam do śmieci zapadnięty suflet, dwie porcje przypalonej cebuli prosto z patelni oraz garnek z zakrzepniętymi morelami, już na sam ich widok zrobiło mi się niedobrze.

Nie potrafię zrozumieć, co robię źle. Zresztą nie mam na to czasu. Nie pora na analizy. Po każdym niepowodzeniu wyrzucam wszystko do kosza i zaczynam od nowa. Geigerowie oczywiście nie mają pojęcia, co się tu wyrabia.

Popijają cherry w salonie, myśląc, że wszystko idzie fantastycznie. Pół godziny temu Trish próbowała zajrzeć do kuchni, ale udało mi się jej nie wpuścić. Za niecałą godzinę oboje zasiądą w jadalni przy stole, oczekując na wykwinny obiad. Rozłożą serwetki i z niecierpliwością naleją sobie wody mineralnej.

Zalewa mnie fala hysterii. Wiem, że nie potrafię tego zrobić, ale nie wiem, czemu, nie umiem się poddać. Wciąż mam nadzieję na cud, na to, że jakoś uda mi się opanować...

O Boże, sos do pieczenia zaczyna kipieć!

Zamykam piekarnik, chwytam łyżkę i zaczynam mieszać. Sos wygląda jak obrzydliwa, grudkowata brązowa woda. Rozpaczliwie przeglądam szafki w poszukiwaniu czegoś do zagęszczenia. Mąki pszennej albo kukurydzianej, czegoś w tym stylu. Chwytam mały słoiczek wypełniony białym proszkiem i wsypuję sporą porcję do garnka. Wycieram spocone czoło. Co teraz?

Nagle przypominam sobie o białkach, które nadal ubijają się w mikserze. Chwytam książkę kucharską i przesuwam palcem po przepisie. Zmieniłam deser na torcik beżowy po tym, jak przeczytałam, że „bezy przyrządza się bardzo łatwo”.

Jak do tej pory idzie dobrze. Co dalej? Na pergaminie do pieczenia uformuj łyżką duże koło ze sztywnej masy beżowej.

Spoglądam na miskę. Sztywna masa? Moja wygląda raczej na płynną.

Musi być w porządku, mówię sobie gorączkowo. Musi. Zrobiłam wszystko tak, jak w przepisie. Może jest gęstsza, niż przypuszczam? Może kiedy zacznę ją wylewać z miski, zgęstnieje pod wpływem nieznanymi mi fizycznych praw kulinarnych?

Powoli zaczynam wylewać masę do foremki. Wcale nie gęstnieje. Zamiast tego rozlewa się jak białe jezioro i zaczyna wyciekać z tacki na podłogę, tworząc na niej wielkie lepkie kleksy. Coś mi mówi, że nie zdążę przygotować na ósmą torciku beżowego z białą czekoladą.

Biała breja spada mi na stopę. Krzyczę z frustracji. Czuję napływające do oczu łzy. Co poszło źle? Przecież zrobiłam wszystko jak w przepisie i w ogóle. Wzbiera we mnie wściekłość na samą siebie, na wybrakowane, beznadziejne białka, na książki kucharskie, na kucharzy, na jedzenie... a przede wszystkim na tego, kto napisał, że „bezy przyrządza się bardzo łatwo”.

- Nieprawda! - słyszę swój własny krzyk. - Wcale nie przyrządza się ich łatwo! - Ciskam książką przez kuchnię, prosto w drzwi.

- Co do diabła... - wykrzykuje ze zdziwieniem męski głos.

Sekundę później drzwi się otwierają i staje w nich Nathaniel, z udami niczym dwa pnie drzew w dżinsach i włosami lśniącymi w zachodzącym słońcu. Na ramieniu trzyma plecak. Wygląda, jakby wybierał się do domu.

- Wszystko w porządku? - pyta.

- Tak - odpowiadam, wystraszona. - Wszystko w porządku, dziękuję. Bardzo dziękuję. - Macham ręką, ale Nathaniel nie rusza się z miejsca. *

- Słyszałem, że gotujesz dziś wykwinny obiad - mówi wolno, spoglądając na bałagan w kuchni.

- Tak, to prawda. Jestem właśnie w... najbardziej newralgicznym stadium... - spoglądam na palnik i odruchowo wykrzykuje - Cholera! Sos!

Nie mam pojęcia, co się stało. Z garnka wydostają się wielkie brązowe bąble, wyciekając na kuchenkę i stamtąd na podłogę. Zupełnie jak w bajce o czarodziejskim młynku, który nie przestawał mleć soli.

- Na miłość boską, zdejmij to z ognia! - wykrzykuje Nathaniel. Chwyta garnek i odsuwa go z ognia. - Co ty tam dodałaś?

- Nic! - odpowiadam. - Tradycyjne składniki... Nathaniel spostrzega stojący na blacie słoiczek z białym proszkiem. Bierze go do ręki i wpatruje się weń z niedowierzaniem.

- Proszek do pieczenia? Dodajesz do sosu proszek do pieczenia? Czy tego cię uczono w... - przerywa i pociąga nosem. - Chwileczkę, czy coś się tu nie przypala?

Przyglądam się bezradnie, jak otwiera drzwiczki dolnego piekarnika i wprawna ręką chwyta tackę pełną małych czarnych kulek.

Moja ciecierzycyca. Kompletnie o niej zapomniałam.

- A co to ma być? - pyta zaskoczony. - Bobki zajęcze?

- Ciecierzycyca - odpowiadam naburmuszona. Policzki mi płoną, ale unoszę dumnie czoło, starając się zachować resztki godności. - Skropiłam je oliwą z oliwek i włożyłam do piekarnika, żeby się... roztopiły.

Nathaniel wpatruje się we mnie.

- Roztopiły?

- Zmiękły - poprawiam się pospiesznie. Nathaniel odkłada tackę i krzyżuje ramiona.

- Czy ty w ogóle wiesz cokolwiek o gotowaniu? - pyta. Zanim jestem w stanie odpowiedzieć, z mikrofalówki dochodzi nas bardzo głośny wybuch.

- O mój Boże - skrzeczę przerażona. - O Boże! Co to było?

Nathaniel zagląda do środka przez szybkę w drzwiczkach.

- Co ty tam, do cholery, włożyłaś? - pyta. - Coś wybuchło.

Gończkowo usiłuję sobie przypomnieć, co takiego włożyłam do mikrofalówki. Wszystko mi się miesza.

- Jajka! - przypominam sobie nagle. - Gotowałam jajka na twardo, do kanapek.

- W mikrofalówce? - wykrzykuje.

- Żeby oszczędzić na czasie! - niemal wrzeszczę w odpowiedzi. - Chciałam być wydajna!

Nathaniel wyciąga wtyczkę od mikrofalówki z kontaktu i odwraca się. Na jego twarzy maluje się niedowierzanie.

- Nie masz pojęcia o gotowaniu! To wszystko jeden wielki blef! Nie jesteś gosposią. Nie wiem, co zamierzasz, ale...

- Niczego nie zamierzam!

- Geigerowie to dobrzy ludzie - patrzy mi prosto w oczy. - Nie pozwolę, żeby ktoś ich wykorzystywał.

Nagle wydaje mi się bardzo groźny. Agresywny. Co on sobie wyobraża? Że jestem jakąś oszustką?

- Posłuchaj... proszę - ocieram spoconą twarz. - Nie usiłuję nikogo nabierać. W porządku, nie potrafię gotować, ale znalazłam się tutaj z powodu... nieporozumienia.

- Nieporozumienia? - unosi brwi z niedowierzaniem.

- Tak - odpowiadam ostrzej, niż zamierzałam. Opadam na krzesło i masuję zboląły krzyż. Nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem wykończona. - Uciekałam przed... przed czymś. Musiałam się gdzieś zatrzymać na noc.

Geigerowie

uznali, że jestem kandydatką na nową pomoc domową. Następnego dnia rano czułam się bardzo źle, pomyślałam więc, że mogę poudawać gosposię przez połowę dnia. Nie zamierzam zostać ani przyjąć od nich żadnych pieniędzy, jeśli tak właśnie pomyślałeś.

Zapada cisza. Wreszcie spoglądam na niego. Nathaniel opiera się o szafkę, krzyżuje ramiona. Rysy jego twarzy nieco złagodniały. Sięga po plecak i wyjmuje butelkę piwa. Podaje mi ją, potrząsam przecząco głową.

- Od czego uciekasz? - pyta, zdejmując kapsel.

Czuję w żołądku bolesny skurcz. Nie mogę się zdobyć, by opowiedzieć mu całą okropną historię.

- To pewna... sytuacja. - Spuszczam wzrok.

- Toksyczny związek? - Pociąga łyk piwa.

Przez chwilę milczę. Spoglądam wstecz na wszystkie lata, które spędziłam w Carter Spink. Niezliczone godziny mojego życia, które oddałam firmie, wszystko, co dla niej poświęciłam, wszystko zakończone jedną trzyminutową rozmową przez telefon.

- Tak - odpowiadam powoli. - Toksyczny związek.

- Jak długo trwał?

- Siedem lat. - Ku swojemu przerażeniu czuję łzy spływające po policzkach. Nie mam pojęcia, skąd się wzięły.

-Przepraszam - zachłystuję się. - To był bardzo stresujący dzień.

Nathaniel odrywa kawałek papierowego ręcznika z zamontowanej w ścianie rolki i wręcza mi go.

- Jeżeli to był toksyczny związek, to lepiej, że się od niego uwolniłaś - mówi spokojnie. - Nie ma sensu oglądać się za siebie ani myśleć o powrocie.

- Masz rację. - Wycieram oczy. - Tak. Po prostu muszę zdecydować, co mam zrobić ze swoim życiem. Nie mogę tu zostać. - Sięgam po butelkę likieru miętowego, który miałam dodać do sufletu czekoladowego, nalewam sobie trochę do kieliszka na jajko i upijam łyk.

- Geigerowie są dobrymi pracodawcami - mówi Nathaniel z lekkim wzruszeniem ramion. - Mogłaś trafić gorzej.

- Tak - uśmiecham się delikatnie. - Niestety, nie umiem gotować.

Nathaniel odstawia butelkę na stół i wyciera usta. Ma porządnie umyte ręce, ale nadal widzę ślady ziemi pod jego paznokciami i w bruzdach popękanej od pracy i słońca skóry.

- Mogłbym pogadać z mamą. Ona wspaniale gotuje. Mogłaby nauczyć cię podstaw.

Patrzę na niego ze zdumieniem. Chce mi się śmiać.

- Sugerujesz, że powinnam zostać? Myślałam, że jestem oszustką i naciągaczką. - Potrząsam głową, krzywiąc się na smak likieru miętowego. - Muszę iść.

- Szkoda - wzrusza ramionami. - Miło by było mieć na gospodarstwie kogoś, kto mówi po angielsku i robi takie doskonałe kanapki - dodaje z udawaną powagą.

- To był catering. - Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

- Ach. Tak myślałem.

Oboje spoglądamy nagle w stronę drzwi, od których dochodzi nas delikatne pukanie.

- Samantho? - słyszę ponagląjący, przyciszony głos Trish. - Słyszysz mnie?

- Eee... tak? - odkrzykuję nieco spięta.

- Nie martw się, nie będę wchodziła. Nie chcę przeszkadzać! Zapewne jesteś teraz w krytycznym stadium gotowania.

- Coś w tym rodzaju...

Chwytam spojrzenie Nathaniela i nagle wzbiera we mnie wybuch histerycznego śmiechu.

- Chciałam tylko zapytać, czy będziesz podawała przed posiłkiem sorbet?

Spoglądam na Nathaniela. Jego ramiona drgają od tłumionego śmiechu. Nie mogę się powstrzymać i parskam cicho.

Natychmiast zatykam usta dłonią i staram się uspokoić.

- Samantho?

- Nie - udaje mi się wreszcie wykrztusić. - Nie będzie żadnego sorbetu.

Nathaniel chwyta jedną z patelni, pełną przypalonej cebuli i udaje, że ją zjada. „Pycha” oznajmia bezgłośnie.

108

Łzy lecą ciurkiem po mojej twarzy i jestem bliska uduszenia się ze śmiechu.

- W takim razie do zobaczenia wkrótce!

Trish odchodzi, stukając obcasami, a ja zaczynam bezradnie chichotać. Nigdy przedtem tak się nie śmiałam. Bola mnie żebra i brzuch, kaszlę i czuję się niemal, jakbym za chwilę miała się pochorować. Wreszcie udaje mi się jakoś uspokoić. Wycieram oczy i nos. Nathaniel też przestał się śmiać i rozgląda się teraz po brudnej kuchni.

- A tak na serio, co zamierzasz z tym zrobić? Geigerowie oczekują wykwintnego posiłku - mówi.

- Wiem - czuję, że zbliża się kolejny atak śmiechu, ale jakoś udaje mi się go powstrzymać. - Wiem, że oczekują. Muszę... muszę coś wymyślić.

Zapada cisza. Widzę, że Nathaniel przygląda się ciekawie białym kleksom na podłodze.

- No dobrze - oddycham głęboko z lekkim drżeniem i odgarniam wilgotne kosmyki z twarzy. - Uratuję sytuację.

- Uratujesz sytuację? - pyta z niedowierzaniem.

- Myślę, że rozwiążę w ten sposób wszelkie problemy. - Wstaję i zaczynam wrzucać wszystko do kosza. - Najpierw jednak muszę nieco ogarnąć kuchnię...

- Pomogę ci. - Nathaniel podnosi się z krzesła. - Muszę to zobaczyć.

Solidarnie opróżniamy garnki, patelnie i formy. Niejadalne resztki wyrzucamy do kosza. Potem ja szoruję zabrudzone blaty i kuchenkę, Nathaniel zaś zmywa z podłogi bezy.

- Jak długo tu pracujesz? - pytam, gdy płucze mop w zlewie.

- Trzy lata. Pracowałem dla ludzi, którzy mieszkali tu przed Geigerami. Nazywali się Ellisowie. Dwa lata temu wprowadzili się tutaj Trish i Eddie i zatrzymali mnie.

Przetrawiam tę informację.

- Dlaczego Ellisowie się wyprowadzili? To taki piękny dom.

- Geigerowie złożyli im propozycję nie do odrzucenia -usta Nathaniela wykrzywiają się w... czy to rozbawienie?
- Co takiego? - pytam zaintrygowana. - O co chodzi?
- Cóż - odkłada mop na ziemię. - To było dość komiczne. BBC wykorzystało ten dom jako plener do jakiegoś dramatu kostiumowego. Dwa tygodnie po jego emisji u progu stanęli Trish i Eddie, wymachując czekiem. Zobaczyli dom w telewizji, zdecydowali, że chcą go kupić, odnaleźli go i tyle.
- No, no - uśmiecham się. - Pewnie zapłacili niezgorszą sumkę.
- Cholera wie, ile dali Ełlisom. Nigdy mi tego nie powiedzieli.
- Czy wiesz, w jaki sposób Geigerowie dorobili się takiej fortuny? - Wiem, że jestem wścibska, ale przyjemnie jest zajrzeć do życia innych ludzi choćby na chwilę, żeby zapomnieć o własnym.
- Założyli firmę przewozową. Zaczynali od zera, rozkręcili ją, a potem sprzedali. Zarobili na tym kupę forsy. - Nathaniel zaczyna wycierać ostatni kleks beżowy.
- A co z tobą? Co robiłeś przed podjęciem pracy u Elli-sów? - Z dreszczem obrzydzenia wyrzucam zakrzepnięte morele do miksera na odpadki.
- Pracowałem w Marchant House. To rezydencja koło Oksfordu. Wcześniej byłem na studiach.
- Na studiach? =- nadstawiam uszu. - Nie wiedziałam... -przerywam, pąsowiejąc. Zamierzałam powiedzieć: „Nie wiedziałam, że ogrodnicy studiują na uniwersytecie”.
- Nauki biologiczne. - Spogląda na mnie i zdaję sobie sprawę, że wie, o czym pomyślałam. Otwieram usta, żeby zapytać, gdzie i kiedy studiował, ale po namyśle zamykam je i włączam mikser na odpadki. Nie chcę wdawać się w szczegóły, dowiadywać się, czy mamy ze sobą coś wspólnego. Chwilowo wołałabym się obejść bez pewnego rodzaju wspomnień.
- Wreszcie kuchnia zaczyna wyglądać w miarę normalnie.

Chwytam kieliszek na jajko, dopijam reszką likieru miętowego i biorę głęboki oddech.

- No dobrze. Czas na przedstawienie.

- Powodzenia. - Nathaniel unosi brwi.

Otwieram drzwi do kuchni i widzę Trish oraz Efldiego, szwendających się w przedpokoju z kieliszkami cherry.

- Samantha! Wszystko gotowe? - Twarz Trish jest rozjaśniona oczekiwaniem. Czuję nieprzyjemny skurcz, gdy opada mnie poczucie winy za to, co muszę zrobić. Nie widzę jednak innego wyjścia. Oddycham głęboko i przybieram jedną z wypracowanych min, których używam, gdy muszę przekazać klientowi złe wieści.

- Pani Geiger, panie Geiger - spoglądam im w oczy, upewniając się, że mnie słuchają. - Jestem zdruzgotana. - Zamykam oczy i potrząsam głową.

- Zdruzgotana? - powtarza nerwowo Trish.

- Zrobiłam, co w mojej mocy - otwieram oczy. - Obawiam się jednak, że nie mogę pracować z państwa wyposażeniem kuchennym. Obiad, który przygotowałam, nie dorównał moim profesjonalnym standardom. Nie mogłam pozwolić, aby wyszedł poza kuchnię. Oczywiście zwrócę pieniądze za składniki... i natychmiast złożę rezygnację. Odejdę jutro rano.

Proszę bardzo. Załatwione. Obeszło się bez ofiar.

Nie mogę powstrzymać się przed spojrzeniem na Nathaniela, który stoi w drzwiach kuchni. Kiwa głową z lekkim uśmiechem i pokazuje mi zwrócony w górę kciuk.

- Odejdiesz? - Trish spogląda na mnie z konsternacją, wytrzeszczając przeraźliwie błękitne oczy. - Nie możesz odejść! Jesteś najlepszą gospożą, jaką kiedykolwiek mieliśmy! Eddie, zrób coś!

- Pani Geiger, po dzisiejszej porażce uważam, że nie mam innego wyboru - mówię. - Szczerze powiedziawszy, obiad był niezjadliwy.

- To nie twoja wina! - rzuca pospiesznie Trish. - To przez nas! Zaraz zamówimy nowe wyposażenie.

- Ale...

- Po prostu powiedz, czego potrzebujesz. Bez względu na koszty! Poza tym, damy ci podwyżkę! - Nagle przychodzi jej do głowy nowy pomysł. - Ile chcesz? Wymień sumę!

Ta rozmowa naprawdę nie idzie w spodziewanym kierunku.

- Ja... właściwie to nigdy nie rozmawialiśmy o pensji... - Spoglądam w ziemię, lekko zażenowana.

- Eddie! - Trish spogląda na męża wściekła. - To twoja wina! Samantha odchodzi, bo nie płacisz jej wystarczająco dużo!

- Nie powiedziałam... - zaczynam bezradnie.

- Poza tym potrzebuje nowych garnków i patelni. Najlepszych firm. - Dźga Eddiego w żebra łokciem i mruczy: - Powiedz coś.

- A... Samantho. - Eddie chrząka niepewnie. - Będziemy bardzo szczęśliwi, jeśli rozważysz możliwość pozostania z nami. Byliśmy zachwyceni twoją dotychczasową pracą i jakiegokolwiek są twoje oczekiwania płacowe... jesteśmy w stanie im dorównać. - Trish znów dźga go w żebra. - A nawet je przewyższyc - dodaje Eddie.

- Poza tym wykupimy ci ubezpieczenie zdrowotne - mówi Trish. Oboje spoglądają na mnie z nadzieją. Zerkam na Nathaniela, który kiwa głową, jakby chciał powiedzieć: „Czemu nie?”. Czuję coś bardzo dziwnego. W ciągu ostatnich dziesięciu minut troje ludzi pokazało mi, że mnie potrzebuje.

Mogłabym zostać. Jestem pewna, że potrafię nauczyć się tego wszystkiego.

Cisza przeradza się w napięcie. Nawet Nathaniel spogląda na mnie wyczekująco z progu kuchni.

- Cóż... zgadzam się - czuję, jak na moją twarz wypełza uśmiech. - Dobrze. Jeżeli państwo nalegają... zostanę.

Później, wieczorem, po spożyciu chińszczyzny na wynos, wyciągam komórkę i dzwonię do biura matki. Czekam, aż włączy się automatyczna sekretarka.

- Wszystko w porządku, mamó - mówię. - Nie musisz

wykorzystywać dla mnie swoich znajomości. Sama znalazłam pracę. - Z tymi słowy się rozłączam. Zupełnie jakby ktoś przeciął niewidoczne więzy. Czuję się wolna.

10

Jedyny problem polega na tym, że teraz naprawdę muszę być gospożą.

Nastawiam budzik na bardzo wczesną godzinę i następnego poranka pojawia się w kuchni przed siódmą, przystrojona w fartuszek. W ogrodzie zalega mgła. Nie słychać żadnych odgłosów poza skrzeczeniem srok siedzących na trawniku. Czuję się, jakbym była jedyną osobą na całym świecie, która już nie śpi.

Tak cicho, jak potrafię, opróżniam zmywarkę i wkładam wszystko na miejsce, do szafek. Poprawiam wsunięte pod stół krzesła, przyrządzam sobie filiżankę kawy i rozglądam się po błyszczących granitowych blatach.

Moje królestwo.

Tylko że nie wygląda na moje królestwo, ale na obcą, przerażającą kuchnię.

No dobrze... co powinnam teraz zrobić? Już samo przebywanie tutaj wywołuje we mnie strach. Powinnam się czymś zająć. Mój wzrok pada na stary egzemplarz „Ekonomisty” leżący w stojaku obok stołu. Wyciągam go, wertuję i popijając kawę, zaczynam czytać interesujący artykuł o międzynarodowym systemie kontroli monetarnej.

Nagle z góry dobiegają mnie jakieś odgłosy. Szybko odkładam gazetę. Gospoście nie powinny czytywać artykułów o międzynarodowym systemie kontroli monetarnej, lecz krzątać się po kuchni, szykując dżem.

Tyle że w szafce jest już cała półka dżemów, a poza tym

1 tak nie wiedziałabym, jak go zrobić.

120

Co jeszcze? Co robią gospoście przez cały dzień? Rozglądam się po kuchni, która wygląda na idealnie wysprzątaną. Przychodzi mi do głowy, że mogłabym przyszykować śniadanie, ale nie wiem, czego sobie życzą Geigerowie... Nagle przypominam sobie wczorajszy poranek, kiedy Trish zrobiła mi herbatę. Może dzisiaj powinnam się odwdziaczyć?! Może oboje czekają teraz na górze, stukając niecierpliwie palcami o stolik nocny i zastanawiając się, gdzie jest ta cholerna herbata?!

Szybko wstawiam czajnik i zaparzam cały dzbanek herbaty. Stawiam go na tacy wraz z filiżankami i spodeczkami. Po chwili zastanowienia dorzucam jeszcze kilka herbatników. Wchodzę na górę, przemierzam cichy, opustoszały korytarz i zatrzymuję się przed drzwiami prowadzącymi do sypialni Trish i Eddiego.

I co teraz?

Jeśli jeszcze śpią, a ja ich obudzę?

Postanawiam, że bardzo cichutko zapukam. Tak, to będzie krótkie, dyskretne gosposiowe pukanie do drzwi. Unoszę dłoń, ale taca jest zbyt ciężka, żeby utrzymać ją w jednej ręce. Przechyliła się niebezpiecznie w jedną stronę i cała zastawa z alarmującym brzęczeniem zsuwa się na bok. Przestraszona, chwytam tacę drugą ręką w ostatnim momencie, zanim spada z niej dzbanek herbaty. Pocąc się obficie, odstawiam wszystko na ziemię, pukam cicho i ponownie chwytam tacę w obie ręce.

Nikt nie odpowiada. Co teraz? Z wahaniem pukam jeszcze raz.

- Eddie! Przestań! - dobiega spoza drzwi stłumiony głos Trish.

Dlaczego mnie nie słyszą?

Czuję rozlewające się po całym ciele gorąco. Taca jest cholernie ciężka. Nie mogę stać przed ich drzwiami z dzbankiem herbaty przez cały poranek. Czy mam się wycofać?

Już zamierzam się odwrócić i odejść, kiedy nagle wstępuje we mnie determinacja. Nie. Nie bądź taka niezdecydowana.

Przygotowałaś herbatę i podasz ją Geigerom. A przynajmniej spróbujesz. Zawsze mogą cię odesłać na dół.

Chwytam tackę mocniej i stukam jej rogiem w drzwi. To już musieli usłyszeć.

Po chwili słyszę podniesiony głos Trish:

- Proszę!

Czuję przypływ ulgi. Wszystko w porządku. Spodziewali się mnie. Wiedziałam, że tak będzie. Jakimś cudem udaje mi się przekręcić klamkę w drzwiach, jednocześnie trzymając w ręku tacę. Popycham drzwi i wchodzę do pokoju.

Trish spogląda na mnie z łóżka, na którym leży rozparta na poduszkach. Jest sama. Ma na sobie jedwabną koszulę nocną, włosy w nieładzie i rozmazany wokół oczu makijaż. Przez chwilę wygląda na zaskoczoną moim widokiem.

- Samantha, o co chodzi? - pyta ostro. - Czy coś się stało?

Mam okropne wrażenie, że zrobiłam coś niewłaściwego. Nie spuszczam z niej wzroku, ale kątem oka zaczynam rejestrować kilka szczegółów pokoju. Na przykład leżącą na podłodze książkę pod tytułem *Zmysłowe rozkosze*, buteleczkę olejku do masażu o zapachu piżma i... bardzo zużyty egzemplarz *Radość seksu*, leżący tuż przy łóżku. Otwarty na „stylu tureckim”.

Ach tak. Czyli jednak nie oczekiwali porannej herbaty. Przełykam, usiłując zachować spokój, desperacko udaję, że niczego nie zauważyłam.

- Przyniosłam państwu herbatę - mówię zdenerwowanym głosem. - Pomyślałam, że zechcieliby się państwo napić.

Nie patrz na *Radość seksu*. Spoglądaj prosto przed siebie. Trish wyraźnie się odpręży.

- Jesteś prawdziwym skarbem! Postaw tutaj. - Macha niedbale w kierunku szafki nocnej.

Ruszam w jej kierunku, kiedy nagle drzwi do łazienki otwierają się i staje w nich Eddie, ubrany jedynie w przyciasne bokserki. Ma niesamowicie owłosioną klatkę piersiową.

Jezu!

Jakimś cudem udaje mi się nie upuścić tacy na ziemię.

- Ja... ja przepraszam - wycofuję się, jękając. - Nie wiedziałam...

- Nie bądź głuptasem! No dalej! - wykrzykuje Trish, nagle zadowolona z mojej obecności w jej sypialni. - Nie jesteśmy pruderyjni.

Tak, widzę, chociaż wolałabym, żeby byli. Ostrożnie podchodzę do łóżka, starając się po drodze nie podeptać fioleto-woróżowego koronkowego stanika. Odsuwam na bok stojące na szafce nocnej zdjęcie Trish i Eddiego w jacuzzi, trzymających kieliszki z szampanem, i stawiam tacę z herbatą. Szybko nalewam do filiżanek i podaję Geigerom. Nie mogę spojrzeć Eddiemu w oczy. W jakim innym zawodzie człowiek ma okazję widywać swojego szefa nago? Przychodzi mi na myśl tylko jeden, niezbyt zachęcający.

- W takim razie... już pójdę - mamrocze ze spuszczoną głową.

- Nie tak szybko. - Trish z lubością popija herbatę. - Skoro już tu jesteś, chciałam z tobą porozmawiać. Dowiedzieć się, na czym stoimy.

- Rozumiem.

Ramięczko zsunęło jej się z ramienia i tuż nad rąbkiem koszuli nocnej widzę brzeg jej sutka. Szybko uciekam wzrokiem w bok, wprost na *Radość seksu*, otwarte na zdjęciu brodatego faceta, wygiętego w dziwacznej pozycji. Wbrew swojej woli wyobrażam sobie Trish i Eddiego w takiej pozycji.

Nie. Przestań!

Czuje, że twarz płonie mi z zażenowania. Co to za surrealistyczne dziwactwo? Stoję w sypialni dwojga właściwie nieznanym mi ludzi, którzy niemal demonstrują mi sposób, w jaki uprawiają seks, a przy tym wszystkim wcale nie wydają się zmieszani... Nagle przychodzi olśnienie. Oczywiście! Jestem ich pomocą domową. Nie liczę się.

- Czy wszystko w porządku, Samantha? - Trish odstawia filiżankę i spogląda na mnie świdrującym wzrokiem. - Wypracowałaś sobie plan działania? Wszystko pod kontrolą?

123

- Oczywiście - szukam słów o odpowiednio profesjonalnym brzmieniu. - W istocie posuwam... - Cholera! - To znaczy, wszystko jest stosunkowo... - Do diabła! - Wszystko jest pod kontrolą.

- Znakomicie! - wykrzykuje Trish. - Tak myślałam! Nie trzeba cię oprowadzać! Wiesz, gdzie wszystko jest, prawda?

- Tak sędzę!

Trish uśmiecha się do mnie promiennie i upija nieco herbaty.

- Rozumiem, że będziesz dzisiaj robiła pranie. Pranie. O tym nie pomyślałam.

- Chciałabym również, żebyś zmieniła pościel, kiedy będziesz ścieliła łóżka.

Ścieliła łóżka? To również nie przyszło mi wcześniej do głowy. Czuję delikatny skurcz paniki. Nie tylko nie mam wszystkiego pod kontrolą, ale wręcz nie mam bladego pojęcia, co składa się na owo „wszystko”.

- Oczywiście mam swoją ustaloną... rutynę - mówię pozornie niedbałym tonem. - Myślę, że byłoby dobrze, gdyby sporządziła pani dla mnie listę obowiązków.

- Och. - Trish wygląda na nieco zirytowaną. - Jeżeli rzeczywiście jej potrzebujesz...

- Ja z kolei muszę z tobą później porozmawiać o warunkach kontraktu - odzywa się Eddie, który stoi przed lustrem z ciężarami. - Dowiesz się wtedy, w co się wplątałaś - chichocze, a potem^z lekkim stęknięciem podnosi sztangę nad głowę. Jego brzuch marszczy się przy tym wysiłku. Nie wygląda to zbyt dobrze.

- W takim razie... wracam do... swoich spraw. - Ze wzrokiem utkwionym w ziemi zaczynam się wycofywać w kierunku drzwi.

- Do zobaczenia później, przy śniadaniu. - Trish macha do mnie radośnie z łóżka. - Ciao, ciao!

Nie mogę nadażyć za jej zmianami nastroju. Co chwila przeskakujemy od relacji między pracownikiem a pracodawcą

do przyjacielskich więzi między pasażerami płynącymi na tym samym luksusowym statku.

- W takim razie... do zobaczenia - odpowiadam, starając się przybrać równie radosny ton. Dygam, przestępuję nad staniem Trish i wychodzę z pokoju tak szybko, jak potrafię.

Śniadanie okazuje się małym koszmarem. Dopiero za trzecim podejściem udaje mi się odkryć, jak przekraja się grejpfruta na pół. Dlaczego to musi być takie skomplikowane? Powinni sprzedawać grejpfruta z jakimiś rysunkami pomocniczymi albo jakoś je nacinać dla ułatwienia.

Tymczasem wygotowuje mi się kawa i kipi mleko. Kiedy zaś przepycham na dół sitko kafeterki, płyn eksploduje z niej na blat. Na szczęście Trish i Eddie są pochłonięci kłótnią o to, gdzie pojechać na najbliższe wakacje, i nie dostrzegają tego, co dzieje się w kuchni. Wydają się również nie słyszeć moich wrzasków.

Dobra nasza, chyba udało mi się opanować posługiwanie się tosterem.

Kiedy Geigerowie kończą śniadanie, wkładam brudne naczynia do zmywarki i desperacko próbuję sobie przypomnieć, jak udało mi się ją nastawić wczoraj wieczorem. W tej chwili w kuchni pojawia się Trish:

- Samantho, pan Geiger prosi cię do gabinetu. Chce porozmawiać o kontrakcie i twojej pensji. Nie każ mu czekać!

- Tak jest, proszę pani - dygam, wyglądam fartuszek i wychodzę na korytarz. Podchodzę do drzwi gabinetu Eddie-go i pukam dwukrotnie.

- Proszę! - słyszę jowialny głos. Wchodzę.

Eddie siedzi za ogromnym biurkiem z mahoniem i garbowanej skóry. Na szczęście jest już ubrany w beżowe spodnie i podkoszulek. Przed sobą ma bardzo kosztowny laptop. W całym pokoju pachnie wodą po goleniu.

- Ach, Samantha! Gotowa na nasze małe spotkanie?

wskazuje na drewniane krzesło z wysokim oparciem. Siadam. - No dobrze! Oto dokument, na który czekałaś! Z namaszczeniem podaje mi folder zatytułowany UMOWA O PRACĘ NA STANOWISKU GOSPODYNI DOMOWEJ. W środku znajduję kartkę papieru welinowego, wyglądającego niczym stary zwój papirusu. Na nim ozdobną czcionką w stylu średniowiecznym napisano:

UMOWA Między Samanthą Sweeting oraz Panią i Panem Geiger Zawarta drugiego dnia lipca Roku Pańskiego dwa tysiące czwartego.

- Niesamowite - mówię zaskoczona. - Czy... czy przygotował to jakiś prawnik?

Nie potrafię sobie wyobrazić żadnego profesjonalisty, który wypisywałby kontrakty disnejowską czcionką, nie mówiąc już o umieszczaniu ich na fałszywym pergaminie.

- Nie potrzebuję prawnika - chichocze Eddie. - Nie dam się nabrać na te gierki. Za kilka bajeranckich łacińskich słówek zedrą z ciebie fortunę. Uwierz mi, Samantho, tego typu rzeczy łatwo jest spisać samemu, jeśli się ma odrobinę oleju w głowie - puszcza do mnie oko.

- Jestem pewna, że ma pan rację - odpowiadam wreszcie. Przewracam kartkę i czytam kolejne punkty umowy.

O mój Boże, co to za bełkot? Muszę zagryzać usta, kiedy widzę kolejne sformułowania.

...Samanthą Sweeting (od chwili tej zwana POWÓDKA)...

Powódką? Czy on w ogóle wie, co to znaczy?

...o ile, pomimo dostarczania usług kulinarnych w sposób, który ustalono prima facie, włączając w to, lecz nie wykluczając, lekkie posiłki i przekąski...

Zaciskam usta. Nie wolno mi się roześmiać.

Zgodnie z powyższym, ipso facto, wszystkie strony zachowają wyżej wymienione prawa ponad wszelką wątpliwość.

Co? Co takiego? To kompletny, nonsensowny miszmasz. Wyrażenia z żargonu prawniczego wyrwane z kontekstu i połączone w nic nieznaczący tekst, który prawdopodobnie miał zrobić na mnie wrażenie. Przeglądam resztę dokumentu, rozpaczliwie starając się zachować powagę. Jednocześnie myślę o jakiejś rozsądnej odpowiedzi.

- Wiem, wygląda to bardzo groźnie! - mówi Eddie, źle odczytując moje milczenie. - Nie bój się tych wszystkich trudnych słów. To naprawdę bardzo proste! Przeczytałaś już ustęp o wysokości swoich zarobków?

Spoglądam szybko na sumę wydrukowaną tłustą czcionką> opatrzoną tytułem „Wypłata tygodniowa”. Wynosi nieco mniej niż moja stawka godzinowa za pracę w firmie prawniczej.

- To niezwykle hojne z państwa strony - odpowiadam po chwili. - Bardzo panu dziękuję.

- Czy jest coś, czego nie rozumiesz? - Eddie uśmiecha się dobrodusznie. - Nie bój się, po prostu powiedz.

Od czego mam zacząć.

- No... ten fragment - wskazuję na punkt 7: „Godziny pracy”. - Czy to oznacza, że będę miała wolne weekendy?

Wszystkie?

- Oczywiście - Eddie wydaje się zaskoczony. - Nie możemy oczekiwać od ciebie pracy w dni wolne! Chyba że jest po temu specjalna okazja, w którym to przypadku zapłacimy ci dodatkowo... mówi o tym punkt dziewiąty.

Nie słucham go. Wszystkie weekendy wolne. Nie mogę tego pojąć. Od dwunastego roku życia nie miałam ani jednego weekendu dla siebie.

- To wspaniale. - Spoglądam na niego i nie mogę powstrzymać uśmiechu. - Bardzo dziękuję.

120

- Czy twoi poprzedni pracodawcy kazali ci pracować w weekendy? - Eddie jest zaskoczony.

- Hmm, zazwyczaj tak - odpowiadam zgodnie z prawdą.

- Co za wyzysk. Istne niewolnictwo! Przekonasz się, że my jesteśmy znacznie rozsądniejsi. - Rozpromienia się. -A teraz zostawię cię na chwilę samą, żebyś uważnie przeczytała umowę, zanim ją podpiszesz.

- Właściwie to już przeczytałam... - przerywam, kiedy Eddie unosi dłoń w geście nagany. ^

- Samantho - mówi dobrodusznie, potrząsając głową. -Dam ci dobrą radę, która pomoże ci przetrwać w tym niebezpiecznym świecie. Zawsze czytaj bardzo uważnie wszelkie legalne dokumenty.

Spoglądam na niego przez dłuższą chwilę w milczeniu i aż kręci mnie w nosie z wysiłku, by utrzymać poważną minę.

- Tak proszę pana - odpowiadam wreszcie. - Postaram się to zapamiętać.

Eddie wychodzi, a ja przeglądam raz jeszcze kontrakt, wywracając oczami. Biorę do ręki ołówek i automatycznie zaczynam poprawiać tekst, zmieniając szyk i treść zdań, dodając uwagi na marginesie i wykreślając niepotrzebne fragmenty. Potem nagle przerywam. Co ja robię, do cholery?

Chwytam gumkę i pospiesznie ścieram wszystkie poprawki. Potem biorę do ręki długopis i spoglądam na dół strony, gdzie rysunkowa sowa w czapce prawnika wskazuje na linię kropkowaną.

Imię: Samantha Sweeting Zawód:

Waham się przez chwilę, a potem podaję: „Gospodyni domowa”. Wpisując te słowa, czuję rosnące niedowierzenie. To wszystko dzieje się naprawdę. Zaakceptowałam pracę gosposi, kompletne przeciwieństwo mojego poprzedniego życia i to w każdym znaczeniu tego słowa. Nikt ze znanych mi osób nie wie, co robię.

Nagle przed oczami staje mi twarz matki. Wyobrażam sobie, jaką minę by zrobiła, gdyby się dowiedziała, gdzie teraz jestem... Jeśli zobaczyłaby mnie w tym fartuszkach, chyba... wpadłaby w szal. Przez chwilę mam ochotę zadzwonić do niej i opowiedzieć wszystko. Nie robię tego jednak. Poza tym nie mam czasu o tym myśleć. Muszę zrobić pranie.

Dopiero za drugim obróceniem udaje mi się przynieść wszystkie brudne rzeczy do pralni. Rzucam przeładowane kosze na wyłożoną terakotą podłogę i spoglądam na supernowoczesną pralkę. To powinno być proste.

Nie jestem zbyt doświadczona w tych sprawach. Dotychczas odsyłałam wszystko, z wyjątkiem bielizny, do pralni. To przecież jednak nie znaczy, że nie potrafię zrobić prania. Muszę po prostu ruszyć głową. Otwieram drzwiczki i natychmiast elektroniczny wyświetlacz zaczyna mrugać na mnie pytająco: „PRANIE? PRANIE?”. Wytrąca mnie to z równowagi. Oczywiście, że pranie, chcę odwarknąć głupiej maszynie. Daj mi szansę załadować do środka rzeczy. Biorę głęboki oddech. Tylko spokój może mnie uratować. Wszystko po kolei. Najpierw napełnić pralkę. Biorę z koszyka naręczne brudnych rzeczy - i zatrzymuję się w połowie ruchu.

Nie. Pierwszy krok to sortowanie. Jestem zadowolona, że przyszła mi do głowy tak genialna myśl. Zaczynam segregować brudne rzeczy na osobne kupki, w zależności od informacji zawartej na metkach.

Produkt biały. Prać w 40°C.

Produkt biały. Prać w 90°C.

Prać po lewej stronie.

Rzeczy kolorowe prać osobno.

Prać ostrożnie.

Prać bardzo delikatnie.

Zanim rozprawiam się z pierwszym koszem, jestem kompletnie zdezorientowana. Rozdzieliłam rzeczy na dwadzieścia różnych kupek, z których większość zawiera tylko jedną sztu-

kę ubrania. To idiotyczne. Nie mogę nastawić dwudziestu osobnych prań. Zajmie mi to cały tydzień. Co mam zrobić? Jakim cudem mam się z tym rozprawić? Czuję się otumaniona. Spędziłam tu już dwadzieścia minut i nawet nie zaczęłam prania.

No dobrze. Bądźmy rozsądni. Ludzie na całym świecie robią to codziennie. Pranie nie może być aż tak trudne. Po prostu będę musiała nieco inaczej to posegregować. Podnoszę z podłogi jedną kupkę i wrzucam do pralki. Potem otwieram pobliską szafkę, w której stoi cały zestaw proszków do prania. Który mam wybrać? W mojej głowie roi się od słów zasłyszanych w reklamach telewizyjnych. „Pranie bielsze, niż myślisz”. „Jeszcze bielsza biel”.

„Niebiologiczny”. „Dłuższe życie twojej pralki to Calgon”.

Nie obchodzi mnie, czy pralka będzie żyła dłużej. Chcę po prostu wyprać te cholerne rzeczy!

Koniec końców biorę pudełko, na którym widnieje zdjęcie białych podkoszulków, wsypuję trochę proszku do pojemnika na górze i dla wszelkiej pewności dodaję jeszcze małą porcyjkę bezpośrednio do bębna. Zamykam drzwiczki. Co teraz?

PRANIE?, mruga do mnie maszyna. PRANIE?

- Eee... tak - mówię. - Pranie. -1 naciskam guzik.

WYBIERZ PROGRAM, odpowiada wyświetlacz. Szukam wzrokiem wskazówek i znajduję opis techniczny, wetknięty za butelkę sprayu. Chwytam go i zaczynam wertować.

„Opcja prania oszczędnego przy małej ilości rzeczy jest dostępna tylko dla programów z praniem wstępnym A3-E2 oraz programów z dodatkowym płukaniem G2-L7, z wyjątkiem programu H4”.

Co takiego? Chwileczkę. Mam dyplom uniwersytetu w Cambridge, znam łacinę, powinnam to rozumieć. Przenoszę wzrok na następną stronę.

„Programy E5 i FI nie wykonują wirowania, chyba że przycisk z napisem «S» zostanie włączony na pięć sekund przed uruchomieniem programu lub na dziesięć sekund w trakcie trwania programu E5 (wyłączywszy tkaniny wełniane)”.

130

Nie mogę tego pojąć. Egzamin z sądownictwa korporacyjnego był milion razy łatwiejszy niż to. Dobrze, zapomnijmy o opisie technicznym. Na pewno wystarczy zwykły zdrowy rozsądek. Z profesjonalnym wyrazem twarzy gospodyni domowej wciskam klawisz.

PROGRAM K3, wyświetla pralka. PROGRAM K3. Nie podoba mi się ta nazwa. Brzmi złowrogo, jak bardzo stromy szczyt albo kod spisku rządowego.

- Nie - mówię na głos, waląc pięścią w maszynę. - Chcę jakiś inny program.

WYBRANO PROGRAM K3, odpowiada pralka.

- Ale ja nie chcę programu K3! - krzyczę zdenerwowana. - Wybierz coś innego! - Naciskam wszystkie klawisze, ale pralka kompletnie mnie ignoruje. Słyszę, jak do bębna wlewa się woda, a potem nagle zapala się zielone światło.

PROGRAM K3 ROZPOCZĘTY, pojawia się na wyświetlaczu. PRANIE TAPICERKI PRZEMYSŁOWEJ.

Przemysłowej? Tapicerki?

- Zatrzymaj się - mówię bez tchu i zaczynam walić w klawisze. - Stop! - Kopię pralkę rozpaczliwie. - Zatrzymaj się!

- Wszystko w porządku? - dobiega mnie z kuchni głos Trish. Odskakuję od pralki i przyglądam włosy.

- O tak, wszystko w porządku! - uśmiecham się profesjonalnie, gdy staje w drzwiach. - Ja tylko... nastawiałam właśnie pranie.

- Wspaniale. - Trish wyciąga w moim kierunku prążkowaną koszulę. - Pan Geiger chciał, żebyś przyszyła mu guzik, jeśli możesz...

- Naturalnie! - Biorę od niej koszulę, przełykając nerwowo ślinę.

- A oto spis twoich obowiązków - wręcza mi kartkę papieru. - Oczywiście nie jest pełny, ale na początek powinno wystarczyć...

Przebiegam wzrokiem po niekończącej się liście i czuję nagłą słabość.

Posłać łóżka... zamieść i umyć schody przed wejściem...

ułożyć kwiaty w wazonach... wypolerować wszystkie lustra... utrzymywać porządek w szafkach... pranie... codziennie sprzątać w łazience...

- Chyba nie będziesz miała z tym problemu, prawda? - pyta Trish.

- Nie! Oczywiście, że nie! - odpowiadam stłumionym głosem. - Powinam sobie poradzić.

- Najpierw jednak zrób prasowanie - ciągnie zdecydowanie Trish. - Obawiam się, że sporo się tego nazbierało, jak zresztą pewnie zauważyłaś. Zazwyczaj nie dopuszczamy do tego... - Z jakiegoś powodu Trish spogląda w górę.

Mając coraz gorsze przeczucia, podążam za jej wzrokiem. Na drewnianym stojaku do suszenia bielizny piętrzy się sterta pogniecionych koszul. Jest ich przynajmniej ze trzydzieści. Wpatruję się w nie z drżeniem. Nie potrafię prasować koszul. Nigdy w życiu nie używałam żelazka. Co ja teraz zrobię?

- Z pewnością nie zabierze ci to zbyt wiele czasu - rzuca beztrąsko Trish. - Deska do prasowania jest tam - pokazuje głową.

- Ach, dziękuję - udaje mi się wykrztusić.

Najważniejsze, żeby sprawić odpowiednie wrażenie. Wyciągnę to urządzenie, poczekam, aż wyjdzie... a potem coś wymyślę.

Sięgam po deskę, usiłuję wyglądać, jakbym robiła to przez całe życie. Pociągam jedną z metalowych nóg, ale ona ani drgnie. Próbuję tego samego z drugą, bezskutecznie. Szarpię coraz mocniej, wreszcie robię się czerwona z wysiłku, ale ta cholerna noga nie chce się ruszyć. Jak, do cholery, mam rozłożyć tę deskę?

- Ma zatrzask - mówi Trish, przyglądając mi się ze zdziwieniem. - Pod spodem.

- Ach! No tak! - Uśmiecham się w odpowiedzi, pochylam się nad deską, rozpaczliwie obmacując spód, aż wreszcie bez zapowiedzi wszystko się rozkłada. Rozsuwane nóżki rozjeżdżają się na boki i zatrzymują, umieszczając deskę na wysokości pół metra nad podłogą.

- Tak! - chichoczę nerwowo. - Zaraz to... ustawię na odpowiednią wysokość.

Podnoszę deskę i usiłuję przestawić nogi, które nie chcą się ruszyć na milimetr. Moje policzki płoną ze wstydu, gdy tak szarpie się bezskutecznie z deską do prasowania, obracając ją na wszystkie strony. Jak to działa, do stu diabłów?

- Z drugiej strony lubię prasować nisko. Zostawię to tak, jak jest - rzucam niezobowiązującym tonem.

- Nie możesz prasować na takiej wysokości! - Trish, zaskoczona, wybucha śmiechem. - Pociągnij za dźwignię.

Musisz zrobić to dość gwałtownie... pokażę ci.

Przejmuje deskę i w dwie sekundy ustawia ją na odpowiedniej wysokości.

- Zapewne używałaś innego modelu - rzuca wyrozumiałym tonem, kończąc swe dzieło. - Producenci zawsze dodają do nich swoje małe sztuczki.

- Właśnie - odpowiadam, chwytając się z ulgą tego wytłumaczenia. - Oczywiście. Jestem przyzwyczajona do korzystania z... Nimbusa 2000.

Trish spogląda na mnie zdziwiona.

- Czy to nie była przypadkiem ta miotła z *Harry'ego Pottera*!

- Owszem - odpowiadam czerwona jak burak. - Przy okazji jest to również dobrze znana deska do prasowania. Moim zdaniem, miotła została nazwana na cześć owej deski.

- Naprawdę? - Trish jest autentycznie zafascynowana. - Nie wiedziałam o tym! - Ku mojemu przerażeniu opiera się wyczekująco o drzwi i zapala papierosa. - Nie przejmuj się mną. Zaczynaj!

Zaczynaj?

- Żelazko jest za tobą - macha ręką.

- Aaa... tak, świetnie, dziękuję! - Chwytam je i włączam do kontaktu, tak powoli, jak to tylko możliwe. Serce kołacze mi ze strachu. Nie mogę tego zrobić. Muszę znaleźć jakieś wyjście, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Czuję się kompletnie odmóżdżona.

- Pewnie już się wystarczająco nagrzało - podpowiada Trish.

- O tak! - uśmiecham się do niej blado.

Nie mam wyboru, muszę zacząć prasować. Sięgam po jedną z koszul i rozkładam ją niezdarnie na desce, grając na zwłokę. Nie mam pojęcia, od czego zacząć.

- Pan Geiger nie lubi zbyt wykrochmalonych kołnierzyków - rzuca Trish.

Jakich kołnierzyków? Rozglądam się z paniką i "mój wzrok pada na butelkę podpisaną: „Krochmal w sprayu”.

- Rozumiem - przelykam, starając się ukryć przerażenie. - Ja... krochmalic będę dopiero... za chwilę.

Nie mogę w to uwierzyć, ale chwytam żelazko w dłoń. Jest dużo cięższe, niż przypuszczałam, i wypuszcza z siebie przerażające ilości pary. Bardzo ostrożnie zaczynam opuszczać je w kierunku bawełnianej koszuli. Nie mam pojęcia, gdzie celuję. Chyba mam zamknięte oczy. Nagle w kuchni rozlega się dzwonek telefonu. Dzięki Bogu... dzięki Bogu... stokrotne dzięki...

- Kto to może być? - Trish marszczy brwi. - Przepraszam, Samantho, chyba powinnam odebrać...

- Ależ nie ma sprawy! - skrzeczę. - Zajmę się tu wszystkim sama...

Gdy tylko Trish wychodzi z pomieszczenia, odkładam z łomotem żelazko i chowam twarz w dłoniach. Chyba zwariowałam. To się nie może udać. Nie jestem stworzona do roli gospodyni domowej. Żelazko wydmuchuje parę prosto w moją twarz. Piszczę ze strachu, po czym wyłączam je i opieram się bezsilnie o ścianę. Nie minęło jeszcze wpół do dziesiątej, a jestem już na skraju załamania nerwowego.

A myślałam, że to praca prawnika jest stresująca.

Do czasu, gdy Trish wraca z kuchni, udaje mi się jakoś pozbiierać. Potrafię to zrobić. Oczywiście, że tak! To nie jest fizyka kwantowa, tylko prace domowe.

- Samantho, obawiam się, że będziemy cię musieli dziś opuścić - mówi Trish zmartwionym głosem. - Pan Geiger pojechał na partię golfa, ja zaś wybieram się z odwiedzinami do mojej drogiej przyjaciółki, zobaczyć jej nowego mercedesa. Nie przeszkadza ci, że zostaniesz tu całkiem sama?

- O nie, absolutnie! - usiłuję ukryć radość. - Proszę się o mnie nie martwić, naprawdę. Po prostu zrobię, co do mnie należy...

- Skończyłaś już prasowanie? - Spogląda z uznaniem w stronę pralni.

Czy skończyłam? Co ona sobie wyobraża, że jestem super-manką?

- Właściwie to chciałam zostawić prasowanie na później, najpierw posprzątam dom - mówię z przekonaniem. - Tak zazwyczaj robię.

- Oczywiście. - Trish kiwa głową gorliwie. - Cokolwiek ci odpowiada. Obawiam się, że nie będzie mnie tutaj, gdybyś miała jakieś pytania, ale Nathaniel ci pomoże! - Gestem przywołuje kogoś zza drzwi. - Poznaliście się już, prawda?

- Och, ja... tak - odpowiadam, gdy wchodzi do kuchni w swoich znoszonych dżinsach, z rozwianym włosom. - Witam znowu.

To bardzo dziwne, zobaczyć go o poranku po nocy tak pełnej dramatów i wrażeń. Patrzy mi w oczy i na jego twarzy pojawia się delikatny uśmiezek.

- Cześć. Jak ci leci? - pyta.

- Świetnie - odpowiadam radośnie. - Naprawdę dobrze.

- Nathaniel zna ten dom na wylot - wtrąca Trish, malując usta szminką. - Jeżeli nie będziesz mogła czegoś znaleźć... albo otworzyć zamka w drzwiach... cokolwiek... oto mężczyzna dla ciebie.

- Zapamiętam to - odpowiadam. - Dziękuję.

- Nathanielu, nie życzę sobie jednak, żebyś przeszkadzał Samancie - dodaje Trish, spoglądając na niego surowo. - Ona ma swój własny plan działania.

- Oczywiście.

Nathaniel kiwa poważnie głową i rzuca mi rozbawione spojrzenie za plecami Trish. Czuję, że moje policzki przybierają kolor buraczkowy.

Co on sobie wyobraża? Skąd wie, że nie mam ustalonego planu działania? To, że nie umiem gotować, nie oznacza, iż nie potrafię robić innych rzeczy!

- Jesteś pewna, że sobie poradzisz? - Trish chwyta torebkę. - Znalazłaś środki czyszczące?

- No... - rozglądam się dookoła.

- W pralni. - Trish znika na chwilę i pojawia się z gigantyczną niebieską balią pełną plastikowych butelek i pojemników. Stawia ją na stole. - Proszę bardzo! I nie zapomnij o „nagietkach”!

O czym?

- O gumowych rękawiczkach - mówi Nathaniel. Wyciąga z miednicy parę wielkich żółtych rękawic i wręcza mi z lekkim ukłonem.

- Tak, dziękuję - odpowiadam z godnością. - Wiedziałam o tym.

Nigdy przedtem nie miałam gumowych rękawiczek. Powoli wkładam je na dłonie, starając się przy tym nie krzywić.

O Boże! W życiu nie dotykałam niczego równie obrzydliwie gumowego. Mam je nosić przez cały dzień?

- Pa, pa! - woła Trish z korytarza i za chwilę słyszę trzaśnięcie drzwi wyjściowych.

- No dobrze... w takim razie ja... wracam do pracy - mówię.

Czekam, żeby Nathaniel wyszedł z kuchni, ale on opiera się o stół i przygląda mi się pytająco.

- Czy masz jakiegokolwiek pojęcie o sprzątaniu domu? -pyta.

Zaczynam się czuć urażona. Czy ja wyglądam na kogoś, kto nie potrafi posprzątać w domu?

- Naturalnie - wywracam oczami.

- Wczoraj wieczorem opowiedziałem o tobie mamie. -Uśmiecha się do mnie nagle, jakby przypomniał sobie coś z tej rozmowy. Spoglądam na niego podejrzliwie. Co on takiego o mnie naopowiadał? - W każdym razie powiedziała, że nauczy cię gotować. - Nathaniel patrzy mi w oczy. - I może przyda ci się nieco porad dotyczących sprzątania...

- Nie potrzebuję pomocy przy sprzątaniu! - przerywam niegrzecznie. - Robiłam to tysiące razy. A teraz muszę się zabrać do roboty.

- Nie przeszkadzaj sobie - wzrusza ramionami.

Już ja mu pokażę! Zdecydowanym ruchem wyciągam puszkę ze sprayem z balii i rozpylam jej zawartość na blacie.

Proszę bardzo! Kto powiedział, że nie wiem, co robię?

- Mówisz, że sprzątałaś w wielu domach, tak? - pyta Nathaniel, obserwując mnie uważnie.

- W milionach.

Substancja z puszki krystalizuje się w małe zielone kropelki. Szybko przesuwam po nich ściereczką, ale nie chcę zejść. Cholera. Przyglądam się uważniej napisowi na pojemniku: **NIE UŻYWAĆ NA POWIERZCHNIACH GRANITOWYCH.** Cholera!

- W każdym razie - rzucam pospiesznie, przykrywając ścierką zielone kropelki - przeszkadzasz mi. - Chwytam miotełkę do wycierania kurzu i zaczynam strącać okruszki chleba ze stołu. - Przepraszam...

- W takim razie zostawię cię tu samą - mówi Nathaniel, a jego usta drgają podejrzanie. Spogląda na miotełkę do kurzu. - Nie lepiej by było użyć do tego zmiotki i szufelki?

Spoglądam niepewnie na miotełkę do kurzu. Co jest nie tak? A tak w ogóle to kim on jest, policjantem z wydziału usuwania kurzu?

- Mam swoje metody - rzucam, unosząc dumnie głowę. -Dziękuję.

- W porządku - uśmiecha się szeroko. - Do zobaczenia.

Nie pozwolę na to, żeby mnie speszył. Potrafię sprzątać ten dom. Potrzebuję po prostu... planu. Tak. Rozkładu dnia, tak jak w pracy.

Gdy tylko Nathaniel wychodzi, chwytam długopis i kartkę, i zaczynam spisywać listę obowiązków do wypełnienia w dniu dzisiejszym. Wyobrażam sobie, jak gładko przechodzę od jednej do drugiej czynności, ze szczotką w jednej ręce i miotełką do kurzu w drugiej, przywracając wszystkim ład i porządek. Zupełnie jak Mary Poppins.

9.30-9.36 posłać łóżka

9.36-9.42 wyjąć rzeczy z pralki i włożyć do suszarki 9.42-10.00 posprzątać łazienki

Dochodzę do końca i z nowym przyływem optymizmu odczytuję listę ponownie. Tak lepiej. To mi się bardziej podoba. W takim tempie powinnam spokojnie wyrobić się do lunchu.

9.36 Cholera! Nie potrafię posłać łóżka. Dlaczego prześcieradło nie chce leżeć prosto?

9.42 I dlaczego materace muszą być takie ciężkie?

9.54 To czysta tortura. Nigdy w życiu tak mnie nie bolały ramiona. Koce ważą chyba tonę, prześcieradła nie chcą się wyprostować i nie mam pojęcia, jak je założyć na tych cholernych rogach łóżka. Jak te pokojówki to robią? No jak?

10.30 Nareszcie. Po godzinie harówki udało mi się pościelić jedno łóżko. Jestem daleko w tyle za grafiką, ale to nie szkodzi. Czeka mnie pranie.

10.36 Nie. Błagam, nie! Nie mogę na to patrzeć. Kompletna katastrofa. Wszystko w pralce zrobiło się różowe.

Wszy-ściuteńko. Co się stało?

131

Drżącą dłonią wyciągam wilgotny kaszmirowy sweterek. Przedtem był kremowy, teraz ma kolor różowej waty cukrowej. Wiedziałam, że K3 oznaczało coś niedobrego. Wiedziałam!

Tylko spokojnie. Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji, po prostu musi. Zaczynam przeglądać zestaw pojemników i butelek ustawionych na półkach w pralni. Stain Away... Vanish... musi być na to jakiś sposób. Potrzebuję tylko chwilę do namysłu...

10.42 Tak jest, już wiem. Może nie zadziałać, ale to najlepsze, co potrafiłam wymyślić.

11.00 Właśnie wydałam 852 funty, kupując nowe rzeczy w zastępstwie tych, które wyprałam. Musiałam wybrać najbardziej podobne ubrania, jakie się dało. Sprzedawcy w Har-rodzie byli bardzo pomocni i obiecali, że wyślą wszystko jutro ekspresem. Mam tylko nadzieję, że Trish i Eddie nie zauważą magicznej odnowy ich garderoby. Teraz już tylko muszę się pozbyć wszystkich poróżowiałych ciuszków i zabrać do reszty rzeczy z listy.

11.06 O nie! Prasowanie. Co mam zrobić z tym fantem?

11.12 No dobrze. Przejrzałam lokalną gazetę i na to również znalazłam rozwiązanie. Dziewczyna z miasteczka zabierze koszule do siebie, wyprasuje je przez noc za jedyne trzy funty za sztukę i przy szyje guzik Eddiemu. Jak do tej pory moja nowa posada kosztowała mnie już niemal tysiąc funtów, a nie minęło jeszcze południe.

11.42 Wszystko idzie dobrze. Znakomicie. Włączyłam odkurzacz i wędruję z nim gładko po pokojach...

Cholera, co to było? Co się nagle stało? Dlaczego odkurzacz wydaje takie dziwne rżące odgłosy? Czyżbym go zepsuła?

139

11.48 Ile kosztuje nowy odkurzacz?

12.24 Potwornie bolą mnie nogi. Całe wieki spędziłam, klęcząc na twardej terakocie, czyszcząc łazienkę. Ostre brzegi płytek wbijają mi się w kolana, gotuję się z gorąca, a płyny do mycia wanny wywołują u mnie kaszel.

Chciałabym odpocząć, ale muszę pracować dalej. Nie mogę przerwać nawet na chwilę. Mam jeszcze tyle do roboty...

12.30 Co się dzieje z tą butelką bielinki? W którą Itronę skierowany jest wylot spryskiwacza? Zdezorientowana przekręcam końcówkę, wpatrując się w strzałki odciśnięte w plastiku... dlaczego nic nie wylatuje ze środka? OK, zamierzam ścisnąć to naprawdę mocno...

Cholera. Prawie trafiłam sobie wybielaczem w oko.

12.32 CHOLERA! Co się stało z moimi WŁOSAMI?!

O trzeciej po południu jestem totalnie wyczerpana. Nie dotarłam jeszcze nawet do połowy listy i nie wyobrażam sobie, że mogłabym skończyć wszystko, co miałam na dzisiaj zaplanowane. Nie wiem, jak ludzie sprzątają w domach. To najtrudniejsza praca, jaką kiedykolwiek wykonywałam.

Nie wypełniam moich obowiązków płynnie i z gracją Mary Poppins, już raczej rzucam się od jednego do drugiego niewykonanego zadania niczym bezgłowy kurczak. Teraz stoję na krześle, usiłując wyczyścić lustro w salonie. To prawdziwy koszmar. Im bardziej je wycieram, tym bardziej rozmazuję na nim brud.

Co rusz chwytam swoje odbicie. Nigdy w życiu nie wyglądałam bardziej niechlujnie. Włosy sterczą mi na wszystkie strony, a na grzywce tam, gdzie dotarła bielinka, mam groteskowy zielono-biały kosmyk. Moja twarz jest jaskrawoczer-wona i lśniąca od potu, oczy przekrwione ze zmęczenia, dłonie zaróżowione i obolałe od ciągłego tarcia.

Dlaczego to cholerne lustro nie chce się wyczyścić? Dlaczego?

133

- Umyj się! - krzyczę, niemal płacząc z frustracji. - Umyj się ty cholerne... cholerne...

- Samantha.

Przerywam gwałtownie szorowanie lustra i odwracam się. W drzwiach stoi Nathaniel, spoglądając na brudną szklaną powierzchnię.

- Próbowalaś octu?

- Octu? - Spoglądam na niego podejrzliwie.

- Pomaga rozpuścić tłusty osad. Zwłaszcza na szkle.

- Ach, tak. - Odkładam szmatkę, starając się odzyskać spokój i godność. - Wiedziałam o tym.

- Nieprawda. - Nathaniel potrząsa głową.

Spoglądam na jego stanowczy wyraz twarzy. Nie ma sensu dłużej udawać. Doskonale wie, że nigdy w życiu nie sprzątałam w żadnym domu.

- Masz rację - przyznaję wreszcie. - Nie wiedziałam. Gdy schodzę z krzesła, czuję ogarniającą mnie słabość. To ze zmęczenia. Przytrzymuję się kominka, próbując odzyskać jasność widzenia.

- Powinnaś trochę odpocząć - mówi zdecydowanym tonem. - Pracowałaś przez cały dzień, widziałem cię. Jadłaś coś na lunch?

- Nie miałam czasu.

Opadam na krzesło, nagle zbyt osłabiona, żeby cokolwiek zrobić. Boli mnie każdy mięsień, włączając te, z których istnienia dotychczas nie zdawałam sobie sprawy. Czuję się, jakbym właśnie ukończyła maraton albo przepłynęła kanał La Manche. A tu jeszcze czeka mnie polerowanie drewna i trzepanie mat.

- To... to jest trudniejsze, niż przypuszczałam - mówię w końcu. - Dużo trudniejsze.

- Uhm - kiwa głową, przyglądając mi się uważnie. - Co się stało z twoimi włosami?

- Bielinka. Sprzątałam toaletę.

Nathaniel parska śmiechem, ale nie przejmuję się tym. Szczerze mówiąc, niewiele mnie w tej chwili obchodzi.

- Jesteś bardzo pracowita - mówi. - Trzeba ci to przyznać. A z czasem będzie ci coraz łatwiej...
- Nie potrafię tego robić - słowa wychodzą z moich ust, zanim udaje mi się je powstrzymać. - Nie umiem być gospo-
sią. Jestem... beznadziejna.
- Pewnie, że potrafisz. - Nathaniel sięga do plecaka i wyciąga puszkę coli. - Masz, napij się. Nie możesz pracować
bez paliwa.
- Dziękuję. - Przyjmuję napój z wdzięcznością. Otwieram puszkę z psyknięciem i upijam łyk coli. To najlepsza
rzecz, jaką kiedykolwiek piłam. Popijam jeszcze trochę, a potem jeszcze.
- Oferta nadal jest aktualna - rzuca Nathaniel po chwili milczenia. - Moja mama nauczy cię paru rzeczy, jeśli chcesz.
- Naprawdę? - Wycieram usta, odgarniam spocone włosy i spoglądam na niego z nadzieją. - Zrobiłaby to... dla mnie?
- Lubi wyzwania. - Nathaniel uśmiecha się lekko. - Nauczy cię pracy w kuchni i wszystkiego, czego będziesz po-
trzebować. - Spogląda z lekkim zdziwieniem na usmarowane lustro.
Czuję nagle piekące upokorzenie i uciekam wzrokiem w bok. Nie chcę okazać się osobą bezużyteczną. Chciałabym
nie potrzebować tych lekcji. Nie jestem tego typu osobą. Chcę zrobić to wszystko sama, bez proszenia kogokolwiek
o pomoc. Muszę być jednak realistką. Prawda jest taka, że potrzebuję pomocy. Poza tym, jeśli dalej będzie mi szło
tak jak dziś, zbankrutuję po dwóch tygodniach. Spoglądam na Nathaniela.
- To wspaniale - mówię z pokorą. - Naprawdę to doceniam. Dziękuję.

12

W sobotę budzę się z sercem walącym w piersi. Zrywam się na równe nogi, myśląc w panice o wszystkim, co muszę
135

dzisiaj zrobić... a potem zatrzymuję się jak samochód, z piskiem hamulców. Przez chwilę nie mogę się poruszyć, a potem z wahaniem kładę się do łóżka, ogarnięta najdziwniejszym, najbardziej niezwykłym uczuciem w życiu. Nie mam nic do roboty.

Żadnych kontraktów do przeczytania, żadnych mej li czekających na odpowiedź, żadnych posiedzeń nadzwyczajnych w biurze. Nic.

Marszczę brwi, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miałam wolne, ale chyba mi się to nie uda. Od siódmego roku życia zawsze miałam coś do roboty. Wstaję z łóżka, podchodzę do okna, spoglądam na poranny krajobraz, przejryste niebo i usiłuję zorientować się w sytuacji. To mój wolny dzień. Nikt nie może mi kazać pracować, wezwać mnie, zażądać mojej obecności. To mój prywatny czas. Czas dla mnie.

Kiedy tak stoję przy oknie, kontemplując ów fakt, narasta we mnie bardzo dziwne uczucie lekkości i radości. Jestem niczym balonik wypełniony helem. Wolna. Spoglądam na swoje odbicie w szybie i na mojej twarzy pojawia się euforyczny uśmiech. Po raz pierwszy w życiu mogę robić to, na co mam ochotę.

Sprawdzam godzinę - jest dopiero siódma piętnaście. Dzień jawi się przede mną niczym biała kartka papieru. Co mam zrobić? Od czego zacząć? Czuję kolejną falę radości zalewającą moje serce i mam ochotę roześmiać się w głos.

Zaczynam w myślach układać plan dnia. Zapomnijmy o sześć-minutowych segmentach, o ciągłym pośpiechu.

Zamierzam zacząć odliczać czas w godzinach. Godzina na pławienie się w wannie i ubieranie. Godzina na zjedzenie śniadania, następna na przeczytanie gazety od deski do deski. Zamierzam spędzić dziś najbardziej leniwy, wolny od wszelkich trosk, radosny poranek, jaki kiedykolwiek nastąpił w moim dorosłym życiu.

Ruszam do łazienki i czuję, jak wszystkie mięśnie kurczą się z bólu i przemęczenia. Nawet te, których istnienia nie byłam dotychczas świadoma. Naprawdę powinni wprowadzić

sprzątanie domu jako nową odmianę gimnastyki. Napuszczam wody do wanny, wlewam trochę olejku do kąpieli, wchodzę do pachnącej wody i rozluźniam się. Cudownie. Zamierzam tu siedzieć całymi godzinami. Zamykam oczy, woda omywa mi ramiona, pozwalam swobodnie upływać czasowi. Chyba nawet na chwilę zasypiam. Nigdy przedtem nie siedziałam tak długo w wannie.

W końcu otwieram oczy i sięgam po ręcznik. Wycierając się, z ciekawości spoglądam na zegarek.

Siódma trzydzieści. .

Co takiego?

Spędziłam w wannie jedynie piętnaście minut?

Jestem bardzo zaskoczona. Jakim cudem kąpałam się tylko przez kwadrans? Stoję, ociekając wodą, niepewna, czy powinnam wrócić do wanny i powtórzyć wszystko, tyle że znacznie wolniej.

Nie. To byłoby zbyt dziwaczne. Nic nie szkodzi, że wykapałam się za szybko. Po prostu nie mogę się spieszyć ze śniadaniem i smakować każdy kęs.

Przynajmniej mam co na siebie włożyć. Wczoraj po południu Trish zabrała mnie do centrum handlowego kilka kilometrów stąd, żebym kupiła trochę bielizny, jakieś szorty i letnie sukienki. Powiedziała, że sama mam zdecydować o doborze rzeczy, a potem ciągała mnie po sklepach, pokazując, co mam kupić. Jakimś cudem udało mi się nie wybrać ani jednej czarnej rzeczy.

Dość niepewnie wkładam różową sukienkę z halką i sandały. Przyglądam się sobie. Nigdy przedtem nie nosiłam różowych rzeczy. Ku mojemu zdziwieniu nie wyglądam wcale źle. Tylko ten kosmyk wybielonych włosów, z którym muszę coś zrobić.

Przechodzę korytarzem obok sypialni Geigerów. Nie dobiega mnie stamtąd żaden dźwięk. W milczeniu mijam drzwi do ich pokoju i nagle czuję się dziwnie. Spędzę w ich domu cały weekend, nic nie robiąc. Chyba lepiej, jeżeli wieczorem wyjdę gdzieś na miasto, zejdę im z oczu.

Kuchnia jak zwykle jest pusta i lśniąca, ale przestaje mnie już tak onieśmielać. Wiem, jak obsługiwać toster i czajnik, a w spizarnce znalazłam spory zapas dżemów. Na śniadanie przygotowuję sobie grzanekę z marmoladą z pomarańczy i imbiru oraz filiżankę kawy. No i oczywiście przeczytam gazetę od deski do deski. To powinno mi zająć czas do jedenastej, a wtedy pomyślę, co robić dalej.

Na wycieraczkę leży dzisiejsze wydanie „The Times”. Przynoszę je do kuchni dokładnie w chwili, kiedy moja grzan-ka wyskakuje z tosterka.

To dopiero jest życie!

Siadam przy oknie z chrupiącą kanapką i popijając kawę, wertuję gazetę. Po pochłonięciu trzech grzanek, dwóch filiżanek kawy i wszystkich artykułów, wyciągam w górę ramiona, ziewam głośno i spoglądam na zegarek.

Nie mogę w to uwierzyć. Jest dopiero za cztery ósma.

Co się ze mną dzieje? Miałam jeść śniadanie godzinami -spędzić tu cały poranek, a nie skończyć wszystko w ciągu ledwie dwudziestu minut. No dobrze, nie szkodzi. Nie stresujmy się tym. Odprężę się w jakiś inny sposób.

Wkładam brudne naczynia do zmywarki i ścieram z blatu okruszki. Potem siadam przy stole i rozglądam się, zastanawiając się nad kolejnym krokiem. Jest za wcześnie, żeby wychodzić na miasto.

Nagle przyłapuję się na stukaniu paznokciami w blat stołu. Natychmiast przestaję i przyglądam się dłoniom. Co za idiotyzm. To mój pierwszy wolny dzień od niemal dziesięciu lat. Powinnam czuć się zrelaksowana. Na pewno jestem w stanie wymyślić jakąś przyjemną rozrywkę.

Co robią ludzie z wolnym czasem? Przypominam sobie obrazki zapamiętane z telewizji. Mogłabym zrobić sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, tyle że wypłam już dwie i chyba nie mam ochoty na kolejną. Po raz kolejny przejrzyć gazetę? Problem w tym, że mam pamięć fotograficzną, więc czytanie czegoś dwa razy jest pozbawione sensu. Moje spojrzenie wędruje w kierunku ogrodu za oknem. Na kamiennym słupie

przysiadła wiewiórka, rozglądając się wokoło lśnącymi oczkami. Może wyjdę na zewnątrz, nacieszę się ogrodem i w ogóle przyrodą skapaną w porannej rosie? Doskonały pomysł.

Tyle że poranna mgła strasznie moczy nogi. Wędruję przez wilgotną trawę, żałując, że włożyłam sandaalki albo nie poczekałam trochę z tym spacerem. Ogród jest dużo większy, niż przypuszczałam. Idę po trawniku w kierunku zdobnego żywopłotu, gdzie chyba ogród się kończy. Na miejscu jednak okazuje się, że za zieloną barierą rozciąga się dalsza część terenu, zakończona sadem, a po lewej stronie ogrodem.

Wszystko tu jest przepiękne, nawet ja to dostrzegam. Kwiaty mają intensywne, choć łagodne kolory, każda ściana budynku pokryta jest pnączami lub winoroślą, a przechodząc przez sad, dostrzegam na drzewach małe złote gruszki. Chyba nigdy wcześniej nie widziałam gruszki wiszącej na gałęzi.

Mijam drzewa owocowe i zbliżam się do ogromnej, kwadratowej działki, na której rosną w rzędkach rośliny, zapewne warzywa. Ostrożnie szturcham jedną z nich stopą. To pewnie kapusta albo sałata. Albo liście jakiejś bulwy. Szczerze powiedziawszy, równie dobrze mógłby to być przybysz z kosmosu. I tak nie zrobiłoby mi to różnicy. Spaceruję jeszcze przez chwilę, a potem siadam na obrośniętej mchem drewnianej ławeczce i spoglądam na pobliski krzak obsypany białym kwieciem. Hmmm, piękne.

Co teraz? Co ludzie zazwyczaj robią w ogrodzie? Czuję, że powinnam mieć ze sobą coś do czytania. Albo zadzwonić do kogoś. Dłonie mnie świerzbują z beczynności. Spoglądam na zegarek. Dopiero szesnaście po ósmej. O rany!

Nie, nie mogę się poddać tak łatwo. Posiedzę tutaj chwilę, porozkoszuję się ciszą i spokojem. Usadawiam się wygodniej na ławeczce i przyglądam małemu ptaszкови, który wydziobuje coś z pobliskiego trawnika. Potem zerkam na zegarek. Ósma siedemnaście.

Nie potrafię tak.

Nie umiem lenić się przez cały dzień. Oszaleję z beczyn-

ności. Muszę pójść do wioski i kupić nową gazetę. Jeżeli przypadkiem będą mieli *Wojnę i pokój*, to chyba też się zdecyduję. Wstaję i zaczynam szybko maszerować przez trawnik w kierunku domu, gdy nagle zatrzymuje mnie krótki pisk dobywający się z kieszeni. Komórka.

Otrzymałam wiadomość. Ktoś właśnie do mnie napisał, wczesnym niedzielnym porankiem. Wyciągam telefon i zenerwowana spoglądam na wyświetlacz. Przez ponad jeden dzień nie miałam kontaktu ze światem zewnętrznym.

Wiem, że w skrzynce są jeszcze inne wiadomości - nie przeczytałam żadnej z nich. Zdaję sobie również sprawę, że w poczcie głosowej czekają nagrania do odsłuchania, ale tego też do tej pory nie zrobiłam. Nie chcę. Próbuję odsunąć od siebie pamięć dawnych dni.

Obracam komórkę w dłoniach, nakazując sobie ją odłożyć, ale jestem zbyt ciekawska. Ktoś napisał do mnie wiadomość. Kilka sekund temu jakiś człowiek trzymał w dłoni swój telefon, pisząc do mnie list. Nagle przed oczami pojawia mi się wizja Guya w jego „prywatnym” stroju - drelichowych spodniach i niebieskiej bluzce, siedzącego przy biurku i marszczącego brwi podczas pisania SMS-a.

Z przeprosinami.

Z nowinami. Z nowym zakończeniem mojej historii - takim, którego nie byłabym w stanie wczoraj przewidzieć...

Nie mogę się powstrzymać. Choć wiem, co się zdarzyło, czuję iskierkę nadziei. Stoję tak na środku trawnika i czuję, jak mój umysł ulatuje z ogrodu, przenosząc się z powrotem do Londynu, do firmy. Nie było mnie tam całą dobę. W ciągu dwudziestu czterech godzin wiele się mogło zmienić, może na lepsze.

Albo... na gorsze. Chcą mnie pozwać do sądu. Wnieść przeciwko mnie sprawę.

Czuję narastające napięcie. Zaciskam mocniej palce na telefonie. Muszę się dowiedzieć, o co chodzi, nieważne, czy to dobre, czy złe wiadomości. Otwieram klapkę i wchodzę do

skrzynki. Wiadomość została wysłana z numeru, którego nie rozpoznaję. Kto to? Kto do diabła do mnie napisał?

Czuję lekkie mdłości, ale otwieram list i czytam:

hej samantha, tu nathaniel.

Nathaniel? Nathaniel?

Czuję tak ogromną ulgę, że zaczynam się śmiać na głos. Oczywiście! Wczoraj dałam mu numer telefonu, żeby przekazał go mamie. Odczytuję resztę wiadomości:

mama mówi, że może zacząć cię uczyć gotowania dzisiaj, jeśli chcesz, nat

Lekcja gotowania. Czuję radosne podniecenie. To jest to! Doskonały sposób na wypełnienie dnia. Wybieram opcję „odpowiedź” i szybko piszę:

z przyjemnością, dzięki, sam

Wysyłam wiadomość z lekkim uśmiechem. Szykuje się doskonała zabawa. Chwilę później telefon znowu piszczy.

o której? 11 to za wcześnie? nat

Spoglądam na zegarek. Do jedenastej jest jeszcze dwie i pół godziny. Dwie i pół godziny nierobienia niczego z wyjątkiem czytania gazety oraz unikania Trish i Eddiego. Odpowiadam:

możemy zacząć o 10? sam

za pięć dziesiąta jestem już w holu. Podobno trudno jest trafić do domu mamy Nathaniela, więc plan jest taki, że spotkamy się tutaj i zaprowadzi mnie. Spoglądam na swoje odbicie w lustrze i krzywię się z przerażeniem. Biały kosmyk
razi

141

w oczy. Próbuję ułożyć włosy inaczej, ale nie mogę go ukryć. Może powinnam trzymać rękę na głowie, tak jak gdybym nad czymś rozmyślała? Wypróbuję kilka zadumanych póz przed lustrem.

- Boli cię głowa?

Odwracam się przerażona i widzę Nathaniela, stojącego w otwartych drzwiach. Ma na sobie dzinsy i koszulę w szkocką kratę.

- Tak... nie - odpowiadam z dłonią wciąż przyklejoną do głowy. - Ja tylko...

Och, nie ma sensu udawać. Opuszczam ramiona. Nathaniel przygląda się przez chwilę białemu kosmykowi.

- Fajnie z tym wyglądasz - mówi wreszcie. - Jak borsuk.

- Jak borsuk? - pytam urażona. - Wcale nie wyglądam jak borsuk. - Spoglądam w lustro, żeby się upewnić. Nie, nie wyglądam.

- Borsuki to piękne stworzenia. - Nathaniel wzrusza ramionami. - Wolałbym wyglądać jak borsuk niż jak gronostaj. Chwileczkę. Od kiedy to mam do wyboru borsuka i gronostaja? Nie wiem nawet, jak zaczęliśmy tę rozmowę.

- Może powinniśmy już iść - mówię z godnością. Chwytam torebkę i już przy drzwiach po raz ostatni rzucam spojrzenie w lustro.

No dobrze, może rzeczywiście wyglądam trochę jak borsuk.

Na dworze powietrze zdążyło się ogrzać w letnim słońcu. Gdy idziemy zwirowanym podjazdem, z zachwytem wdycham przepiękny kwiatowy zapach, w którym zdecydowanie rozpoznaję nuty...

- Kapryfolium i jaśmin! - wykrzykuję w nagłym zrozumieniu. W domu mam olejek do kąpieli Jo Malone o takim samym zapachu.

- Kapryfolium porasta ścianę. - Nathaniel wskazuje na płataninę łądyżek usianych bladożółtymi kwiatami, wspinających się po murze ze starego piaskowca. - Zasadzone rok temu.

Spoglądałam na delikatne kwiatki z zainteresowaniem. A więc tak wygląda kapryfolium.

- Natomiast jaśminu tu nie ma. Naprawdę czujesz jego zapach?

- No... - rozkładałam ręce w geście niepewności. - Może nie.

Nie sądzę, że powinnam w tej chwili wspominać o olejku do kąpieli Jo Malone. Chyba w ogóle nie powinnam o tym wspominać.

Wychodząc za bramę, nagle zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy od mojego tu przybycia opuszczam posiadłość Geigerów - nie licząc wypadu po zakupy z Trish, ale wtedy byłam zbyt zajęta poszukiwaniem kompaktu Celinę Dion w schowku jej samochodu, żeby podziwiać krajobrazy. Nathaniel skręca w lewo i oddala się drogą, ale ja nie mogę się ruszyć. Wpatruję się w rozciągający się przede mną widok z otwartą buzią. Ta wioska jest niesamowicie piękna. Nie miałam pojęcia, jak bardzo.

Rozglądałam się, patrzę na stare kamienne mury koloru dojrzałego miodu, rzędy starodawnych dworców z dwuspadowymi dachami, małą rzeczczkę przemykającą pomiędzy wierzbami. Przede sobą widzę pub, na który natknęłam się zaraz po przyjeździe tutaj. Jest udekorowany wiszącymi koszami pełnymi kwiatów. Z oddali dobiega stukot końskich podków. Wszystko w idealnej harmonii, miękkie i łagodne, można, by pomyśleć, że nic się tu nie zmieniło od setek lat.

- Samantha? - Nathaniel zauważył wreszcie, że stanęłam w miejscu.

- Przepraszam - pospiesznie dołączam do niego. - Po prostu nie zdawałam sobie sprawy, jak tu pięknie!

- To prawda, jest nieźle. - W jego głosie słyszę nutkę dumy. - Zbyt wielu turystów, ale... - Wzrusza ramionami.

- Nie miałam pojęcia! - Ruszamy drogą, a ja nie przestaję rozglądać się z zachwytem. - Popatrz na rzekę! A ten mały kościółek?! - Czuję się jak dziecko odkrywające nową zabawkę. Przedtem prawie nigdy nie odwiedzałam angielskiej

wsi. Zawsze zostawaliśmy w Londynie albo wyjeżdżaliśmy za granicę. Byłam w Toskanii więcej razy, niż jestem w stanie spamiętać, a kiedyś spędziłam pół roku w Nowym Jorku, dlatego że mama została tam tymczasowo oddelegowana do pracy. Nigdy w życiu nie byłam jednak w Cotswold*.

Przechodzimy przez rzekę po starym, łukowatym kamiennym moście. Na jego szczycie przystaję, żeby przyjrzeć się kaczkom i łabędziom.

- Prześliczne - wzdycham. - Absolutnie cudowne.

- Nie zauważyłaś tego zaraz po przyjeździe? - Nathaniel przygląda mi się rozbawiony. - Spadłaś z nieba czy co?

Przypominam sobie moją panikę, desperacką ucieczkę, wysiadanie z pociągu, przeszywający ból głowy, rozmywające się obrazy.

- Coś w tym stylu - odpowiadam wreszcie. - Nie wiedziałam dobrze, dokąd zmierzam.

Oboje przyglądamy się parze łabędzi, która z dostojeństwem wpływa pod mostek. Zerkam na zegarek. Już pięć po dziesiątej.

- Powinniśmy iść - mówię lekko zaniepokojona. - Twoja mama na nas czeka.

- Nie ma pośpiechu - woła za mną Nathaniel, gdy ruszam szybkim krokiem w dalszą drogę. - Mamy cały dzień. - Powoli schodzi z mostka i dołącza do mnie. - Wszystko w porządku, możesz zwolnić.

Rusza dalej drogą, ja zaś idę obok, próbując dopasować się do jego rytmu. Nie jestem jednak przyzwyczajona do takiego leniwego tempa. Zawsze gdzieś się spieszę, gnam przed siebie chodnikami, przepycham się łokciami przez tłum przechodniów.

- Wychowałeś się tutaj? - pytam, zmuszając nogi do zwolnienia.

- Uhm. - Skręca w lewo, na wąską brukowaną dróżkę. -

* Cotswold Hills, pasmo wzgórz wapiennych w środkowo-południowej Anglii.

Wróciłem tu, kiedy zachorował mój tata. Po jego śmierci musiałem pozalać różne sprawy i zająć się mamą. To było dla niej ciężkie przeżycie. W finansach panował bałagan... wszystko było w totalnym nieporządku.

- Przykro mi z powodu taty - odpowiadam niepewnym tonem. - Masz jeszcze kogoś z najbliższej rodziny?

- Brata, Jake'a. Wrócił tutaj na tydzień - mówi Nathaniel z ociąganiem. - Prowadzi własną firmę. Odnosi wielkie sukcesy. - Jego głos jest nadal swobodny, ale wyczuwam w nim nutkę... czegoś. Może nie powinnam dalej pytać.

- Ja z pewnością bym tu zamieszkała - rzucam entuzjastycznie.

Nathaniel spogląda na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

- Przecież tu mieszkasz - przypomina mi.

Czuję ukłucie zdziwienia. Chyba ma rację. Technicznie rzecz biorąc, rzeczywiście, już tutaj mieszkam. Kilka kolejnych metrów pokonuję w milczeniu, trawiając tę nową myśl. Nigdy przedtem nie mieszkałam nigdzie indziej niż w Londynie, wyłączony trzy lata studiów w Cambridge. Od kiedy pamiętam, mój kod pocztowy zaczynał się od liter NW*, a mieszkanie miało numer 0207. To ja... to byłam ja. Dawna ja. Coraz bardziej mgliste pojęcie. Kiedy myślę o sobie choćby sprzed tygodnia, czuję się tak, jakbym spoglądała na siebie przez kalkę kreślarską.

Wszystko, co kiedyś ceniałam, zostało zniszczone. Nadal jestem obolała i zraniona, ale z drugiej strony... bardziej niż kiedykolwiek ożywiona nowymi możliwościami. Oddycham pełną piersią, zachłystując się zdrowym wiejskim powietrzem i czuję nagły przypływ optymizmu, niemal euforii. Pod wpływem impulsu zatrzymuję się pod ogromnym drzewem i wpatruję w jego zieloną gęstą koronę.

- Jest taki piękny wiersz Walta Whitmana o dębie. - Podnoszę dłoń i delikatnie głaszczę chłodną, popękaną korę.

-Widziałem w Luizjanie dąb dziarsko rosnący, Samotnie stał

a mech zwisał mu z konarów*. - Spoglądałam na Nathaniela, oczekując, że jest pod wrażeniem.

- To buk - mówi, kiwając głową w kierunku drzewa. Ach tak.

Nie znam żadnych wierszy o bukach.

- Jesteśmy na miejscu. - Otwiera żelazną furtkę i zaprasza mnie do przejścia. Wkraczam na kamienną ścieżkę prowadzącą do małego domku wiejskiego z niebieskimi zasłonami w kwiaty w oknach.

- Za chwilę poznasz swoją nauczycielkę gotowania.

Mama Nathaniela jest zupełnie inna, niż się spodziewałam. Wyobrażałam sobie kogoś w rodzaju ciepłej, miłej pani Tiggywinkle z siwymi włosami spiętymi w kok i półokrągłymi okularami. Tymczasem stoję przed żyłastą kobietą z żywotną, piękną twarzą, jasnoniebieskimi oczami i z malutkimi kurczymi łapkami w ich kącikach. Siwiejące włosy są zaplecione w dwa warkocze, pod fartuchem kuchennym ma na sobie podkoszulek, dzinsy i espadryle. Z zapalem wygniata jakieś ciasto.

- Mamo. - Nathaniel uśmiecha się i wpycha mnie do kuchni. - To jest Samantha. Samantho, poznaj moją mamę, Iris.

- Witaj, Samantho. - Iris spogląda na mnie, nie przerywając pracy. Niemniej czuję, że mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. - Pozwól, że skończę zagniatać ciasto.

Nathaniel prosi gestem, żebym spoczęła, więc nieśmiało przysiadam na drewnianym krześle. Kuchnia znajduje się na tyłach domu i jest pełna słońca. Wszędzie stoją kamionkowe wazoniki wypełnione kwiatami. Widzę staroświecki piekarnik na gaz, stary drewniany stół i dwuskrzydłowe drzwi otwarte na oścież. Kiedy zastanawiam się, o czym porozmawiać, do kuchni wkracza kurczak i zaczyna drapać łapką o podłogę.

- O kurczę! - wykrzykuję, zanim jestem w stanie się powstrzymać.

* Przełożył Andrzej Szuba, 1991.

- Zgadza się, kurczę. - Iris spogląda na mnie z lekką kpina. - Nigdy przedtem nie widziałaś kurczaka? Tylko w zamrażarce w Waitrose. Kurczak zbliża się, dziobiąc, do moich odzianych w sandały stóp. Szybko chowam je pod krzesło, usiłując sprawić wrażenie, że właśnie i tak miałam to zrobić.

- No dobrze. - Iris unosi ciasto, formuje zeń kształtną kulkę i odkłada na tackę do pieczenia, po czym otwiera drzwiczki do piekarnika i wkłada wszystko do środka. Myje ubrudzone mąką ręce i spogląda na mnie.

- Rozumiem, że chciałaś się nauczyć gotować - nąwówi przyjacielskim, lecz jednocześnie rzeczowym tonem. Wyczuwam, że ta kobieta nie rzuca słów na wiatr.

- Tak - uśmiecham się. - Dziękuję.

- Kuchnia francuska i takie tam bajery - wtrąca Nathaniel, opierając się o kuchenkę.

- Ile wiesz o gotowaniu? - Iris wyciera ręce w czerwony kratkowany ręczniczek. - Nathaniel powiedział, że zero. To chyba nie może być prawda. - Składa ściereczkę i uśmiecha się do mnie po raz pierwszy od naszego spotkania. - Co potrafisz ugotować? Jakie są twoje podstawy? - Jej intensywnie niebieskie spojrzenie sprawia, że czuję się nieco zdenerwowana. Rozpaczliwie przeszukuję umysł, usiłując przypomnieć sobie, co potrafię przyrządzić.

- Ja... umiem... umiem zrobić... grzanki - mówię. - Grzanki to moja podstawa.

- Grzanki? - Iris wygląda na nieprzyjemnie zaskoczoną. - Tylko tyle?

- I racuszki - dodaję szybko. - Bułeczki z rodzynekami... wszystko, co da się podgrzać w opiekaczu...

- Ale ja pytałam o gotowanie. - Przerzuca ręczniczek przez metalową poręcz na kuchence i przygląda mi się uważnie. - Co... na przykład z omletem? Na pewno potrafisz usmażyć omlet.

Przełykam głośno.

- Raczej nie. - Iris spogląda na mnie z takim niedowie-

rzaniem, że czuję, jak policzki płoną mi ze wstydu. - Nigdy nie miałam zajęć ZPT w szkole - wyjaśniam. - Nie nauczyłam się gotować.

- Ale twoja matka na pewno... albo babcia... - przerywa, kiedy potrząsam przecząco głową. - Ktokolwiek?

Zagryzam wargi. Iris gwałtownie wypuszcza powietrze z płuc, jakby pierwszy raz słyszała o czymś równie dziwnym.

- Rozumiem w takim razie, że w ogóle nie potrafisz gotować. Co obiecałaś przyrzadzić dla Geigerów?

O Boże.

- Trish chciała, żebym podała jej przykładowe menu na tydzień, więc... oparłam się na tym. - Wyciągam nieśmiało z torebki pogniecione menu od Maxima i wręczam jej.

- Assemblé z duszonej jagnięciny i młodych cebulek, kar-melizowane ziemniaki purée z chrupiącą panierką z sera koziego oraz kardamonowy szpinak - odczytuje Iris z niedowierzaniem.

Słyszę parsknięcie i widzę, że Nathaniel ledwo powstrzymuje się od śmiechu.

- To wszystko, co miałam! - wykrzykuję obronnym tonem. - Co miałam im zaproponować, rybę z frytkami?

- Assemblé to tylko ładna nazwa. - Iris nadal uważnie studiuje kartę dań. - To taka podrasowana zapiekanka z mięsa i ziemniaków. Mogę cię nauczyć to gotować. Duszonego pstrąga z migdałami też bardzo prosto przygotować... - przesuwa palcem w dół strony i wreszcie spogląda na mnie, marszcząc brew. - Mogę cię nauczyć przygotowania tych potraw, Samantho, ale to nie będzie proste, jeżeli nigdy przedtem nie gotowałaś. - Spogląda na Nathaniela. - Nie jestem pewna...

Widzę wyraz jej twarzy i ogarnia mnie strach. Proszę, niech tylko nie mówi, że chce się wycofać.

- Szybko się uczyć. - Pochyliłam się ku niej. - Poza tym jestem bardzo pracowita. Zrobię, cokolwiek pani każe. Naprawdę bardzo mi na tym zależy.

Spoglądałam na nią szczerze, próbując przekazać pozawerbalną wiadomość: Proszę, bardzo potrzebuję pomocy.

- W porządku - mówi wreszcie Iris. - Nauczymy cię gotować.

Sięga do szafki i wyciąga stamtąd wagę i kubki miarowe. Wykorzystuję tę chwilę, żeby wyciągnąć z torebki plik papieru i długopis. Iris odwraca się i spogląda na mnie nieco zdezorientowana.

- Po co to? - Kiwa w kierunku kartek.

- To do robienia notatek - odpowiadam. Zapisuję datę oraz tytuł: „Lekcja gotowania nr 1”, podkreślam wszystko i spoglądałam na nią. Iris powoli potrząsa głową.

- Samantha, nie będziesz robiła żadnych notatek. Gotowanie nie polega na pisaniu, tylko na smakowaniu, wąchaniu, wyczuwaniu, dotykaniu.

- Rozumiem. - Kiwam głową ze znawstwem.

Muszę to zapamiętać. Szybko zdejmuję skuwkę z długopisu i zapisuję: „Gotowanie = smakowanie, wąchanie, wyczuwanie, dotykane itd.”. Zakładam skuwkę i spoglądałam na Iris, która przygląda mi się z niedowierzaniem.

- Smakowanie - mówi, odbierając mi kartki i długopis. - Nie pisanie. Musisz zacząć używać swoich zmysłów.

Instyktów - uchyla pokrywkę garnka, w którym coś gotuje się na wolnym ogniu, i zanurza w nim łyżkę. - Spróbuj tego.

Ostrożnie wkładam łyżkę do ust.

- Sos do pieczeni - mówię natychmiast. - Pyszny! - dodaję uprzejmie.

Iris potrząsa głową.

- Nie mów mi, co to jest. Powiedz mi, co czujesz? Spoglądałam na nią z niezrozumieniem. To zdecydowanie podchwytliwe pytanie.

- Czuję... sos.

Jej wyraz twarzy się nie zmienia. Zdecydowanie czeka na coś innego.

- Eee... mięso? - ryzykuję.

- Co jeszcze?

149

Mój umysł jest kompletnie pusty. Nie potrafię wymyślić niczego więcej. Przecież to sos. Co można więcej powiedzieć

O sosie?

- Spróbuj jeszcze raz. - Iris jest nieustępliwa. - Musisz się bardziej postarać.

Policzki czerwienieją mi z wysiłku, kiedy próbuję wymyślić kolejne słowa. Czuję się jak głupi dzieciak siedzący w ostatniej ławce, który nie potrafi wykonać mnożenia przez dwa.

- Mięso... woda. - Desperacko próbuję wymyślić, co jeszcze może składać się na sos. - Mąka! - wykrzykuję w nagłej inspiracji.

- Samantha, nie myśl o zidentyfikowaniu smaku, po prostu opisz wrażenia. - Iris wyciąga do mnie łyżkę po raz trzeci.

- Spróbuj jeszcze raz, ale teraz zamknij oczy.

Zamknąć oczy?

- Dobrze. - Biorę sos do ust i posłusznie zamykam oczy.

- A teraz, co czujesz? - słyszę głos Iris tuż przy moim uchu. - Skoncentruj się wyłącznie na smaku.

Z zaciśniętymi powiekami blokuję wszystkie inne zmysły

I skupiam się na tym, co dzieje się w moich ustach. Czuję ciepły słony płyn na języku. To jeden smak. Słodki... i... jest jeszcze jeden, kiedy przełykam sos... Zupełnie jakby nagle pojawiły się przed moimi oczami kolory. Najpierw te jaskrawe, oczywiste, a potem łagodniejsze odcienie, których można niemal nie zauważyć.

- Słone i mięsne... - mówię wolno, nie otwierając oczu. - Słodkie i... niemal owocowe? Jak wiśnie?

Otwieram oczy nieco zdezorientowana. Iris przygląda mi się uważnie. Nagle dostrzegam za jej plecami Nathaniela, który również mi się przypatruje. Na jego widok czuję nagłe zawstyżenie. Okazuje się, że smakowanie sosu z zamkniętymi oczami to dość intymna czynność. Nie jestem pewna, czy chcę, żeby ktoś mnie przy tym oglądał. Iris wydaje się to rozumieć.

- Nathanielu - mówi żwawo - będziemy potrzebować

157

składników do następujących dań. - Spisuje długą listę i wręcza mu ją. - Pobiegnij do sklepu, kochanie.

Nathaniel wychodzi, a Iris spogląda na mnie z lekkim uśmiechem.

- Teraz było lepiej.

- Na Boga, pojęłam to w mig? - pytam z nadzieją. Iris odrzuca głowę do tyłu i śmieje się w głos.

- Jeszcze nie, kochanie. Jesteś na samym początku. Proszę, włóż to - wręcza mi fartuszek w biało-czerwone paski.

Zawiązuję go wokół talii, zawstydzona.

- Dziękuję, że mi pani pomaga - jąkam się, gdy Li* wyciąga cebule i jakieś pomarańczowe warzywa, których nie rozpoznaję. - Jestem naprawdę wdzięczna.

- Lubię wyzwania. - Spogląda na mnie błyszczącymi oczami. - Nudzę się. Nathaniel wszystko za mnie robi. Czasem nawet za dużo.

- No tak, ale przecież mnie pani nie zna...

- Spodobało mi się to, co o tobie usłyszałam. - Iris kładzie na stole deskę do krojenia. - Nathaniel opowiedział mi, jak wyszłaś z kryzysu ostatniej nocy. Trzeba mieć do tego niezły charakter.

- Musiałam coś zrobić - uśmiecham się żałośnie.

- A oni w rezultacie zaoferowali ci podwyżkę. Cudownie - uśmiecha się, a wokół jej oczu wykwitają zmarszczki jak gwiazdy. - Trish Geiger jest bardzo głupią kobietą.

- Lubię Trish. - Czuję ukłucie lojalności.

- Ja też. - Iris kiwa głową. - Była bardzo dobra dla Na-thaniela. Mimo to zapewne zauważyłaś, że ma bardzo mały rozumek, jeżeli w ogóle. - Mówi to tak poważnie, że chce mi się śmiać. Obserwuję ją, kiedy stawia ogromny lśniący garnek na kuchence, a potem odwraca się do mnie z założonymi rękoma. - Rozumiem, że kompletnie ich nabrałaś.

- Tak - uśmiecham się. - Nie mają pojęcia, kim jestem.

- A kim jesteś?

Jej pytanie całkowicie mnie zaskakuje. Otwieram usta, ale nie jestem w stanie wydać z siebie głosu.

- Naprawdę masz na imię Samantha?

- Tak! - wykrzykuje poruszona.

- To było trochę niemiłe - Iris unosi dłoń, przyznając się do winy. - Ale kiedy w małej wiosce nie wiadomo skąd pojawia się nagle dziewczyna i podejmuje pracę, o której nie ma zielonego pojęcia... - przerywa, jakby szukała odpowiednich słów. - Nathaniel powiedział mi, że uciekasz przed toksycznym związkim.

- Tak - mamrocze ze spuszczoną głową. Czuję na sobie oceniające, bystre spojrzenie Iris.

- Nie chcesz o tym mówić, prawda?

- Nie, nie chcę.

Spoglądam na nią i widzę cień zrozumienia w jej oczach.

- W porządku. - Chwyta nóż. - Zaczynamy. Podwiń rękawy, zepnij włosy i umyj ręce. Nauczę cię siekać cebulę. Gotujemy przez cały weekend.

Uczę się, jak należy kroić cebulę w cienkie plasterki, a potem w małą kostkę, jak siekać zioła specjalnym zaokrąglonym nożem, jak panierować kawałki mięsa w mące i imbirze, a potem wrzucać je na rozgrzaną żeliwną patelnię. Dowiaduję się, że ciasto należy zagniać szybko, zimnymi rękoma przy otwartym oknie oraz w jaki sposób blanszuje się fasolkę przed obsmażeniem jej na maśle. Tydzień temu nie wiedziałabym nawet, na czym polega choćby obsmażanie.

W przerwach między gotowaniem siadamy z Iris na schodkach, obserwujemy grzebiące w ziemi kurczaki, popijamy świeżo zaparzoną kawę i jemy babeczki dyniowe albo kanapki z domowego chleba ze słonym serem i sałata.

- Jedz i delektuj się - mówi Iris za każdym razem, gdy wręcza mi moją porcję, a potem z konsternacją potrząsa głową, gdy zaczynam jeść. - Nie tak szybko! Powoli! Smakuj jedzenie!

W niedzielę po południu pod przewodnictwem Iris przygotowuję pieczonego kurczaka nadziewanego szatwią i cebulą, gotowane na parze brokuły, przyprawiane kminkiem mar-

chewki i pieczone ziemniaki. Gdy wystawiam wielką formę z kurczakiem z piekarnika, przez chwilę delectuję się wonią pieczystego. Nigdy w życiu nie czułam bardziej domowego zapachu. Kurczak jest pokryty złotawą, chrupiącą skórką usianą piegami pieprzu, który rozkruszyłam tuż przed pieczeniem. Soki z pieczystego wciąż jeszcze bulgoczą w foremce.

- Czas na sos - woła Iris z drugiego kąta kuchni. - Wyjmij kurczaka z formy, przełóż na talerz... i przykryj. Trzeba trzymać go w ciepłe... teraz przechyl nieco foremkę. Widzisz te kuleczki tłuszczu pływające po powierzchni? Musisz je usunąć łyżką.

W tym samym czasie kończy posypywać placek ze śliwkami kruszonką. Dorzuca na wierzch kilka kawałków masła, wsuwa ciasto do piekarnika, a potem sięga po ścierkę i sprząta z blatu. Obserwowałam ją cały dzień, jak płynnie i precyzyjnie porusza się po kuchni, próbuje potrawy i cały czas kontroluje sytuację. Wszystko tu dzieje się tak, jak powinno, bez paniki, w absolutnym porządku.

- Bardzo dobrze - staje obok mnie, obserwując, jak miksuję sos. - Nie przerywaj... za chwilę zgęstnieje...

Nie mogę uwierzyć, że przyrządzam sos do pieczenia. Sama.

Co więcej - jak wszystko w kuchni Iris - wychodzi mi! Składniki mnie słuchają. Mieszanina sosu z upieczonego kurczaka, rosółu i mąki jakimś sposobem przekształca się w gładki, wonny gęsty płyn.

- Doskonale! - mówi Iris. - A teraz przelej to do ciepłego dzbanka... przez sitko, żeby odcedzić wszelkie grudki... widzisz, jakie to proste?

- Myślę, że jesteś czarodziejką - odpowiadam bezradnie. - To dlatego wszystko się tutaj udaje. Jesteś czarownicą kuchenną.

- Czarownica kuchenna! - chichocze Iris. - Podoba mi się to. No dobrze, ściągaj fartuch. Czas na delectowanie się tym, co przygotowałyśmy. - Zdejmuje swój fartuszek i wyciąga rękę po mój. - Nathanielu, nakryłeś już do stołu?

Nathaniel przewijał się przez kuchnię przez cały weekend i zdążyłam się przyzwyczaić do jego obecności.

Właściwie to byłam tak zafrapowana gotowaniem, że prawie go nie zauważałam. Teraz obserwuję, jak układa na drewnianym stole plecione z sitowia maty, stare sztuce z rękojeściami z kości i miękkie kratkowane serwetki.

- Wino dla kucharek - mówi Iris, wyciąga butelkę z lodówki i odkorkowuje. Nalewa mi kieliszek i pokazuje na stół.

-Siadaj, Samantha. Już dosyć pracy na ten weekend. Musisz być wykończona.

- Czuję się świetnie! - odpowiadam automatycznie, jednak gdy opadam na najbliższe krzesło, uświadamiam sobie, jaka jestem zmęczona. Zamykam oczy i rozluźniam się po raz pierwszy tego dnia. Ramiona i plecy bołą mnie od całodniowego szatkowania i mieszania, a zmysły są zdezorientowane od całodniowego bombardowania ich mieszaniną nowych smaków, zapachów i sensacji.

- Nie zasypiaj! - Głos Iris sprowadza mnie z powrotem na ziemię. - To nasza nagroda! Nathanielu, kochanie, postaw na stole kurczaka Samantha. Możesz go pokroić.

Otwieram oczy i widzę, jak Nathaniel zbliża się do stołu z pieczonym kurczakiem, chrupiącym, złotym, soczystym. Czuję przyływ dumy. Mój pierwszy pieczony drób. Mam ochotę zrobić mu zdjęcie.

- Chcesz powiedzieć, że sama to zrobiłaś? - pyta Nathaniel z niedowierzaniem.

Ha, ha, ha, bardzo śmieszne. Doskonale wie, że tak. Mimo wszystko nie mogę powstrzymać się od uśmiechu.

- To nic wielkiego, zrobiłam to mimochodem... - wzruszam ramionami. - Typowe dla dyplomowanych kucharzy.

Nathaniel kroi kurczaka z profesjonalną łatwością, podczas gdy Iris nakłada nam warzywa. Gdy wszyscy mają już pełne talerze, siada i unosi kieliszek.

- Za twoje zdrowie, Samantha. Doskonale sobie poradziłaś.

- Dziękuję. - Uśmiecham się i już zamierzam upić nieco

wina, kiedy dostrzegam, że żadne z nich nie wykonuje najmniejszego gestu.

- I za Bena - dodaje cicho Iris.

- W niedzielę zawsze wspominamy tatę - wyjaśnia Nathaniel.

- Och - waham się przez chwilę, a potem unoszę kieliszek.

- A teraz - Iris odstawia swoje wino z błyskiem w oku -nadeszła chwila prawdy.

Wkłada kawałek pieczeni do ust. Obserwuję, jak przdzuwa mięso, i staram się za wszelką cenę ukryć zdenerwowanie.

- Bardzo dobre. Naprawdę znakomite.

Nie mogę się powstrzymać od promiennego uśmiechu.

- Naprawdę? Naprawdę jest dobre?

Iris wznosi kieliszek do ponownego toastu.

- Na Boga. Nauczyła się przyrządzać pieczone w błyskawicznym tempie.

Siedzę w poświacie wieczornego światła, nie mówię wiele, tylko jem i słucham Nathaniela i Iris. Opowiadają mi o tym, jak Eddie i Trish chcieli kupić miejscowy kościółek i przekształcić go w domek gościnny. Słucham i nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Nathaniel przedstawia nam plany ogrodu Geigerów. Rysuje alejkę cytrusową, jaką stworzył w Marchant House. Podekscytowany, zaczyna szkicować coraz szybciej, tępiąc ołówek, który trzyma w dłoni. Iris widzi, że przyglądam się rysunkom z podziwem i wskazuje palcem na akwarelę na ścianie, przedstawiającą staw z naszej wioski.

- To dzieło Bena. - Kiwa głową w kierunku Nathaniela: -Odziedziczył talent po ojcu.

Jest tak spokojnie i miło, zupełnie inaczej niż podczas posiłków w moim domu. Nikt nie wisi na telefonie, nikt nigdzie się nie spieszy. Mogłabym tu siedzieć i siedzieć.

Wreszcie obiad dobiega końca. Chrząknięciem oczyszczam gardło.

- Iris, chciałam ci jeszcze raz podziękować.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Iris wkłada do ust następny kawałek placka śliwkowego. - Lubię rozkazywać ludziom.

- Nie, naprawdę, jestem ci bardzo wdzięczna. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- W przyszłym tygodniu zrobimy lasagne i gnocchi! -Upija nieco wina i wyciera usta. - Zrobimy sobie włoski weekend.

- W przyszłym tygodniu? - wpatruję się w nią. - Ale...

- Chyba nie sądzisz, że to już koniec, co? - wybucha śmiechem. - Dopiero zaczęliśmy nad tobą pracować!

- Ale... ja nie mogę zajmować ci wszystkich weekendów...

- Jeszcze nie zdałaś egzaminu - odpowiada z udawaną surowością. - Nie masz więc wyboru. A teraz powiedz, w czym jeszcze potrzebujesz pomocy. Sprzątanie? Pranie?

Czuję ukłucie zażenowania. Najwyraźniej Iris dobrze wie, jakiego wczoraj narobiłam bałaganu.

- Chyba nie bardzo wiem, jak używać pralki - przyznaję w końcu.

- Nie ma sprawy - kiwa głową Iris. - Wpadnę do domu Geigerów podczas ich nieobecności i wszystko ci pokażę.

- Nie umiem też przyszywać guzików...

- Guziki - Iris sięga po kawałek papieru, ołówek i zapisuje to, nadal przeżuując ciasto. - Umiesz obrębiać rzeczy?

- Eeee...

- Obrębianie - zapisuje Iris. - Co z prasowaniem? - spogląda na mnie uważnie. - Chyba potrafisz prasować, inaczej jakim cudem tego nie zauważyli?

- Oddaję rzeczy Stacey Nicholson - przyznaję się. -W naszej wiosce. Trzy funty za koszulę.

- Stacey Nicholson? - Iris odkłada ołówek. - Ta siusiu-majtka?

- W swoim ogłoszeniu napisała, że ma duże doświadczenie w praniu i prasowaniu.

- Ma dopiero piętnaście lat! - Iris odgarnia włosy, wyraźnie zdenerwowana. - Samantho, nie będziesz płaciła Stacey

Nicholson za wyręczenie cię w prasowaniu. Nauczysz się to robić sama.

- Ale ja nigdy...

- Pokażę ci. Każdy to potrafi. - Iris znika na chwilę w małym pokoiku i wyciąga stamtąd starą deskę do prasowania w kwiecistym pokrowcu. Ustawiają i przywołuje mnie do siebie.

- Jakie rzeczy musisz prasować?

- Przeważnie koszule pana Geigera - odpowiadam nerwowo, dołączając do niej.

- W porządku. - Włącza żelazko i nastawia termostat? -Do prasowania bawełny musi być bardzo gorące. Zaczekaj, aż się rozgrzeje. Nie ma sensu zaczynać, dopóki nie osiągnie odpowiedniej temperatury. A teraz pokażę ci, jak się prawidłowo zabrać do prasowania koszuli...

Marszcząc brwi, grzebie przez chwilę w stercie upranych rzeczy, leżących w koszu w składziku.

- Koszule... koszule... Nathanielu, zdejmij na chwilę swoją koszulę.

Sztywnieję. Kiedy spoglądam na Nathaniela, widzę, że on też czuje się nieswojo.

- Mamo! - uśmiecha się niepewnie.

- Och, nie bądź śmieszny, kochanie - rzuca Iris niecierpliwie. - Możesz jakiś czas postać bez koszuli. Nikt z nas nie jest wstydlivy, prawda, Samantho?

- Eee... - odpowiadam zachrypniętym głosem. - Nie, oczywiście, że nie...

- Popatrz tutaj, w tym miejscu włączasz wydzielanie pary. - Iris naciska guzik na żelazku i w powietrzu pojawia się biaława chmurka. - Zawsze sprawdzaj, czy w pojemniku jest wystarczająca ilość wody... Nathaniel! Czekaemy!

Przez kłęby pary obserwuję, jak Nathaniel powoli odpina guziki. Widzę kawałek gładkiej, opalanej skóry i spiesznie spuszczam wzrok. Nie bądźmy dziećmi. Co z tego, że zdejmuję koszulę? To nic wielkiego.

Nathaniel rzuca koszulę matce, która łapie ją zręcznie.

Mój wzrok utkwiony jest w podłodze. Nie zamierzam na niego spojrzeć.

Nie zamierzam na niego spojrzeć.

- Zaczynamy od kołnierzyka... - Iris układa koszulę na desce i wygładza nierówności. - Nie musisz mocno przyciskać. - Prowadzi moją rękę z żelazkiem. - Delikatnie i gładko ślizgaj się po powierzchni...

To jakiś idiotyzm. Jestem dorosłą, dojrzałą kobietą. Mogę patrzeć na mężczyzn bez koszuli i zachować zdrowy rozsądek. Zamierzam... zamierzam zerknąć na niego od niechcienia i sprawa załatwiona.

- Teraz karczek - Iris odwraca koszulę i znowu zaczynam prasować. - Bardzo dobrze... teraz mankiety...

Podnoszę koszulę, żeby ją przełożyć i w tym samym momencie przypadkiem-celowo spoglądam przed siebie. Słodki Jezu!

Nie jestem pewna, jak się ma do tego „sprawa i załatwiona”.

- Samantha? - Iris wyrywa mi żelazko z ręki. - Przypalasz koszulę!

- Och! - przytomnieję natychmiast. - Przepraszam. Ja... się zdekoncentrowałam.

- Masz bardzo zaróżowione policzki - zaniepokojona Iris przykładła mi dłoń do twarzy. - Dobrze się czujesz, słoneczko?

- To chyba od.., od pary z żelazka - odpowiadam. Czerwona jak burak, zabieram się z powrotem do prasowania.

Iris znów zaczyna mnie instruować, ale nie słyszę ani słowa z tego, co mówi. Poruszam żelazkiem na ślepo w tę i z powrotem, rozmyślając obsesyjnie a) o Nathanielu, b) o Nathanielu topless, c) o tym, czy Nathaniel ma dziewczynę. Wreszcie rozprostowuję w powietrzu jego koszulę, idealnie wyprasowaną, bez najmniejszej zmarszczki, z kantami tam, gdzie trzeba.

- Doskonale - mówi z zachwytem Iris. - Trochę praktyki i zdołasz uprasować jedną sztukę w ciągu niecałych czterech minut.

158

- Wygląda świetnie. - Nathaniel z uśmiechem wyciąga dłoń po koszulę. - Dzięki.
- Nie ma sprawy! - skrzeczę w odpowiedzi. Szybko uciekam wzrokiem w bok. Moje serce galopuje.
Doskonale! Po prostu świetnie. Jedno spojrzenie na jego ciało i zadurzyłam się po same uszy. Doprawdy, myślałam, że jestem mniej powierzchowna.
Nie ma dziewczyny.
Wczoraj wieczorem wyciągnęłam tę informację od Trish, pod pozorem wypytywania o naszych sąsiadów. Podobno miał kogoś w Gloucester, ale wszystko skończyło się kilka miesięcy temu. Droga wolna. Teraz już tylko potrzebuję dobrego planu.
Następnego poranka, gdy biorę prysznic i ubieram się, potrafię myśleć tylko o Nathanielu. Zdaję sobie sprawę, że pod tym względem cofnęłam się w rozwoju do wieku nastoletniego i za chwilę zacznę wypisywać wszędzie „Samantha kocha Nathaniela” z serduszkami zamiast kropki nad i, ale nic mnie to nie obchodzi. W końcu moje dotychczasowe życie dorosłej, dojrzałej, zdroworozsądkowej profesjonalistki nie wyszło mi na dobre.
Rozczesuję włosy, przyglądając się zamglonym zielonym polom za oknem, i czuję niewymowną lekkość duszy. Nie mam powodu, żeby czuć się tak szczęśliwa. Formalnie rzecz biorąc, wszystko wygląda katastrofalnie. Moja fantastyczna kariera jest zrujnowana, rodzina nie ma pojęcia, gdzie jestem, ja zaś za drobny ułamek tego, co dostawałam w firmie prawniczej, wykonuję pracę, która wymaga ode mnie między innymi zbierania z podłogi brudnej bielizny innych ludzi. Mimo to, kiedy ścielę łóżko, nie mogę powstrzymać się od podśpiewywania pod nosem.

Moje życie zmieniło się diametralnie, a ja wraz z nim. Zupełnie jakby dawna, konwencjonalna, monochromatyczna Samantha skurczyła się do rozmiarów papierowej lalki. Wrzuciłam ją do wody i oto roztopia się, rozplywa w nicość. Jej miejsce zajmie teraz nowa ja. Ja z możliwościami.

Nigdy przedtem nie starałam się o faceta. Z drugiej jednak strony nigdy przedtem, aż do wczoraj, nie upiekłam kurczaka. Jeżeli potrafię zrobić coś takiego, to na pewno jestem w stanie zaprosić mężczyznę na randkę, prawda? Dawna Samantha po prostu usiadłaby i czekała, aż on do niej podejdzie. Nowa Samantha jest inna. Widziałam w telewizji programy o randkach, znam wszystkie zasady uwodzenia. Chodzi przede wszystkim o wygląd, mowę ciała i zalotną konwersację.

Podchodzę do lustra i po raz pierwszy od mojego tu przyjazdu uważnie przyglądam się swojemu odbiciu lustrującym, bezlitosnym spojrzeniem. Natychmiast tego żałuję. Ignorancja była znacznie lepsza.

Po pierwsze, czy ktokolwiek może wyglądać dobrze w niebieskim nylonowym fartuszk? Sięgam po pasek, zapinam w talii i podwijam pod nim dolną część uniformu, jak to kiedyś robiliśmy w szkole. Wreszcie dół robi się krótszy o jakieś dziesięć centymetrów.

- Cześć - mówię do swojego odbicia i niedbałym gestem odgarniam włosy. - Witaj, Nathanielu. Cześć, Nat.

Sięgam po kosmetyczkę i przez dziesięć kolejnych minut maluję się i zmywam makijaż, aż wreszcie uzyskuję pożądaną naturalny i subtelny, lecz zarazem zdefiniowany wygląd. A może tylko straciłam dziesięć minut? Nie mam pojęcia.

Przejdźmy do mowy ciała. Marszczę czoło, usiłując przypomnieć sobie telewizyjne reguły randkowania. Jeżeli kobieta jest zainteresowana mężczyzną, jej źrenice się rozszerzają. Poza tym nieświadomie pochyla się wtedy do przodu, śmieje z jego żartów i eksponuje nadgarstki oraz dłonie.

Próbuję nachylić się w kierunku mojego odbicia, z dłońmi splecionymi przed sobą.

Wyglądam jak Jezus.

Próbuję dodać zalotny śmiech.

- Ha, ha, ha - chichoczę. - A to zabawne!

Teraz wyglądam jak rozbawiony Jezus. Nie jestem przekonana, czy to zwiększy moje szanse na sukces.

Schodzę na dół, odsuwam zasłony i wpuszczam do środka światło słoneczne. Podnoszę z wycieraczki poranną pocztę i zaczynam przeglądać „Cotswold Property Magazine”, sprawdzając ceny domów w tej okolicy, kiedy ktoś dzwoni do drzwi. Otwieram mężczyznę w uniformie, za którym na podjeździe stoi półciężarówka

- Dostawa sprzętu z „Profesjonalnego Kucharza” f- mówi. - Gdzie mam postawić pudełka?

- Hmmm - spoglądam na niego z niepokojem. - W kuchni, jeśli łaska. Dziękuję.

Sprzęt dla Profesjonalnego Kucharza. Ten Profesjonalny Kucharz to niby mam być ja. Miałam nadzieję, że potrwa to jeszcze kilka dni.

- Co to za samochód, Samantha? - Trish schodzi na dół w szlafroku i pantofelkach na wysokim obcasie? - Czy to kwiaty?

- Sprzęt kuchenny, który pani dla mnie zamówiła! - Jakimś cudem udaje mi się wydobyć z siebie entuzjazm.

- Och, świetnie. Nareszcie! - Trish uśmiecha się do mnie promiennie. - Teraz będziesz mogła zaskakiwać nas swoim mistrzowskim gotowaniem! Dziś na obiad mamy pieczonego leszcza z młodymi warzywami julienne, tak?

- Eee... tak! - zachłystuję się. - Zapewne tak.

- Uwaga!

Obie uskakujemy na bok przed dwoma dostawcami, którzy dźwigają na ramionach pudła. Podążam za nimi do kuchni i przyglądam się z niedowierzaniem rosnącej stercie. Ile tego cholerstwa zamówili Geigerowie?

- Kupiliśmy ci wszystko - mówi Trish, jakby czytała w moim umyśle. - Dalej, otwórz je! Pewnie nie możesz się doczekać!

161

Chwytam nóż i zaczynam odpakowywać pierwszą paczkę, podczas gdy Trish otwiera drugą, przecinając plastikową taśmę ostrymi paznokciami. Spośród morza styropianowych chrupków i folii pęcherzykowej wyciągam... coś z nierdzewnej stali. Co to jest do diabła? Szybko spoglądam na etykietkę z boku pudełka. „Forma do sawarinu*”.

- Forma do sawarinu! - wykrzykuję. - Cudownie. Właśnie tego potrzebowałam.

- Kupiliśmy ich tylko osiem - mówi zaniepokojona Trish. - Wystarczy?

- Chyba... - Spoglądam na formę bezradnie. - Powinno.

- A teraz patelnie. - Trish otwiera pudło pełne lśniących aluminiowych rondelków i wyciąga jeden w moim kierunku, patrząc na mnie z nadzieją. - Powiedziano nam, że to najlepsze z możliwych. Zgodzisz się z tym? W końcu jesteś profesjonalistką.

Spoglądam na patelnię. Jest nowa i lśniąca. To wszystko, co mogę na jej temat powiedzieć.

- Niechże się przyjrzę - mówię, starając się, by brzmiało to profesjonalnie. Chwytam patelnię, podnoszę ją, przyglądam się spodowi, przesuwam palcem po brzegu i, dla lepszego wrażenia, stukam w powierzchnię paznokciem. - Tak, to bardzo dobra jakość - mówię wreszcie. - Wybrała pani bardzo dobrze.

- Och, znakomicie! - Trish rozjaśnia się i zaczyna rozpakowywać kolejne pudełko. - Popatrz na to! - Odpakuje z folii dziwaczного kształtu gadżet z drewnianą rączką. - Nigdy czegoś takiego nie widziałam! Co to takiego, Samantha?

Wpatruję się w przedmiot w milczeniu. Co to jest, na Boga? Wygląda jak skrzyżowanie sitka z tarką i ubijaczką do piany. Spoglądam szybko na pudełko w poszukiwaniu podpowiedzi, ale naklejka z nazwą została oderwana.

- No więc? - pyta znowu Trish.

* Francuskie ciasto ponczowe.

Hej, przecież jestem profesjonalną kucharką. Powinnam wiedzieć, co to takiego.

- Tego sprzętu używa się do wysoce wyspecjalizowanej techniki kucharskiej - mówię wreszcie. - Bardzo specyficznej.

- Do czego konkretnie? - Trish wpatruje się we mnie z podnieceniem. - Pokaż mi! - wręcza mi dziwny przyrząd.

- To coś w rodzaju... ubijającego... kolistego ruchu... -Obracam urządzeniem kilka razy - coś w tym stylu. Odciąża nadgarstek. Trudno jest mi to pokazać bez... mm... truflifli.

Truflifli? Skąd mi się wzięły truflifli?

- Dam pani znać, kiedy będę tego używała następnym razem - dodaję i szybko odkładam przyrząd na blat. *

- Och tak! Zrób to! - Trish jest zachwycona. - Jak to się nazywa?

- Ja zawsze mówiłam na to ubijaczka do truflifli - odpowiadam - ale zapewne istnieje również jakaś oficjalna nazwa.

Może zrobię pani kawę? - dodaję szybko. - Później odpakuję resztę.

Nastawiam czajnik, sięgam po dzbanek do kawy i wyglądam za okno. Po trawniku idzie Nathaniel. O Boże! Alarm zadurzeniowy! Pełne, stuprocentowe, staromodne dziecinne zauroczenie.

Nie mogę oderwać od niego wzroku. Słońce igra w jego płowych włosach. On ma na sobie znoszone, wypłowiałe dżinsy. Obserwuję, jak chwyta ogromny worek wypełniony czymś po brzegi i zarzuca go z łatwością na ramię.

Przecież nie mogę ważyć dużo więcej niż worek ziemniaków...

- Jak ci minął weekend, Samantho? - przerywa moje rozmyślenia Trish. - Prawie cię nie widzieliśmy. Pojechałaś do miasta?

- Byłam w domu Nathaniela - odpowiadam bez zastanowienia.

- Nathaniela? - Trish jest wyraźnie zdumiona. - Naszego ogrodnika? Ale po co?

Natychmiast zdaję sobie sprawę z mojego błędu. Ogromnego błędu. Nie mogę przecież powiedzieć, że pobieram lekcje gotowania. Wpatruję się w nią oglupiała przez dłuższą chwilę, usiłując sfabrykować jakiś przekonujący powód wizyty.

- Po prostu... żeby się przywitać... - odpowiadam wreszcie, świadoma, że może to zabrzmieć, jakbym coś ukrywała. Poza tym czuję, że na policzki wypełza mi rumieniec.

Na twarzy Trish pojawia się nagle zrozumienie. Otwiera szeroko oczy, dają słowo, są wielkie jak talerze.

- Ach, rozumiem - mówi. - To takie słodkie!

- Nie! - protestuję. - Nie chodzi o... naprawdę...

- Nie martw się! - przerywa mi Trish z emfazą. - Nikomu nie powiem ani słowa. Jestem wcieleniem dyskrecji.

-Przykłada palec do ust. - Możesz na mnie polegać.

Zanim mam szansę odpowiedzieć, zabiera kawę i wychodzi z kuchni. Siadam pomiędzy pudłami pełnymi sprzętu kuchennego i bezmyślnie bawię się ubijaczką do trufli.

To było dziwne. Nie szkodzi, pewnie nic się takiego nie stanie, dopóki Trish nie powie Nathanielowi czegoś niestosownego.

Nagle zdaję sobie sprawę z mojej głupoty. Oczywiście, że Trish powie Nathanielowi coś niestosownego. Uczyni jakąś aluzję i kto wie, co on sobie pomyśli. To może być bardzo żenujące i wszystko między nami zniszczyć.

Powinłam pójść do niego i wyjaśnić tę sytuację. Powiedzieć mu, że Trish mnie źle zrozumiała i że wcale się w nim nie zakochałam. Naturalnie jednocześnie dając mu do zrozumienia, że w rzeczywistości tak się właśnie stało.

Zmuszam się do czekania. Robię śniadanie dla Trish i Eddiego, ustawiam nowy sprzęt kuchenny, mieszam nieco oliwy z oliwek i startej skórki cytrynowej i wkładam do marynaty filety z leszcza, tak jak uczyła mnie Iris. Potem skracam dół fartuszka jeszcze bardziej, dodaję do makijażu kilka pociągnięć konturówką - tak na szczęście - i ruszam do ogrodu

z koszykiem, który znalazłam w spizarce. Jeżeli Trish będzie chciała wiedzieć, co takiego robię, powiem jej, że poszłam nazbierać ziół do gotowania.

Przez chwilę szwendam się po ogrodzie, aż wreszcie odnajduję Nathaniela. Jest w sadzie za starą ścianą, stoi na drabinie i zawiązuje linę wokół drzewa. Ruszam w jego kierunku i nagle czuję idiotyczne zdenerwowanie. W ustach mam sucho i zdaje się, że drżą mi nogi. Boże, a ja myślałam, że w każdej sytuacji potrafię zachować zimną krew. Ktoś mógłby pomyśleć, że siedem lat bycia prawnikiem lepiej przygotowało mnie do konfrontacji. Ignoruję treść najlepiej, jak potrafię. Podchodzę do drabiny, odgarniam włosy do tyłu i uśmiecham się do Nathaniela, starając się nie mrużyć oczu przed słońcem.

- Cześć.

- Cześć - uśmiecha się do mnie. - Jak ci idzie? *

- Dobrze, dzięki! Znacznie lepiej. Jak dotąd nie nastąpiła jeszcze żadna poważna katastrofa... - przerywam. Nagle zdaję sobie sprawę, że wpatruję się zbyt usilnie w jego ręce, zaciskające węzeł na linie. - Chciałam zerwać trochę... rozmarynu - pokazuję na koszyk. - Jeżeli jest?

- Jasne. Zaraz trochę utnę.

Zeskakuje z drabiny i razem ruszamy w kierunku grządki z ziołami.

W tej oddalonej od domu części ogrodu panuje absolutna cisza, przerywana jedynie bzyczeniem jakiegoś dziwnego owada i chrzęstem żwiru na ścieżce pod stopami. Próbuję wymyślić coś lekkiego i niezobowiązującego do podtrzymania konwersacji, ale czuję pustkę w głowie.

- Gorąco - rzucam wreszcie. Wspaniale!

- Uhm. - Nathaniel kiwa głową i z łatwością przechodzi ponad kamiennym murkiem otaczającym zielnik. Próbuję naśladować jego sprężysty krok i zaczepiam stopą o kamienie. Auć!

- W porządku? - patrzy na mnie.

- Tak, tak, w porządku! - uśmiecham się promiennie,

choć stopa pulsuje niewyobrażalnym bólem. - Em... piękne zioła! - spoglądam na ogródek ze szczerym podziwem. Ma sześciokątny kształt, z małymi ścieżkami pomiędzy poszczególnymi sekcjami. - Sam to wszystko zaprojektowałeś? Jest niesamowity!

- Dzięki. Jestem z niego dość zadowolony - uśmiecha się Nathaniel. - A oto twój rozmaryn.

Wyciąga sekator ze starego skórzanego pokrowca i zaczyna obcinać gałązki ciemnozielonego krzewu z wąskimi listkami. Moje serce zaczyna walić. Muszę powiedzieć to, z czym tu przyszłam.

- Wiesz... to naprawdę dziwne - zaczynam tak lekko, jak potrafię, bawiąc się pachnącymi listkami jakiejś krzaczastej rośliny. - Trish chyba coś sobie ubzdurzyła na temat ciebie i mnie. Chyba uważa, że my... no, wiesz.

- Ach. - Nathaniel kiwa głową, nie patrząc na mnie.

- Oczywiście to... głupie! - dodaję ze śmiechem.

- Uhm. - Ucina kilka następnych gałązek rozmarynu i pokazuje mi. - Wystarczy tyle?

Uhm? Nic więcej? To wszystko, co ma do powiedzenia w tym temacie?

- Jeszcze kilka gałązek - rzucam desperacko, starając się naprowadzić go na właściwą odpowiedź.

- Oczywiście. - Wreszcie spogląda na mnie, marszcząc opalone czoło. - Przecież nie będziesz chciała się teraz z nikim wiązać. Nie tak szybko po zerwaniu toksycznego związku.

Spoglądam na niego, nic nie rozumiejąc. O czym do diabła on...

Ach tak. Toksyczny związek.

- No tak - mówię. - Oczywiście.

Cholera jasna! Po co wymyślałam ten toksyczny związek? Co ja sobie wyobrażałam?

- Proszę, twój rozmaryn. - Nathaniel wkłada wonny pęczek do koszyka. - Coś jeszcze?

- Hmm... tak! - odpowiadam szybko. - Czy mogłabym dostać trochę mięty?

Przyglądam się, jak Nathaniel ostrożnie przechodzi pomiędzy grządkami w kierunku dużych kamiennych donic, w których rośnie mięta.

- Właściwie - usiłuję nadać mojemu głosowi niedbały ton - właściwie to ten związek nie był aż tak zły. Chyba już uporałam się z tym wszystkim.

Nathaniel spogląda na mnie, zasłaniając dłonią oczy przed słońcem.

- W ciągu tygodnia poradziłaś sobie po zerwaniu siedmioletniej znajomości?

Jeśli postawić sprawę w ten sposób, rzeczywiście brzmi to dość nieprzekonująco. Gwałtownie próbuję znaleźć jakąś dobrą odpowiedź.

- Mam duże zasoby odporności - mówię wreszcie. - Jestem jak... gumka. ^

- Gumka - powtarza z nieodgadzionym wyrazem twarzy. Czy słowo „gumka” było nieodpowiednie? Nie. Raczej nie. To bardzo erotyczne słowo.

Nathaniel wkłada do koszyka pęczek mięty i spogląda, jak gdyby chciał mnie wysondować.

- Mama powiedziała... - przerywa z dziwnym wyrazem twarzy.

- Co? - pytam bez tchu. Rozmawiali o mnie?

- Mama zastanawiała się czy... nie byłaś przypadkiem źle traktowana - odwraca wzrok. - Jesteś taka spięta i niespokojna.

- Wcale nie jestem spięta i niespokojna! - wybucham. No tak, chyba rzeczywiście zareagowałam zbyt nerwowo.

- Jestem nadpobudliwa z natury - wyjaśniam. - Nikt nie traktował mnie źle, ani nic w tym stylu. Po prostu... zawsze czułam się... uwięziona - kończę, ku swojemu własnemu zdziwieniu.

Przypomina mi się moje życie w Carter Spink, kiedy to czasem całymi tygodniami niemal mieszkiałam w biurze. To targanie stosu dokumentów do domu, żeby nad nimi pracować, odbieranie mejli o każdej porze dnia i nocy. Może rzeczywiście czułam się jak w potrzasku?

- Ale teraz mam się dobrze - ciągnę, potrząsając czupryną. - Jestem gotowa zacząć normalne życie... nowy związek... albo coś bardziej niezobowiązującego... cokolwiek...

Przygodą na jedną noc też się zadowolę...

Wpatruję się w niego, z całej siły usiłując rozewrzeć źrenice. Pozornie niedbałym gestem unoszę dłoń w kierunku ucha, dla wzmocnienia efektu. Nadal panuje między nami pełna napięcia cisza, przerywana jedynie przez brzęczenie owadów.

- Myślę, że nie powinnaś się spieszyć z zawieraniem nowych związków - mówi Nathaniel. Odsuwa się ode mnie i zaczyna przyglądać się liściom pobliskiego krzewu. W jego pozie wyczuwam zakłopotanie, niezręczność i czuję uderzenie krwi do mózgu, gdy dociera do mnie znaczenie tego gestu. Próbuje się mnie pozbyć. Nie chce mnie. Och! To okropne. Stoję tu z podciągniętym fartuszkiem, umalowana, przemawiając do niego całym ciałem, tak jak potrafię, wręcz oferując mu siebie... a on daje mi do zrozumienia, że nie jest zainteresowany. Jestem wstrząśnięta, przerażona, muszę natychmiast stąd uciec. Z dala od niego.

- Masz rację - mówię zdenerwowana. - To... to zbyt wcześnie, żeby myśleć o czymś takim. Właściwie to byłoby okropne. Skoncentruję się po prostu na mojej nowej pracy. Gotowaniu i... i tym podobnych. Muszę wracać. Dziękuję za ziola.

- Nie ma sprawy - odpowiada.

- Tak. Cóż, do zobaczenia.

Chwytam koszyk mocniej, odwracam się na pięcie, przechodzę przez murek, tym razem nie zahaczając o niego stopą, i wracam zwirowaną ścieżką do domu.

Jestem zażenowana ponad wszelkie wyobrażenie. Tyle w temacie nowej Samantha.

Pierwszy i ostatni raz próbowałam się umówić z mężczyzną. Moja oryginalna strategia polegająca na cierpliwym czekaniu, byciu ignorowaną, a potem porzucaną dla kogoś innego jest milion razy lepsza.

Poza tym nic a nic mnie to nie obchodzi. Tak będzie najlepiej, naprawdę, ponieważ muszę się skoncentrować na pracy. Zaraz po powrocie do domu nastawiam prasowanie, włączam radio i robię sobie filiżankę mocnej kawy. Od tej chwili będę się zajmować wyłącznie tym - wykonywaniem swoich obowiązków na każdy dzień. Niepotrzebne mi jakieś głupie zadurzenie w ogrodniku. Płacą mi za wykonywanie mojej pracy i zamierzam zarobić te pieniądze uczciwie.

Zanim wybija dwunasta, udaje mi się wyprasować dziesięć koszul, zrobić jedną kolejkę prania i odkurzyć oranżerię. Do lunchu odkurzam i sprzątam wszystkie pokoje na parterze oraz poleruję lustro octem. Przed piątą udaje mi się uprać kolejną stertę rzeczy, posiekać w mikserze warzywa, odmierzyć ryż, który następnie gotuję na parze, oraz przygotować cztery foremki z ciastem francuskim na tartinki owocowe, tak jak nauczyła mnie Iris. ^

Do siódmej wieczorem wyrzucam już jedną porcję przypalonych tartinek, piekę kolejne cztery, wypełniam je truskawkami i polewam podgrzanym dżemem morelowym. Podsmażam posiekane warzywa na oliwie z dodatkiem czosnku, aż robią się miękkie. Blanszuję fasolkę, wkładam leszcza do pieca i przy okazji upijam dosyć sporo wermutu, który miałam wykorzystać do sosu coulis, ale to nieważne.

Moja twarz płonie, serce pracuje na przyspieszonych obrotach. Poruszam się po kuchni, jakby świat wokół mnie nagle przyspieszył... ale czuję się z tym dobrze, niemal radośnie. Oto ja, samodzielnie przygotowująca obiad... i w dodatku panuję nad sytuacją! Może z wyjątkiem fiaska grzybowego, spoczywającego teraz bezpiecznie w koszu. Nakrywam do stołu, używając najlepszej porcelany, jaką znalazłam w domu, i ustawiam świece w srebrnych kandelabrach. W lodówce chłodzi się butelka prosecco, a w piekarniku grzeją się talerze. Włączyłam nawet kompakt Trish z piosenkami miłosnymi Enrique Iglesiasa. Czuję się zupełnie, jakbym urządziła swoje pierwsze w życiu przyjęcie.

Z przyjemnym łaskotaniem w żołądku wyglądam fartuszek, otwieram drzwi kuchenne i wołam:

- Pani Geiger? Panie Geiger? Potrzebuję wielkiego gongu.

- Pani Geiger? - próbuję znowu. Absolutnie żadnej odpowiedzi. Znając ich, powinni już snuć się w pobliżu kuchni. Wracam do środka, biorę szklanekę i widelec, po czym głośno stukam o szkło.

Nadal nic. Gdzie oni są?

Zaglądam do pokoiów na parterze, ale wszystkie są opustoszałe. Ostrożnie zaczynam wspinać się po schodach.

Może znowu przeżywają *Radość seksu*? Powinnam się wycofać?

- Pani Geiger? - wołam z wahaniem. - Obiad podany. Z końca korytarza dobiegają mnie przytłumione głosy.

- Pani Geiger?

Nagle otwierają się z hukiem jakieś drzwi.

- Do czego służą pieniądze?! - słyszę piskliwy głos Trish. - Powiedz mi!

- Nie muszę ci mówić, do czego służą pieniądze! - wrzeszczy Eddie. - Nigdy nie musiałem.

- Gdybyś cokolwiek rozumiał...

- Rozumiem! - Sądząc po głosie, Eddie jest bliski apopleksji. - Nie mów mi, że nie rozumiem.

Noooooo tak. Czyli jednak nie radość seksu. Zaczynam wycofywać się z korytarza na paluszkach, ale jest już za późno.

- A co z Portugalią? - skrzeczy Trish. - Pamiętasz tamto? - Wychodzi z pokoju w chmurze różu i zatrzymuje się, widząc mnie.

- Obiad jest gotowy, proszę pani - mamrocę, ze wzrokiem utkwionym w dywanie.

- Jeżeli jeszcze jeden cholerny raz wspomnisz tę cholerną Portugalię... - Eddie wymaszerowuje z pokoju.

- Eddie! - przerywa mu brutalnie Trish i pokazuje na mnie. - *Pas devant*.

- Co? - pyta Eddie gniewnie.

- *Pas devant les... les...* - macha rękami, jakby usiłowała chwycić właściwe słowo.

- *Domestiques?** - podpowiadam niepewnie.

Trish rzuca mi zimne spojrzenie, a potem wyprostowuje się z godnością.

- Będę w swoim pokoju.

- To również mój pokój, do cholery! - wrzeszczy Eddie, ale Trish zatrząskuje mu drzwi przed nosem.

- Zrobiłam obiad... - zaczynam znowu, ale Eddie rusza już w kierunku schodów, kompletnie mnie ignorując.

Ogarnia mnie coraz większy niepokój. Jeżeli leszcz nie zostanie wkrótce zjedzony, wysuszy się na wiór.

- Pani Geiger? - pukam do drzwi jej pokoju. - Martwię się, że obiad się zmarnuje...

- I co z tego? - słyszę jej stłumioną odpowiedź. - ^ie jestem w nastroju do jedzenia.

Wpatruję się w drzwi z niedowierzaniem. Spędziłam cały dzień, szykując dla nich obiad. Teraz jest gotowy, świece zapalone, talerze podgrzane. Nie mogą tak po prostu go nie zjeść.

- Musicie państwo zejść na obiad! - krzyczę. Eddie zatrzymuje się w połowie drogi, drzwi od sypialni otwierają się i staje w nich zdumiona Trish.

- Co takiego? - pyta.

OK, muszę rozegrać to ostrożnie.

- Wszyscy muszą jeść - improwizuję. - To ludzka potrzeba. Dlaczego nie omówią państwo swoich problemów przy posiłku? Albo nie odłożą tego na później?! Proszę napić się wina, odprężyć się i spróbować nie wspominać więcej o... Portugalii.

Kiedy wymawiam to słowo, czuję, że napięcie rośnie znowu.

- To nie ja o tym wspominałem - warczy Eddie. - Myślałem, że ten temat jest już zamknięty.

- Powiedziałam o tym tylko dlatego, że jesteś taki nie-

* *Pas devant les domestiques* (fr.) - Nie przy służbie.

wrażliwy... - Trish podnosi głos i ociera łzę z oka. - Myślisz, że jak się czuję, będąc twoją... zdobyczną żoną?
Zdobyczną?

Nie wolno mi się roześmiać.

- Trish. - Ku mojemu zdumieniu Eddie wbiega po schodach na tyle szybko, na ile pozwala mu jego brzuch. - Nigdy, przenigdy tak nie mów. - Chwytają za ramiona i spogląda jej w oczy. - Zawsze byliśmy partnerami, dobrze o tym wiesz. Od czasu Sydenham.

Najpierw Portugalia, teraz Sydenham. Pewnego dnia będę musiała usiąść z Trish i przy butelce wina wydobyć z niej historię jej życia.

- Wiem - szepcze Trish.

Patrzy na Eddiego, jakby nie istniał na świecie nikt inny, i nagle czuję ukłucie zazdrości. Oni naprawdę się kochają. Widzę, że wszelkie dzielące ich różnice znikają powoli. Zupełnie jakbym obserwowała reakcję chemiczną w probówce.

- Chodźmy na obiad - mówi wreszcie Eddie. - Samantha ma rację. Powinniśmy coś razem zjeść, usiąść w przyjemnej atmosferze i porozmawiać.

Spogląda na mnie, a ja uśmiecham się z ulgą. Dzięki Bogu. Leszcz jeszcze powinien być dobry... muszę tylko przelać sos do sosjerki...

- W porządku - pociąga nosem Trish. - Samantho, wychodzimy na obiad.

Uśmiech zastyga mi na twarzy. Co takiego?

- Nie kłopotz się gotowaniem dla nas - wtrąca się Eddie, poklepując mnie jowialnie po ramieniu. - Możesz sobie zrobić wolny wieczór!

Co takiego?

- Ale... ja już ugotowałam obiad! - rzucam. - Jest przyszykowany!

- Nie szkodzi - Trish macha dłonią. - Zjedz go sama. Nie. Nie. Nie mogą mi tego zrobić.

- Ale wszystko czeka przygotowane w jadalni! Pieczona ryba... warzywa julienne...

- Gdzie pójdziemy? - pyta Trish Eddiego, nie słuchając tego, co mówię. - Może spróbowalibyśmy się dostać do Mili House?

Stoję osłupiała, patrząc jak Trish i Eddie znikają w sypialni. Drzwi do pokoju zamykają się, pozostawiając mnie na podeście.

Oto koniec mojego przyjęcia.

Geigerowie ruszają z podjazdu z rykiem silnika porsche, ja zaś wlokę się do jadalni, sprzątam wszystko ze stołu, odstawiam na miejsce kryształowe kieliszki, składam serwetki i gaszę świeczki. Potem wracam do kuchni i spoglądam na przygotowane przez siebie potrawy, gotowe do podania. Mój sos, wciąż bulgoczący powoli w garnku, moje przybrane z plasterów cytryny. Taka byłam z tego dumna.

No cóż, nic nie mogę na to poradzić.

Mój leszcz wygląda żałośnie, ale biorę kawałek na talerz i nalewam sobie lampkę wina. Siadam przy stole, odkrawam kęs, unoszę do ust - po czym odkładam na talerz. Nie jestem głodna.

Cały dzień zmarnowany. A jutro będę musiała przejść przez wszystko od początku. Sama myśl sprawia, że pochylam głowę i chowam twarz w dłoniach.

Co ja tu robię?

Poważnie - co ja tu robię? Dlaczego nie zbieram się i nie wychodzę stąd natychmiast, nie wskakuję do pierwszego pociągu do Londynu?

Siedzę tak, przygnębiona, i nagle słyszę ciche stukanie do drzwi. Podnoszę głowę i widzę Nathaniela z plecakiem, opartego o framugę. Na wspomnienie naszego porannego spotkania czuję palący wstyd. Na wpół świadomie obracam się z krzesłem w jego kierunku.

- Cześć - rzucam takim tonem, jakbym chciała powiedzieć: „Jeżeli myślisz, że jestem tobą zainteresowana, to się grubo mylisz”.

- Pomyślałem, że wpadnę, żeby zobaczyć, czy nie potrze-

bujesz pomocy - rozgląda się po kuchni i jego wzrok pada na półmiski pełne nietkniętego jedzenia. - Co się stało?
- Nie chcieli jeść w domu. Pojechali do restauracji. Nathaniel przygląda mi się przez chwilę, a potem zamyka oczy i krótko potrząsa głową.
- Po tym, jak przez cały dzień dla nich gotowałam?
- To ich jedzenie, ich dom. Mogą robić, co chcą. - Usiłuję nadać głosowi rzeczowy i obojętny ton, ale w głębi duszy nadal czuję głęboki zawód. Nathaniel kładzie plecak na ziemi, podchodzi do piekarnika i przygląda się leszczowi.
- Wygląda nieźle.
- Jak steżała rozgotowana ryba.
- Moje ulubione danie - uśmiecha się, ale nie jestem w nastroju, żeby odpowiedzieć tym samym.
- W takim razie weź sobie trochę. Nikt inny tego nie zje.
- Skoro tak, szkoda zmarnować takie jedzenie. - Nakłada sobie sporą porcję, nalewa wina i siada przy stole naprzeciwko mnie. Przez chwilę żadne z nas się nie odzywa. Nawet na niego nie patrzę.
- Za twoje zdrowie. - Unosi kieliszek. - Gratuluję.
- Jasne.
- Poważnie, Samantho. - Czeka cierpliwie, aż przestaję się gapić w podłogę. - Czy Geigerowie chcieli zjeść obiad, czy nie, to i tak jest to twoje wielkie osiągnięcie. Daj spokój -wykrzywia się radośnie. - Pamiętasz poprzedni obiad, jaki ugotowałam w tej kuchni?
Uśmiecham się niechętnie.
- Mówisz o pewnej tragicznie zmarłej jagnięcinie, tak?
- O ciecierzycy. Nigdy jej nie zapomnę. - Wkłada do ust kawałek ryby i potrząsa głową ze zdumieniem. - Wiesz, to naprawdę jest dobre!
W moim umyśle odzywają sceny sprzed paru dni; malutkie czarne kulki, wyglądające jak śrut, ja, miotająca się pośród chaosu, masa beżowa ściekająca na podłogę... przypominam sobie to wszystko i wbrew samej sobie czuję wzbierający śmiech. Tyle się nauczyłam od tamtej pory.

- Oczywiście poradziłabym sobie tamtego wieczora -rzucam nonszalancko - gdybyś nie uparł się mi pomagać.

Kontrolowałam wszystko, dopóki się nie wmieszałeś.

Nathaniel odkłada widelec, nadal przeżuując. Przez kilka chwil przygląda mi się zmrużonymi błękitnymi oczami - chyba z rozbawieniem. Czuję, że policzki różowieją mi ze wstydu i spoglądając w dół, widzę, że opieram ręce o stół, wyginając palce do góry. Uświadamiam też sobie z przerażeniem, że pochylam się ku Nathanielowi. Moje źrenice pewnie mają średnicę mniej więcej kilometra. Nie mogłabym dać mu wyraźniejszego znaku, nawet gdybym napisała sobie na czole: „Podobasz mi się”.

Szybko kładę dłonie na udach, siadam prosto i przybieram kamienny wyraz twarzy. Jeszcze nie poradziłam sofcie z poranną porażką. Właściwie to teraz jest odpowiedni moment, żeby coś na ten temat powiedzieć.

- Wiesz... - zaczynamy oboje w tej samej chwili.

- Mów pierwsza - prosi i bierze do ust kolejny kawałek ryby. - Ja po tobie.

- Wiesz... - chrząkam. - Nawiązując do naszej porannej rozmowy, chciałam powiedzieć, że miałeś rację co do związków. Rzeczywiście nie jestem jeszcze gotowa na nic nowego. Ani nawet zainteresowana. Wcale.

Proszę bardzo, powiedziałam mu. Nie jestem pewna, czy wypadłam przekonująco, ale przynajmniej ocaliłam resztki godności.

- A ty co zamierzałeś powiedzieć? - pytam, dolewając mu wina.

- Chciałem się z tobą umówić. Niemal rozlewam wino. Co takiego? Więc ten patent z dłońmi zadziałał?

- Ale nie martw się - upija nieco wina. - Rozumiem. Wycofać się. Muszę się wycofać z tego, co powiedziałam, i to bardzo, bardzo szybko, ale jednocześnie subtelnie, żeby nie zauważył, że to robię...

Chrzanić to. Po prostu będę niekonsekwentna. W końcu jestem kobietą, wolno mi.

- Nathanielu - mówię z pozornym spokojem. - Bardzo chętnie się z tobą umówię.

- Doskonale - nie wygląda na zdezorientowanego. - Co powiesz na piątek wieczorem?

- Wspaniale.

Uśmiecham się do niego i nagle czuję wilczy głód. Przyciągam do siebie swój talerz z leszczem, chwytam za sztućce i zaczynam jeść.

14

Cały tydzień aż do piątku upływa bez specjalnych wpadek, a przynajmniej takich, o których dowiedzieliby się Geigero-wie. We wtorek następuje mała katastrofa z risotto warzywnym, ale dzięki Bogu udaje mi się w ostatniej chwili zdobyć produkt zastępczy z firmy cateringowej. Jest też wpadka z brzoskwinową halką, którą, patrząc z perspektywy czasu, powinnam uprasować chłodniejszym żelazkiem, oraz z wazonem od Dartingtona, który stłukłam, usiłując wyczyścić go specjalną końcówką od odkurzacza. Jak dotąd jednak nikt najwyraźniej niczego nie zauważył, a jutro mają dostarczyć nowy.

W tym tygodniu wydałam jedynie dwieście funtów, co w porównaniu z zeszłym jest znaczącą poprawą. Może niedługo zacznę wreszcie zarabiać?

Rozwieszam właśnie mokrą bieliznę Eddiego w pralni, usiłując prawie na nią nie patrzeć, kiedy słyszę wołanie Trish.

- Samantha! Gdzie jesteś? - Chyba nie jest zadowolona i czuję świdrowanie w żołądku. Co takiego odkryła? - Nie mogę pozwolić, żebyś z takim wyglądem chodziła po domu. - Trish staje w drzwiach pralni, potrząsając energicznie głową.

- Słucham? - wpatruję się w nią ze zdumieniem.

183

- Twoje włosy - krzywi się niemiłosiernie.
 - Ach, to. - Dotykam wybielonego kosmyka z grymasem. - Miałam się tym zająć w ciągu weekendu...
 - Zrobimy to teraz - przerywa mi bezpardonowo. - Przyjechała moja wspaniała fryzjerka.
 - Teraz? Ale... muszę odkurzyć dom.
 - Nie będziesz mi chodziła po pokojach jak jakieś straszdyło. Nadrobisz godziny później, a pieniądze za wizytę potrącę ci z tygodniówki. Chodź. Annabel czeka!
- Chyba nie mam wyboru. Porzucam w misce resztę majtek Eddiego i podążam za Trish schodami w górę.
- Tak przy okazji chciałam porozmawiać o moim kaszmirowym sweterku - rzuca surowym tonem Trish, kiedy stoimy już na podeście. - Tym kremowym.
- Cholera jasna! Domyśliła się, że kupiłam nowy. gb oczywiste. Powinnam wiedzieć, że nie może być aż taka głupia...
- Nie wiem, co z nim zrobiłaś - Trish wydmuchuje chmurę dymu papierosowego i otwiera drzwi do sypialni - ale wygląda prześlicznie. Ta mała plamka z atramentu na rąbku zupełnie zniknęła! Sweter wygląda jak nowy!
 - Ach - uśmiecham się z ulgą. - Cóż... to wchodzi w zakres usług!
- Wchodzę za Trish do sypialni. Jakaś chuda kobieta z wielką natapirowaną blond fryzurą, w białych dżinsach ze złotym paskiem, ustawia krzesło na środku pokoju.
- Witam! - Patrzy na mnie z papierosem w dłoni. Wygląda na sześćdziesiątkę. - Samantha! Słyszałam o tobie same dobre rzeczy!
- Ma chropowaty głos, a wokół ust setki małych zmarszczek od zaciągania się papierosami. Jej makijaż wygląda jak przy-spawany do skóry. Właściwie wygląda jak Trish piętnaście lat później. Podchodzi do mnie, przygląda się moim włosom i krzywi usta.
- Co to jest? Myślałaś, że będzie ci do twarzy z pasemkami? - chichocze chrapliwie ze swojego własnego dowcipu.
 - To był... wypadek z bielinką.

- Wypadek! - Przesuwa dłonią po moich włosach, cmokając. - Nie możemy tego tak zostawić. Lepiej, jeśli zrobimy z ciebie ładną blondynkę. Nie masz nic przeciwko temu, prawda, złociutka?

Blondynkę?

- Nigdy nie byłam blondynką - odpowiadam zaniepokojona. - Nie jestem pewna...

- Masz odpowiedni odcień włosów - odgarnia moje włosy do tyłu.

- Jeżeli nie będzie to zbyt jasny blond... - odpowiadam szybko. - Nie... no wie pani, nie sztuczny, paniusiowaty platynowy blond... - przerywam, uświadamiając sobie, że obie kobiety mają sztuczne, paniusiowate, platynowe czupryny. - Albo... - przełykam głośno, nie śmiejąc spojrzeć im w oczy - właściwie to jak pani uważa.

Siadam na krześle, okrywam ramiona ręcznikiem i staram się nie krzywić, gdy Annabel szybko rozsmarowuje na mojej głowie jakieś mazidło o ostrym zapachu, pasemko po pasemku, układając je na paskach folii aluminiowej.

Blondynka. Żółte włosy. Lalki Barbie. O Boże, co ja robię!

- To chyba niedobry pomysł - mówię nagle, próbując wstać z krzesła. - Nie sądzę, żeby było mi do twarzy w blond...

- Spokojnie! - Annabel chwyta mnie za ramiona, siłą sadza z powrotem i wkłada w moje dłonie jakiś magazyn. Za jej plecami Trish otwiera butelkę szampana. - Będziesz wyglądała prześlicznie. Taka ładna dziewczyna jak ty powinna coś zrobić z włosami. A teraz przeczytaj nam nasze znaki.

- Znaki? - pytam zdezorientowana.

- Horoskop! - Annabel cmoka z niecierpliwością. - Nie najbystrzejsza, co? - dodaje po cichu, zwracając się do Trish.

- Trochę nierozgarnięta - mruczy dyskretnie Trish - ale fantastycznie pierze.

Zatem tak właśnie wygląda prowadzenie próżniaczego życia - siedzenie z folią aluminiową na włosach, popijanie buck fizza i czytanie kolorowych magazynów. Od kiedy skończyłam trzynaście lat, nie miałam w ręku żadnej gazety z wyjątkiem-

kiem „Prawnika”, a wizyty u fryzjera spędzałam głównie na odpisywaniu na mejle i czytaniu kontraktów. Mimo wszystko nie potrafię się odprężyć. Im dłużej czytam *Dziesięć sposobów na przekonanie się, że twoje bikini jest za małe*, tym bardziej jestem niespokojna. Kiedy docieram do *Wakacyjnych romansów z życia wziętych*, a Annabel zaczyna suszyć mi włosy, czuję nerwowe napięcie.

Nie mogę być blondynką. To po prostu nie ja.

- Proszę bardzo! - Annabel dmucha suszarką w moje włosy po raz ostatni i wyłącza ją. Zapada cisza. Nie mogę zmusić się do otworzenia oczu.

- Dużo lepiej! - mówi z aprobatą Trish. Powoli otwieram jedno oko. A potem drugie.

To nie blond. Moje włosy są karmelowe. Ciepłokymelowe z miodowymi pasemkami i porozsiewanymi tu i ówdzie złotymi nitkami. Lśnią, kiedy poruszam głową.

Przełykam kilka razy, próbując zapanować nad wzruszeniem. Mam ochotę się rozplakać.

- Nie wierzyłaś mi, prawda? - Annabel unosi brwi i spogląda na moje odbicie w lustrze z pełnym satysfakcji uśmiechem. - Wydawało ci się, że nie wiem, co robię.

Najwyraźniej potrafi czytać w myślach. Czuję zmieszanie.

- Są cudowne - odpowiadam wreszcie. - Ja... bardzo pani dziękuję. - Jestem zahipnotyzowana swoim odbiciem. Nie mogę oderwać oczu od nowej, lśniącej, karmelowo-miodowej mnie. Czuję się żywa, kolorowa. Nigdy już nie chcę wyglądać tak jak przedtem. Nigdy!

Przyjemność nie mija, nawet kiedy schodzę na dół, wyciągam odkurzacz i zaczynam sprzątać w salonie. Jestem kompletnie pochłonięta nową fryzurą. Mijając każdą lśniącą powierzchnię, przystaję i podziwiam swój wygląd, odgarniam włosy i pozwalam im opadać na ramiona karmelową kaskadą.

Odkurzanie pod dywanem. Włosy do tyłu. Odkurzanie pod stolikiem do kawy. Włosy do tyłu. Nigdy wcześniej nie przy-

szło mi do głowy, żeby wysuszyć włosy suszarką. Ile jeszcze rzeczy mnie ominęło?

- Samantha - spoglądam przed siebie i widzę, że do pokoju wchodzi Eddie w marynarce i w krawacie. - Mam spotkanie w jadalni i chciałbym, żebyś przygotowała nam kawę.

- Tak, proszę pana - dygam. - Dla ilu osób?

- Dla czterech. Przynieś też trochę herbatników, jakichś przekąsek, czegokolwiek.

- Oczywiście.

Eddie wygląda na mocno podekscytowanego. Jest czerwony na twarzy. Zastanawiam się, co to za spotkanie. Po drodze do kuchni zerkam za okno i widzę na podjeździe obcego mercedesa 5, zaparkowanego tuż obok kabrioletu bmw. Hmm, chyba nie odwiedził nas miejscowy proboszcz?

Przygotowuję dzbanek kawy, stawiam go na tacy, układam na talerzu herbatniki i babeczki, które kupiłam do herbaty. Biorę tacę w ręce, idę do jadalni i pukam.

- Wejść!

Otwieram drzwi i widzę Eddiego w towarzystwie trzech mężczyzn w garniturach. Siedzą przy stole z jakimiś dokumentami.

- Kawa dla panów - mamrocę z udawanym szacunkiem.

- Dziękuję, Samantho - policzki Eddiego płoną. - Czy możesz nam nalać?

Stawiam tacę na małym stoliku obok i roznoszę filiżanki. Przy okazji nie mogę się powstrzymać od zerknięcia na dokumenty. Natychmiast rozpoznaję w nich umowy.

- Czarna czy z mlekiem? - pytam pierwszego gościa.

- Z mlekiem poproszę.

Nawet na mnie nie spogląda. Nalewam kawę i spoglądam na papiery jeszcze raz. Wyglądają mi na jakąś umowę inwestycyjną dotyczącą nieruchomości. Czyżby Eddie zamierzał utopić w czymś pieniądze?

- Herbatnika? - pytam.

- Dziękuję, i tak jestem wystarczająco słodki. - Mężczyz-

na wyszczerza zęby z radości, a ja w odpowiedzi uśmiecham się uprzejmie. Co za dupek!

- Powiedz mi, Eddie, rozumiesz już ten paragraf? - pyta łagodnym, pełnym troski głosem mężczyzna w fioletowym krawacie. - Kiedy przedrzesz się przez żargon, wszystko staje się jasne.

Rozpoznaję ten głos. Nie chodzi o to, że znam gościa, po prostu zjadłam zęby na tego typu ludziach. Pracowałam z nimi przez siedem lat. Od razu też widzę, że ten człowiek nie dba ani trochę o to, czy Eddie go zrozumiał, czy nie.

- Tak! - Eddie chichocze niepewnie. - Tak, jestem przekonany, że tak właśnie jest. - Spogląda z wahaniem na kontrakt i odkłada go na stół.

- Martwimy się o bezpieczeństwo tak samo jak ty - mówi fioletowy krawat z uśmiechem. »

- W końcu, kto się nie martwi, kiedy w grę wchodzi pieniądze? - dowcipkuje pierwszy gość.

Co się tutaj właściwie dzieje?

Podchodzę do kolejnego mężczyzny, żeby podać mu kawę. Z tej pozycji wyraźnie widzę umowę. Przebiegam przez nią wzrokiem z wypracowaną szybkością. Inwestycja w jakąś nieruchomości. Spółka, obie strony wkładają pieniądze... rozwój terenów mieszkalnych... jak dotąd całkiem standardowo... A potem widzę coś, co powoduje, że sztywnieję. Bardzo ostrożnie sformułowany, napisany drobną czcionką, niewinnie wyglądający ustęp na samym dole strony zobowiązujący Ed-diego do pokrycia wszelkich deficytów. Jeżeli coś pójdzie źle, Eddie będzie musiał ponieść wszelkie koszty. Czy zdaje sobie z tego sprawę?

Jestem przerażona. Ogarnia mnie niemal niepowstrzymana chęć, by złapać umowę i natychmiast ją podrzeć. Gdybyśmy byli w Carter Spink, ci faceci nie ostaliby się nawet dwie minuty. Nie tylko wyrzuciłabym ich kontrakt do śmieci, ale na dodatek zasugerowałabym mojemu klientowi, że...

- Samantha?

Z drgnięciem powracam do rzeczywistości. Widzę, że

Eddie przygląda mi się ze zmarszczonym czołem i pokazuje na talerzyk z ciasteczkami.

Nie jestem w Carter Spink. Mam na sobie fartuszek gosposi i ciasteczka do serwowania.

- Herbatnika czekoladowego? - Jakimś cudem udaje mi się wydobyć z siebie uprzejmy ton, kiedy oferuję przekąski mężczyźnie z ciemnymi włosami. - A może babeczkę?

Chwyta jedną, nawet na mnie nie patrząc. Podchodzę do Eddiego, myśląc gorączkowo. Muszę go jakoś ostrzec.

- No dobrze, wystarczy tego gadania. Rozpoczyna się wielka przygoda. - Fioletowy krawat odkręca skuwkę wiecznego pióra. - Pan pierwszy - wręcza ją Eddiemu.

Będzie to podpisywał? Teraz?

Nie. Nie. Nie może podpisać tego kontraktu.

- Proszę się nie spieszyć - dodaje fioletowy krawat z błyskiem perfekcyjnie białych zębów. - Jeżeli chce pan przeczytać kontrakt jeszcze raz...

Czuję gwałtowny przypyływ wściekłości na tych ludzi w szpanerskich samochodach, fioletowych krawatach, z jedwabistymi głosami. Nie pozwolę im naciągnąć mojego pracodawcy, o nie, nic z tego! Gdy Eddie przykłada pióro do kontraktu, pochylam się nad nim.

- Panie Geiger - mówię pospiesznie. - Czy mogłabym porozmawiać z panem na osobności? Bardzo proszę.

Eddie spogląda na mnie zirytowany.

- Samantha - mówi nieprzyjemnym tonem - jestem w trakcie bardzo ważnego spotkania w interesach. Ważnego dla mnie, i to szalenie! - Spogląda na swoich gości, którzy śmieją się pochlebnie

- To bardzo pilne - rzucam. - Nie zajmę panu dużo czasu.

- Samantha...

- Proszę, panie Geiger, ja muszę z panem porozmawiać. Wreszcie Eddie wzdycha z udęczeniem i odkłada pióro.

- No dobrze. - Wstaje i gestem nakazuje mi wyjść z pokoju. - O co chodzi? - pyta za drzwiami.

Wpatruję się w niego tępo. Teraz, kiedy już udało mi się

go stamtąd wyciągnąć, nie mam pojęcia, jak mu to powiedzieć. Czy jest jakiś dobry sposób?

Panie Geiger, zalecałabym uważne przyjrzenie się klauzuli 14.

Panie Geiger, pana pasywa nie są należycie zabezpieczone. Nie mogę. Nie potrafię tego powiedzieć. Poza tym kto będzie wysłuchiwał porad prawnych od gosposi?

Eddie trzyma rękę na klawecie. To moja ostatnia szansa.

- Czy pan słodzi? - wypluwam z siebie.

- Co takiego? - Eddie wpatruje się we mnie z niedowierzaniem.

- Nie mogłam sobie przypomnieć - mamroczę. - A nie chciałam pytać o to przy gościach.

- Tak, jedną łyżeczkę - mówi cierpko Eddie. - Coś jeszcze?

- Em... właściwie tak. Wygląda na to, że zamierza pan podpisać jakąś umowę.

- Owszem - marszczy brwi. - To prywatna sprawa.

- Oczywiście! - przełykam ślinę. - Po prostu zastanawiałam się, czy ma pan prawnika. To... umm... tak mi przyszło do głowy. Pamiętam, że zawsze powtarzał mi pan, iż należy być bardzo ostrożnym z wszelkimi dokumentami.

Spoglądam mu w oczy, modląc się, aby dotarło do niego to, co mam na myśli.

Skonsultuj się z prawnikiem, idioto.

Eddie wydaje z siebie krótki, dobroduszny śmiech.

- To bardzo miłe z twojej strony, Samantha, ale nie musisz się martwić. Nie jestem głupcem. - Otwiera drzwi i wraca do swoich gości. - Panowie, na czym stanęliśmy?

Patrząc z konsternacją, jak z powrotem chwyta pióro. Nie mogę go powstrzymać. Przerobią tego idiotę na całego.

Chyba że coś zrobię.

- Pana kawa, panie Geiger... - mamroczę, pospiesznie wchodząc do jadalni. Podnoszę dzbanek, a potem „przypadkiem” upuszczam go na stół.

- Aaaaah!

- Jezu!

Kawa rozlewa się ciemnobrązowym jeziorem po całym blacie, wsiąkając w dokumenty i ściekając na podłogę.

- Kontrakty! - wrzeszczy fioletowy krawat ze złością. -Ty idiotko!

- Naprawdę bardzo mi przykro - odpowiadam najbardziej zawstydzonym głosem, na jaki mnie stać. - Ogromnie mi przykro. Ten dzbanek po prostu... wyślizgnął mi się z rąk. -Zaczynam wycierać kawę serwetką, upewniając się, że przy okazji rozmazuję ją na pozostałych dokumentach.

- Mamy jakieś kopie? - pyta któryś z gości. Zamieram.

- Wszystkie leżały na tym cholernym stole - mówi brunet z irytacją. - Teraz będziemy musieli wydrukować je jeszcze raz.

- Wiecie co? Jeżeli będziecie drukować nowe egzemplarze, chciałbym dostać dodatkowy, jeżeli nie macie nic przeciwko temu. - Eddie chrząka. - Pokażę go mojemu prawnikowi, tak na wszelki wypadek.

Mężczyźni spoglądają ukradkiem po sobie i wyczuwam narastające napięcie.

- Oczywiście - odpowiada fioletowy krawat po długim milczeniu. - Proszę bardzo.

Ha. Coś mi mówi, że ten kontrakt nie zostanie zawarty.

- Pana płaszcz? - mówię z uśmiechem, wręczając kurtkę fioletowemu krawatowi. - Jeszcze raz bardzo przepraszam za ten wypadek.

Jedną z zalet szkolenia prawniczego jest nauka kłamania bez zmrużenia oka.

Kolejną jest umiejętność znoszenia wrzasków swojego szefa. Przydaje mi się to wkrótce, ponieważ gdy tylko Trish dowiaduje się, co zrobiłam, zostaję zmuszona do wysłuchania jej dwudziestominutowej reprimendy w kuchni.

- Pan Geiger usiłował zawrzeć bardzo ważną umowę finansową! - Zaciąga się papierosem. Jej świeżo farbowane

191

włosy podskakują na ramionach. - To spotkanie było bardzo istotne!

- Bardzo mi przykro, proszę pani - mówię ze spuszczonego wzrokiem.

- Wiem, że nie potrafisz zrozumieć tego typu rzeczy, Sa-mantho - spogląda na mnie ostro - ale chodzi o bardzo dużo pieniędzy! Sumę, o jakiej prawdopodobnie nie masz najmniejszego pojęcia.

Tylko spokojnie. Nie wyrywaj się z niczym.

- To była ogromna suma - powtarza Trish z naciskiem. Bardzo chce powiedzieć więcej. Pragnienie popisania się ma wypisane na czole. Z ledwością zmusza się do zachowania dyskrecji.

- Siedmiocyfrowa - mówi wreszcie.

- Boże! - Robię co mogę, aby okazać prawdziwe zaskoczenie. *

- Byliśmy dla ciebie bardzo dobrzy, Samantho. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. - Jej głos ocieka niezadowoleniem. - W zamian oczekujemy, żebyś i ty się trochę starała.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powtarzam po raz setny. Trish rzuca mi nieusatysfakcjonowane spojrzenie.

- Cóż, dziś wieczorem oczekuję, że będziesz ostrożniejsza.

- Dziś wieczorem? - powtarzam zaskoczona.

- Podczas obiadu. - Trish wywraca oczami.

- Ale dziś wieczorem mam wolne - mówię zaniepokojona. - Powiedziała pani, że zgadza się, żebym zostawiła państwu zimną kolację...

Trish najwyraźniej zapomniała o naszej rozmowie.

- To było, zanim rozlałaś kawę na naszych gości - mówi zaczepnie. - I zanim zaprzepaściłaś całe przedpołudnie na farbowanie włosów.

Co takiego? To tak niesprawiedliwe, że nie potrafię nawet odpowiedzieć.

- Szczerze mówiąc, Samantho, spodziewałam się po tobie więcej. Zostaniesz tu dziś wieczorem i podasz nam obiad.

- Spogląda na mnie twardo, chwyta gazetę i wychodzi z kuchni.

Patrzę na jej plecy z rezygnacją i czuję, jak na mojej piersi kładzie się coraz większy ciężar. Zdarzyło się to już tyle razy w moim życiu, że zdażyłam do tego przywyknąć. Będę musiała odwołać randkę z Nathanielem. Kolejna randka... kolejny zawód... I nagle zatrzymuję tę gonitwę myśli. Nie pracuję w Carter Spink. Nie muszę tego znosić. Wybiegam z kuchni i znajduję Trish w salonie.

- Pani Geiger - mówię z mocą. - Bardzo mi przykro z powodu wypadku z kawą i obiecuję, że bardzo postaram się być uważniejsza na przyszłość. Ale muszę mieć wolne dziś wieczorem. Jestem już umówiona na spotkanie i zamierzam się na nim pojawić. Wychodzę o siódmej, tak jak planowałam -kończę z bijącym szybko sercem. Nigdy przedtem tak się nie postawiłam swojemu przełożonemu. Nie odważyłabym się uderzyć w ten ton w Carter Spink. To byłby mój koniec.

Przez chwilę Trish wpatruję się we mnie sina z wściekłości. Potem jednak, ku mojemu zdziwieniu, cmoka tylko z irytacją i przewraca kolejną kartkę w gazecie.

- Och, skoro to takie ważne, proszę bardzo...

- Tak - głośno przełykam ślinę. - To bardzo ważne. Moje życie osobiste jest ważne.

Kiedy wypowiadam te słowa, jestem poruszona. Mam ochotę powiedzieć Trish więcej, coś o priorytetach, równowadze... ale ona już pogрузyła się w lekturze artykułu pt. *Dieta z czerwonego wina - co dla ciebie robi*. Nie jestem pewna, czy chciałaby, aby jej przeszkadzano.

15

Nim wybija siódma wieczorem, nastrój Trish, ni stąd, ni zowąd zmienia się diametralnie. No, może nie do końca ni stąd, ni zowąd. Kiedy schodzę do holu, widzę ją wychodzącą z salonu ze szklanką do koktajlu, przekrwionymi oczami i zaróżowionymi policzkami.

193

- Rozumiem, że wybierasz się dzisiaj na randkę z Natha-nielem - rzuca dobrotliwie.

- Tak.

Spoglądam w lustro. Zdecydowałam się na dość nieformalne ubranie; dzinsy, ładna prosta bluzka i sandały. Plus nowa, lśniąca fryzura. Włosy do tyłu.

- Nathaniel jest bardzo atrakcyjnym młodym człowiekiem. - Trish spogląda na mnie badawczo sponad szklanki.

-Bardzo umiejętnym.

- No... tak, chyba tak.

- Zamierzasz tak iść na randkę? - patrzy na mój ubiór. -To niezbyt odlotowe, nie sądzisz? Poczekaj, pożyczę ci kilka gadżetów.

- Nie chcę wyglądać odlatowo - zaczynam, czując wyrzuty sumienia, ale Trish już znika na schodach. Kilka minut później pojawia się na dole z pudełkiem pełnym biżuterii.

- No dobrze. Potrzebujesz trochę świetlistości.** - Wyciąga strasowy klips w kształcie konika morskiego. - To z Monte Carlo!

- Hmm... śliczny! - rzucam, patrząc na niego z przerażeniem. Zanim mam czas zareagować, Trish odgarnia moje włosy na jedną stronę i zakłada go na ucho, po czym przygląda się swojemu dziełu. - Nie... musisz założyć coś większego. Proszę. - Wyciąga z pudełka ogromny klips w kształcie żuka i przypina mi na ucho. - Teraz dobrze. Zobacz, jak szmaragd podkreśla kolor twoich oczu.

Spoglądam na swoje odbicie w lustrze, wstrząśnięta do głębi. Nie mogę iść na randkę z błyszczącym żukiem przypiętym do głowy.

- A to jest bardzo efektowna rzecz! - Trish obwiązuje moją talię pozłocanym łańcuszkiem. - Niech no jeszcze powieszę wisiorki na...

Wisiorki?

- Pani Geiger - zaczynam podenerwowana.

W tym momencie z gabinetu wynurza się Eddie.

- Właśnie dostałem wycenę na łazienkę - rzuca.

187

- Czy ten błyszczący słonik nie jest śliczny? - pyta Trish, zawieszając go na łańcuszku, którym owinęła mi talię. - A ta żaba?!

- Proszę - mówię desperackim tonem. - Nie jestem pewna, czy potrzebuję tego słonia...

- Siedem tysięcy - przerywa mi Eddie. - To chyba dość rozsądna cena. Plus VAT.

- Ile to będzie razem? - pyta Trish, grzebiąc w pudełku. - Gdzie się podziała ta małpka?

Czuję się jak choinka. Trish zawiesza na łańcuszku wokół mojej talii coraz więcej świecidełek. Nie wspominam już o żuku, a przecież za chwilę przyjdzie Nathaniel... i kiedy mnie zobaczy...

- Nie wiem! - mówi niecierpliwie Eddie. - Ile jest siedemnaście i pół procent od siedmiu tysięcy?

- Tysiąc dwieście dwadzieścia pięć - odpowiadam automatycznie.

Następuje pełna zaskoczenia cisza. Cholera. To był błąd.

Spoglądam na gapiących się na mnie Trish i Eddiego.

- Albo coś w tym stylu... - chichoczę niepewnie. - Tylko zgadywałam. Em... ma pani jeszcze jakieś wisiorki?

Żadne z nich nie zwraca na mnie uwagi. Eddie wpatruje się w papier, który trzyma w dłoni. Wreszcie bardzo powoli podnosi wzrok na mnie. Jego usta poruszają się w komiczny sposób.

- Ona ma rację - mówi zduszonym głosem. - Ona ma cholerną rację. To poprawna odpowiedź. - Stuka palcem w dokument. - Tu jest wszystko napisane!

- Ma rację? - Trish gwałtownie wciąga powietrze w płuca. - Ale jak...

- Sama widziałaś - skrzeczy Eddie. - Obliczyła to w głowie!

Oboje odwracają się i spoglądają na mnie jeszcze raz.

- Czy ona ma autyzm? - Trish kompletnie straciła panowanie nad sobą.

Och, do diabła! *Rain Man* dostarczył społeczeństwu gotowe odpowiedzi na wiele pytań.

- Nie mam autyzmu - odpowiadam. - Po prostu... zawsze byłam dobra w rachunkach. To nic takiego.

Ku mojej wielkiej uldze rozlega się dzwonek do drzwi i ruszam, żeby otworzyć. Na progu stoi Nathaniel, ubrany nieco porządniej niż zazwyczaj, w jasnobrązowe dżinsy i zieloną koszulę.

- Hej - rzucam pospiesznie. - Chodźmy.

- Zaczekaj! - Eddie zastępuje mi drogę. - Młoda damo, możesz być dużo bystrzejsza, niż ci się wydaje.

O nie!

- O co chodzi? - pyta Nathaniel.

- Samantha jest matematycznym geniuszem! - wyjaśnia podniecona Trish. - Właśnie to odkryliśmy! To po prostu niezwykle!

Rzucam Nathanielowi umęczone spojrzenie w stylu „ta kobieta gada głupoty”.

- Jakie wykształcenie odebrałaś, Samantha? - pyta Eddie. - Poza kursem gotowania.

O Boże. Co im powiedziałam podczas rozmowy wstępnej? Kompletnie nie pamiętam.

- Ja... uczyłam się tu i ówdzie - rozkładam ręce. - Wiedzą państwo...

- To te dzisiejsze szkoły. - Trish zaciąga się gwałtownie papierosem. - Tony'ego Blaira powinno się zastrzelić!

- Samantha - mówi Eddie tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Zajmę się twoją edukacją. Jeżeli jesteś gotowa włożyć w to maksimum wysiłku, jestem pewien, że zdołamy pomóc ci w zdobyciu jakichś kwalifikacji.

O nie. Robi się coraz gorzej.

- Naprawdę nie muszę zdobywać żadnych kwalifikacji, proszę pana - mamrocę, nie podnosząc wzroku. - Jestem zadowolona z tego, co mam. Bardzo dziękuję za pana dobre chęci.

- Nie przyjmuję odmowy! - nalega Eddie.

189

- Mierz wyżej, Samantha! - mówi Trish z nagłą pasją, chwytając moje ramię. - Daj sobie szansę w życiu! Sięgnij do gwiazd.

Kiedy tak spoglądam na ich twarze, czuję ogarniające mnie wzruszenie. Chcą dla mnie dobrze.

- Może rzeczywiście... - Ukradkiem pozbywam się wszystkich ozdóbek i wsuwam je do pudełka z biżuterią. Potem spoglądam na Nathaniela, który cierpliwie czeka na mnie na progu. - Idziemy?

- O co chodziło? - pyta Nathaniel, gdy zmierzamy ku wiejskiej drodze. Powietrze jest łagodne i ciepłe, moja nowa fryzura sprężynuje lekko, a z każdym stawianym krokiem widzę swoje paznokcie u stóp, pomalowane na różowo lakierem Trish. - Jesteś geniuszem matematycznym?

- Nie. - Nie mogę się powstrzymać od śmiechu. - Oczywiście, że nie!

- W takim razie, jakie masz wykształcenie?

- Och... nie chcesz wiedzieć - uśmiecham się do niego wymijająco. - To bardzo nudne.

- Nie wierzę w to ani na jotę - mówi pozornie niedbałym, lecz nalegającym tonem. - Robiłaś karierę, zanim tutaj przyjechałaś?

Idę kilka kroków w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Staram się znaleźć właściwą odpowiedź. Czuję na sobie spojrzenie Nathaniela, ale odwracam od niego głowę.

- Nie chcesz o tym rozmawiać? - pyta wreszcie.

- To... to dla mnie trudne. Gwałtownie wypuszcza powietrze z płuc.

- Było tak źle?

O Boże, on ciągle myśli, że jestem czyjąś molestowaną żoną!

- Nie, to nie tak - przeczesuję palcami włosy. - Po prostu to... długa historia.

- Mamy cały wieczór - wzrusza ramionami. Spoglądam w jego spokojne oczy i czuję nagłe szarpnięcie

w piersi. Chcę mu powiedzieć, zrzucić z siebie ten ciężar. Wyznać, kim jestem, co się stało i jakie trudne to było dla mnie. Jemu mogę zaufać. Nie powie nikomu. Zrozumie mnie. Zachowa tajemnicę.

- No więc? - Zatrzymuje się na środku ulicy, z kciukami w kieszeniach spodni. - Powiesz mi, kim jesteś?

- Może - odpowiadam wreszcie i czuję, że na mojej twarzy pojawia się uśmiech. Nathaniel również się rozjaśnia, a jego oczy zwężają się tak cudownie, radośnie. - Ale nie teraz. - Rozglądam się po okolicy. - To zbyt piękny wieczór na psucie go opowieściami o katastrofach i ludzkiej niedoli. Kiedy indziej.

Ruszamy dalej, mijamy stary kamienny mur porośnięty pnącą różą. Wdycham cudowny zapach kwiatów i czuję nagłą lekkość, niemal euforię. Ulica jest zatopiona w miękkim wieczornym świetle. Ostatnie promienie słońca oświetlają moje ramiona.

- Tak przy okazji, ładna fryzura - mówi Nathaniel.

- Dzięki - uśmiecham się nonszalancko. - To nic wielkiego.

Włosy do tyłu.

Przechodzimy przez most, zatrzymując się na chwilę, aby spojrzeć na rzekę. Kurki wodne nurkują w poszukiwaniu pożywienia, a światło słońca tworzy bursztynowe plamy na powierzchni wody. Para turystów robi sobie zdjęcia, a ja czuję nagłą dumę, że nie jestem w tym pięknym miejscu tylko przejazdem. Ja tu mieszkam.

- Dokąd mnie prowadzisz? - pytam, kiedy podejmujemy wędrówkę.

- Do pubu - odpowiada. - Masz coś przeciwko temu?

- Absolutnie nie!

Gdy zbliżamy się do Dzwonu, widzę, że na zewnątrz zebrał się mały tłumek: niektórzy stoją przed drzwiami, inni siedzą przy drewnianych stołach.

- Co oni robią? - pytam zaintrygowana.

- Czekają - odpowiada Nathaniel. - Właściciel się spóźnia.

- Och. - Rozglądam się, ale wszystkie stoliki są już zajęte. - Nie szkodzi, możemy przycupnąć tutaj. Siadam na starej beczce, lecz Nathaniel idzie dalej, prosto do drzwi i..., to dziwne, wszyscy się przed nim rozstępują i przepuszczają go. Przyglądam się ze zdumieniem, jak sięga do kieszeni, wyciąga pęk kluczy i rozgląda się za mną.

- Chodź - przywołuje mnie skinieniem głowy, szczerząc zęby w uśmiechu. - Czas na otwarcie. Nathaniel jest właścicielem pubu?

- Jesteś właścicielem pubu? - pytam, gdy mija największe zamieszanie po otwarciu. Przez dobry kwadrans przyglądam się ze zdumieniem, jak Nathaniel nalewa pinty piwa, gawędzi z klientami, wydaje polecenia obsłudze i upewnia się, że wszyscy są zadowoleni. Kiedy początkowy gwar przy-cicha, podchodzi do miejsca przy barze, w którym przysiadłam na wysokim stołku.

- Trzech pubów - poprawia mnie. - I nie tylko ja. To interes rodzinny. Dzwon, Łabędź w Bingley i Dwa Lisy.

- Rany... ależ tu ruch! - Rozglądam się wokoło. Wszystkie miejsca są najwyraźniej zajęte, niektórzy klienci wyszli do małego ogródka i przed pub. Hałas rozmów jest wręcz ogłuszający. - Jak ty to robisz, pracując i tutaj, i jako ogrodnik?

- Muszę się do czegoś przyznać - Nathaniel unosi dłonie. - Nie pracuję tu zbyt często. Mamy genialną obsługę. Pomyślałem po prostu, że dziś to mogłaby być frajda.

- Zatem nie jesteś prawdziwym ogrodnikiem!

- Jestem prawdziwym ogrodnikiem. - Spogląda na chwilę w dół, wyglądając matę na ladzie. - To jest... biznes. Znowu słyszę ten sam ton w jego głosie, jakbym poruszyła jakiś drażliwy temat. Spoglądam w bok i moją uwagę przyciąga wiszący na ścianie portret mężczyzny w średnim wieku. Ma wyraźnie zarysowane szczęki, jak Nathaniel, i takie same zmarszczki wokół błękitnych oczu.

- To twój tata? - pytam ostrożnie. - Wygląda wspaniale.

- Był duszą i sercem tego przedsięwzięcia. - Wzrok Na-

thaniela łagodnieje. - Wszyscy go tutaj kochali. - Upija spory łyk piwa i odstawia szklanke. - Posłuchaj, nie musimy zostawać. Jeżeli wolisz pójść gdzie indziej, w jakieś bardziej wyszukane miejsce...

Rozglądam się po kipiącym życiu pubie. Nad gwarem rozmów i śmiechem płynie muzyka. Grupka stałych bywalców wita się przy barze przyjacielskimi epitetami. Para starszych amerykańskich turystów w podkoszulkach ze Stratfordu wysłuchuje porad na temat wyboru lokalnych piw od barmana o czerwonych włosach i błyszczącym wzroku. Po drugiej stronie pubu rozpoczęła się gra w lotki. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz przebywałam w tak pogodnej, lekkiej, niezobowiązującej atmosferze.

- Zostańmy. Pomogę ci! - Zsuwam się ze stołka i wchodzę za bar.

- Nalewałaś już kiedyś pintę? - Nathaniel idzie za mną, wyraźnie rozbawiony.

- Nie - chwytam szklanke i podstawiam pod kurek. - Ale mogę się nauczyć.

- W porządku. - Staje obok mnie. - Przechylasz szklanke w ten sposób... a teraz ciągnij.

Pociągam wajchę i kranik wypluwa pianę.

- Cholera!

- Powoli... - Nathaniel staje za mną i otaczając mnie ramionami, prowadzi moje ręce. - Tak lepiej.

Mhmmm. Tak jest dużo lepiej. Nathaniel coś do mnie mówi, ale nie słyszę ani słowa. Jestem pogrążona w błogostanie, schowana w jego muskularnych objęciach. Może zacznę udawać, że bardzo wolno się uczę, jak nalewać pintę? Wtedy zostaniemy tak przez cały wieczór?

- Wiesz co? - zaczynam, odwracając ku niemu głowę i nagle zatrzymuję się, kiedy mój wzrok pada na starą drewnianą tabliczkę na ścianie: „Nie obsługujemy ludzi w zabłoconych butach i strojach roboczych”. Pod spodem ktoś przypiął inne ostrzeżenie, wypisane wyblakniętym flamastrem na pożółkłym papierze:

193

NIE OBSŁUGUJEMY PRAWNIKÓW.

Przyglądam się temu ogłupiała. Czy mnie wzrok myli?

- Proszę bardzo. - Podnosi do góry szklanę wypełnioną bursztynowym płynem. - Twoja pierwsza pinta w życiu.

- Eeee... wspaniale! - rzucam. Zmuszam się do odczekania kilku sekund, a potem wskazuję niedbałym gestem na napis. - Co to znaczy?

- Że nie obsługujemy tu prawników - odpowiada bez zmrużenia powieką.

- Nathaniel! Chodź tutaj! - krzyczy ktoś z drugiego końca baru. Nathaniel cmoka ze złością.

- Za chwilę wrócę - dotyka mojej dłoni i odchodzi. Upijam spory łyk wina. Nie obsługuje prawników? Dlaczego?

Uspokój się, nakazuję sobie stanowczo. To żart, na pewno. Wszyscy nienawidzą prawników, tak samo jak agentów nieruchomości i poborców podatkowych. To fakt, z którym należy się pogodzić.

Tylko że nikt nie wywiesza takich ostrzeżeń w pubach, prawda?

Siedzę za barem, aż podchodzi do mnie czerwono włosy barman i sięga do pojemnika po lód.

- Cześć - rzuca, wyciągając do mnie dłoń. - Mam na imię Eamonn.

- Samantha - witam się z uśmiechem. - Jestem tu z Nathanielem.

- Powiedział mi. - Oczy barmana błyskają. - Witamy w Lower Ebury.

Obserwuję, jak obsługuje jakiegoś klienta, i nagle uderza mnie myśl, że ten chłopak może wiedzieć coś więcej na temat tabliczki z ostrzeżeniem.

- Ta tabliczka - rzucam niedbałym tonem, kiedy znowu podchodzi. - To o prawnikach to żart, prawda?

- Niezbyt - odpowiada radośnie Eamonn. - Nathaniel nie cierpi prawników.

- Ach tak! - Jakimś cudem udaje mi się zachować uśmiech na twarzy. - A... dlaczego?

- Zrobiło mu się tak od śmierci jego taty. - Eamonn stawia na barze skrzynkę soku pomarańczowego, a ja sadowię się wygodnie na stołku, żeby lepiej go widzieć.

- Dlaczego? Co się stało?

- Jego tata wdał się w jakieś procesy z władzami lokalnymi. - Eamonn przerywa pracę. - Nathaniel powiada, że nigdy me powinien się angażować, ale prawnicy namówili Bena do walki. Wtedy już i tak nie czuł się najlepiej, a proces coraz bardziej go stresował. Nie mógł myśleć o niczym innym, aż wreszcie dostał ataku serca.

- O Boże, to okropne - odpowiadam wstrząśnięta. - I Nathaniel obwinia za to prawników?

- Uważa, że w ogóle nie powinni zaczynać tej sprawy. - Eamonn opróżnia skrzynkę. - Najgorsze było to, że po śmierci Bena musieli sprzedać jeden z pubów, by pokryć koszty sądowe.

Jestem wstrząśnięta do głębi. Spoglądam na Nathaniela, który stoi na drugim końcu baru i słucha jakiegoś klienta' marszcząc przy tym brwi.

- Ostatni prawnik, który pojawił się w tym pubie... - Eamonn pochyla się ku mnie konspiracyjnie. - Nathaniel go pobił.

- Pobił go? - skrzeczę z przestachu.

- To było w dniu pogrzebu jego taty. - Eamonn ścisza głos. - Jeden z prawników Bena przyszedł tutaj i Nathaniel sprzedał mu sierpowego. Teraz drażnimy się z nim z tego powodu.

Odwraca się do klienta, ja zaś upijam kolejny solidny łyk wina. Moje serce wali ze zdenerwowania.

Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków. W porządku, Nathaniel nie lubi prawników. To jeszcze nie znaczy, że nie lubi również mnie. Oczywiście, że to nie tak. Nadal mogę z nim być kompletnie szczerą, opowiedzieć mu o swojej przeszłości. Nie wykorzysta tego przeciwko mnie. Na pewno.

A jeżeli tak?

I jeśli mnie też sprzeda sierpowego?

- Przepraszam. - Nagle staje przede mną Nathaniel, spoglądając na mnie ciepło i przyjacielsko. - Wszystko w porządku?

- Tak! - wykrzykuję nieco zbyt radośnie. - Doskonale się bawię!

- Hej, Nathaniel - rzuca Eamonn, polerując szklanekę i mruga do mnie. - Co to jest, pięć tysięcy prawników na dnie oceanu?

- Dobry początek! - Słowa wyskakują z moich ust, zanim jestem w stanie się powstrzymać. - Wszyscy oni powinni... zgnić. W piekle.

Zapada pełna zaskoczenia cisza. Eamonn i Nathaniel wymieniają zdziwione spojrzenia.

W porządku. Zmiana tematu. Natychmiast.

- Proszę... - Szybko odwracam się w stronę najbliższej grupki stojącej przy barze. - Czym mogę służyć?

Tego wieczora serwuję czterdzieści kufli piwa, zjadam dorsza z frytkami i połowę porcji deseru z sosem toffi. Poza tym ogrywam Nathaniela w rzutki, ku ogromnej uciechu gawiedzi.

- Powiedziałaś, że nigdy przedtem w to nie grałaś! - mówi Nathaniel z niedowierzaniem, kiedy zapewniam sobie zwycięstwo, rzucając podwójną ósemkę.

- Bo nie grałam - odpowiadam niewinnie. Nie zamierzam wspominać, że w szkole przez pięć lat trenowałam łucznicstwo.

Wreszcie Nathaniel uderza w gong, oznajmiając ostatnią kolejkę i godzinę później ostatni maruderzy opuszczają pub, zatrzymując się przy barze, żeby się pożegnać.

- Na razie.

- Dzięki, Nathaniel.

Przyglądam się wychodzącym z pubu ludziom. Wszyscy, z wyjątkiem turystów pożegnali się z Nathanielem osobiście. Musi znać całą wioskę.

- My posprzątamy - mówi Eamonn zdecydowanym to-

nem, gdy Nathaniel zaczyna zbierać puste szklanki, po pięć na raz. - Postaw je tam i idźcie, bawcie się dobrze.

- Dobra. - Nathaniel klepie go po plecach. - Dzięki, Eamonn. - Spogląda na mnie. - Gotowa?

Niemal niechętnie zsuwam się ze stołka barowego.

- To był cudowny wieczór - mówię do Eamonna. - Cieszę się, że cię poznałam.

- Wzajemnie. - Uśmiecha się do mnie w odpowiedzi. -Przyślij nam rachunek.

Odwzajemniam jego uśmiech, wciąż naładowana pozytywnie atmosferą tego miejsca, wygraną w rzutki, satysfakcją z wieczoru spędzonego pożytecznie.

Nigdy nie czułam się równie wspaniale. W Londynie nikt nie zabrał mnie na randkę do pubu, nie mówiąc już o zaproszeniu na drugą stronę baru. Podczas naszej pierwszej schadzki Jacob zawiózł mnie do Les Syphides w Covent Garden, a po dwudziestu minutach wyszedł, żeby odebrać telefon z.e Stanów i już nie wrócił. Następnego dnia powiedział, że tak się zaabsorbował kwestią prawa handlowego, że zapomniał

O mojej obecności w restauracji. Najgorsze jest to, że zamiast powiedzieć: „Ty draniu!”, i spoliczkować go, zapytałam, o co chodziło.

Po piwnym ciepłe panującym wewnątrz pubu noc wydaje się świeża i chłodna. Ruszamy przed siebie. Z daleka dobiegają śmiechy klientów Nathaniela, którzy poszli przodem,

1 odgłos włączanego silnika. Nie ma tu żadnych latarni, tylko pełny księżyc i światło z okien oświetlają nam drogę.

- Dobrze się bawiłaś? - pyta Nathaniel niepewnie. - Nie planowałam, że zostaniemy tu cały czas...

- Było naprawdę wspaniale - odpowiadam z entuzjazmem. - To świetne miejsce, wprost nie mogę uwierzyć, że takie przyjazne. Wszyscy dobrze cię znają! Podoba mi się ten wioskowy nastrój. Ludzie tutaj o siebie dbają, to widać.

- Po czym to widać? - Jest rozbawiony.

- Po tym, jak klepią się po plecach - wyjaśniam. - Zu-

pełnie jakby mówili, że jeśli ktoś znajdzie się w kłopotcie, wszyscy zbiorą się, żeby go pocieszyć. To widać.

Nathaniel parska śmiechem..

- W zeszłym roku dostaliśmy nagrodę dla Najbardziej Pocieszycielskiej Wioski w kraju - mówi.

- Możesz się śmiać - wybucham - ale w Londynie nikt taki nie jest. Jeżeli upadniesz martwy na środku ulicy, ludzie po prostu zepchną cię do rynsztoka, a przedtem opróżnią ci portfel i zabiorą dokumenty. Tutaj coś takiego by się nie zdarzyło, prawda?

- Rzeczywiście - mówi Nathaniel i przerywa zamyślony. - Tutaj, jeżeli ktoś umrze, cała wioska gromadzi się wokół jego łoża i wyśpiewuje miejscowe lamenty pogrzebowe.

Moje usta wykrzywają się w uśmiechu.

- Wiedziałaś! Rozrzucają może płatki kwiatów?

- Oczywiście - kiwa głową. - I robią ceremonialne laleczki kukurydziane.

Idziemy przez chwilę w milczeniu. Jakieś małe zwierzątko przebiega przez drogę, przystaje i przygląda się nam parą małych, świecących na żółto oczu, po czym znika pod bukszpanowym płotem.

- Jak brzmi ten miejscowy lament? - pytam.

- Coś w tym stylu. - Nathaniel odchrząka, a potem śpiewa niskim monotonnym głosem: - O nie, on nie żyje.

Zbiera mi się na śmiech, ale jakoś się powstrzymuję.

- A jeżeli umrze kobieta?

- Dobre pytanie. Wtedy śpiewamy zupełnie inny lament. - Nabiera powietrza w płuca i śpiewa tak samo monotonnym głosem: - O nie, ona nie żyje.

Brzuch mnie boli od powstrzymywania śmiechu.

- W Londynie nie śpiewamy lamentów - mówię. - Po prostu żyjemy dalej. Jesteśmy w tym dobrzy, my, londyńczy-cy. Zawsze do przodu.

- Wiem coś o tym - krzywi się Nathaniel. - Przez jakiś czas tam mieszkałem.

Wpatruję się w jego twarz oświetloną księżycową poświa-

tą. Nathaniel mieszkał w Londynie? Usiłuję wyobrazić go sobie uwieszonoego poręczony w metrze, czytającego „Metro”. Nie udaje mi się.

- Poważnie? - pytam wreszcie. W odpowiedzi kiwa głową.

- Nie cierpiałem tego miasta. Serio.

- Ale dlaczego... jak...

- Przed pójściem na uniwersytet miałem rok wakacji i pracowałem w Londynie jako kelner. Mieszkałem naprzeciwko dwudziestoczworgodzinnego supermarketu. Przez całą noc świeciły mi w okna neonowe napisy. I ten hałas...

- krzywi się. - Przez dziesięć miesięcy pobytu w Londynie nigdy nie zaznałem ani jednej chwili zupełnej ciemności lub ciszy. Ani razu nie słyszałem śpiewu ptaka, nie widziałem gwiazd.

Instynktownie zadzieram głowę i spoglądam na czyste niebo. Powoli oczy przyzwyczajają się do ciemności i wtedy na czarnej kopule zaczynają się pojawiać błyszczące punkciki, tworząc na niej zawijasy i wzory, których nie potrafię odczytać. Nathaniel ma rację. W Londynie nigdy nie widać gwiazd.

- Co z tobą? - Jego głos sprowadza mnie na ziemię.

- A o co chodzi?

- Miałaś opowiedzieć mi o sobie. Jak to się stało, że się tutaj znalazłaś.

- Och. - Czuję ukłucie strachu. - Tak, rzeczywiście, miałam. - Chociaż ledwo mnie widzi w ciemności, odwracam wzrok, usiłując zmusić do myślenia umysł znieczulony trzema kieliszkami wina.

Muszę coś powiedzieć. Może uda mi się ograniczyć to do minimum, powiedzieć prawdę bez wspomnienia o moim zawodzie.

- Ja... byłam w Londynie, zaangażowana w tę... tę...

- Znajomość - podpowiada mi.

- Tak - głośno przetykam ślinę. - A potem wszystko potoczyło się źle, wsiadłam do pociągu... i wylądowałam tutaj. Zapada pełna oczekiwania cisza.

- To wszystko - dodaję.

- To wszystko? - pyta Nathaniel z niedowierzaniem. - To ma być ta długa historia?

O Boże, co ja zrobię!

- Posłuchaj. - Spogląda na niego w świetle księżyca. Serce bije mi jak oszalałe. - Wiem, że miałam ci opowiedzieć znacznie więcej, ale czy szczegóły są naprawdę aż takie istotne? Czy to ważne, co robiłam... albo kim byłam? Grunt, że jestem tutaj i właśnie spędziłam najwspanialszy wieczór w całym swoim życiu.

Widzę, że chciałby usłyszeć więcej, otwiera nawet usta, żeby coś powiedzieć. Potem jednak jego twarz się wygładza i odwraca się ode mnie bez słowa. Czuję, jak ogarnia mnie rozpacz. Może wszystko zniszczyłam. Może powinnam powiedzieć mu prawdę lub jakąś zmyśloną historyjkę o wykorzystującym mnie chłopaku.

Idziemy dalej przez noc, w kompletnej ciszy. Ramię Nathaniela ociera się o moje. Potem nagle czuję jego dłoń na swojej. Jego palce najpierw delikatnie, jakby przypadkiem, muskają moje palce, a potem powoli się splatają z moimi. Czuję skurcz żołądka. Całe moje ciało odpowiada na jego dotyk, zmuszam się do normalnego oddychania. Żadne z nas nie mówi ani słowa. Nie słychać nic z wyjątkiem naszych kroków i odległego pohukiwania sowy. Dłoń Nathaniela jest mocna i pewnie zaciska się wokół mojej. Czuję stwardnienia i odciski na jego palcach. Kciukiem pociera delikatnie moją skórę.

Żadne z nas nie mówi ani słowa. Nie jestem pewna, czy potrafiłabym wydobyć z siebie jakikolwiek odgłos.

Zatrzymujemy się przed bramą prowadzącą na podjazd do domu Geigerów. Nathaniel spogląda na mnie w milczeniu, bardzo poważnie. Czuję, jak mój oddech przyspiesza. Nie obchodzi mnie, jak bardzo jest oczywiste to, że go pragnę. Nigdy nie byłam zbyt dobra w przestrzeganiu zasad.

Nathaniel puszcza moją dłoń, obejmuje mnie w pasie i powoli zaczyna przyciągać do siebie. Zamykam oczy i przygotowuję się do zawrotu głowy.

207

- Na miłość boską - dobiega nas nader znajomy głos. -Czy nigdy jej nie pocałujesz?
Podskakuję zaskoczona i otwieram oczy. Nathaniel też wygląda na oszołomionego i automatycznie cofa się o krok.
Odwracam się i ku swojemu przerażeniu widzę wychylającą się z okna na piętrze Trish, z papierosem w dłoni, przyglądającą się nam chciwie.

- Nie jestem pruderyjna - zachęca. - Możecie się pocałować!
Spoglądam na nią z furją. Czy nigdy nie słyszała o czymś takim, jak prywatność?
- Dalej! - Czubek jej papierosa rozjarza się, kiedy gestykuluje. -Nie przeszkadzajcie sobie!
Nie przeszkadzajcie sobie?
Przepraszam, ale nie będę tego robiła przy Trish! Zerkam niepewnie na Nathaniela, który wygląda na równie skonsternowanego jak ja.

- Może powinniśmy... - przerywam, nie wiedząc, co mam powiedzieć.
- Czyż to nie piękna letnia noc? - rzuca Trish swobodnym tonem konwersacji.
- Cudowna - odpowiada uprzejmie Nathaniel.

Spoglądam mu w oczy i nagle czuję znowu narastanie niekontrolowanego śmiechu. To katastrofa. Romantyczny nastrój przysł.

- Dzięki za wspaniały wieczór - mówię, usiłując zachować powagę. - Było cudownie.
- To prawda. - W wieczornym mroku jego tęczęwki mają niemal granatowy kolor. Wykrzywia usta z rozbawieniem.
-Jak sądzisz? Powinniśmy dostarczyć pani Geiger powodu do radości czy zostawić ją w nieznośnym poczuciu niespełnienia?

Oboje spoglądamy na Trish, wciąż wychylającą się z okna. Zupełnie jakbyśmy stali na scenie i jakbym za chwilę miała wykonać dla Nathaniela taniec erotyczny.

- Och, sądzę, że zasługuje na nieznośne poczucie niespełnienia - odpowiadam z lekkim uśmiechem.

- W takim razie do zobaczenia jutro?
- Będę u twojej mamy o dziesiątej.
- Do zobaczenia.

Wyciąga rękę i na chwilę stykamy się koniuszkami palców. Potem Nathaniel odwraca się i odchodzi. Obserwuję, jak znika w mroku, a potem ruszam do domu. Moje ciało wciąż pulsuje pragnieniem. Wspaniale - Trish dostała za swoje, ale co z moim nieznośnym poczuciem niespełnienia?

16

Następnego dnia budzi mnie gwałtowne stukanie do drzwi mojego pokoju i ostry głos Trish:

- Samantha! Muszę z tobą porozmawiać. Natychmiast! Nie ma jeszcze ósmej. Jest niedzielny poranek. Gdzie się pali?

- Chwileczkę - rzucam nieprzytomnie. - Proszę poczekać!

Zwlekam się z łóżka z głową wciąż wypełnioną smakowitymi wspomnieniami ostatniej nocy. Nathaniel trzymający moją dłoń... ramiona Nathaniela obejmujące mnie mocno...

- Tak, pani Geiger? - Otwieram drzwi, za którymi stoi Trish w szlafroku, z przekrwionymi oczami i zaczerwienionymi policzkami. Zakrywa dłonią słuchawkę telefonu bezprzewodowego.

- Samantha. - Jej oczy są zwężone w cienkie szparki, a w głosie pobrzmiewa dziwna nuta triumfu. - Nakłamałaś mi o sobie, prawda?

Ogarnia mnie przerażenie. W żołądku ląduje nagle stuto-nowy kamień. Jak ona... Jakim cudem...

- Tylko nie zaprzeczaj - spogląda na mnie przenikliwie. - Jestem pewna, że wiesz, o co chodzi.

Mój umysł pracuje na zwiększonych obrotach. Usiłuję przypomnieć sobie wszystkie kłamstwa, jakimi nakarmiłam

202

Trish, włączając w to: „Jestem gospodynią domową”. To może być cokolwiek - coś małego, nieistotnego, albo też odkryła o mnie całą prawdę.

- Nie wiem, o czym pani mówi - odpowiadam chrapliwym głosem.

- Zapewne zdajesz sobie sprawę, jak bardzo mnie zdenerwowało przemilczenie faktu, że gotowałam paellę dla ambasadora Hiszpanii. - Trish podchodzi do mnie, szeleszcząc nerwowo jedwabną koszulą nocną.

Opada mi szczęka. Kogo Hiszpanii?

- Kiedyś pytałam cię, czy gotowałam dla jakichś znanych osobistości. - Trish unosi brwi z naganą. - Nigdy nie wspomniałaś o bankiecie na trzysta osób w Mansion House.

Gdzie? Czy ona oszalała?

Może przez cały ten czas była po prostu schizofreniczką? To by wiele wyjaśniało.

- Pani Geiger - mówię nerwowo. - Czy zechciałaby pani spocząć?

- Nie, dziękuję! - odpowiada cierpko. - Nadal rozmawiam przez telefon z lady Edgerly.

Ziemia zaczyna kołysać się pod moimi stopami. Freya zadzwoniła?

- Lady Edgerly... - Trish przykłada słuchawkę do ucha. -Ma pani absolutną rację, Samantha jest zbyt skromna... - spogląda na mnie. - Lady Edgerly chciałyby z tobą porozmawiać.

Wręcza mi telefon, a ja przykładam go do ucha z niedowierzaniem.

- Halo?

- Samantha? - poprzez chaos trzasków dobiega mnie znajomy, schrypnięty głos Frei. - Dobrze się czujesz? Co się, do diabła, z tobą dzieje?!

- Ja... czuję się świetnie - spoglądam na Trish, która stoi dwa metry ode mnie. - Przejdę gdzieś, gdzie jest więcej...

Ignorując przenikliwe spojrzenie Trish, wycofuję się z powrotem do sypialni i zamykam za sobą drzwi.

- Wszystko w porządku! - powtarzam, czując nagłą ra-

203

dość. Jak dobrze jest znowu rozmawiać z Freyą. - Cudownie cię znowu słyszeć!

- Co się z tobą dzieje, na wszystkie świętości?! Dostałam wiadomość, która nie miała sensu! Jesteś gospodynią domową? Czy to jakiś dowcip?

- Nie - spoglądam na drzwi, a potem wchodzę do łazienki i na wszelki wypadek odkręcam kran. - Jestem pełnoetatową gospodynią domową - mówię przyciszonym głosem. - Nie pracuję już w Carter Spink.

- Odeszłaś? - pyta Freya z niedowierzaniem. - Tak po prostu?

- Nie odeszłam, tylko... tylko mnie wyrzucili. Popełniłam błąd i wylali mnie z pracy.

Nadal jest mi trudno to powiedzieć, a nawet pomyśleć o tej sprawie.

- Wyrzucili cię za zwykłą pomyłkę? - Freya jest naprawdę wkurzona. - Słodki Jezu i wszyscy święci, ci ludzie...

- To nie była zwykła pomyłka - przerywam jej. - To była bardzo duża pomyłka. W każdym razie stało się, a ja zdecydowałam się na zmianę zajęcia i zostałam pomocą domową, przynajmniej przez jakiś czas.

- Zdecydowałaś, że zostaniesz pomocą domową - powtarza Freya, przeciągając słowa. - Samantho, czy ty kompletnie postradałaś rozum?

- Dlaczego? - pytam obronnym tonem. - Sama powiedziałaś, że powinnam sobie zrobić przerwę.

- Ale żeby od razu zostawać gosposią? Ty przecież nie umiesz gotować!

- Wiem o tym.

- Naprawdę nie umiesz! - Freya chichocze. - Widziałam cię w akcji. No i jeszcze do tego sprzątanie.

- Wiem! - ogarnia mnie chęć histerycznego śmiechu. - Na początku było dość koszmarnie, ale teraz... powoli się uczę. Zdziwiłabyś się.

- Musisz nosić fartuszek?

- Owszem, wstrętny nylonowy uniform... - zanoszę się od

śmiechu. - Poza tym muszę do nich mówić proszę pani i proszę pana... i dygać...

- Samantha, to nienormalne - rzuca Freya pomiędzy kolejnymi wybuchami śmiechu. - Absolutny nonsens! Nie możesz tam zostać. Uratuję cię. Jutro wracam do kraju...

- Nie! - protestuję gwałtowniej, niż zamierzałam. - Nie! Ja... się dobrze bawię. Naprawdę wszystko gra.

Po drugiej stronie słuchawki zapada pełna podejrzliwości cisza. Cholera. Freya zbyt dobrze mnie zna.

- Jest w twoim życiu jakiś mężczyzna? - pyta przekornie.

- Może. - Czuję, jak na mojej twarzy wykwita mimowolny uśmiech. - Tak.

- Szczegóły?

- Jest jeszcze za wcześnie, ale on jest... no wiesz. Miły. -Uśmiecham się głupkowato do swojego odbicia w lustrze.

- Nawet jeżeli tak jest, pamiętaj, że w każdej chwili możesz zadzwonić. W razie czego mój dom stoi dla ciebie otworem...

- Dzięki, Freya - czuję przyływ rozczulenia.

- Nie ma sprawy. Samantha?

- Tak? - Następuje długa cisza, aż zaczynam myśleć, że przerwało połączenie.

- Co z prawem? - pyta wreszcie Freya. - Co z pozycją współnika? Wiem, że cały czas cię gnębiłam, ale przecież to było twoje marzenie. Zamierzasz wszystko porzucić, tak po prostu?

Czuję ukłucie głębokiego, palącego żalu.

- Tamto marzenie jest skończone - odpowiadam krótko. -Wspólnicy nie popełniają pięćdziesięciomilionowych błędów.

- Pięćdziesiąt milionów funtów?

- Uhm.

- Jezusie - oddycha głośno, wyraźnie wstrząśnięta. - Nie miałam pojęcia. Nie mogę sobie wyobrazić, jakim cudem poradziłaś sobie z...

- Wszystko w porządku - przerywam jej. - Przeszło mi. Naprawdę.

Freya wzdycha.

- Wiesz, przeczytałam, że coś jest nie tak. Próbowałam ci przesłać mejl na stronę internetową Carter Spink, ale twoja witryna zniknęła.

- Naprawdę? - czuję dziwne kręcenie w żołądku.

- A potem pomyślałam... - przerywa i przez chwilę słyszę tylko jakieś przeraźliwe trzaski. - O, do diabła, przyjechał nasz transport. Posłuchaj, niedługo znów do ciebie zadzwonię...

- Poczekaj - rzucam szybko. - Zanim się rozłączysz, powiedz mi, co do diabła nazmyślałaś Trish o hiszpańskim ambasadorze i Mansion House?

- Ach, to - chichocze. - Ciągłe zadawała mi pytania, więc pomyślałam, że powinnam coś wymyślić. Powiedziałam, że potrafisz układać serwetki obiadowe w scenę z *Jeziora łabędziego*... robić rzeźby z lodu... i że David Linley* kiedyś poprosił cię o przepis na sernik truskawkowy...

- Freya... - zamykam oczy.

- Dobrze mi szło, a ona to wszystko łyknęła! Muszę lecieć, złotko. Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Połączenie zostaje przerwane. Przez chwilę stoję bez ruchu w cichej łazience. Wspominam schrypnięty głos Frei i zgiełk Indii w tle. Spoglądam na zegarek. Za kwadrans dziesiąta. Mam jeszcze czas, żeby coś sprawdzić.

Trzy minuty później siedzę przy biurku Eddiego i stukając palcami w blat, czekam na połączenie internetowe.

Zapytałam Trish, czy mogę wysłać mejl do lady Edgerly. Aż nadto gorliwie otworzyła dla mnie biuro i sterczała nade mną, dopóki nie poprosiłam ją uprzejmie, żeby wyszła.

Wyszukiwarka z witryną Eddiego pojawia się na ekranie. Błyskawicznie wpisuję adres [www, carterspink.com](http://www.carterspink.com).

Kiedy na

* Wicehrabia Linley, syn księżniczki Małgorzaty i lorda Snowdona, znany projektant wnętrz.

ekranie rozwija się znajome fioletowe koliste logo, czuję, jak powraca do mnie dawne napięcie i zdenerwowanie, to tak jak liście na dnie stawu, które wypływają na wierzch poruszone gwałtownym zawirowaniem wody. Biorę głęboki oddech i omijam główną stronę, kierując się prosto do okna z listą pracowników firmy. Na ekranie pojawia się seria linków. Freya miała rację. Nazwiska idą od Snell do Taylor. Sweeting zniknęła.

Wypuszczam powietrze z płuc i nakazuję sobie spokój. Myśl racjonalnie. Oczywiście, że usunęli mnie z listy. Zostałam wyrzucona z pracy, czego innego miałabym się spodziewać? To moje dawne życie i niewiele mnie teraz obchodzi. Powinnam po prostu zamknąć przeglądarkę, pójść do Iris i zapomnieć o sprawie. To właśnie powinnam zrobić.

Zamiast tego sięgam po myszkę i w wyszukiwarce wpisuję nazwisko „Samantha Sweeting”. Chwilę później na ekranie wyskakuje informacja: „0 rezultatów wyszukiwania”. Wpatruję się w nią wstrząśnięta.

Zero rezultatów? Nie ma mnie nigdzie na stronie mojej firmy? A... co z witryną działu mediów albo z archiwum? Szybko wchodzę na witrynę z zawartymi umowami i wpisuję w wyszukiwarce: „Euro-Sal, fuzja, DanCo”. To był wielki europejski kontrakt, zawarty zaledwie w zeszłym roku. Zajmowałam się jego stroną finansową. Na ekranie pojawia się podsumowanie, z tytułem: „Carter Spink prowadzi 20-miliardową fuzję przedsiębiorstw”. Wzrokiem przesuwam po znajomym tekście. *Grupa doradców z londyńskiej filii Carter Spink była kierowana przez Arnolda Saville 'a. W jej skład weszli Guy Ashby i Jane Smilington.*

Przerywam czytanie. Nie mogę uwierzyć własnym oczom. Czytam cały tekst jeszcze raz, uważniej, szukając zagubionych słów „oraz Samantha Sweeting”. Ale nie znajduję ich tam. Nie ma mnie. Szybko wyszukuję kolejny kontrakt, nabycie Conlona. Wiem, że jestem w tym raporcie. Czytałam go. Na Boga żywego, byłam w grupie, mam na to dowody.

Ale w tym raporcie też mnie nie ma.

Serce wali mi w piersi coraz mocniej. Przechodzę od kontraktu do kontraktu, cofając się w latach. Dwa, pięć. Wymazano mnie z pamięci firmy. Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby przejść przez wszystkie opublikowane teksty i wyciąć z nich moje imię. Usunięto mnie z każdej umowy, w którą byłam zaangażowana, zupełnie jakbym w ogóle nie istniała.

Usiłuję oddychać głęboko, żeby się uspokoić, ale gotuje się we mnie ze złości. Jak śmieli zmieniać prawdę? Jak mogli tak po prostu usunąć mnie z historii firmy, po tym jak poświęciłam dla niej siedem lat życia. Nie mogą tak po prostu wymazać mnie z pamięci, udawać, że nigdy nie byłam na liście płac...

A potem uderza mnie nowa myśl. Dlaczego zadali sobie tyle trudu? Inni ludzie też opuścili firmę, a jednak nie wymazano ich z archiwum. Dlaczego jestem dla nich aż tak kłopotliwa? Wpatruję się w ekran w milczeniu, a potem powoli wpisuję adres Googli i wprowadzam w okienku wyszukiwania słowa „Samantha Sweeting”. Dla wszelkiej pewności dodaję jeszcze: „prawnik”. Naciskam „Enter”. Chwilę później na ekranie pojawia się lista linków. Kiedy widzę fragmenty tekstów, czuję się, jakby ktoś walnął mnie obuchem.

...wpadka zawodowa **Samanthy Sweeting...**

...po odkryciu swojego błędu **Samantha Sweeting** samowolnie oddaliła się z pracy, pozostawiając cały bałagan swoim współpracownikom...

...słyszałem o **Samancie Sweeting...**

...dowcipy o **Samancie Sweeting**. Jak się nazywa **prawnik**, który...

...**Samantha Sweeting** została zwolniona z firmy Carter Spink...

Jeden link za drugim. Strony prawnicze, legalne serwisy z wiadomościami, strony z wymianą komunikatów dla studentów prawa. Zupełnie jakby cały zawodowy świat obgadywał mnie za moimi plecami. Ledwie przytomna z przerażenia klikam na następną stronę. Jest tego więcej, jeszcze więcej.

Czuję się, jakbym oglądała spalony most. Patrzę na uszkodzenia, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, jak bardzo źle wygląda sytuacja.

Nigdy nie będę mogła wrócić.

Wiedziałam to od początku, ale chyba w to nie wierzyłam. Nie w głębi duszy. Nie tam, gdzie może naprawdę zabość.

Czuję wilgoć na policzku i zrywam się na równe nogi. Zamykam wszystkie aktywne okna i usuwam z Explorera historię wyszukiwania, na wypadek gdyby Eddie okazał się zbyt ciekawski. Wyłączam komputer i rozglądam się po cichym gabinecie. To tutaj jestem, nie w Londynie. Tamten etap mojego życia się zakończył.

Domek Iris wygląda jak zwykle idyllicznie. Podbiegam do drzwi bez tchu. Tak naprawdę jest jeszcze bardziej swojsko, ponieważ pomiędzy kurczakami przechadza się teraz gęś.

- Dzień dobry. - Iris spogląda na mnie z uśmiechem. Siedzi przy stole z kubkiem herbaty. - Spieszyłaś się?

- Nie chciałam się spóźnić. - Rozglądam się po ogrodzie, ale nigdzie nie widzę Nathaniela.

- Nathaniel musiał się zająć ciekącą rurą w jednym z pubów - mówi Iris, jakby czytając w moich myślach. - Przyjdzie później. Tymczasem my zrobimy chleb.

- Doskonale! - odpowiadam. Idę za nią do kuchni i wkładam ten sam pasiasty fartuszek, co zeszłym razem.

- Już zaczęłam - mówi Iris i podchodzi do staroświeckiej miski stojącej na stole. - Drożdże, ciepła woda, stopione masło i mąka. Mieszamy wszystko razem, żeby zrobić ciasto. Teraz trzeba je wyrobić.

- Rozumiem - mówię, przyglądając się masie pustym wzrokiem.

Iris spogląda na mnie pytająco.

- Dobrze się czujesz, Samantha? Wydajesz się... jakby nieobecna.

- Wszystko w porządku - usiłuję się uśmiechnąć. - Przepraszam.

Iris ma rację. Rzeczywiście powinnam się skoncentrować.

- Wiem, że ludzie używają do tego robotów kuchennych - mówi Iris, wykładając ciasto na stół - ale my zrobimy chleb w tradycyjny sposób. Żaden nie będzie smakował lepiej niż ten.

Szybko zagniatam ciasto kilka razy.

- Widzisz? Zagniatasz w jedną stronę, obracasz i znowu. Musisz włożyć w to nieco energii.

Ostrożnie przyciskam dłońmi miękkie ciasto i próbuję naśladować jej ruchy.

- Właśnie tak - mówi Iris, przyglądając mi się uważnie. - Wczuj się w rytm i naprawdę zacznij je zagniatąć. To bardzo dobry sposób na odstresowanie - dodaje cierpko. - Wyobraź sobie, że zgniatasz swoich najgorszych wrogów.

- Już się robi! - zmuszam się do radosnego tonu.

W mojej piersi rośnie jednak napięcie, które wcale nie mija w miarę zagniatania ciasta. Właściwie to im dłużej wyrabiam chleb, tym gorzej zaczynam się czuć. Nie mogę przestać myśleć o tamtej stronie internetowej ani ugasić piekącego poczucia niesprawiedliwości, narastającego w piersi.

Zrobiłam dla firmy wiele dobrych rzeczy. Zyskałam dla nich klientów. Negocjowałam wiele umów. Nie byłam nikim.

Nie byłam nikim.

- Im dłużej wyrabia się ciasto, tym lepszy wychodzi chleb - mówi Iris z uśmiechem, podchodząc do stołu. - Czujesz, jakie robi się ciepłe i elastyczne pod twoimi palcami?

Spoglądam na ciasto w moich dłoniach, ale nie mogę się przestawić. Chciałabym poczuć takie samo zadowolenie, jak zeszłym razem, gdy tutaj byłam; to samo wrażenie prostoty i przynależności. Ale tym razem gubię rytm.

Przeklinam w duchu, kiedy palce kleją się do ciasta. Ramiona bolą mnie od ugniatania, na twarzy pojawia się pot, wewnątrz mnie zaś rośnie coraz większa rozpacz i złość.

Jak śmieli wymazać mnie z ich historii?! Byłam dobrym prawnikiem.

Byłam cholernie dobrym prawnikiem!

- Chcesz trochę odpocząć? - Iris kładzie mi rękę na ramieniu. - To bardzo ciężka praca, zwłaszcza jeśli nie jest się do tego nawykłym.

- Po co to wszystko? - wybucham, zanim zdołam się zastanowić. - Po co to wszystko? Robienie chleba. Pieczesz go i zjadasz. Pojawia się i znika.

Przerywam gwałtownie, nie bardzo wiedząc, co mnie napadło. Mój oddech jest krótki, urywany i czuję, że nie panuję nad sobą.

Iris przygląda mi się uważnie.

- To samo można powiedzieć o wszelkim jedzeniu - mówi łagodnie. - Albo o życiu.

- Właśnie. - Ocieram czoło skrawkiem fartucha. - Właśnie.

Nie wiem sama, co mówię. Dlaczego próbuję się kłócić z Iris? Powinnam się uspokoić, ale czuję rosnący we mnie gniew.

- Myślę, że wystarczy tego zagniatania - mówi Iris, zabierając mi ciasto i formując z niego zgrabną kulę.

- A teraz co? - pytam, zmuszając się do spokojnego tonu. - Mam to włożyć do pieca?

- Jeszcze nie - Iris wkłada ciasto z powrotem do miski i stawia ją na kuchence. - Teraz musimy poczekać.

- Poczekać? - wpatruję się w nią. - Co masz na myśli?

- Czekanie. - Iris przykrywa miskę ściereczką. - Pół godziny powinno wystarczyć. Zrobię ci herbaty.

- Ale... na co czekamy?

- Na wyrośnięcie ciasta. Drożdże muszą ruszyć, zrobić to, co do nich należy - uśmiecha się. - Pod tą ściereczką dokonuje się teraz maleńki cud.

Spoglądam na miskę, usiłując wyobrazić sobie coś niezwykłego, ale nie umiem. Nie potrafię poczuć spokoju, ba-jeczności. Jestem zbyt zraniona, zbyt spięta, każdy mój nerw boleśnie pulsuje. Zawsze kontrolowałam mój czas co do minuty, co do sekundy, a teraz mam czekać na drożdże? Mam stać tutaj, w fartuszku i czekać na... grzyba?

- Przepraszam - słyszę swoje własne słowa. - Ja tak nie potrafię. - Kieruję się do drzwi i wychodzę do ogródka.
- Czego nie potrafisz? - Iris podąża za mną, wycierając ręce o fartuszek. - Kochanie, co ci jest?
- Nie potrafię tego zrobić! - odwracam się na pięcie. - Nie umiem tak... tak po prostu siedzieć tu i czekać cierpliwie, żeby drożdże zechciały ruszyć.
- Dlaczego nie?
- Bo to okropna strata czasu! - chwytam się za głowę, sfrustrowana. - Wszystko to strata czasu!
- A co twoim zdaniem powinniśmy robić zamiast tego? -pyta Iris z zainteresowaniem.
- Coś... ważnego, rozumiesz? - Spaceruję tam i z powrotem, pomiędzy nią a jabłonką. Nie potrafię ustać w miejscu.
- Coś konstruktywnego. - Spoglądam na Iris. Chyba się nie obraziła. Chyba nie, jest raczej rozbawiona.
- Co może być bardziej konstruktywnego od pieczenia chleba?
O Boże. Mam ochotę wrzasnąć z całej siły w płucach. Dla niej wszystko ma sens - jej kury, jej fartuszek. Ona nie ma zniszczonej kariery i nie jest pośmiewiskiem dla wszystkich internautów.
- Niczego nie rozumiesz. - Jestem bliska łez. - Przykro mi, ale nie rozumiesz. Ja... ja już sobie pójdę.
- Nie idź - mówi Iris zaskakująco zdecydowanym tonem. Sekundę później stoi już naprzeciwko mnie, kładzie dłonie na moich ramionach i spogląda mi prosto w oczy błękitnym, uważnym spojrzeniem.
- Samantho, przeszłaś traumę - mówi ciepłym spokojnym głosem. - Bardzo cię to dotknęło...
- Nie przeszłam żadnej traumy! - odsuwam się od niej gwałtownie. - Ja... ja po prostu tak nie umiem, Iris. Nie potrafię udawać, że jestem kimś innym. Nie umiem piec chleba, rozumiesz? Nie jestem boginią ogniska domowego. -
Rozglądam się z rozpaczą po ogrodzie, jakby szukając odpowiedzi. - Nie wiem już, kim jestem. Nie mam zielonego pojęcia.

Po moim policzku stacza się jedna łza. Wycieram ją gwałtownie. Nie zamierzam płakać w obecności Iris.
- Nie wiem, kim jestem. - Oddycham głęboko i mówię nieco spokojniej. - Nie wiem, jaki jest mój cel w życiu...
dokąd zmierzam. Nie wiem nic.

Uchodzi ze mnie cała energia. Opadam na wyschniętą trawę. Iris przykuca i siada koło mnie.

- To nieważne - mówi łagodnym głosem. - Nie karz się za to, że nie znasz wszystkich odpowiedzi. Nie zawsze musisz wiedzieć, kim jesteś albo widzieć swoją przyszłość. Czasem wystarczy, jeżeli znasz swój następny krok. Przez chwilę nie mówię nic. Pozwalam jej słowom omyć mój umysł, niczym chłodnej wodzie kojącej ból.

- A jaki jest mój następny krok? - pytam wreszcie ze zrezygnowanym wzruszeniem ramion.

- Pomożesz mi wyłuskać bób na lunch - mówi to w tak oczywisty sposób, że nie mogę powstrzymać się od uśmiechu. Posłusznie drepczę za Iris do domu, gdzie dostaję dużą misę pełną strąków bobu. Zaczynam wyłuskiwać ziarna, jak pokazuje mi Iris. Łupiny wrzucam do koszyka na podłodze, świeży bób do zlewu. I tak na okrągło. Uspokajam się nieco, kiedy wykonuję tę czynność. Nie miałam pojęcia, że bób rośnie w strąkach. Szczerze powiedziawszy, moje jedyne doświadczenia z bobem polegały na kupowaniu go w paczkach w Waitrose, wkładaniu do lodówki, po czym wyjmowaniu po upływie tygodnia, kiedy dawno już upłynęła data jego ważności, i wyrzucaniu do kosza.

To jest coś innego. Tak właśnie wygląda bób prosto z ziemi. Albo... z krzaka - gdziekolwiek tak naprawdę rośnie. Każdy strąk zawiera rządki zielonych klejnocików. Kiedy wkładam jeden do ust, smakuje jak...

Och, no tak. Trzeba go najpierw ugotować.

Bleee!

Po wyłuskaniu całego bobu jeszcze raz zagniatamy ciasto. Formujemy je w bochenki, układamy w brytfankach i zostawiamy na kolejne pół godziny do wyrośnięcia. Tym razem jednak jakoś mi to nie przeszkadza. Siadam z Iris przy stole i razem obrywamy szypułki truskawek, słuchając przy tym radia, aż przychodzi czas, żeby włożyć chleb do piekarnika. Iris układa na tacy ser, sałatkę z zielonej fasoli, herbatniki i truskawki. Zabieramy ją do ogrodu i siadamy przy stole schowanym w cieniu drzewa.

- Proszę - mówi Iris, nalewając trochę mrożonej herbaty do kubeczka zrobionego ze szkła pełnego bąbelków powietrza. - Lepiej?

- Tak, dziękuję - odpowiadam niepewnie. - Przepraszam za moje wcześniejsze występy. Po prostu...

- Nie ma sprawy. - Spogląda na mnie przelotnie, krojąc ser. - Nie musisz przeproszać.

- Chyba jednak powinnam - zaczerpuję powietrza. - Naprawdę jestem ci wdzięczna za wszystko, Iris. Jesteś dla mnie taka dobra... i Nathaniel...

- Słyszałam, że zabrał cię do pubu.

- To było wspaniałe - odpowiadam z entuzjazmem. - Musisz być bardzo dumna, że je macie.

- Te puby należały do Blewettsów od pokoleń - Iris kiwa głową. Siada przy stole i nakłada nam obu porcję sałatki, polewa ją oliwą i posypuje ziołami. Próbuję - jest absolutnie przepyszna.

- Musiało być ci ciężko, kiedy umarł twój mąż - zaczynam ostrożnie.

- To był jeden wielki bałagan - mówi po prostu Iris i odgania kurczaka, który podszedł do stołu. - Mieliśmy problemy finansowe. Nie było dobrze. Gdyby nie Nathaniel, pewnie stracilibyśmy wszystkie lokale. Zadbał o to, żeby znowu zaczęły funkcjonować. Zrobił to dla ojca - jej oczy zachodzą lekką mgiełką. Przerywa, z ręką zawieszoną w połowie drogi między talerzem a ustami. - Nieważne, jak dokładnie sobie

wszystko zaplanujesz, i tak nigdy nie wiadomo, jak ułoży się w życiu. Ale ty już to wiesz.

- Zawsze myślałam, że moje życie przebiegnie w określony sposób - mówię, wpatrując się w talerz. - Miałam wszystko ustalone w najmniejszych szczegółach.

- I nie wyszło, co?

Przez kilka sekund nie potrafię odpowiedzieć. Przypominam sobie tę chwilę, w której dowiedziałam się, że zostanę współnikiem. Uderzenie skondensowanej, jaskrawej radości na myśl, że moje życie wreszcie się dopełniło, kiedy czułam, że wszystko jest idealne.

- Nie - odpowiadam wreszcie, starając się utrzymać spokojny ton. - Nie wyszło.

Iris przygląda mi się tak szczerym, współczującym spojrzeniem, że wydaje mi się, iż czyta w moich myślach.

- Nie bądź dla siebie zbyt surowa, kurczaczku - mówi. - Wszyscy borykamy się z trudnościami.

Nie potrafię sobie wyobrazić borykającej się z trudnościami Iris. Wydaje się taka spokojna i pozbierana.

- Och, ja też się borykałam - mówi, odczytując mój wyraz twarzy. - Po śmierci Benjamina. To stało się tak nagle. Wszystko, co miałam, zniknęło jednej nocy.

- I... co... - rozkładałam ręce bezradnie.

- Znalazłam inny sposób na życie - odpowiada. - Ale zajęło mi to trochę czasu. - Przez chwilę patrzy mi w oczy, a potem spogląda na zegarek. - Skoro mowa o czasie, pójdę zrobić nam kawy, a przy okazji sprawdzę, co z chlebem. Podnoszę się, żeby pójść za nią, ale zatrzymuje mnie gestem.

- Siadaj. Zostań tu. Odpocznij.

Zostaję więc w cętkowanym cieniu drzewa, popijam mrożoną herbatę, próbuję się rozluźnić i cieszyć tym, że jestem tutaj, w tym pięknym ogrodzie. Jednak złe emocje wciąż krążą wokół mnie niczym stado głodnych rekinów.

Inny sposób na życie.

Nie znam innego sposobu. Nie mam pojęcia, co robię, nie wiem, jak wygląda moja przyszłość. Zupełnie, jakbym poruszała się w pomieszczeniu, w którym nagle zgasły wszystkie światła i teraz krok po kroku, po omacku szukam drogi. Wiem tylko jedno - nie mogę wrócić do poprzedniego życia.

Zaciskam mocno powieki, próbując oczyścić umysł. Nigdy nie powinnam zaglądać na tamtą stronę internetową ani czytać tych wszystkich komentarzy. To dla mnie teraz zupełnie obcy świat.

- Wyciągnij ręce, Samantha - słyszę nagle głos Iris tuż nad moim uchem. - Nie otwieraj oczu. No, dalej.

Nie mam pojęcia, co chce zrobić, ale posłusznie nie podnoszę powiek i wyciągam przed siebie ramiona. Chwilę później czuję, że pojawia się w nich coś ciepłego, co wydziela z siebie drożdżowy zapach. Otwieram oczy i widzę bochenek chleba. Przyglądam się mu z kompletnym niedowierzaniem. Wygląda jak prawdziwy, rzeczywisty, normalny chleb, taki, jakie widuje się na półkach w piekarni. Jest pulchny, dobrze wyrośnięty, złotobrazowy, z delikatnym prażkowaniem i chrupiącą skórką. Pachnie tak smakowicie, że ślinka napływa mi do ust.

- Powiedz mi, że to nic wielkiego - rzuca Iris, ściskając moje ramię. - Sama go zrobiłaś, kochanie, i powinnaś być z siebie dumna.

Nie mogę odpowiedzieć. Coś gorącego blokuje mi gardło, kiedy przytulam do piersi ciepły bochenek. To ja upiekłam ten chleb. Ja, Samantha Sweeting, która nie potrafiła nawet odgrzać w mikrofalówce zupy z torebki, która poświęciła siedem lat życia po to, aby wylądować z niczym i zostać wymazana z egzystencji, która nie wie, kim tak naprawdę jest.

Ta właśnie kobieta upiekła dzisiaj bochenek chleba.

W tej chwili czuję, jakby to była jedyna realna rzecz, jakiej mogę się trzymać.

Ku mojemu przerażeniu czuję, jak po policzkach spływają mi łzy, jedna po drugiej. To idiotyczne. Muszę się pozbierać.

- Wygląda nieźle - słyszę za sobą głos Nathaniela. Odwracam się zaskoczona. Stoi obok Iris, jego włosy błyszczą w promieniach słońca.

- Hej - rzucam nieco stremowana. - Myślałam, że jesteś... że naprawiasz rurę, albo coś w tym stylu.

- Owszem, robię to - kiwa głową. - Wpadłem na chwilę.

- Wyjmę pozostałe bochenki - mówi Iris, poklepując mnie po ramieniu i znika w kuchni.

Wstaję i spoglądam na Nathaniela sponad mojego chleba. Na sam jego widok w moim sercu pojawiają się dodatkowe emocje: więcej rekinów krążących wokół swojej ofiary. Teraz jednak, kiedy o tym myślę, to jeden i ten sam gatunek bestii, w różnym ubarwieniu.

- Wszystko w porządku? - pyta, spoglądając na moje łzy.

- Tak. Po prostu to był bardzo dziwny dzień - odpowiadam, ścierając je szybko, ze wstydem. - Zazwyczaj nie rozklejam się tak z powodu... chleba.

- Mama powiedziała, że byłaś dziś trochę zdenerwowana. - Unosi brwi do góry. - Wyrabianiem ciasta?

- Nie, chodziło o rośnięcie - uśmiecham się przepraszająco. - Problemy z czekaniem. Nigdy nie byłam w tym zbyt dobra.

- Aha. - Patrzy mi prosto w oczy.

- Nigdy nie potrafiłam czekać. Na nic. - Jakimś cudem jestem coraz bliżej i bliżej niego. Nie mam pojęcia, jak to się dzieje. - Zawsze muszę robić wszystko od razu.

- A...ha.

Stoimy bardzo blisko siebie. Spoglądam na niego, oddychając ciężko. Wewnątrz mnie buzują wszystkie frustracje i przykre niespodzianki z całego tygodnia. Czuję, jak rośnie we mnie napięcie, aż wreszcie nie mogę go znieść. Nie jestem w stanie dłużej się powstrzymać. Sięgam po niego i przyciągam jego twarz w dół, ku mojej.

Nie całowałam się tak od czasów, gdy byłam jeszcze nastolatką. Obejmujemy się mocno, świat przestał dla nas istnieć, jesteśmy kompletnie zatraceni w sobie. Trish mogłaby

teraz stać tuż obok z kamerą wideo i pokrzykiwać, żebyśmy się ustawili, a ja bym jej w ogóle nie zauważyła. Wydaje mi się, że upływają całe godziny, zanim otwieram oczy i odrywamy się od siebie. Moje wargi są spuchnięte i trzęsą mi się nogi. Nathaniel wygląda na równie poruszonego. Oddycha szybciej, a jego oczy przesłoniła lekka mgiełka.

Nagle orientuję się, że kompletnie zmiądziliśmy mój bochenek chleba. Próbuję przywrócić mu kształt i odkładam na stół niczym zdeformowany egzemplarz wystawowy. Usiłuję na powrót złapać dech.

- Nie mam zbyt dużo czasu - mówi Nathaniel. - Muszę wracać do pubu. - Przesuwa lekko dłonią po moich plecach, a ja czuję, jak całe ciało wygina się z rozkoszy pod jego dotykiem.

- Nie potrzebuję dużo czasu - odpowiadam głosem schrypniętym z pożądania.

Od kiedy zrobiłam się taka bezwstydna?

- Naprawdę nie mam zbyt dużo czasu - spogląda na zegarek. - Sześć minut, to wszystko.

- Potrzebuję tylko sześciu minut - mruczę, spoglądając na niego kusocielsko. Uśmiecha się do mnie, myśląc, że żartuję. - Naprawdę - ciągnę, usiłując być jednocześnie skromna i seksowna. - Jestem szybka. Sześć minut to wszystko, czego nam potrzeba.

Zapada cisza. Na twarzy Nathaniela pojawia się wyraz niedowierzania. Jakimś cudem nie jest pod wrażeniem tego, co powiedziałam. Myślałam, że się ucieszy.

- Wiesz... tutaj robimy wszystko nieco wolniej - odpowiada w końcu.

- Rozumiem - staram się ukryć rozczarowanie. Co niby chce mi powiedzieć? Że ma jakiś problem albo coś w tym stylu? - Ja... jestem pewna... - przerywam. W ogóle nie powinnam się odzywać.

Nathaniel znów spogląda na zegarek.

- Muszę lecieć. Dziś wieczorem czeka mnie podróż do Gloucester.

Czuję wewnętrzne tapnięcie, słysząc jego nagle oziębły ton. Prawie na mnie nie patrzy. Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam absolutnie wspominać o czasie. Co ze mnie za idiotka. Wszyscy wiedzą, że jeśli chodzi o seks z mężczyzną, nie należy odwoływać się do jakichkolwiek miar liczbowych. To podstawowa zasada, zaraz obok tej, aby nie sięgać w połowie stosunku po pilota, chyba że jest się pewnym, iż telewizor jest wyciszony.

- W takim razie... do zobaczenia - odpowiadam jednocześnie przyjacielskim i zachęcającym tonem. - Co robisz jutro?

- Jeszcze nie wiem - wzrusza ramionami. - Będziesz tutaj?

- Pewnie tak. Chyba.

- W takim razie może się zobaczymy. - Z tymi słowy rusza przez trawnik do domu, pozostawiając mnie ze zniekształconym bochenkiem chleba i mętlikiem w głowie.

17

Jak już wspominałam, powinno się wprowadzić jakiś system rozróżniania emocji, rodzaj uniwersalnego oznakowania, który nie pozostawia miejsca na nieporozumienia. Na przykład znaki wykonywane dłonią albo małe, dyskretne naklejki umieszczone w okolicach dekoltu lub kołnierzyka, z kolorowym kodem dla przekazania odpowiedniej informacji:

Dostępny/Niedostępny

W związku/Samotny

Nieuchronny seks/Seks odwołany/Seks odroczone Jak inaczej mamy wiedzieć, co jest grane? No jak? Przez całą noc usilnie myślę, ale nie dochodzę do żadnych wniosków. Albo a) Nathaniel się obraził za moje aluzje do seksu i nie jest już mną zainteresowany, albo też b) wszystko jest w porządku, nadal mnie chce, ale po prostu nie mówił zbyt wiele, jak każdy normalny facet, i powinnam przestać się przejmować tą sytuacją.

226

A może jestem gdzieś pomiędzy tymi dwiema opcjami?

Albo jest coś innego, na co nie wpadłam. Albo...

Właściwie to chyba wszystko, co zdołałam wymyślić, chociaż jeśli chodzi o tę sprawę, w mojej głowie nadal panuje mętlik.

O dziewiątej rano zwlekam się ze schodów w szlafroku. Na dole natykam się na Trish i Eddiego, ubranych elegancko jak do wyjścia. Eddie ma na sobie marynarkę z lśniąco złotymi guzikami, a Trish kostium ze śliskiego jedwabiu, ozdobiony największym bukietem sztucznych róż przypiętym do marynarki, jaki widziałam w swoim życiu. Ma również problem z zapięciem guzików. Po długich mękach dochodzi wreszcie do ostatniego, cofa się o krok i przygląda swojemu odbiciu w lustrze, dysząc z wysiłku. Teraz wygląda, jakby nie mogła poruszyć ramionami.

- Co o tym sądzisz? - pyta Eddiego.

- Bardzo ładny - odpowiada, marszcząc czoło, pochylony nad *Mapą samochodową Wielkiej Brytanii 1994*. - Mamyjechać A347 czy A367?

- Hmm... wydaje mi się, że lepiej, jak jest odpięte - rzucam ostrożnie. - Bardziej... na luzie.

Trish spogląda na mnie nieżyczliwie, jakby podejrzewała mnie, że chcę zrobić jej na złość.

- Tak - mówi wreszcie. - Może masz rację.

Zabiera się do rozpinania guzików, ale jest tak skrupowana, że nie może unieść rąk wystarczająco wysoko, a Eddie właśnie wycofał się do gabinetu.

- Może ja...?- oferuję pomoc.

- Gdybyś była tak uprzejma. - Na jej szyi wykwitają czerwone plamy.

Podchodzę do niej i tak delikatnie, jak potrafię, odpinam guziki. Nie jest to proste z uwagi na śliski materiał. Kiedy wreszcie kończę, Trish zaczyna znów przyglądać się sobie w lustrze, wygładzając jedwabną marynarkę. Wydaje się lekko niezadowolona.

- Powiedz mi, Samantho - rzuca niby od niechcienia. -

Gdybyś mnie teraz zobaczyła po raz pierwszy, jakie określenie przysłoby ci na myśl.

O, cholera. Jestem pewna, że tego nie było w moim kontrakcie. Rozpaczliwie szukam w głowie najbardziej pochlebnego słowa, jakie znam.

- No... elegancka - odpowiadam wreszcie, kiwając głową, jakbym zdecydowanie zgadzała się z tym, co mówię. - Powiedziałabym, że wygląda pani elegancko.

- Elegancko? - Spogląda na mnie ostro. Coś mi mówi, że użyłam niewłaściwego słowa.

- Chciałam powiedzieć, szczupło! - poprawiam się w nagłym olśnieniu. Jak mogłam być tak niedomyślna!

- Szczupło - patrzy na siebie przez chwilę, obracając się przed lustrem. - Szczupło.

Nie wydaje się zbyt zachwycona. Co jest złego w elegancji i szczupłości, na Boga? Choć żadna z tych cech nie była w jej przypadku prawdą.

- Co byś powiedziała na... - poprawia fryzurę, specjalnie unikając mojego wzroku. - Co powiesz na... młodo?

Przez moment jestem zbyt skołowana, żeby odpowiedzieć. Młodo?

Młodo w porównaniu do czego?

- Ach tak... oczywiście - rzucam wreszcie. - To... to się rozumie samo przez się.

Proszę, tylko nie pytaj, ile moim zdaniem masz...

- Ile twoim zdaniem mam lat, Samantha? - Trish spogląda na boki, strzepując niewidoczny pyłek z ramion, jakby zupełnie nie była zainteresowana odpowiedzią. Ja jednak wiem, że jej uszy aż płoną z niecierpliwości, żeby usłyszeć odpowiedź. Są niczym dwa gigantyczne radary, zdolne odebrać z daleka najsłabszy sygnał.

Czuję, jak policzki pieką mnie ze zdenerwowania. Co ja teraz powiem? Może... trzydzieści pięć? Nie. Nie bądź śmieszna. Nie może się aż tak łudzić. Czterdzieści? Nie, nie mogę tego powiedzieć. To zbyt bliskie prawdy.

- Około... trzydziestu siedmiu? - ryzykuję wreszcie. Trish

odwraca się i po triumfalnym, pełnym zadowolenia uśmiechu zgaduję, że udało mi się pochlebstwo.

- Tak naprawdę mam trzydzieści dziewięć! - oznajmia. Na jej policzkach wykwitają dwa czerwone placki.

- Niemożliwe! - wykrzykuje, usiłując nie patrzeć na kurze łapki wokół jej oczu. - To niesamowite!

Co za kłamczucha! W lutym skończyła czterdzieści sześć lat. Jeżeli nie chce, żeby inni to wiedzieli, nie powinna zostawiać paszportu na szafce nocnej.

- No dobrze! - Jest wyraźnie zadowolona. - Nie będzie nas cały dzień. Jedziemy na przyjęcie do mojej siostry. Przyjdzie tu Nathaniel, żeby popracować w ogrodzie, ale to już chyba i tak wiesz...

- Nathaniel? Przychodzi tu?

- Zadzwoił dziś rano. Musi podwiązać groszek pachnący, czy coś w tym stylu. - Trish wyciąga konturówkę i zaczyna poprawiać zarys pokrytych grubą warstwą szminki ust.

- Rozumiem. Nie wiedziałam o tym. - Próbuję ukryć podniecenie, wywołujące we mnie dreszcze. - A więc... on pracuje w niedzielę?

- Bardzo często. Jest niezwykle oddany swojej pracy. - Trish przygląda się swemu odbiciu w lustrze, po czym zaczyna pokrywać usta kolejnymi warstwami szminki. - Słyszałam, że zabrał cię do swojego małego pubu.

Swojego małego pubu. Co zababsztyl!

- Owszem.

- Bardzo się z tego ucieszyłam, naprawdę. - Trish wyciąga tusz i zaczyna malować ciężkie od makijażu rzęsy. - O mały włos, a musielibyśmy szukać nowego ogrodnika. Wyobrażasz to sobie? Chociaż oczywiście szkoda mi go ze względu na wszystkie jego świetlane plany.

Spoglądam na nią skonsternowana. Chyba coś mnie ominęło. O czym ona gada?

- Dlaczego szkoda pani Nathaniela? - pytam.

- Z powodu jego szkółki. Ogrodniczej. - Marszczy czoło,

przygląda się sobie w lustrze i wyciera odrobinę tuszu spod oka. - Organiczna hodowla czy coś w tym stylu. Pokazał nam plan biznesowy. Nawet zastanawialiśmy się nad wsparciem finansowym. Jesteśmy bardzo wspomagającymi pracodawcami, Samantha - przygważdża mnie wyzywającym błękitnym spojrzeniem, jakby spodziewała się protestu.

- Oczywiście!

- Gotowa? - Eddie wynurza się z gabinetu w panamie na głowie. - Będzie cholernie gorąco.

- Eddie, nie zaczynaj - ucina Trish, chowając tusz do torebki. - Jedziemy na przyjęcie i koniec. Masz prezent?

- A co się stało? - pytam, podejmując przerwana konwersację. - Chodzi mi o plany Nathaniela?

Trish wydyma usta, to chyba ma wyrażać żal. Nadal przygląda się sobie w lustrze.

- Jego ojciec zmarł nagle, zostawiając straszny bałagan z pubami. Nathaniel zmienił zdanie i nigdy nie kupił tamtej ziemi - znów spogląda na siebie niezadowolona. - Może powinnam włożyć różowy kostium?

- Nie - odpowiadamy zgodnym chórem razem z Eddie. Spoglądam na jego zirytowane oblicze i tłumię w sobie chichot.

- Wygląda pani ślicznie, pani Geiger - mówię. - Naprawdę. Jakimś cudem udaje mi się z Eddie odciągnąć ją od lustra w kierunku drzwi wyjściowych, a potem do porsche.

Miał rację, zapowiada się naprawdę gorący dzień. Niebo jest przejrzyste niebieskie, z białą gorejącą kulą słońca.

- O której godzinie mam się spodziewać państwa powrotu? - pytam, kiedy wsiadają do samochodu.

- Późnym wieczorem - rzuca Trish. - Eddie, gdzie jest prezent? Ach, Nathaniel, jesteś!

Spoglądam ponad dachem samochodu z lekką obawą. Nathaniel zbliża się ku nam po podjeździe, w džinsach, espadrylach i starym szarym podkoszulku. Na ramieniu niesie nieodłączny plecak. A ja co - stoję tu w szlafroku z fryzurą w stylu „piorun w szczypiorek”. W dodatku wciąż nie wiem,

jak się mają sprawy między nami. Chociaż pewne części mojego ciała nie wydają się zdezorientowane w tej kwestii i reagują już na sam widok Nathaniela.

- Hej - mówię, gdy podchodzi bliżej.

- Hej - marszczy przyjaźnie oczy, ale nie próbuje mnie pocałować ani się nie uśmiecha. Coś w jego skupionym, zdecydowanym spojrzeniu sprawia, że zaczynają mi drżeć nogi. Troszeczkę.

Albo wszystko jest tak jak wczoraj, gdy się całowaliśmy, albo mam pecha, że uważam go za niesamowicie seksownego, niezależnie od tego, co on sądzi o mnie.

- Podobno będziesz dzisiaj ciężko pracował - zaczynam, odrywając od niego wzrok i wbijając go w zwirowaną ścieżkę.

- Przydałaby mi się pomoc - odpowiada niedbale. - Oczywiście, jeśli nie masz nic innego do roboty.

Czuję zalewającą mnie radość, ale ukrywam ją, udając kaszel.

- Rozumiem. - Wzruszam lekko ramionami, z poważnym wyrazem twarzy. - Zobaczę.

- Świetnie. - Skłania lekko głowę na pożegnanie Geigerów i rusza w stronę ogrodu.

Trish przygląda się naszej wymianie zdań ze wzrastającą irytacją.

- Nie jesteście dla siebie zbyt czuli - mówi. - Z mojego doświadczenia...

- Zostaw ich w spokoju, na miłość boską! - wybucha Eddie, zapalając silnik. - Jedźmy już i miejmy ten cholerny dzień za sobą.

- Eddie! - skrzeczy Trish, obracając się na fotelu w jego kierunku. - Przypominam, że mówisz o przyjęciu u mojej siostry! Czy masz pojęcie...

Eddie dodaje gazu, zagłuszając jej głos rykiem silnika. Wzbudzając fontanny żwiru, znikają z podjazdu, pozostawiając mnie w rozpalonej słońcem ciszy.

No tak.

231

A więc zostaliśmy sami, Nathaniel i ja. Zupełnie sami, przynajmniej do ósmej wieczorem. Taki jest plan. Czuję, jak z gwałtownym dudnieniem przyspiesza mi puls - niczym dyrygent nadający tempo. To preludium. Rozmyślnie nonszalancko odwracam się i wędruję z powrotem do domu. Przechodząc obok rabatki, przystaję nawet na chwilę i przyglądam się uważnie dowolnie wybranemu kwiatkowi, trzymając jego zieloną łodyżkę między palcami. Pewnie powinnam pójść do ogrodu i zaoferować Nathanielowi pomoc. Z czystej uprzejmości. Zmuszam się, by być cierpliwa. Biorę prysznic, ubieram się, zjadam śniadanie złożone z połowy filiżanki herbaty i jabłka. Potem idę na górę i nakładam delikatny makijaż. Niedużo, ale wystarczająco. Ubrana jestem niezobowiązująco. Podkoszulek, bawełniana spódnica i klapki. Kiedy spoglądam w lustro, czuję dreszcze, tak bardzo nie mogę się doczekać. Poza tym jednak nie myślę o niczym. Chyba gdzieś zgubiłam moją umiejętność rozumowania. Co wcale nie jest w tej chwili takie złe. W porównaniu z chłodnym wnętrzem domu, w ogrodzie panuje żar. Zstałe powietrze niemal migocze z gorąca. Kiedy wędruję ścieżką, szukając Nathaniela, próbuję kryć się w cieniu. Nie wiem, gdzie jest, nie wiem, dokąd idę. Potem dostrzegam go pomiędzy lawendą i jakimiś liliowymi kwiatkami. Mruży oczy w słońcu, gdy zawiązuje supełek na sznurku.

- Hej - zagajam.

- Hej.

Spogląda na mnie i ociera spocone czoło. Spodziewam się, że rzuci wszystko, podejdzie do mnie i pocałuje mnie, ale nie robi tego. Po prostu dalej wiąże pętelki na sznurku, aż wreszcie ucina ją nożykiem.

- Przyszłam pomóc - mówię po chwili. - Co mam robić?

- Podwiązywać groszek pachnący - wskazuje na pnącza, które rosną na czymś, co przypomina wigwamy z trzciny

prętów. - Potrzebuje dodatkowego podparcia, inaczej oklapnie - podaje mi kłębek sznurka. - Spróbuj. Tylko ostrożnie.

On nie żartuje. Naprawdę chce, żebym mu pomogła. Ostrożnie odwijam kawałek sznurka i naśladuję Nathaniela w tym, co robi. Miękkie liście łaskoczą mnie podczas pracy. Powietrze wypełnione jest niesamowitym słodkim aromatem.

- Dobrze?

- Niech no zobaczę. - Podchodzi, aby przyjrzeć się bliżej memu dziełu. - Uhm. Możesz zawiązywać trochę ciaśniej. Zobaczmy, jak ci pójdzie następnym razem.

Gdy odwraca się ode mnie, jego dłoń muska moją. Całe moje ramię reaguje na jego dotyk. Czy zrobił to specjalnie? Niepewna, podwiązuję kolejną roślinkę, tym razem mocniej.

- Tak jest dobrze - słyszę nagle głos Nathaniela za moimi plecami i czuję jego dłonie na karku, błędzące w pobliżu mojego ucha. - Musisz dokończyć tę grządkę.

Na pewno zrobił to specjalnie. Nie ma wątpliwości! Odwracam się, aby odpowiedzieć mu na tę pieśczość, ale Nathaniel jest już po drugiej stronie, jakby nigdy nic pochylony nad pachnącym groszkiem.

Nagle zaczynam rozumieć. Nathaniel ma plan.

Zaczynam być naprawdę podniecona. Przechodzimy od rośliny do rośliny, a we mnie narasta pulsowanie emocji. Jest cicho, słychać tylko szelest liści i ciche trzaśnięcia przecinanego sznurka. Podwiązuję jeszcze trzy rośliny i dochodzę do końca rzędu.

- Zrobione - rzucam, nie odwracając się.

- Wspaniale. Zobaczmy.

Podchodzi, żeby przyjrzeć się memu dziełu. Czuję, jak jego dłoń przesuwa się po moim udzie, odsuwając materiał spódnicy, szukając ciała. Nie mogę się poruszyć. Stoję jak porażona. Nagle odsuwa się ode mnie, znów bardzo rzeczowy i chwyta dwa koszyki.

- Co... - Nie jestem nawet w stanie wykrztusić z siebie poprawnego zdania.

Całuje mnie przelotnie, ale mocno w usta.

- Chodźmy. Trzeba zebrać maliny.

Krzewy malin rosną w głębi ogrodu. Ich zagony wyglądają niczym zbudowane z zielonej siatki komnaty, z podłogami z suchej ziemi i rzędami krzewów na ścianach. Wchodzimy do środka jednej z nich. Słysząc jedynie brzęczenie owadów i trzepotanie uwiecznionego ptaka, którego Nathaniel wygania spośród gałązek.

Bez słowa zaczynamy zbierać maliny z pierwszego rzędu krzewów, ostrożnie obrywając owoce. Zanim dochodzimy do końca, moje usta są cierpkie od ich smaku, a ramiona podrapane i obolałe od pracy. Pocę się obficie - tutaj upał wydaje się jeszcze większy niż w pozostałych częściach ogrodu.

Spotykamy się na końcu rzędka. Nathaniel spogląda na mnie przez ułamek sekundy. Po jego skroni ścieka kropla potu.

- Gorąco tu - mówi. Odkłada koszyk i ściąga podkoszulek.

- Tak - odpowiadam. Między nami panuje dziwne napięcie. Potem nagle wyzywającym gestem robię to samo, co on. Stoję w staniku, tuż obok Nathaniela. Moja skóra w porównaniu z jego wydaje się mlecznobiała.

- Sądzisz, że już wystarczy? - pokazuję na koszyk, ale Nathaniel nie zaszczycą go nawet krótkim spojrzeniem.

- Jeszcze nie.

Coś w jego wzroku powoduje, że czuję wilgotne łaskotanie między udami. Patrzę mu w oczy. Zupełnie jakbyśmy bawili się w podchody.

- Nie mogłam dosięgnąć tych malin - wskazuję na grupkę owoców rosnących ciut za wysoko dla mnie.

- Pomogę ci.

Przechyla się nade mną, muskając moją skórę. Czuję jego usta na uchu, kiedy zrywa maliny. Całe moje ciało odpowiada na tę pieszczotę. Nie mogę tego dłużej znieść, muszę to przerwać. I nie mogę przerwać.

Zwodzimy się więc dalej. Przesuwamy się wzdłuż kolej-

nych rzędów niczym dwoje tancerzy w dworskim tańcu, koncentrując się na własnych ruchach i gestach, a jednocześnie aż za bardzo świadomych swojej obecności. Przy końcu każdego rzędu Nathaniel dotyka przelotnie którejs części mojego ciała dłonią lub ustami. Karmi mnie też malinami, a ja przytrzymuję delikatnie jego palce zębami. Pragnę go, chcę go dotykać, ale za każdym razem odwraca się, zanim mogę zrobić coś więcej. Zaczynam się cała trząść z pożądania. Dwa rzędy temu Nathaniel rozpiął mi stanik. Sama ściągnęłam majtki, on rozpiął pasek - i nadal zbieramy maliny.

Koszyki są pełne i ciężkie, ramiona bolą mnie od dźwigania i zrywania, ale nie zwracam na to uwagi. Wiem tylko to, że całe moje ciało wibruje z pragnienia. Pulsowanie krwi dawno przemieniło się w dudnienie i nie jestem w stanie znieść tego dłużej. Kiedy dochodzę do końca ostatniego rzędu, odkładam koszyk na ziemię i odwracam się do Nathaniela, niezdolna już dłużej ukrywać desperacji.

- Skończyliśmy już?

Mój oddech jest krótki, urywany, gorący. Muszę go mieć. Na pewno o tym wie. Nie mam pojęcia, co jeszcze mogłabym zrobić.

- Całkiem nieźle nam poszło. - Jego spojrzenie wędruje ku innym szkółkom krzewów owocowych. - Jest jeszcze...

- Nie - słyszę siebie. - Nic już nie ma.

Stoję tak, w upale, na spierzchniętej ziemi, dysząc i pragnąc go całą sobą. Kiedy już wydaje mi się, że za chwilę eksploduję, Nathaniel pochyla się nade mną, ku mojej piersi i niemal tracę przytomność z rozkoszy. Tym razem jednak nie odsuwa się ode mnie. Tym razem on też tego chce. Jego dłonie przesuwają się po moim ciele, moja spódniczka i jego dzinsy lądują na ziemi. A potem cała drzę z rozkoszy, przywieram do niego i krzyczę. Zapomniane maliny leżą rozsypane na ziemi, rozgniecione naszymi ciałami.

Po wszystkim leżymy bez ruchu, mam wrażenie, że całymi godzinami. Czuję się odrętwiała z rozkoszy. Plecy, kolana i ramiona mam podrapane i brudne. Całe ciało usiane jest cętkami rozgniecionych malin. Nic mnie to nie obchodzi. Nie potrafię nawet zmusić się do podniesienia ręki i usunięcia mrówki, która wędruje po moim brzuchu, niczym łaskoczący ruchomy punkcik.

Opieram głowę o pierś Nathaniela, wsłuchując się w spokojny rytm jego serca. Jest niczym uspokajające tykanie zegara. Nie mam pojęcia, która godzina i mało mnie to obchodzi. Straciłam poczucie czasu. Wreszcie Nathaniel lekko przekręca głowę, całuje mnie delikatnie w ramię i się uśmiecha:

- Smakujesz malinami.

- To było... - przerywam, zbyt wstrząśnięta, żeby ubrać moje emocje w słowa. - Wiesz, ja zazwyczaj... - Nagle ziewam przeraźliwie i zaraz zakrywam dłonią usta. Mogłabym teraz spać przez kilka dni.

Nathaniel zaczyna rysować palcem leniwe kółka na moich plecach.

- Sześć minut to nie seks - słyszę, jak mówi. Oczy powoli zamykają mi się z rozespania. - Sześć minut to czas na ugotowanie jajka.

Kiedy budzę się ze snu, krzewy malin są już częściowo pogrążone w cieniu. Nathaniel zdążył się wydostać spode mnie, pod głowę położył mi poduszkę naprędce uformowaną z mojej pogniecionej, zabrudzonej malinami spódnicy. Sam włożył džinsy i przyniósł piwo z lodówki Geigerów.

Siadam na ziemi, nadal półprzytomna. Nathaniel sadowi się na trawie i wsparty o drzewo, popija z butelki.

- Obibok - rzucam zaczepnie. - Geigerowie myślą, że podwiązujesz groszek.

Spogląda na mnie z nutką rozbawienia w oczach.

- Dobrze spałaś?

- Jak długo? - Przykładam dłoń do twarzy i usuwam

przyklejony do niej kamyczek. Jestem kompletnie zdezorientowana.

- Kilka godzin. Chcesz trochę? - pokazuje na butelkę. -Zimne piwo.

Podnoszę się, otrzepuję z kurzu, wkładam spódnice oraz stanik i w miarę usatysfakcjonowana swoim ubiorem siadam obok niego na trawie. Nathaniel podaje mi butelkę, z której ostrożnie pociągam mały łyżeczek. Nigdy wcześniej nie piłam piwa. Zimny pienisty płyn w butelce jest najbardziej odświeżającym napojem, jaki kiedykolwiek próbowałam.

Opieram się o pień drzewa, zanurzając stopy w chłodnej trawie.

- Boże, czuję się... - unoszę rękę i pozwalam jej opaść ciężko na ziemię.

- Przestałaś być taka nerwowa - mówi Nathaniel. -Przedtem podskakiwałaś na dwa metry, kiedy się do ciebie odzywałem.

- Nieprawda!

- Uhm, właśnie że tak - kiwa głową. - Jak zajac.

- Myślałam, że jestem borsukiem.

- Krzyżówką borsuka z zajacem. Bardzo rzadko występującą.

Uśmiecha się do mnie promiennie i pociąga piwo z butelki. Przez chwilę żadne z nas się nie odzywa. Przyglądam się dalekiemu samolotowi, przecinającemu niebo białą kreską spalin.

- Mama też uważa, że się zmieniłaś. - Nathaniel rzuca mi bystre, pytające spojrzenie. - Powiedziała, że widzi to wyraźnie. Od kogokolwiek uciekałaś... cokolwiek się zdarzyło... nie ma już na ciebie tak wielkiego wpływu.

W jego głosie pobrzmiwa nieme pytanie, ale nie reaguję. Myślę o wczorajszym spotkaniu z Iris, o tym, jak pozwoliła mi wylać na siebie całą moją frustrację. A przecież sama nie miała najprostszego życia.

- Twoja mama jest wspaniała - mówię wreszcie.

- No.

Odstawiam butelkę i układam się na trawie, wpatrując

w błękitne niebo. Czuję zapach ziemi i chłodne łaskotanie trawy w uszy. Gdzieś w pobliżu gra pasikonik.

Zmieniłam się, sama to czuję. Jestem... spokojniejsza.

- Kim chciałbyś być? - pytam, obracając w palcach źdźbło trawy. - Gdybyś mógł uciec od swojego życia, stać się kimś innym.

Milczy przez chwilę, spoglądając na swoją butelkę i na ogród.

- Chciałbym być sobą - mówi wreszcie, wzruszając ramionami. - Jestem szczęśliwy. Lubię swój dom, życie, swoją pracę.

Przekręcam się na brzuch i spoglądam na niego, mrużąc oczy w słońcu.

- Na pewno jest coś innego, co chciałbyś robić. Masz przecież marzenia.

Potrząsa głową z uśmiechem.

- Robię to, co chcę.

Nagle przypominam sobie rozmowę z Trish. Siadam na trawie.

- A co z tą szkółką ogrodniczą, którą chciałeś prowadzić? Spogląda na mnie z zaskoczeniem.

- Skąd...

- Trish powiedziała mi o tym dziś rano. O twoim planie biznesowym i w ogóle. Co się stało?

Przez chwilę nie odpowiada, nie patrzy na mnie. Nie mogę odgadnąć, co teraz czuje.

- To była tylko idea - odpowiada wreszcie.

- Zrezygnowałeś z niej dla mamy. Żeby prowadzić puby.

- Może. - Sięga ku nisko rosnącej gałęzi i zaczyna obrywać z niej liście. - Wszystko się zmieniło.

- Ale czy rzeczywiście chcesz prowadzić puby? - Pochyliam się ku niemu, usiłując spojrzeć mu w oczy. - Sam powiedziałeś, że nie jesteś przedsiębiorcą, tylko ogrodnikiem.

- Nie chodzi o to, czego chcę. - W jego głosie pobrzmiwa nagła nuta frustracji. - To rodzinny biznes. Ktoś musi się nim zająć.

- Dlaczego akurat ty? - nie odpuszczam. - Dlaczego nie twój brat?
 - On... on jest inny. Ma coś swojego.
 - Ty też mógłbyś mieć coś swojego!
 - A obowiązki? - pochmurnieje coraz bardziej. - Moja mama...
 - Na pewno chciałaby, żebyś zajął się tym, czego pragniesz - nalegam. - Wiem to. Marzy o tym, żebyś był naprawdę szczęśliwy, a nie rezygnował dla niej ze swoich marzeń.
 - Jestem szczęśliwy. To idiotyczne, że mówisz...
 - Nie sądzisz, że mógłbyś być jeszcze szczęśliwszy?
- W ogrodzie zapada cisza. Nathaniel spogląda w bok, kuląc się, jakby chciał się zamknąć i ochronić przed moimi słowami.
- Naprawdę nigdy nie myślisz o porzuceniu tych wszystkich obowiązków. - Rozkładam szeroko ramiona, czując się nagle bardzo samotna. - Po prostu... powędrować w świat i zobaczyć, co się stanie?
 - Czy to właśnie zrobiłaś? - pyta, spoglądając na mnie z nagłą agresją.
- Spoglądam na niego niepewnie.
- Ja... nie rozmawiamy teraz o mnie - odpowiadam wreszcie. - Rozmawiamy o tobie.
 - Samantho. - Głośno wypuszcza powietrze z płuc i pociera czoło. - Wiem, że nie chcesz rozmawiać o przeszłości, ale musisz powiedzieć mi jedno. Tylko nie kłam.
- Słyszę w głowie dzwonki alarmowe. O co chce mnie zapytać?
- Spróbuję - odpowiadam. - Co chcesz wiedzieć? Nathaniel spogląda mi prosto w oczy i bierze głęboki oddech.
 - Czy masz dzieci?
- Jestem tak zaskoczona, że na chwilę odbiera mi mowę. On myśli, że mam dzieci? Nie mogę się powstrzymać, zaczynam gulgotać ze śmiechu.
- Nie, nie mam dzieci! Sądzisz, że zostawiłabym tak po prostu przymierającą głodem piątkę maluchów?

- Nie wiem - marszczy czoło z lekkim zawstydzeniem, ale jednocześnie spogląda nieco zaczepnie. - Dlaczego nie?

- Ponieważ... to znaczy... czyja wyglądam na matkę pięciorga dzieci?! - mówię z lekkim oburzeniem.

Nathaniel też zaczyna się śmiać.

- Może nie pięciorga...

- Co to ma znaczyć?!

Zamierzam rzucić w niego jego koszulką, kiedy nagle powietrze przecina ostry krzyk.

- Samantha?!

Trish. Jej głos dobiega z domu. Wrócili już? Spoglądam z niedowierzaniem na Nathaniela.

- Samantha?! Gdzie jesteś?

Cholera! Z przerażeniem przyglądam się nam obojgu. Mam na sobie tylko stanik i spódnicę, jestem zakurzona i ubrudzona malinami. Nathaniel wygląda podobnie, tyle że zamiast stanika i spódnicy ma na sobie džinsy.

- Szybko! Moje rzeczy! - syczę, zrywając się na równe nogi.

- Gdzie one są? - pyta Nathaniel, rozglądając się dookoła.

- Nie wiem! - Spoglądam na niego i czuję wzbierający we mnie atak bezradnego śmiechu. - Wyrzucą nas z pracy.

- Samantha? - słyszę, jak otwierają się drzwi oranżerii.

- Cholera - skrzeczę. - Ona tu idzie!

- Wszystko w porządku - mówi Nathaniel, odnajdując podkoszulek wśród krzewów. Wkłada go na siebie i od razu zaczyna wyglądać w miarę normalnie. - Odciągnę ich uwagę, a ty przez ten czas przemkniesz się bokiem, za krzakami, do drzwi kuchennych, pobiegiesz na górę i przebierzesz się. Dobrze?

- Dobrze - rzucam bez tchu. - Co im powiemy?

- Powiemy im... - przerywa, jakby się namyślał - że wcale nie kochaliśmy się w ogrodzie ani nie poczęstowaliśmy się potem piwem z ich lodówki.

- No tak - nie mogę się powstrzymać od chichotu. - Dobry plan.

- Ruszaj śmiało, Brązowy Króliku. - Całuje mnie na pożegnanie.

Przebiegam przez trawnik i ukrywam się za gęstym rododendronem.

Przemykam bokiem, kryjąc się za krzewami i usiłując nie szeleścić zbyt głośno. Wilgotna, ocieniona ziemia chłodzi moje nagie stopy. W pewnej chwili następuję na ostry kamyk i wykrzywiam się z bólu, nie wydaję jednak żadnego dźwięku. Przypominają mi się czasy, gdy miałam dziesięć lat i bawiłam się w chowanego. Teraz czuję tę samą mieszaninę strachu i radości. Kiedy jestem dziesięć metrów od domu, przyczymam się za krzakiem i czekam. Po kilku minutach pojawia się Nathaniel prowadzący Geigerów przez trawę w kierunku stawu.

- Myślę, że możemy mieć tutaj do czynienia z pewnym rodzajem mączniaka - mówi. - Pomyślałem, że dobrze by było, gdyby państwo sami to zobaczyli.

Czekam, aż przejdą obok mnie, a potem co sił w nogach biegnę do oranżerii, przez korytarz i po schodach na górę. Kiedy docieram do swojego pokoju, zamykam drzwi na klucz i opadam na łóżko. Chcę mi się śmiać z ulgi, ale też z tej zabawnej i głupiej sytuacji. Podnoszę się i wyglądam przez okno. Widzę ich wszystkich troje nad sadzawką. Nathaniel pokazuje coś kijem.

Pędem biegnę do łazienki, odkręcam prysznic na pełny regulator i stoję pod nim przez trzydzieści sekund. Potem wkładam czystą bieliznę, dżinsy i przyzwoitą bluzkę z długimi rękawami. Pociągam usta szminką, zakładam espadryle i schodzę na dół, do ogrodu.

Nathaniel i Geigerowie wracają już do domu. Obcasy Trish zapadają się w miękkiej ziemi, Eddie wygląda na przegrzanego i zdenerwowanego.

- Dzień dobry - witam się, gdy się zbliżają.

- Tutaj jesteś - mówi Nathaniel. - Nie widziałem cię przez całe popołudnie.

- Przeglądałam przepisy - odpowiadam niewinnie i zwraca-

cam się do Trish z uprzejmym uśmiechem. - Jak się udało przyjęcie, pani Geiger?

Zbyt późno dostrzegam, że za ich plecami Nathaniel przeciąga palcem po szyi.

- Dziękuję, że pytasz, Samantha. - Trish nabiera gwałtownie powietrza w płuca. - Wolałabym jednak o tym nie rozmawiać.

Eddie wydobywa z siebie rozsierdzony pomruk.

- Nie darujesz sobie, prawda? Powiedziałem tylko...

- Chodzi o sposób, w jaki to powiedziałaś! - skrzeczy Trish. - Czasem myślę, że twoim jedynym celem w życiu jest stawianie mnie w trudnym położeniu!

Eddie naindycza się i rusza szybkim krokiem w stronę domu. Panama opada mu na jedno ucho. Ach tak. Unoszę brwi i spoglądam na Nathaniela, który uśmiecha się do mnie promiennie spoza natapirowanej fryzury Trish.

- Czy zechciałaby się pani napić herbaty, pani Geiger? -pytam kojąco. - A może... krwawej mary?

- Dziękuję, Samantha - odpowiada, unosząc brodę z godnością. - Krwawa mary na pewno dobrze mi zrobi.

Kiedy wchodzimy do oranżerii, Trish uspokaja się nieco. Przyrządza nawet sama krwawą mary, zamiast rozkazywać mi, co mam robić. Nathaniel i ja też dostajemy po szklaneczce.

- No dobrze - mówi, kiedy już wypijamy po łyku i siadamy w otoczeniu pierzastych roślin. - Chciałam cię o czymś poinformować, Samantha. Będziemy mieć gościa.

- Rozumiem.

Usiłuję się nie uśmiechać. Nathaniel siedzi tuż obok i pod stołem dotyka stopą mojego espadryla.

- Moja siostrzenica przyjeżdża jutro na kilka tygodni, żeby odpocząć. Ma dużo pracy i musi mieć całkowity spokój i ciszę, dlatego pan Geiger i ja zaoferowaliśmy jej gościnę. Proszę, przygotuj dla niej pokój.

- Oczywiście - kiwam głową skwapliwie.

- Oprócz łóżka będzie potrzebowała również biurka... zapewne przywiezie ze sobą laptop.
- Tak, proszę pani.
- Melissa jest bardzo zdolną dziewczyną. - Trish przypala papierosa zapalniczką od Tiffany'ego. - Bardzo dynamiczną. Jedną z kobiet City.
- Rozumiem - tłumię chichot, ponieważ Nathanielowi wreszcie udaje się ściągnąć mi but. - Czym się zajmuje?
- Jest prawniczką - odpowiada Trish.

Spoglądam na nią oniemiała. Prawniczka? Prawniczka zatrzyma się w tym domu?

Nathaniel łaskocze mnie w stopę, ale ja potrafię zdobyć się jedynie na słaby uśmiech. Jest źle. Właściwie to może nawet tragicznie. A jeśli ją znam?

Trish przyrządza sobie kolejną krwawą mary, ja zaś gorączkowo szukam w pamięci nazwisk.

Melissa. Może Melissa Davis z Freshwater, Melissa Christie z Forrestera albo Melissa Taylor, która pracowała nad fuzją DeltaCo. Spędziłyśmy całe godziny w tym samym pomieszczeniu. Rozpozna mnie od razu.

- Pani siostrzenica również nazywa się Geiger? pytam niedbale, gdy Trish siada ze szklanką w fotelu.
- Hurst.

Melissa Hurst. Z niczym mi się nie kojarzy to nazwisko.

- Gdzie pracuje? - Proszę, niech to będzie za granicą...

- Och, jest w jakimś renomowanym miejscu w Londynie. - Trish macha niedbale ręką trzymającą szklankę.

Aha. Nie znam jej, ale nie wygląda to dobrze. Dynamiczna prawniczka z Londynu. Jeżeli pracuje w którejś z dużych firm, na pewno o mnie słyszała. Wie o pracownicy Carter Spink, która naraziła klienta na pięćdziesięciomilionową stratę i uciekła przed odpowiedzialnością. Zna wszystkie upokarzające szczegóły mojego haniebnego postępu.

Na samą myśl robi mi się zimno. Wystarczy, że rozpozna moje imię, doda dwa do dwóch... i cała historia wyjdzie na jaw. Zostanę upokorzona tak samo, jak w Londynie. Wszyscy

dowiedzą się o mojej przeszłości, o moich kłamstwach. Spoglądam na Nathaniela i czuję skurcz przerażenia. Nie mogę pozwolić, żeby coś zepsuło naszą znajomość. Nie teraz. Nathaniel mruga do mnie, a ja upijam spory łyk krwawej mary. Odpowiedź jest bardzo prosta. Muszę zrobić wszystko, żeby utrzymać mój sekret.

18

Nie widzę powodu, dla którego ta prawniczka miałaby rozpoznać moją twarz, ale dla wszelkiej pewności zamierzam zastosować lekkie maskowanie. Po przygotowaniu pokoju gościnnego na jej przyjazd biegnę czym prędzej do siebie i upi-nam włosy w wysoki kok, wyciągając luźne pasemka, które nieco zasłaniają mi twarz. Dodaję do tego stare okulary przeciwsłoneczne, które znalazłam w szufladzie komody. Są z lat osiemdziesiątych i mają grubą, dużą zieloną oprawkę, która znakomicie ukrywa moją twarz. Przy okazji sprawiają, że wyglądam jak Elton John, ale jakoś to przeżyję. Najważniejsze, że nie przypominam siebie samej.

Kiedy schodzę na dół, Nathaniel właśnie opuszcza kuchnię, wyraźnie wkurzony. Spogląda na mnie i zatrzymuje się zaskoczony.

- Samantho... co ty zrobiłaś?

- Och, mówisz o fryzurze? - poprawiam ją niedbale. - Po prostu chciałam spróbować innego stylu.

- Czy to twoje okulary przeciwsłoneczne? - spogląda na mnie z niedowierzaniem.

- Mam lekką migrenę. Co się dzieje? - pytam szybko, pragnąc zmienić temat.

- To Trish - burczy. - Urządziła mi pogadankę na temat hałasu. Nie mogę kosić trawnika pomiędzy dziesiątą a drugą po południu, nie mogę używać przycinarki bez uprzedniego

237

ostrzeżenia i mam poruszać się na palcach po żwirze. Na palcach!

- Dlaczego?

- Przez tego ich cholernego gościa. Wszyscy musimy wokół niej skakać. Cholerna prawniczka. - Potrząsa głową z niedowierzaniem. - Jej praca jest ważna. A moja nie?!

- Nadjeżdża już! - piszczy nagle Trish i wybiega z kuchni. - Wszystko gotowe? - otwiera gwałtownie drzwi wejściowe. Dobiega nas odgłos samochodu zbliżającego się po podjeździe.

Moje serce zaczyna bić gwałtownie. Nadeszła godzina zero. Zakrywam twarz dodatkowymi kilkoma pasemkami i zaciskam pięści. Jeżeli rozpoznam tę kobietę, po prostu będę trzymała pochyloną głowę, mamrotała niewyraźnie i odgrywała swoją rolę. Jestem gosposią. Nigdy nie byłam nikim innym.

- Będiesz tu miała dużo spokoju, Melisso - słyszę Trish. - Poinstruowałam moich pracowników, żeby zajęli się tobą ze szczególną troską...

Wymieniam spojrzenie z Nathanielem, który wywraca oczami z irytacją.

- Oto nasz dom! Poczekaj, przytrzymam ci drzwi...

Wstrzymuję dech. Chwilę później Trish pojawia się w domu w towarzystwie dziewczyny ubranej w dżinsy i obcisłą białą bluzeczkę, ciągnącej za sobą walizkę.

To ma być ta dynamiczna, doskonała prawniczka?

Wpatruję się w nią ze zdumieniem. Ma długie włosy i ładną buzię małej szelmy. Chyba niedawno skończyła dwadzieścia lat.

- Melisso, to jest nasza cudowna gosposia, Samantha... - Trish przerywa zdumiona. - Samantho, na Boga, co ty masz na sobie? Wyglądasz jak Elton John!

Świetnie! Przyciągnęłam jedynie do siebie uwagę.

- Witam - mówię niepewnie, zdejmując okulary, ale nadal wpatrując się w podłogę. - Bardzo mi miło panią poznać.

- Tu jest fantastycznie. - Melissa mówi z akcentem

245

uczennicy szkoły z internatem. W podobny sposób zresztą się zachowuje. - Londyn tak strasznie mnie dołuje.

- Pani Geiger wspominała, że jest pani prawnikiem w jakimś... renomowanym miejscu w Londynie.

- No - uśmiecha się do mnie z samozadowoleniem. -Uczę się w szkole prawniczej w Chelsea.

Co takiego?

Nie zdobyła jeszcze dyplomu. Jest dopiero studentką. To jeszcze dziecko. Ostrożnie unoszę głowę i spoglądam jej w oczy. Nie rozpoznała mnie. Och, do diabła, nie mam się czego bać ze strony tego podlotka! Chce mi się śmiać.

- A to kto? - Melissa trzepocze rzęsami, spoglądając uwodzicielsko na Nathaniela, który znowu marszczy gniewnie brwi.

- To jest Nathaniel, nasz ogrodnik - mówi Trish. - Nie martw się jednak. Otrzymał od nas ściśle instrukcje, żeby ci nie przeszkadzać. Uprzedziłam go, że potrzebujesz do pracy kompletnej ciszy.

- Mam mnóstwo materiału do powtórzenia. - Melissa spogląda na nią umęczonym wzrokiem i wzdycha ciężko, przeczesując palcami włosy. - Nie wyobrażasz sobie, ile mamy pracy, ciociu. Jestem taka zestresowana, że nie mogę wytrzymać.

- Nie mam pojęcia, jak ty to robisz! - Trish obejmuje ją ramieniem i ściska mocno. - Powiedz, co chciałabyś zrobić najpierw. Wszyscy tu jesteśmy do twojej dyspozycji.

- Czy mogłabyś rozpakować moje rzeczy? - pyta mnie Melissa. - Są pogniecione, więc pewnie wszystkie trzeba będzie wyprasować.

Czuję lekkie szarpnięcie w środku. Nie zamierza się sama rozpakować? Co teraz? Mam być jej osobistą pokojówką?

- Chyba wezmę książki do ogrodu - dodaje jakby nigdy nic Melissa. - Może ogrodnik ustawi dla mnie stolik gdzieś w cieniu?

Zaczyna grzebać w plecaku pełnym podręczników. Trish przygląda się jej z uwielbieniem.

- Popatrz tylko na te książki, Samantha! - wykrzykuje, gdy Melissa wyciąga *Podstawy sądownictwa*. - Spójrz tylko na te wszystkie skomplikowane słowa.

- Eee... tak, rzeczywiście - odpowiadam uprzejmie.

- Może zrobisz nam wszystkim kawy? - prosi Trish. - Wypijemy ją na tarasie. Przynies też jakieś ciasteczka.

- Oczywiście, pani Geiger. - Automatycznie dygam.

- Czy możesz dla mnie zrobić pół na pół zwykłą i bez kofeiny? - dodaje Melissa, oglądając się przez ramię. - Nie chcę się zbyt nakręcić.

Właśnie że nie mogę, ty pretensjonalna głupia krowo!

- Oczywiście - uśmiecham się przez zaciśnięte zęby. - Z przyjemnością.

Coś mi mówi, że się nie zaprzyjaźnimy.

Pięć minut później przynoszę kawę na taras, na którym Trish i Melissa rozsiadły się w fotelach pod parasolką. Dołączył do nich również Eddie.

- Poznałaś już Melisę, prawda? - pyta, gdy stawiam tacę na stoliku z kutego żelaza. - Naszą małą gwiazdę?

Prawniczego orła?

- Owszem. Kawa dla pani - wręczam filiżankę Melis-sie. - Dokładnie taka, o jaką pani prosiła.

- Melissa żyje w dużym stresie - mówi Eddie. - Powinniśmy sprawić, żeby jej życie stało się nieco prostsze.

- Nie wyobrażacie sobie, jaki to stres - mówi Melissa z powagą. - Pracuję całymi wieczorami i w ogóle. Moje życie towarzyskie kompletnie zanikło. - Upija łyk kawy i odwraca się w moim kierunku. - Tak przy okazji, chciałam powiedzieć... - marszczy czoło. - Przypomnij mi, jak masz na imię?

- Samantha.

- Ach tak, Samantha. Bądź ostrożna z moją czerwoną bluzką z koralikami, dobrze? - Odrzuca włosy do tyłu i upija kolejny łyk kawy.

- Zrobię, co w mojej mocy - odpowiadam uprzejmie. - Czy to już wszystko, pani Geiger?

247

- Zaczekaj! - Eddie odstawia filiżankę. - Mam coś dla ciebie. Nie zapomniałem naszej wcześniejszej rozmowy! —
Sięga pod fotel i wyciąga torbę z brązowego papieru, z której wystaje kilka książek z lśniącoymi okładkami. - Nie
wywiniesz się od tego, Samantha. To może być nasz mały projekt!

Nagle ogarnia mnie złe przeczucie. O nie, proszę, niech to nie będzie to, co myślę.

- Panie Geiger - zaczynam. - To naprawdę niezwykle miło z pana strony, ale...

- Nie chcę słyszeć na ten temat ani słowa! - przerywa mi z uniesieniem ręki. - Pewnego dnia mi za to podziękujesz!

- O czym wy mówicie? - zaciekawiona Melissa marszczy guzikowaty nos.

- Samantha będzie zdobywać wykształcenie! - Eddie wyciąga triumfalnie z torby dwa podręczniki. Oba są bardzo
kolorowe, z wielkimi literami i ilustracjami. Dostrzegam napisy: *Matematyka*, *Angielski* i *Nauka dla dorosłych*.

Otwiera jedną z nich na zawadiackim rysunku krowy. Z jej pyska wydobywa się dymek dialogowy, w którym
widnieje pytanie: „Co to jest zaimek?”.

Wpatruję się w książkę oniemiała.

- Widzisz? - mówi Eddie z dumą. - Będiesz się dobrze bawiła! Za postępy dostaniesz złote przyklejane gwiazdki!

- Jestem pewna, że Melissa z przyjemnością pomoże ci z trudniejszymi rzeczami - wtrąca się Trish. - Prawda, kochanie?

- Oczywiście. - Melissa uśmiecha się do mnie protekcyjnie. - Gratuluję, Samantha! Na naukę nigdy nie jest za
późno. - Przesuwa w moim kierunku pełną filiżankę kawy. -Zrób mi inną kawę, dobrze? Ta jest zbyt słaba.

Wracam do domu i rzucam podręczniki na stół kuchenny. Napełniam czajnik wodą i wrzucam filiżankę do zlewu z
głośnym stukotem.

- Wszystko w porządku? - Nathaniel przygląda mi się z progu z rozbawieniem. - Jaka jest ta dziewczyna?

- Okropna! - nie potrafię się powstrzymać. - Nie ma żadnych manier. Traktuje mnie jak służącą. Musiałam rozpakować jej walizkę... przyrządzić tę głupią mieszankę kawy zwyczajnej z bezkofeinową...

- Możesz zrobić tylko jedno - mówi. - Napluj do jej filiżanki.

- Blee! - wykrzywiam się z obrzydzeniem. - Nic z tego. Wrzucam do dzbanuszka łyżkę zwyczajnej kawy, a potem dodaję łyżkę bezkofeinowej. Nie mogę uwierzyć, że spełniam jej głupie kaprysy.

- Nie pozwól jej zależeć ci za skórę. - Nathaniel podchodzi do mnie, obejmuje mnie i całuje lekko. - Nie jest tego warta.

- Wiem - odstawiam kawę i z lekkim uśmiechem wtulam się w jego objęcia. Powoli się uspokajam. - Mmmm, tęskniłam za tobą.

Przesuwa dłonią po moich plecach i czuję dreszczyk rozkoszy. Wczoraj spędziłam wieczór z Nathanielem w pubie i wróciłam do rezydencji Geigerów dopiero o szóstej nad ranem. Coś mi mówi, że to się stanie regułą.

- Ja też tęskniłem - dotyka mojego nosa, przyglądając mi się ciekawie. - Tak przy okazji, Samantha, nie myśl, że nie wiem.

Sztywnieję w jego ramionach.

- Czego? - Próbuję nadać swojemu głosowi naturalne brzmienie.

- Wiem, że masz swoje małe tajemnice - przygląda się mojej twarzy. - Niestety, jedna się wydała i nic nie możesz na to poradzić.

Jedna się wydała? O czym on do diabła mówi?

- Co konkretnie masz na myśli? - Usiłuję się rozluźnić, ale słyszę w głowie dzwonki alarmowe.

- Daj spokój. - Nathaniel jest rozbawiony. - Przecież wiesz, o czym mówię. Możesz zgrywać nieświadomą, ale i tak wszyscy już wiedzą. Wszyscy.

- Wiedzą o czym? - pytam przerażona.

Nathaniel potrząsa głową, jakby chciał się roześmiać.

- Dam ci małą podpowiedź. Jutro. - Całuje mnie znowu i rusza w kierunku drzwi.

Nie mam pojęcia, o czym mówi. Jutro? Co to ma wspólnego z czymkolwiek?

Zastanawiam się nad tym przez pół kolejnego dnia i wciąż nie mogę zrozumieć. Zapewne w dużej mierze dlatego, że nie mam nawet jednej sekundy na to, żeby usiąść i się zastanowić. Od rana muszę skakać wokół cholernej Melissy. Przyrządzam jej pięćdziesiąt filiżanek kawy, z których połowy nawet nie rusza. Przynoszę jej zimną wodę i świeżo zrobione kanapki. Piorę jej brudne rzeczy, które znalazłam w walizce, prasuję białą koszulę, którą chce włożyć wieczorem. Za każdym razem, gdy mam zabrać się do moich codziennych obowiązków, Melissa przywołuje mnie piskliwym głosikiem. Trish chodzi koło niej na palcach, jakbyśmy, nie przymierzając, gościli w ogrodzie samego T.S. Eliota, piszącego ostatni wielki poemat. Kiedy ścieram kurze w salonie, wygląda przez okno, obserwując Melissę, siedzącą przy stole ustawionym na trawniku.

- Pracuje tak ciężko. - Zaciąga się głęboko papierosem. -Melissa jest bardzo inteligentną dziewczyną.

- Uhm - mamrocze niezobowiązująco.

- Niełatwo się dostać do szkoły prawniczej, Samantho. Zwłaszcza do najlepszej! - Spogląda na mnie znacząco.

-Melissa musiała pokonać w eliminacjach setki innych kandydatów!

- Niezwykłe. - Przecieram telewizor ściereczką. - Bardzo się cieszę.

Tak przy okazji, wcale nie jest w najlepszej szkole prawniczej.

- Jak długo Melissa zamierza się u państwa zatrzymać? -usiłuję zachowywać się, jakby mnie to zupełnie nie obchodziło.

- To zależy. - Trish wydmuchuje chmurę dymu. - Za kil-

ka tygodni ma egzaminy. Powiedziałam jej, że może u nas zostać tak długo, jak sobie zażyczy.
Kilka tygodni? Nie minął jeszcze dzień, a Melissa już zdążyła doprowadzić mnie do granicy wytrzymałości.
Popołudnie spędzam w kuchni, udając, że cierpię na wybiórczą głuchotę. Ile razy mnie woła, włączam mikser, radio albo zaczynam hałasować formami do pieczenia. Jeśli mnie potrzebuje, wie, gdzie mnie znaleźć.
Wreszcie staje w drzwiach kuchennych, z policzkami zaczerwienionymi z gniewu.

- Samantho, wołałam cię!

- Naprawdę? - Spoglądam niewinnie sponad deski, na której siekam masło do ciasta. - Nie słyszałam.

- Potrzebujemy tu jakiegoś dzwonka, albo czegoś w tym stylu - fuka z niecierpliwością. - To idiotyczne, żebym musiała przerywać pracę.

- Czego potrzebujesz?

- Skończyła mi się woda. Poza tym muszę coś przegryźć, żeby utrzymać odpowiedni poziom energii.

- Mogłaś przynieść do kuchni pusty dzbanek na wodę -sugeruję łagodnie. - Albo sama zrobić sobie kanapkę.

- Posłuchaj no, nie mam czasu na robienie sobie kanapek, rozumiesz? - rzuca ostro. - Żyję w ogromnym stresie, mam mnóstwo pracy, egzaminy na głowie... nie masz pojęcia, jak ciężkie jest moje życie.

Spoglądam na nią w milczeniu, oddychając ciężko, i z całej siły usiłuję się uspokoić.

- Przyniosę ci kanapkę - proponuję wreszcie.

- Dziękuję - rzuca sarkastycznie i staje z założonymi rękoma, jakby na coś czekała.

- O co chodzi? - pytam.

- No dalej. Dygnij - kiwa głową. Co takiego? Chyba sobie żartuje!

- Nie zamierzam przed tobą dygać - mówię, powstrzymując wybuch śmiechu.

- Dygasz przed moją ciocią i wujkiem.

- Są moimi pracodawcami - odpowiadam sucho. - To co innego.

Poza tym uwierz, jeśli mogłabym cofnąć czas, dyganie nie pojawiłoby się w ogóle w menu.

- Mieszkam w tym domu. - Melissa odrzuca włosy do tyłu. - W związku z tym jestem również niejako twoim pracodawcą. Powinnaś okazać mi więcej szacunku.

Mam ochotę ją uderzyć. Gdyby była aplikantką w Carter Spink, najnormalniej w świecie bym ją... unicestwiła.

- Ach tak - odkładam nóż. - W takim razie pójdę zapytać o to panią Geiger. - I nie czekając na odpowiedź Melissy, wychodzę z kuchni. Nie mogę tego tolerować ani chwili dłużej. Jeżeli Trish weźmie jej stronę, to koniec. Odchodzę. Trish nie ma nigdzie w pobliżu, wchodzę więc na górę, z gniewnie trzepoczącym sercem. Podchodzę do drzwi jej pokoju i pukam.

- Pani Geiger? Chciałabym z panią porozmawiać.

W chwilę później Trish otwiera drzwi i wystawia na zewnątrz głowę, najwyraźniej nieco zmieszana.

- Samantha, o co chodzi?

- Nie jestem zadowolona z obecnej sytuacji - mówię spokojnym, cywilizowanym tonem. - Chciałabym to przedyskutować.

- Jakiej sytuacji? - marszczy brwi.

- Chodzi o Melissę i jej... jej nieustanne wymagania wobec mnie. Odciąga mnie nieustannie od moich codziennych obowiązków. Jeżeli nadal będę musiała być na każde jej zawołanie, ucierpi na tym całe gospodarstwo.

Trish zupełnie mnie nie słucha.

- Och, Samantho... nie teraz - macha lekceważąco ręką. - Porozmawiamy o tym później.

Z głębi sypialni dobiega mnie mamrotanie Eddiego. Doskonale! Pewnie uprawiają seks i Trish chce wrócić do stylu tureckiego.

- Rozumiem - usiłuję opanować frustrację. - W takim razie... pójdę sobie.

- Zaczekaj. - Nagle Trish jakby oprzytomniała. - Za pół godziny chcemy wypić szampana z kilkorgiem... przyjaciół. Chciałabym, żebyś włożyła na tę okazję coś innego niż uniform. - Spogląda na mnie z lekką odrazą. - Nie jest to najbardziej twarzowy z twoich ubiorów.

To ty go wybrałaś, do cholery! Mam ochotę się na nią wydrzeć, ale zamiast tego dygam, odwracam się i idę do mojego pokoju, gotując się ze złości. Głupia Trish! Cholerna Melissa! Jeżeli myśli, że zrobię jej teraz kanapkę, to sobie trochę poczeka.

Zamykam drzwi, rzucam się na łóżko i spoglądam na swoje dłonie, czerwone od prania delikatnych strojów Melissy. Co ja tu robię?

Czuję się rozczarowana i zawiedziona. Może byłam naiwna, ale naprawdę sądziłam, że Trish i Eddie mnie szanują, nie tylko jako ich gosposię, ale również jako człowieka. Jednak sposób, w jaki Trish zachowała się przed chwilą... najwyraźniej jestem tylko „pracownikiem”, czymś w rodzaju użytecznego przedmiotu, trochę lepszego niż odkurzacz. Mam ochotę spakować walizkę i odejść z tego domu. Nagle widzę siebie schodzącą na dół, otwierającą drzwi i rzucającą przez ramię do Melissy: „A tak przy okazji, ja też mam dyplom prawniczy i to ze znacznie lepszej szkoły niż ty!”.

To byłoby jednak dziecinne. Nie, gorzej - żalosne.

Masuję skronie, bicie serca powoli wraca do normy. Zaczynam widzieć rzeczy z innej perspektywy. Sama wybrałam sobie tę drogę. Nikt mnie do tego nie zmuszał. Może nie była to najbardziej racjonalna decyzja pod słońcem i pewnie nie zostanę tutaj na zawsze, ale ode mnie zależy, czy dobrze wykorzystam ten czas. Muszę się zachowywać jak profesjonalistka. A przynajmniej... na tyle, na ile mnie stać, biorąc pod uwagę, że nadal nie mam pojęcia, do czego służy forma do sawarinu.

Wreszcie udaje mi się zebrać siły i wstać z łóżka. Zdejmuję fartuszek i wkładam sukienkę, przeczesuję włosy i nawet maluję usta szminką. Potem sięgam po komórkę i piszę do Nathaniela:

253

Jesteś tam? Sam

Czekam na odpowiedź, która jednak nie nadchodzi. Nagle zdaję sobie sprawę, że nie było go tutaj przez całe popołudnie, a ja nadal nie mam pojęcia, o jakiej tajemnicy mówił wczoraj. Jeden z moich sekretów się „wydał”? Który? Spoglądam na siebie w lustrze i czuję ukłucie niepokoju. Nie mógł przecież...

No nie, to niemożliwe, żeby...

Ale jakim cudem? To absurd. Na pewno jest jakieś inne wytłumaczenie. Zawsze jest.

Kiedy schodzę na dół, dom wydaje się opustoszały i cichy. Nie wiem, o której mają przybyć przyjaciele Trish, ale na pewno jeszcze się nie pojawili. Może zdążyłabym zrobić ciasto i obrać warzywa?

Szybko idę do kuchni, w której natykam się na Nathaniela.

- Tutaj jesteś. - Obejmuje mnie i całuje, pociągając w kierunku schowka pod schodami, który, jak odkryliśmy, stanowi bardzo wygodną kryjówkę. - Mmmmm, tęskniłem za tobą.

- Nathanielu... - protestuję, ale jego uścisk jeszcze się zacieśnia. Po kilku minutach wreszcie udaje mi się wyswobodzić. - Nathanielu, muszę zrobić ciasto. I tak jestem spóźniona, a jeszcze podobno mam podawać drinki jakimś gościom...

- Poczekaj. - Przytrzymuje mnie na miejscu i spogląda na zegarek. - Jeszcze chwilę, a potem możemy iść.

Spoglądam na niego niepewnie, z lekkim niepokojem.

- O czym ty mówisz?

- Nadal udajesz, że o niczym nie wiesz - potrząsa głową rozbawiony. - Czy naprawdę wydawało ci się, że możesz nas przechytryć? Kochanie, nie jesteśmy głupi! Powiedziałem ci już, że wiemy.

Czuję narastające we mnie przerażenie. Oni wiedzą. Co wiedzą?

247

O czym się, do diabła, dowiedzieli?

Przełykam z trudem. Nagle czuję suchość w ustach.

- O czym konkretnie...

- Nie, nie, nie. - Kładzie palec na moich ustach. - Za późno. Teraz musisz poczekać na niespodziankę, czy ci się to podoba, czy nie.

- Niespodziankę? - mówię słabym głosem.

- No dobrze, możesz już wyjść. Czekają na ciebie. Zamknij oczy... - Obejmuje mnie w talii, a drugą dłonią zasłania mi oczy. - Tędy... poprowadzę cię...

Idę w ciemności, prowadzona przez niego, niemal chora ze strachu. Gorączkowo myślę, próbuję zrozumieć, co też takiego odbywało się za moimi plecami. Kto tam na mnie czeka?

Proszę, błagam, nie mówcie mi tylko, że spróbowali wyprostować moje życie. Nie mówcie mi, że zaaranżowali jakiś rodzaj „zjazdu rodzinnego”. Nagle wyobrażam sobie stojącego na trawniku Kettermana, z jego stalowymi oprawkami lśniącymi w słońcu. Albo Arnolda. Albo moją matkę.

- Przyprowadziłem ją! - Nathaniel wiedzie mnie do ogrodu. Nagle czuję na twarzy słońce, słyszę dziwne łopotanie i... muzykę? - A teraz otwórz oczy!

Nie mogę tego zrobić. Cokolwiek tu na mnie czeka, nie chcę wiedzieć.

- Wszystko w porządku! - śmieje się Nathaniel. - Nikt nie zamierza cię pożreć! Otwórz oczy! Śmiało!

Serce wali mi jak młotem. Otwieram oczy i mrugam parę razy, zastanawiając się, czy przypadkiem nie śnię. O co tu chodzi?

Pomiędzy dwoma drzewami widnieje wielki transparent, na którym napisano: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Samantha!”. To właśnie on wydawał ten łopoczący odgłos. Stolik ogrodowy okryty jest białym obrusem. Stoi na nim wazon z bukietem kwiatów i kilka butelek szampana. Do krzesła ktoś przywiązał pęk wypełnionych helem baloników, z wypisanym imieniem „Samantha”. Odtwarzacz płyt kompaktowych odgrywa jakąś jazzową muzykę. Na trawniku stoją

Trish, Eddie, Iris, Eamonn i Melissa. Wszyscy uśmiechają się do mnie, poza Melissą, która wydyma kapryśnie usta. Czuję się, jakbym znalazła się nagle w innej rzeczywistości.

- Niespodzianka! - krzyczą jednym głosem. - Wszystkiego najlepszego!

Otwieram usta, ale nie mogę powiedzieć ani słowa. Jestem zbyt oszołomiona. Dlaczego Geigerowie uznali, że dzisiaj są moje urodziny?

- Spójrzcie na nią - mówi Trish. - Jest absolutnie zaskoczona! Nieprawdaż, Samantho?

- .. .tak - jąkam się.

- Nie miała o niczym pojęcia. - Nathaniel jest wyraźnie zadowolony z siebie.

- Wszystkiego najlepszego, słoneczko - mówi Iris, podchodząc bliżej, przytulając mnie i całując siarczyście.

- Eddie, otwórz szampana! - rzuca niecierpliwie Trish za moimi plecami. - No, dalej!

Jestem kompletnie oszołomiona. Co ja mam teraz zrobić? Co powiedzieć? Jak mam wyjaśnić ludziom, którzy zorganizowali dla mnie urodzinowe przyjęcie-niespodziankę, że tak właściwie to... to nie mam urodzin?

Skąd w ogóle wzięli ten pomysł? Czy podałam im jakąś zmyśloną datę urodzin podczas rozmowy wstępnej? Nie przypominam sobie...

- Szampan dla naszej jubilatki! - Eddie otwiera butelkę i nalewa spieniony płyn do kieliszka.

- Sto lat! - Eamonn podchodzi do mnie z promiennym uśmiechem. - Powinnaś widzieć swoją minę!

- Niepowtarzalne! - zgadza się z nim Trish. - A teraz toast!

Nie mogę pozwolić, żeby to się dalej ciągnęło.

- Pani Geiger... Panie Geiger... drodzy goście... to wszystko jest naprawdę wzruszające i cudowne. - Przełykam głośno i zmuszam się do dokończenia zdania: - Ale... ale to nie są moje urodziny.

Ku mojemu zaskoczeniu wszyscy wybuchają śmiechem.

- Mówiłam wam, że tak będzie! - wykrzykuje rozradowana Trish. Ona powiedziała, że będziesz się wypierać.
- To, że jesteś o rok starsza nie jest takie złe - mówi Nathaniel, uśmiechając się łobuzersko. - Trudno i darmo. Wiemy o twoich urodzinach, więc napij się szampana i korzystaj z chwili.
- Kto powiedział, że będę się wypierać? - jestem kompletnie skołowana.
- Lady Edgerly, oczywiście! - rozjaśnia się Trish. - To ona zdradziła nam twój sekret.

Freya?

Freya stoi za tym wszystkim?

- Co... co dokładnie powiedziała? - pytam na pozór swobodnym tonem. - Lady Edgerly - dodaje.
- Że niedługo będziesz obchodziła urodziny - odpowiada Trish, niezmiernie zadowolona z siebie. - Ostrzegła mnie też, że będziesz próbowała to utrzymać w tajemnicy. Niegrzeczna dziewczynka!

Nie mogę w to uwierzyć. Co ta Freya wymyśliła!

- Powiedziała mi także - Trish zniża głos współczująco - że twoje ostatnie przyjęcie urodzinowe było raczej nieudane i że musimy ci to jakoś wynagrodzić. W zasadzie to ona zasugerowała tę niespodziankę! - Trish unosi kieliszek. -

Wypijmy za Samanthę! Wszystkiego najlepszego!

- Sto lat! - wykrzykują inni, wznosząc toast.

Nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać. A może jedno i drugie. Spoglądam na transparent i srebrzyste balony podrygujące na wietrze, na butelki szampana i uśmiechnięte twarze obecnych. Nie wiem, co powiedzieć. Muszę się poddać chwili.

- Ja... bardzo dziękuję. Naprawdę to doceniam.

- Przepraszam, że dziś po południu byłam w stosunku do ciebie taka obcesowa - rzuca radośnie Trish, pociągając spory łyk szampana. - Zmagaliśmy się właśnie z balonami. Wcześniej straciliśmy już kilkanaście - rzuca złe spojrzenie Eddiemu.

- Próbowałaś kiedyś zapakować balony z helem do ba-

250

gaźnika? - broni się Eddie. - Chciałbym zobaczyć, jak to robisz! Nie mam dwóch par rąk.

W mojej głowie pojawia się obraz Eddiego zmagającego się z naręczem srebrnych balonów, usiłującego wepchnąć je do bagażnika porsche. Przygryzam wargę, żeby się nie roześmiać.

- Nie umieściliśmy na balonach twojego wieku, Saman-tho - dodaje Trish z przydechem. - Między nami kobietami, myślę, że docenisz ten gest. - Znowu unosi kieliszek i mruga do mnie ledwo dostrzegalnie.

Przenoszę wzrok z jej pokrytej przejaskrawionym makijażem twarzy na zaczerwienione policzki Eddiego i nagle czuję się tak wzruszona, że nie wiem co powiedzieć. Planowali to przez cały czas. Zrobili dla mnie transparent i zamówili balony.

- Pani Geiger... panie Geiger... jestem zachwycona...

- To jeszcze nie koniec! - mówi Trish, kiwając głową na coś za moimi plecami.

- Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam - dochodzi mnie z tyłu śpiew. Inni dołączają się do piosenki. Odwracam się zaskoczona i widzę, że przez trawnik zbliża się w moim kierunku Iris z ogromnym dwupiętrowym tortem, przybranym blad różowym lukrem, cukrowymi różami i malinami. Na środku stoi jedna elegancka biała świeczka, a dookoła niej widnieje srebrny napis: Wszystkiego najlepszego, Samantha. To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Spoglądam na nią ze ściśniętym ze wzruszenia gardłem. Nie mogę wykrztusić ani słowa. Nikt nigdy nie zrobił dla mnie tortu.

- Zdmuchnij świeczkę! - woła Eamonn, kiedy *Sto lat* dobiega końca.

Jakimś cudem udaje mi się zdmuchnąć świeczkę. Wszyscy biją brawo.

- Podoba ci się? - uśmiecha się Iris.

- Jest piękny - zachłystuję się. - Nigdy nie widziałam czegoś takiego.

- Wszystkiego dobrego, kurczaczku. - Klepie mnie po rękę. - Zasługujesz na to.
Stawia tort na stole i zaczyna go kroić. Eddie tymczasem stuka w kieliszek długopisem.
- Proszę o uwagę... - Wchodzi na taras i chrząka. - Samantha, jesteśmy wszyscy bardzo szczęśliwi, że stałaś się częścią naszej rodziny. Sprawiasz się znakomicie i wszyscy tutaj bardzo to doceniamy. - Unosi kieliszek w moim kierunku. - Generalnie... dobra robota, gratuluje!
- Dziękuję, panie Geiger - jąkam się. Rozglądam się po przyjaznych twarzach zgromadzonych pod błękitnym niebem i sklepieniem z kwiatów wiśni. - Ja... jestem szczęśliwa, że tu się znalazłam. Byliście dla mnie bardzo dobrzy i wspaniali. - O Boże, zaczyna mi się zbierać na płacz. - Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszych pracodawców...
- Och, przestań! - Trish macha ręką i ociera oczy serwetką.
- Niech jej gwiazdka pomyślności... - zaczyna Eddie schrypniętym głosem - ...nigdy nie zgaśnie...
- Eddie! Samantha nie życzy sobie wysłuchiwać twoich głupich przyśpiewek! - przerywa mu Trish piskliwie, nadal ocierając oczy. - Otwórz więcej szampana, na litość boską!
To jeden z najcieplejszych wieczorów tego roku. Słońce powoli zapada za horyzont, a my wylegujemy się na trawie, pijemy szampana i rozmawiamy. Eamonn opowiada mi o swojej dziewczynie, Annie, która pracuje w hotelu w Gloucester. Iris przynosi nam małe tartinki z pastą z kurczaka
1 ziół. Nathaniel rozwiesza na drzewie kilka latarenek. Melissa kilkakrotnie oznajmia głośno, że nie może tu przesiadywać i powinna wrócić do pracy, a potem pochłania kolejną do-lewkę szampana.
Niebo jest bezkresnym błękitem, a w powietrzu unosi się zapach kapryfolium. Przygrywa nam dyskretnie muzyka, a dłoń Nathaniela spoczywa jakby nigdy nic na moim udzie. Nigdy w życiu nie czułam się tak szczęśliwa.

- Prezenty! - mówi nagle Trish. - Nie było jeszcze prezentów!

Jestem pewna, że wypła więcej szampana, niż ktokolwiek inny. Schyla się chwiejnie pod stół, szukając czegoś w torbie, aż wreszcie wyciąga kopertę.

- To taka mała premia, Samantho - mówi, wręczając mi. - Kup sobie za to coś ładnego.

- Dziękuję! - odpowiadam zaskoczona. - To bardzo miłe z pani strony.

- Oczywiście nie myśl, że to podwyżka - dodaje zaraz, spoglądając na mnie z lekką nieufnością- Rozumiesz, prawda? Wszystko zostaje po staremu. To jednorazowa wypłata.

- Oczywiście, pani Geiger. - Staram się zachować powagę. - To bardzo hojny gest.

- Ja też coś mam. - Iris sięga do koszyka i wyciąga stamtąd paczkę owiniętą w brązowy papier. Wewnątrz znajdują cztery nowiusieńkie formy do chleba i pikowany fartuszek w pączki róż. Spoglądam na Iris i wybucham śmiechem.

- Dziękuję - mówię. - Zrobię z tego dobry użytek.

Trish przygląda się mojemu prezentowi z wyraźnym niezadowoleniem.

- Ale przecież... jestem pewna, że Samantha ma mnóstwo form do pieczenia chleba - mówi, biorąc jedną z nich w swoją wypielegnowaną dłoń. - A fartuszki?

- Zaryzykowałam - odpowiada Iris, spoglądając na mnie błyszczącymi oczami.

- Proszę, Samantho. - Melissa wręcza mi zestaw kosmetyków z Body Shopu, który, wiem o tym dobrze, zalegał na półce w łazience Trish, od kiedy tu przybyłam.

- Dziękuję - odpowiadam uprzejmie. - To zbytek łaski.

- A tak przy okazji, Melisso - rzuca Trish, tracąc nagle zainteresowanie foremką. - Przestań przysparzać Samancie pracy! Nie może przez cały dzień biegać dookoła ciebie. Nie zamierzamy narażać się na utratę jej usług.

Widzę twarz Melissy. Wygląda, jakby Trish właśnie ją spoliczkowała.

- A to jest ode mnie - wtrąca szybko Nathaniel. Wręcza mi malutki pakunek owinięty w biały papier. Wszyscy czekają z zaciekawieniem, kiedy odwinę paczuszkę. W środku znajduję śliczną srebrną bransoletkę z breloczkiem - malusieńką drewnianą łyżką do gotowania. Znowu zaczynam chichotać. Falbaniasty fartuszek, a teraz drewniana łyżeczka.

- Przypomina mi to nasze pierwsze spotkanie - mówi Nathaniel, wykrzywiając usta w uśmiechu.

- Jest... cudowny. - Obejmuję go i całuję. - Bardzo dziękuję - mrużę mu do ucha.

Trish przygląda się nam pałającym wzrokiem. Odsuwamy się od siebie.

- To oczywiste, co przyciągnęło cię do Samantha - rzuca do Nathaniela. - Jej gotowanie, nieprawdaż?

- Ciecierzycyca - przytakuje poważnie Nathaniel. Eamonn, który do tej pory stał na tarasie, teraz schodzi na dół i wręcza mi butelkę wina.

- A to ode mnie. Niezbyt wiele, ale...

- Och, nie, bardzo dziękuję, Eamonn - odpowiadam wzruszona.

- Chciałem zapytać, czy kiedykolwiek byłabyś zainteresowana posadą kelnerki?

- W pubie? - jestem zaskoczona, ale Eamonn potrząsa przecząco głową.

- W sektorze prywatnym. Mamy tu w wiosce taki mały interes. Nie jest to prawdziwa firma, raczej wynajdywanie pracy dla przyjaciół, żeby zarobić dodatkową kasę i tym podobne.

Wynajdywanie pracy dla przyjaciół. Nagle czuję przyjemne ciepło rozlewające się w środku.

- Jasne, że jestem zainteresowana - uśmiecham się do niego. - Dziękuję, że o mnie pomyślałeś.

Eamonn się rozpromienia.

- Poza tym, jeżeli zechcesz z nami pójść, w pubie czeka na ciebie kilka drinków do podania.

- Ja... - spoglądam na Trish. - Może później...

- Idź! - Trish macha ręką. - Baw się dobrze i nawet nie myśl o pracy! Postawimy brudne kieliszki w kuchni. Zajmiesz się nimi jutro - dodaje.

- Dziękuję, pani Geiger. - Z trudem zachowuję powagę. - To bardzo miło z pani strony.

- Ja też już pójdę - Iris podnosi się z trawy. - Dobranoc i dziękuję.

- Dasz się skusić na wizytę w pubie, Iris? - pyta Eamonn.

- Nie dzisiaj - uśmiecha się Iris. Jej twarz rozświecila poblask latarenek. - Dobranoc, Samantho. Dobranoc, Nathanielu.

- Dobranoc, mamó.

- Dobranoc, Eamonn.

- Dobranoc, Iris.

- Dobranoc, dziadku - rzucam bez zastanowienia. Natychmiast ogarnia mnie wstyd. Stoję sztywno, jakbym kij połknęła, z czerwonymi policzkami, modląc się, żeby nikt nie zauważył, ale Nathaniel już odwraca się ku mnie. Na jego twarzy widzę rozbawienie. Na pewno usłyszał.

- Dobranoc, Mary Ellen - unosi brwi.

- Dobranoc, Jim Bob - odpowiadam nonszalancko.

- Widzę siebie bardziej jako Johna Boya.

- Hmm. - Mierzę go wzrokiem od stóp do głów. - No dobrze, może być John Boy.

Kiedy byłam dzieckiem, straszliwie się kochałam w Johnie Boyu, ale nie będę Nathanielowi wspominać o tym drobnym szczególe.

- Dobra. - Wyciąga do mnie rękę. - Idziemy do Tawerny Ike'a.

- Ike miał sklep - wywracam oczami. - Nie masz o niczym pojęcia.

Wracając do domu, mijamy Melissę i Eddiego, siedzących na tarasie przy stole pokrytym papierami i broszurami.

- To takie trudne - mówi Melissa. - W końcu to decyzja, która wpłynie na całe moje życie, a przecież skąd niby mam wiedzieć, co robić?

- Panie Geiger? - przerywam nieśmiało. - Chciałam tylko

podziękować za wspaniały wieczór. Byliście państwo niesamowici.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiada Eddie.

- Baw się dobrze - wzdycha głośno Melissa. - Ja mam jeszcze kupę roboty.

- Warto się pomęczyć. - Eddie klepie ją lekko po dłoni. -Dla swojej przyszłości w... - podnosi ze stołu jedną z broszurek i wkładając okulary, odczytuje: - Carter Spink.

Przez kilka minut nie mogę się ruszyć. Melissa zamierza podjąć pracę w Carter Spink?

- Czy to... - usiłuję nadać mojemu głosowi naturalne brzmienie - ...czy to nazwa firmy, w której chcesz pracować?

- Och, nie wiem jeszcze - odpowiada Melissa ponuro. -Jest najlepsza, ale niesamowicie trudno się tam dostać.

- Wygląda mi na bardzo elegancką! - rzuca Eddie, przeglądając lśniąca stronicę, każdą opatrzoną zdjęciem. - Popatrz na te biura!

Przegląda dalej, a ja stoję, jak porażona. Widzę zdjęcie foyer i piętra, na którym pracowałam. Nie mogę oderwać od nich wzroku, ale jednocześnie nie chcę patrzeć. To moje dawne życie. Nie należy do tego miejsca. Nagle Eddie przewraca kolejną kartkę i czuję, że brak mi tchu.

Widzę siebie.

Swoje zdjęcie w czarnej garsonce, z włosami spiętymi w kok. Siedzę przy stole konferencyjnym z Kettermanem, Davidem Elldridge'em i człowiekiem, który przyleciał do nas ze Stanów. Pamiętam, kiedy zrobiono tę fotografię. Ketterman był potwornie wkurzony, że ktoś śmiał zakłócić jego spokój.

Wyglądam tak blado, tak poważnie.

- Poza tym... nie chcę rezygnować z całego wolnego czasu. - Melissa stuka palcem w fotografię. - Ci ludzie pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę. A co z życiem towarzyskim?

Moja twarz jest tuż przed ich oczami. Czekam tylko, aż ktoś zmarszczy się z niedowierzaniem, rozpoznając mnie na zdjęciu i powie:

- Zaraz, chwileczkę...

Ale tak się nie dzieje. Melissa nadal papła, stukając palcem w broszurę, Eddie potakuje, Nathaniel zaś wpatruje się przed siebie wyraźnie znudzony.

- Chociaż z drugiej strony zarabia się tam nieźle... - Melissa wzdycha i przewraca kolejną stronę.

Moje zdjęcie znikło. Ja zniknęłam.

- Idziemy?

Ciepła dłoń Nathaniela obejmuje moją. Odwzajemniam uścisk.

- Tak - uśmiecham się do niego. - Idziemy.

19

Nie widzę broszury reklamowej Carter Spink przez kolejne dwa tygodnie, aż do chwili, gdy pewnego dnia pojawia się w kuchni, żeby przyszykować lunch.

Nie wiem, co się stało z czasem. Zupełnie straciłam nad nim kontrolę. Minuty i godziny nie upływają już w ściśle kontrolowanych odcinkach czasowych, tylko płyną, wirują, unoszą się wokół mnie. Przestałam nawet nosić zegarek. Wczoraj leżeliśmy z Nathanielem na skoszonej łące przez całe popołudnie, obserwując unoszone z wiatrem nasiona dmuchawca. Jedyne tykanie, jakie słyszeliśmy, zafundowały nam świerszcze.

Siebie również przestałam poznawać. Opaliłam się od wylegiwania się na słońcu podczas przerwy na lunch, mam złote pasemka we włosach, pełne, zaróżowione policzki. Moje ramiona stają się coraz bardziej muskularne od polerowania, wyrabiania ciasta i ciągłego przestawiania ciężkich garnków.

Lato rozwinęło się w pełni. Każdy kolejny dzień jest gorętszy od poprzedniego. Co rano przed śniadaniem Nathaniel odprowadza mnie przez wioskę do domu Geigerów - i nawet wtedy powietrze zaczyna się już rozgrzewać. Wszystko wyda-

257

je się powolne i rozleniwione. Nic nie jest ważne. Wszyscy są w wakacyjnych nastrojach - z wyjątkiem Trish, która szaleje. Na przyszły tydzień zaplanowała wielki lunch charytatywny, ponieważ w jednym z magazynów przeczytała, że to właśnie jest coś, czym zajmują się damy z wyższych sfer. Po zamieszeniu, jakie robi wokół organizacji tego przyjęcia, można by przypuszczać, że szykuje się co najmniej królewski ślub.

Zgarniam właśnie papiery, które Melissa zostawiła w beładnej kupce na stole, kiedy wpada mi w oko broszura Carter Spink, schowana pod jednym z folderów. Nie mogę się oprzeć pokusie i zaczynam przeglądać znane mi dobrze fotografie. Oto schody, po których wspinałam się każdego dnia przez siedem lat mojego życia. Jak zwykle przystojny Guy, Sara z działu sądownictwa, która też startowała na pozycję wspólnika. Nie wiem do tej pory, czy dostała awans.

- Co ty robisz? - pyta Melissa, która weszła niepostrzeżenie do kuchni. Przygląda mi się podejrzliwie. - To moje. Zupełnie jakbym chciała jej ukraść tę broszurę.

- Sprzątam twoje rzeczy - odpowiadam dobitnie, odkładając reklamówkę. - Muszę mieć wolny stół.

- Och. Dzięki. - Pociera twarz. Ostatnio wygląda dość mizernie. Pod oczami ma cienie, a włosy straciły dawny blask.

- Ciężko pracujesz - rzucam cieplejszym tonem.

- No cóż. - Unosi brodę. - Opłaci się na koniec. Na początku trzeba ciężko pracować, ale kiedy człowiek zdobędzie kwalifikacje, wszystko się uspokaja.

Spoglądam na jej zmęczoną, ściągniętą stresem, arogancką twarzyczkę. Nawet gdybym powiedziała jej wszystko, co wiem na ten temat, nie uwierzyłaby mi.

- Tak - odpowiadam po krótkim milczeniu. - Jestem przekonana, że masz rację. - Spoglądam znowu na informator Carter Spink, otwarty na zdjęciu Arnolda w jasnoniebieskim kropkowanym krawacie, z odpowiednią chusteczką w górnej kieszeni, uśmiechającego się promiennie do całego świata. Już sam jego widok wywołuje we mnie przyjemne wspomnienia.

- Zamierzasz zatrudnić się w tej firmie? - pytam niezobowiązującym tonem.
- No. Jest najlepsza. - Melissa wyciąga dietetyczną colę z lodówki. - To jest facet, który miał przeprowadzać ze mną rozmowę kwalifikacyjną. - Kiwa głową w kierunku zdjęcia Arnolda. - Ale teraz odchodzi.
Jestem zaskoczona. Arnold odchodzi z Carter Spink?
- Jesteś pewna? - pytam, zanim zdążę się zastanowić.
- Tak. - Spogląda na mnie podejrzliwie. - A co ciebie to obchodzi?
- Och, nic. - Pospiesznie rzucam na stół reklamówkę. -Po prostu... wydaje mi się, że jest jeszcze za młody na emeryturę.
- W każdym razie zrezygnował z pracy. - Melissa wzrusza ramionami i wychodzi z kuchni, pozostawiając mnie kompletnie zaskoczoną.

Arnold odchodzi z Carter Spink? Przecież rozpowiadał wszem i wobec, że nie zamierza przechodzić na emeryturę przez następne dwadzieścia lat. Dlaczego miałyby nagle zmienić zdanie?

Kompletnie straciłam wyczucie. Przez kilka ostatnich tygodni żyłam otoczona pęczerykiem spokoju. Ani razu nie zajrzałam do „Prawnika”, niemal nie czytałam zwykłych gazet. Nie dochodziły mnie żadne plotki i wcale mnie to nie martwiło. Teraz jednak na widok znajomej twarzy Arnolda czuję ukłucie ciekawości. Wiem, że tamten świat już dla mnie nie istnieje, ale mimo to chciałabym wiedzieć, dlaczego, na Boga, Arnold odchodzi z firmy. O czym jeszcze nie wiem?

Tego popołudnia sprzątam po lunchu, a potem wślizguję się do gabinetu Eddiego, włączam komputer i wchodzę na stronę Googli. Wyszukuję „Arnold Saville” i ułamek sekundy później trafiam na małą wzmiankę o jego przejściu na wcześniejszą emeryturę. Czytam wiadomość kilka razy, usiłując znaleźć jakieś wskazówki. Dlaczego Arnold zdecydował się na wcześniejszy odpoczynek? Może jest chory?

Przeszukuję kolejne linki, ale nigdzie więcej nie napotykam komentarza o tej sprawie. Po chwili wahania otwieram drugie okno i w wyszukiwarce wpisuję „Samantha Sweeting”, cały czas powtarzając sobie, że nie powinnam tego robić. Natychmiast pojawia się na ekranie miliard historyjek o mnie. Nigdy w życiu nie czułam się tak dziwnie. Zupełnie, jakbym nie była sobą.

Przeładam link za linkiem, odczytując wciąż te same szczegóły. Po pięciu stronach dodaję w wyszukiwarce „Third Union Bank, BLLC Holdings”, a potem „Third Union Bank, Glazerbrooks”. Potem z dziwnym dreszczykiem emocji wpisuję: „Samantha Sweeting, 50 milionów funtów, koniec kariery”, i czekam na pojawienie się wszystkich tych okropnych komentarzy. Zupełnie jakbym przyglądała się po raz kolejny własnej katastrofie samochodowej.

Google są niewątpliwie uzależniające. Siedzę tu, kompletnie pochłonięta klikaniem, wpisywaniem haseł, przeglądaniem nieskończonych witryn internetowych. Automatycznie wpisuję stare hasło z Carter Spink wszędzie tam, gdzie jest wymagane. Po godzinie opadam głębiej na fotel Eddiego. Czuję się jak zombi. Plecy bolą mnie od garbienia się, mam zeszywniałą szyję, a przed moimi oczyma wirują setki słów. Zapomniałam już, jak to jest siedzieć przed komputerem. Czy naprawdę robiłam to kiedyś całymi dniami?

Przecieram zmęczone oczy i spoglądam na aktywne okno z jakąś witryną. Zastanawiam się, jakim cudem tu dotarłam. Mam przed oczami listę gości, którzy uczestniczyli w tegorocznym lunchu w Painters' Hall. Gdzieś w połowie natykam się na nazwę BLLC Holdings. Pewnie stąd ten link. Automatycznie przesuвам kursor wzdłuż strony i nagle odczytuję nazwisko: „Nicholas Hanford Jones, dyrektor naczelny”.

Coś mi to przypomina. Nicholas Hanford Jones. Skąd ja znam to nazwisko? Dlaczego w jakiś sposób kojarzę je z Ket-termanem?

Czy BLLC Holdings jest klientem Kettermana? Nie. To niemożliwe. Na pewno usłyszałabym o tym wcześniej.

Zaciskam mocno powieki i próbuję się skoncentrować najlepiej, jak potrafię. Nicholas Hanford Jones. Niemal widzę to oczyma duszy... w związku z... obraz... dalej, myśl...

Na tym polega problem z fotograficzną pamięcią. Ludzie uważają, że to bardzo użyteczna cecha, podczas gdy w rzeczywistości doprowadza do szału.

Nagle wraca wspomnienie. Wypisana ozdobnym pismem wiadomość na zaproszeniu ślubnym, przypiętym trzy lata temu na tablicy w biurze Kettermana. Wisiało tam całymi tygodniami. Widziałam je przy każdej mojej tam wizycie.

Panstwo Saville

Maja zaszczyt zaprosic Pana

Na uroczystosc zaslubin

Ich corki Fiony

Z panem Nicholasem Hanfordem Jonesem.

Nicholas Hanford Jones jest zięciem Arnolda Saville'a? Arnold ma koneksje rodzinne w BLLC Holdings?

Opadam na fotel, nagle poważnie zaniepokojona. Jak to się stało, że nigdy o tym nie wspomniał? A potem uderza mnie kolejna myśl. Przed chwilą zaglądałam na oficjalną witrynę BLLC Holdings. Dlaczego Nicholas Hanford Jones nie figurował na niej jako dyrektor? Przede wszystkim, to nielegalne. Pocieram czoło, a potem z ciekawości wpisuję w wyszukiwarce „Nicholas Hanford Jones”. W chwilę później na ekranie wyskakuje całe multum linków. Pochyliłam się ku nim z nadzieją.

Och, do diabła, internet jest beznadziejny. Znalazłam tysiące Nicholasów, Hanfordów i Jonesów, zupełnie nie tych, wspomnianych z zupełnie innych okazji i w innym kontekście. Wpatruję się w ekran ze złością. Czy Google nie zdają sobie sprawy, że nie jestem zainteresowana tego typu informacją? Po co mi informacja o jakiejś kanadyjskiej drużynie kajakarzy, w której składzie znalazł się jakiś Greg Hanford, Dave Jones i Chip Nicholas?

Nigdy niczego tutaj nie znajdę.

Mimo to zaczynam przeglądać kolejne linki, przelatując wzrokiem po tekstach, przechodząc od jednej strony do drugiej. A potem, kiedy już zamierzam się poddać, mój wzrok pada na link na samym dole ekranu. *Dyrektor finansowy firmy Glazerbrooks William Hanford Jones podziękował Nicholasowi Jenkinsowi za przemówienie...*

Wpatruję się w tekst z niedowierzaniem. Dyrektor finansowy Glazerbrooks także nazywa się Hanford Jones?

Czyżby byli krewnymi? Czuję się jak prywatny detektyw. Loguję się na stronie Friends Reunited i dwie minuty później uzyskuję odpowiedź na swoje pytanie. Są braćmi.

Czuję się oszołomiona. To dość bliskie powiązanie. Dyrektor finansowy firmy Glazerbrooks, która splajtowała, zadłużając się w Third Union Bank na pięćdziesiąt milionów funtów, dyrektor BLLC Holdings, który trzy dni wcześniej udzielił podobnej pożyczki i Arnold, reprezentujący Third Union Bank. Wszyscy spokrewnieni, wszyscy należący do rodziny. Co dziwniejsze, jestem przekonana, że nikt o tym nie wie. Ani Arnold, ani inni w Carter Spink nigdy o tym nie wspominali. Nie widziałam też, żeby kiedykolwiek pojawiło się to w raportach dotyczących owej afery. Arnold utrzymywał wszystko w tajemnicy.

Pocieram oczy, usiłując zebrać myśli. Czy to nie stanowi przypadkiem potencjalnego konfliktu interesów? Czy nie powinien wyjawić owej informacji na samym początku? Dlaczego, na Boga, postanowił utrzymać tak ważną rzecz w tajemnicy? Chyba że...

Nie.

Nie. Nie mógłby...

Otwieram oczy, czując zawroty głowy, jakbym nagle wypłynęła poza granicę bezpiecznej laguny na głęboką wodę. Mój umysł pracuje gorączkowo, przeskakując od jednej możliwości do drugiej. Za każdym razem potrząsam głową z niedowierzaniem.

Czyżby Arnold coś odkrył albo coś ukrywał?

262

Czy właśnie dlatego odchodzi?

Wstaję i przyglądam włosy. No dobrze, po prostu... przestań, natychmiast. Mówimy w końcu o Arnoldzie. Arnoldzie. Zaczynam tworzyć jakieś idiotyczne teorie spiskowe. Za chwilę zacznę wpisywać w wyszukiwarce: „Przybysze z kosmosu są wśród nas”.

Z nagłym postanowieniem sięgam po telefon. Zadzwonię do Arnolda, złożę mu życzenia z okazji przejścia na wcześniejszą emeryturę. Może w ten sposób pozbędę się tych wszystkich idiotycznych pomysłów, krążących w mojej głowie.

Dopiero za szóstym podejściem udaje mi się zebrać na tyle odwagi, żeby wykrecić cały numer i zaczekać na odebranie połączenia. Idea rozmowy z kimkolwiek z Carter Spink, szczególnie z Arnoldem, napawa mnie przerażeniem. Za każdym razem tracę odwagę i ciskam słuchawkę na widełki, zanim ktokolwiek zdoła odebrać. W końcu jednak uspokajam się nieco. Nigdy się nie dowiem tego, czego chcę, jeśli nie zadzwonię. Potrafię przecież porozmawiać z Arnoldem. Potrafię się na to zdobyć.

Po trzech dzwonekach telefon odbiera Lara.

- Biuro Arnolda Saville'a.

Przed oczami staje mi nagle jej obraz, siedzącej przy biurku z jasnego drewna, w burgundowym żakiecie, który zawsze ma na sobie, stukającej zapamiętale w klawiaturę. Wydaje mi się, że dzieli nas miliony kilometrów.

- Hej, Lara. Mówi... Samantha. Samantha Sweeting.

- Samantha?! - Lara jest wyraźnie oszołomiona. - Niech to diabli! Jak się miewasz? Co porabiasz?

- Wszystko w porządku, dziękuję. Czuję się naprawdę dobrze. - Usiłuję zachować spokój. - Zadzwoiłam, ponieważ dowiedziałam się o wcześniejszej emeryturze Arnolda. Czy to prawda?

- Tak! - odpowiada Lara z wyraźnym zadowoleniem. - Kompletnie mnie zatkało. Podobno Ketterman zabrał go gdzieś na lunch i usiłował przekonać do pozostania w firmie, ale nic

270

nie wskórał. Arnold podjął decyzję. Wyobraź sobie, przeprowadza się na Bahamy.

- Bahamy? - powtarzam osłupiała.

- Kupił tam sobie dom, wygląda przepięknie. Przyjęcie pożegnalne na cześć Arnolda odbędzie się w przyszłym tygodniu. Przenoszę się do biura Dereka Greena. Pamiętasz go? Wspólnik, specjalista od podatków? Bardzo miły gość, chociaż podobno potrafi się wściekać...

- To świetnie! - przerywam jej, nagle przypomniawszy sobie, że Lara potrafi plotkować całymi godzinami, bez przerwy na oddech. - Słuchaj, chciałam tylko złożyć Arnoldowi moje najlepsze życzenia. Czy mogłabyś mnie z nim połączyć?

- Naprawdę? - Lara wydaje się zaskoczona. - To bardzo miłe z twojej strony, po tym wszystkim, co się zdarzyło.

- No wiesz, w końcu to nie była wina Arnolda, prawda? - odpowiadam niepewnie. - Zrobił, co mógł.

Zapada dziwna cisza.

- Tak - mówi wreszcie Lara. - Dobrze, w takim razie cię przełączę do niego.

Po kilku chwilach słyszę znajomy głos Arnolda.

- Samantho, moje drogie dziecko! Czy to naprawdę ty?

- Tak, to naprawdę ja. - Udaje mi się uśmiechnąć. - Nie zniknęłam z powierzchni ziemi.

- Liczyłem, że tak się nie stało! Wszystko z tobą w porządku?

- Tak... w porządku. Dzięki. Byłam zaskoczona na wieść o twojej wcześniejszej emeryturze.

- Nigdy nie byłem pryncypałem! - śmieje się Arnold. - Trzydzieści trzy lata babrałem się w prawie, to naprawdę aż nadto dla istoty ludzkiej, nie mówiąc o pryncypałach!

Jego jowialny głos sprawia, że czuję się pewniejsza. Musiałam zwariować. Arnold nie mógł się zaangażować w nic nielegalnego. Nie mógł niczego ukryć. To przecież Arnold.

Wspomnę o tej sprawie tylko po to, żeby udowodnić sobie samej, iż nie miałam racji.

- Mam nadzieję, że wszystko układa się dobrze - mówię.

wię. - I... pewnie teraz będziesz mógł częściej widywać się z rodziną, prawda?

- Ano, niestety! - znów wybucha gromkim śmiechem.

- Nie wiedziałam, że twój zięć był dyrektorem BLLC Holdings! - rzucam tonem swobodnej konwersacji. - Co za zbieg okoliczności.

Zapada cisza.

- Słucham? - odzywa się wreszcie Arnold, nadal czarującym głosem, z którego zniknęła jednak cała serdeczność.

- BLLC Holdings. - Przełykam głośno ślinę. - No wiesz, ta druga firma wmieszana w sprawę pożyczki z Third Union Bank? Ta, która zarejestrowała pożyczkę? Właśnie zauważyłam...

- Samantho, muszę już kończyć! - przerywa mi gładko Arnold. - Miło było pogawędzić, ale w piątek wyjeżdżam z kraju i mam jeszcze dużo pracy. Jesteśmy strasznie zajęci. Na twoim miejscu już bym tutaj nie dzwonił.

Zanim cokolwiek mogę powiedzieć, połączenie zostaje przerwane. Powoli odkładam słuchawkę i bezmyślnie wpatruję się w motyla za oknem.

To nie było w porządku. Zachował się dość nienaturalnie. Pozbył się mnie, gdy tylko wspomniałam o jego zięciu.

Coś jest nie tak. Zdecydowanie nie tak.

O co w tym wszystkim chodzi? Porzucam prace domowe na resztę popołudnia i sadowię się na łóżku z notatnikiem i ołówkiem, próbując znaleźć wszystkie możliwe rozwiązania tej łamigłówki.

Kto zyskuje na całej tej sprawie? Przyglądam się wszystkim wypisanym faktom i powiązaniom. Dwaj bracia.

Miliony funtów przelewanych pomiędzy bankami i firmami. Myśl. Myśl...

Z cichym okrzykiem frustracji wydzieram kartkę i gniotę ją w kulkę. Zacznijmy od nowa. Ułożmy wszystko w logicznym ciągu. Firma Glazerbrooks poszła pod sekwestr sądowy,

Third Union Bank stracił pieniądze. BLLC Holdings przeskoczyła na początek kolejki wierzycieli...

Stukam niecierpliwie ołówkiem w papier. I co z tego? Przecież dostali jedynie zwrot tego, co pożyczycy, nic nie zyskali. To bez sensu.

Chyba że... a jeżeli fizycznie niczego nie wpłacili? Owa myśl uderza mnie niespodziewanie. Prostuję się na łóżku, nagle zapiera mi dech w piersiach. A jeśli to właśnie to? A jeśli to przekręt?

Zaczynam gorączkowo myśleć. Przypuśćmy, że dwóch braci wie, że Glazerbrooks jest w poważnych tarapatach finansowych. Wiedzą również, że bank właśnie pożyczył im pięćdziesiąt milionów funtów, ale transakcja nie została zarejestrowana. Oznacza to, że firma ma pięćdziesiąt niezabezpieczonych milionów do przechwycenia przez każdego, kto rejestruje swoją pożyczkę na taką samą sumę...

Nie mogę usiedzieć w miejscu. Przemierzam pokój zamaszystymi krokami, zaciekle obgryzając końcówkę ołówka. Obwody w moim mózgu iskrzą z przepracowania. Zgadza się. Wszystko się zgadza. To jedna wielka machloja. BLLC Holdings dostaje pieniądze, które wyszły z Third Union Bank, ubezpieczyciele Carter Spink poniosą koszty zwrotu...

Przerywam rozmyślenia. Nie. To nielogiczne. Jestem głupia. Ubezpieczyciele pokryli te pięćdziesiąt milionów tylko z powodu mojego zaniedbania. To zasadniczy punkt całej sprawy. Cały ich plan musiałby zależeć od tego, żebym ja, Sa-mantha Sweeting, popełniła tę szczególną pomyłkę. Jak niby mieli to zaplanować? To nie ma sensu. Zupełnie niemożliwe. Nie można zaplanować czyjegoś błędu. Nie można sprawić, żeby ktoś zapomniał coś zrobić i spieprzył...

Nagle przerywam. Czuję, jak mi skóra cierpnie. Notatka od Arnolda. Nie było jej na moim biurku aż do chwili, gdy zrobiło się już za późno na jakiegokolwiek działania. Wiem, że nie było.

Ajeżeli...?

266

O mój Boże!

Opadam na ławeczkę pod oknem. Nogi mam jak z waty. A jeżeli ktoś podrzucił mi tę notatkę, wsunął w plik papierów już po upływie terminu rejestracji?

Serce zaczyna mi walić jak młotem. Chwytam się zasłony, żeby nie spaść z ławki.

A jeśli nie popełniłam błędu?

Wszystko nagle rozpada się wokół mnie, zmienia kształt, zmienia rzeczywistość. Jeżeli Arnold specjalnie nie zarejestrował pożyczki? I ukartował wszystko tak, żeby obarczyć winą mnie?

Raz po raz odtwarzam swoją rozmowę z Arnoldem, tamtego dnia. Kiedy powiedziałam mu, że nie przypominam sobie, aby notka od niego leżała na moim biurku, natychmiast zmienił temat. Założyłam, że leżała u mnie przez cały ten czas, że to moje zaniedbanie, błąd. A jeżeli to nieprawda? Wszyscy w Carter Spink wiedzieli, że mam największy bałagan na biurku w całej firmie. Łatwo można było wsunąć tę notkę pomiędzy papiery leżące w bezładnej stercie, sprawić wrażenie, że była tam już od miesięcy.

Oddycham coraz szybciej. Zaraz zacznie mi się w głowie kręcić od nadmiaru tlenu. Od miesięcy żyłam w hańbie błędu. Pamiętałam o niej codziennie, budząc się i kładąc do łóżka. Była niczym chroniczny ból głowy, chór głosów rozbrzmiewający nieustannie w moich myślach: Samantha Sweeting zrujnowała swoje życie. Samantha Sweeting spieprzyła sprawę.

A jeśli... jeśli zostałam wykorzystana? Może to nie była wcale moja wina? Jeżeli tak naprawdę nie popełniłam żadnego błędu?

Muszę się dowiedzieć, muszę poznać prawdę. Natychmiast. Trzęsącą się ręką sięgam po komórkę i wystukuję numer.

- Laro, muszę znowu porozmawiać z Arnoldem - mówię szybko, gdy tylko odbiera.

- Samantho... - Wydaje się zakłopotana. - Przykro mi, ale Arnold nie będzie z tobą rozmawiać. Mam ci przekazać, żebyś nie prosiła go już więcej o przyjęcie cię do pracy.

274

Jestem wstrząśnięta. Co on o mnie naopowiadał?

- Laro, nie prosiłam go o żadną pracę - wysiłkiem utrzymuję spokój. - Muszę o nim porozmawiać o... pewnej sprawie. Jeżeli nie chce tego załatwić telefonicznie, przyjdę do biura. Czy możesz mi wyznaczyć godzinę spotkania?

- Samantho... - Lara jest jeszcze bardziej zakłopotana niż na początku rozmowy. - Arnold prosił, żebym cię poinformowała... jeżeli pojawisz się na terenie firmy, zostaniesz usunięta przez ochronę.

- Usunięta przez ochronę? - Wpatruję się w telefon z niedowierzaniem.

- Przykro mi, naprawdę. I wcale cię nie winię! - dodaje żarliwie. - Uważam, że postępowanie Arnolda wobec ciebie było naprawdę szokujące. Wielu z nas tak sądzi.

Czuję się skonfundowana. Co takiego zrobił Arnold? Czy Lara wie o jego nieszczęsnej notatce?

- Co... co masz na myśli? - jąkam.

- Sposób, w jaki doprowadził do twojego zwolnienia!

- Słucham? - Żelazna obręcz ściska moje żebra, brakuje mi powietrza. - O czym ty mówisz?

- Zastanawiałam się właśnie, czy wiesz. - Ścisza głos. - Arnold odchodzi, więc mogę ci wszystko opowiedzieć.

Czytałam sprawozdanie z posiedzenia, które zwołali po twojej ucieczce. Arnold przekonał wszystkich współników.

Powiedział, że jesteś kulą u nogi, że firma nie może ryzykować ponownego przyjęcia cię na pokład i tym podobne.

Wielu z nich chciało dać ci drugą szansę, wiesz? - cmoka Lara. - Byłam wzburzona. Oczywiście nie mogłam nic powiedzieć Arnoldowi, ale...

- Oczywiście - udaje mi się wykrztusić. - Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, Laro. Ja... nie miałam pojęcia.

Czuję zawroty głowy. Widzę wszystko w krzywym zwierciadle. Arnold nie próbował mnie bronić, zamiast tego doprowadził do mojego zwolnienia. Zupełnie nie znam tego człowieka. Cały jego życzliwy, łagodny urok to tylko gra. Cholerna gra.

Z bolesnym ściśnięciem żołądka przypominam sobie, jak następnego dnia po mojej ucieczce przekonywał mnie, żebym została tam, gdzie jestem, nie pojawiała się w firmie. Teraz już wiem dlaczego. Chciał mnie zablokować, pozbawić szansy obrony. Żeby mógł mnie zrobić. A ja mu ufałam, kompletnie, do bólu, jak jakaś głupia, naiwna idiotka.

Oddycham ciężko. Wszystkie moje wątpliwości zniknęły. Arnold wplątał się w jakąś nielegalną aferę i zrobił ze mnie kozła ofiarnego. Podrzucił mi tamtą notkę, wiedząc, że rujnuje mi karierę.

A za trzy dni odleci na Bahamy.

Czuję ukłucie paniki. Muszę coś zrobić i to natychmiast!

- Laro - mówię spokojnym tonem, chociaż wiele mnie to kosztuje. - Czy możesz przełączyć mnie do Guya Ashby'ego?

Wiem, że się pokłóciliśmy, ale to jedyna osoba, o której wiem, że mogłaby mi pomóc.

- Guy jest w Hongkongu - odpowiada zaskoczona Lara. - Nie wiedziałaś?

- Rozumiem - czuję odpływ energii. - Nie, nie wiedziałam.

- Zabrał ze sobą swój laptop - Lara stara się być pomocna. - Możesz mu wysłać mejla.

- Tak - nabieram powietrza w płuca. - Może tak właśnie zrobię.

20

Nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę. Nie ma mowy, żebym napisała do niego ten list i nie sprawiła wrażenia paranoiczki i wariatki. Spoglądam z rozpaczą na dziesiątą wersję mejla:

Drogi Guy,

potrzebuję twojej pomocy. Zdaję się, że zostałam wrobiona przez Arnolda. Chyba specjalnie podrzucił notatkę o rejestracji na moim biurku. Dzieje się coś niedobrego. Arnold ma powiązania ro-

269

dzinne z dyrektorami BLLC Holdings i Glazerbrooks. Wiedziałaś o tym?? Dlaczego Arnold nigdy nikomu o tym nie wspominał? A teraz zabronił mi wstępu do budynku firmy, co już samo w sobie jest podejrzane... Brzmi to jak paplanina wariata. Albo zgorzkniałej, pokręconej pracowniczki, która żywi urazę do swojego byłego mentora. Co oczywiście jest prawdą. Kiedy przeglądam list, przypomina mi się stara kobieta z oszalałym wzrokiem, która stała na rogu naszej ulicy i mruzczała do siebie: „Oni chcą mnie dopaść”. Teraz jej współczuję. Może rzeczywiście było tak, jak mówiła.

Guy po prostu mnie wyśmiewa. Już to widzę. Arnold Savil-le oszustem? To niedorzeczność. Może rzeczywiście zwariowałam? W końcu to tylko moja teoria. Nie mam żadnych dowodów, nic konkretnego. Pochyliłam się i bezradnie chowam twarz w dłoniach. Nikt mi nie uwierzy. Nie zechcą mnie nawet wysłuchać. Gdybym tylko miała jakiś dowód. Ale skąd, w jaki sposób go zdobędę?

Pikanie komórki sprawia, że podskakuję pod sufit. Spoglądam na wyświetlacz nieprzytomnym wzrokiem. Z tego wszystkiego niemal zapomniałam, gdzie jestem. Chwytam telefon. Dostałam nową wiadomość.

jestem na dole. mam dla ciebie niespodziankę, nat.

Ruszam na dół, nieobecna myślami. Ogarnia mnie coraz większy gniew, kiedy myślę o jowialnym uśmiechu Arnolda,

O tym, jak mnie zachęcał do pozostawiania bałaganu na biurku, jak obiecywał mi, że zrobi dla mnie wszystko, jak słuchał, kiedy winiłam się za niepopelniony błąd, przepraszałam

I płaszczyłam się przed nim...

Najgorsze jest to, że nie próbowałam się nawet bronić. Nigdy nie podałam w wątpliwość faktu, iż notatka od Arnolda była od dawna na moim biurku, a ja po prostu jej nie zauważyłam. Natychmiast założyłam, że zrobiłam coś niewybaczalnego, że to moja wina, ponieważ miałam taki bałagan w biurze. Arnold dobrze mnie zna. Może właśnie na to liczył.

Skurwiel. Cholerny skurwiel.

- Hej! - Nathaniel macha dłonią przed moimi oczami. - Ziemia do Samantha.

- Och... przepraszam. Hej! - Jakoś udaje mi się uśmiechnąć. - Co to za niespodzianka?

- Chodź ze mną. - Nathaniel się rozjaśnia i popycha mnie w kierunku swojego samochodu, wiekowego volkswagena garbusa. Jak zwykle, na tylnym siedzeniu stoi rząd doniczek z sadzonkami, a z boku wystaje drewniany uchwyt łopaty.

- Madame - otwiera przede mną drzwi.

- Co chcesz mi pokazać? - pytam, kiedy wsiadamy.

- To będzie tajemnicza wycieczka. - Uśmiecha się do mnie enigmatycznie i włącza silnik.

Wyjeżdżamy z Lower Ebury w bliżej nieznanym kierunku, mijając małą sąsiednią wioskę i pobliskie wzgórza. Nathaniel jest w szampańskim nastroju i opowiada mi różne historie o każdej mijanej farmie i pubie. Do mnie jednak mało co dociera. Mój umysł nadal wrze po niedawnym odkryciu. Nie mam pojęcia, co powinnam zrobić. Nie mogę nawet wejść do budynku firmy. Straciłam wiarygodność, jestem bezsilna, a w dodatku mam tylko trzy dni na działanie. Kiedy Arnold zniknie na Bahamach, będzie już za późno.

- Jesteśmy na miejscu! - Nathaniel skręca z szosy na żwirowaną dróżkę, parkuje samochód obok niskiego ceglanego muru i włącza silnik. - Co o tym sądzisz?

Z wysiłkiem wracam do rzeczywistości.

- Emm... - rozglądam się nieprzytomnie. - Tak. Ślicznie. Na co konkretnie mam patrzeć?

- Samantho, dobrze się czujesz? - Nathaniel przygląda mi się podejrzliwie. - Wyglądasz na zdenerwowaną.

- Wszystko w porządku. - Usiłuję się uśmiechnąć. - Po prostu jestem trochę zmęczona.

Otwieram drzwiczki samochodu i wysiadam, uciekając przed jego wzrokiem. Zatrząskuję je, odchodzę kilka kroków od samochodu i rozglądam się dookoła.

Znajdujemy się na czymś w rodzaju podwórka, rozgrzane-

go wieczornym słońcem. Po prawej stronie stoi rozklekotany dom z ogłoszeniem: NA SPRZEDAŻ. Przede mną ciągną się rzędy szklarni lśniących w popołudniowym słońcu. Widzę działki z grządkami warzyw i barak z napisem CENTRUM OGRODNICZE...

- Chcesz to kupić? - pytam, nagle zainteresowana.

- Rozważam taką możliwość. Chciałem, żebyś dowiedziała się pierwsza. - Wyciąga ramię. - To dosyć dobry interes. Wymaga nieco pracy, ale najważniejsze, że mamy grant. Możemy tu postawić tunele do sadzonek, rozbudować biura...

To za wiele. Od kiedy Nathaniel zrobił się taki przedsiębiorczy?

- A co z pubami? Dlaczego nagle...

- To dzięki tobie i temu, co powiedziałaś kiedyś w ogrodzie. - Przerywa. Wiatr rozwiewa mu włosy. - Masz rację, Samantho. Nie jestem biznesmenem, jestem ogrodnikiem. Będę szczęśliwszy, robiąc to, co naprawdę kocham. Dlatego przeprowadziłem długą rozmowę z mamą i zrozumiała mnie. Oboje uważamy, że Eamonn poradzi sobie z pubami. Oczywiście jeszcze mu o tym nie powiedziałem.

- O rany! - Przyglądam się stercie drewnianych skrzynek, spiętrzoną taczka z sadzonkami, obszarpanej reklamie choinek świątecznych. - Naprawdę chcesz to zrobić?

Wzrusza ramionami, ale w jego oczach widzę podniecenie.

- Taka szansa przytrafia się raz w życiu.

- To wspaniały pomysł - rozjaśniam się. - Naprawdę jestem zachwycona.

- Poza tym jest tu także dom - Nathaniel wskazuje w jego kierunku głową. - A przynajmniej będzie. Na razie jest nieco zniszczony.

- No tak. - Przyglądam się zrujnowanemu budynkowi z uśmiechem. - Rzeczywiście nie wygląda najlepiej.

- Chciałem, żebyś zobaczyła to pierwsza. Zależy mi na twojej akceptacji. W końcu kiedyś może... - przerywa Nathaniel.

Na podwórku panuje cisza. Nagle wszystkie moje czujniki emocjonalne zaczynają szaleć niczym teleskop Hubble'a, któ-

ry właśnie zarejestrował statek przybyszów z kosmosu. Co takiego odebrały? Co takiego chciał powiedzieć Nathaniel?

- Kiedyś może... będę cię tu odwiedzać? - pytam wreszcie lekko zakłopotana.

- No właśnie. - Pociera nos. - Pójdziemy go obejrzeć w środku?

Dom okazuje się większy, niż się wydaje. Ma drewniane podłogi, stare kominki i skrzypiące drewniane schody na górę. W jednym pokoju ze ścian odpadła prawie cała farba, a kuchnia jest urządzona w starodawnym stylu, z szafkami pamiętającymi lata trzydzieste.

- Niezła. - Spoglądam zaczepnie na Nathaniela.

- Jestem pewien, że mógłbym ją dostosować do twoich wygórowanych standardów - odpowiada.

Wchodzimy na górę do ogromnej sypialni, z oknami wychodzącymi na tyły domu. Z góry grządki warzywne wyglądają jak patchworkowa kołdra, rozciągająca się aż do pobliskiej zielonej łąki. Na parterze dostrzegam wyjście z tarasem i mały ogródek, obsadzony klematisami i pnącymi różami.

- To piękne miejsce - mówię, opierając się na parapecie. - Podoba mi się.

Kiedy tak stoję, przyglądając się krajobrazowi przed sobą, Londyn wydaje mi się jakby z innej planety. Carter Spink, Arnold i cała reszta nagle stają się częścią odległego życia. Mój świat teraz jest zupełnie inny, moje życie zmieniło się nie do poznania. Ale nawet w tej chwili, gdy przyglądam się temu spokojnemu wiejskiemu krajobrazowi, czuję, że nadal nie mogę się uwolnić od przeszłości. Nie potrafię sobie odpuścić, rozluźnić się, zapomnieć. Wystarczy jeden telefon do odpowiedniej osoby...

Gdybym miała jakiś dowód...

Cokolwiek...

Znów zaczynam przerabiać w myślach kolejne fakty, niczym ptak daremnie szukający pożywienia wśród pustych łusek nasion. Zwariuję, jeśli dalej będę się tak zadręczała.

- Zastanawiałem się, czy...

280

Nagle dociera do mnie, że Nathaniel coś mówi, zresztą chyba już od dłuższej chwili, a ja nie słyszałam ani słowa. Szybko odwracam się, spoglądając na niego. Policzki ma zaróżowione i dostrzegam niecodzienne zakłopotanie w jego zachowaniu. Cokolwiek usiłował mi powiedzieć, wymagało to od niego sporego wysiłku.

- ...czy czujesz to samo, Samantho - chrząka i milknie, spoglądając na mnie wyczekująco.

Wpatruję się w niego tępym wzrokiem. Czy czuję to samo do czego? O cholera. Ale wpadka. Czyżby mówił coś o miłości? A ja nie słyszałam ani słowa? Co za idiotka! Facet, w którym się kocham, właśnie wygłosił romantyczną przemowę, prawdopodobnie jedyną, jaka może mi się przytrafić w całym moim życiu, a ja nie słuchałam?

Mam ochotę strzelić sobie w łeb.

W dodatku Nathaniel wyraźnie czeka na moją odpowiedź. I co ja teraz zrobię? Właśnie przed chwilą otworzył przede mną serce. Nie mogę powiedzieć: „Przepraszam, ale chyba nie do końca usłyszałam, co mówiłeś”.

- No... - odgarniam włosy z czoła, próbując zyskać na czasie. - Cóż... dałeś mi sporo do przemyślenia.

- Ale zgadzasz się?

Zgadzam się z czym? Z wprowadzeniem kary śmierci dla włamywaczy? Z instytucją trójkąta miłosnego?

- Tak - spoglądam na niego najszczerzej, jak potrafię. - Tak, zgadzam się, z całego serca. Właściwie... często myślałam w podobny sposób.

Przez twarz Nathaniela przebiega dziwny grymas. Przygląda mi się uważnie.

- A więc zgadzasz się - mówi, jakby chciał się upewnić. - Na wszystko?

- Ja... tak! - Zaczynam się denerwować. Na co właśnie przystałam?

- Nawet na szympansy?

- Szympansy?! - Nagłe widzę, że usta Nathaniela wykrzywiają się w grymasie zrozumienia.

- Nie słuchałaś mnie, prawda?

- Nie zdawałam sobie sprawy, że mówisz o czymś ważnym! - wykrzykuję, zwieszając głowę. - Powinieneś mnie uprzedzić!

Nathaniel spogląda na mnie z niedowierzaniem.

- Podziwiam twoją odwagę, że mimo wszystko próbowałaś mi odpowiedzieć.

- Powtórz to - błagam. - Proszę cię, powtórz wszystko. Teraz będę słuchać!

- Uhm - mówi ze śmiechem i kręci głową. - Może kiedyś.

- Tak mi przykro, Nathanielu, naprawdę. - Odwracam się i spoglądam przez okno, przyciskając czoło do szyby. - Ja... ja się zamyśliłam.

- Wiem. - Podchodzi bliżej i obejmuje mnie. Czuję przez skórę uspokajający rytm jego serca. - Samantho, co się dzieje? Chodzi o twój poprzedni związek?

- Tak - mamrocę po dłuższym milczeniu.

- Opowiedz mi o wszystkim. Może będę ci umiał pomóc.

Odwracam się i spoglądam mu prosto w oczy, rozświetlone słońcem. Przyglądam się jego gładkiej twarzy. Nigdy nie wydawał mi się przystojniejszy. Nagle przed oczami staje mi wizja Nathaniela objającego twarz Arnoldowi.

Nie, nie mogę go tym wszystkim obarczyć. To zbyt wiele, zbyt wiele. Taka paskudna afery.

- Nie chcę sprowadzać tamtego świata do tego tutaj - mówię wreszcie. - Po prostu nie chcę.

Nathaniel otwiera usta, ale odwracam się, zanim udaje mu się powiedzieć cokolwiek. Wpatruję się w idylliczny obrazek za oknem, mrużąc oczy w słońcu. Nie mogę zebrać myśli. Może po prostu powinnam sobie darować ten cały koszmar. Zapomnieć o sprawie, odpuścić sobie. Prawdopodobnie i tak nie uda mi się niczego udowodnić. Arnold jest wpływowy, ja nie mam żadnej siły przebicia. Jeżeli będę próbowała rozpętać aferę wokół niego, skończę jedynie jeszcze bardziej upokorzona i zhańbiona niż poprzednio.

Mogę nie zrobić nic, wyrzucić wszystko z myśli, zamknąć drzwi za starym życiem i zostawić go za sobą na zawsze. Mam pracę, Nathaniela i prawdopodobnie całą przyszłość przed sobą. Mimo to kiedy o tym myślę, wiem, że nie potrafię sobie odpuścić. Nie umiem zapomnieć. Nie potrafię.

21

No dobrze. Pierwszy problem to hasło Arnolda. Jeżeli go nie zgadnę, nie będę w stanie dostać się do jego komputera i przez to nie znajdę potrzebnych dowodów w postaci plików. Poza tym jeżeli jego biuro jest zamknięte na klucz, to również może stanowić problem. Czyli mamy już dwie niedogodności.

Ale najpierw muszę się dostać do budynku, nierozpoznana przez nikogo... i zrobić to tak, żeby nie nakryli mnie w biurze Arnolda sprzątacze...

Cholera, co ja najlepszego wyrabiam?

Upijam duży łyk lekkiej kawy z mlekiem, usiłując zachować spokój, ale to nie jest proste.

Już sam powrót do Londynu był dla mnie ogromnym wstrząsem. Pamiętam to miasto zupełnie inaczej. Nie mogę uwierzyć, że jest takie brudne i pełne załatanych ludzi. Kiedy dziś po południu wysiadłam na stacji Paddington, poczułam się przytłoczona tłumami podróżujących, przemierzających się w hali dworcowej niczym armia mrówek. Dusił spalin, widziałam śmieci - wszystkie te rzeczy, których przedtem nie zauważałam. Czyżby moja świadomość wcześniej odfiltrowywała tę część rzeczywistości? Czy tak do tego przyzwykłam, że traktowałam to jak coś normalnego?

Ale jednak gdy postawiłam stopę na peronie, ogarnęło mnie podniecenie. Zanim dotarłam do stacji metra, zdążyłam już nabrać dawnego tempa; wpasowałam się w strumień przechodniów, w bramce automatycznie włożyłam bilet do czytni-

276

ka pod odpowiednim kątem, wyciągając go potem płynnie bez tracenia jednej sekundy.

Teraz siedzę w Starbucku za najbliższym rogiem od Carter Spink, obserwuję mijających mnie odzianych w garnitury pracowników City, rozmawiających, gestykulujących i bez przerwy gdzieś telefonujących. Czuję zastrzyk adrenaliny, serce bije mi coraz szybciej, a jeszcze nawet nie znalazłam się w budynku firmy. Na samą myśl o tym czuję skurcz w żołądku. Teraz już wiem, dlaczego przestępcy robią napady całymi gangami. W tej chwili nie obraziłabym się za wsparcie moralne ze strony całej jedenastki Danny'ego Oceana*.

Po raz kolejny spoglądam na zegarek. Już czas. Nie zamierzam pojawiać się zbyt wcześnie. Im krócej tam zabawię, tym lepiej.

Dopijam kawę. Moja komórka piszczy, ale ją ignoruję. To pewnie kolejna wiadomość od Trish. Była wściekła, kiedy powiedziałam, że muszę wyjechać na parę dni. Próbowwała mnie nawet powstrzymać, więc powiedziałam, że mam poważny problem ze stopą, który wymaga natychmiastowej interwencji ze strony mojego lekarza specjalisty w Londynie. Był to poważny błąd. Trish chciała się dowiedzieć wszystkiego o tym domniemanym problemie. Zażądała nawet prezentacji. Spędziłam potem dziesięć minut, improwizując coś o „nieprawidłowym ustawieniu kości”. Trish wpatrywała się w moją stopę, po czym orzekła tonem pełnym podejrzliwości: „Dla mnie wygląda zupełnie normalnie”. Przez resztę dnia spoglądała na mnie nieufnie, a potem zostawiła w kuchni „Marie Claire”, niby przypadkowo otwartą na reklamie poradni: „Jesteś w ciąży i potrzebujesz dyskretnej porady?”. No, naprawdę! Swoją drogą, będę musiała wyśmiać ten jej nedorzeczny pomysł, bo inaczej plotka rozejdzie się po całej wiosce i Iris zabierze się do szydełkowania bucików dla niemowlęcia.

Ponownie spoglądam na zegarek i czuję nerwowy dreszcz. Już czas. Ruszam do toalety, spoglądam w lustro i sprawdzam

*Główny bohater filmu *Ocean 's 11*.

swój wygląd. Inna fryzura blond, ciemne okulary, szminka w kolorze fuksji - wyglądam zupełnie jak nie dawna ja. Oczywiście poza rysami twarzy, jednak to dopiero po bliższym przyjrzeniu się. Ale przypuszczam, że nikt nie będzie mi się uważnie przyglądał, przynajmniej na to liczę.

- Dzień dobry - mówię na próbę niskim, nosowym głosem. - Miło pana poznać.

Zupełnie jak transwestyta, lecz to nieważne. Przynajmniej nie słychać w głosie prawniczego tonu.

Wychodzę ze Starbucka z pochyloną głową i mijam skrzyżowanie, za którym widzę charakterystyczne granitowe schody i szklane drzwi prowadzące do mojej byłej firmy. Spoglądam na znajomą fasadę i coś ściska mnie w piersi. To nierealne. Znowu tutaj jestem. Ostatnim razem, gdy widziałam te drzwi, wybiegałam przez nie, trzęsąc się z paniki, przekonana, że zmarnowałam sobie życie, zrujnowałam karierę.

Zaczyna we mnie buzować gniew. Zamykam na chwilę oczy, usiłując utrzymać emocje w ryzach. Nie mam jeszcze żadnego dowodu. Muszę się skoncentrować na swojej misji. No dalej, przecież potrafię to zrobić.

Przechodzę przez ulicę i zdecydowanym krokiem wspinam się po schodach. Niemal widzę siebie tamtego dnia - bladą zjawę, zbiegającą po schodach z przerażeniem w oczach. Teraz to wszystko wydaje się takie odległe. Nie tylko wyglądam inaczej, ale czuję się jak inna osoba. Odbudowana, zmieniona.

Nabieram powietrza w płuca, stawiam kołnierz płaszcza i otwieram szklane drzwi. Wchodzę do przestronnego holu i ogarnia mnie niedowierzanie. Czy ja rzeczywiście to robię? Czy rzeczywiście próbuję dostać się incognito do biur Carter Spink?

Uhm. Owszem. Nogi trzęsą mi się jak galareta, dłonie mam wilgotne od potu, ale twardo krocę po marmurowej posadzce, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, ku nowej recepcjonistce Melanie, która zaczęła pracę zaledwie kilka tygodni przed moim odejściem.

- Dzień dobry - mówię głosem transwestyty.

- Czy mogę w czymś pomóc?

Melanie uśmiecha się do mnie. Nie poznaje mnie. Nie mogę uwierzyć, że to aż takie proste. Właściwie to czuję się nieco urażona. Czyżbym była przedtem aż tak nijaka?

- Przyszłam do pracy - mamrocze ze spuszczoną głową. - Jestem kelnerką z Bertram Cateters - dodaje na wszelki wypadek.

- Ach tak. Przyjęcie odbywa się na czternastym piętrze -Melanie spogląda na komputer. - Pani nazwisko?

- ...Trish. Trish Geiger.

Melanie wpatruje się w ekran, marszczy brwi i stuka ołówkiem w zęby.

- Nie mam pani na liście - mówi wreszcie.

- Powinnam być. - Nadal nie podnoszę głowy. - To chyba jakaś pomyłka.

- Chwileczkę, zadzwonię tylko... - Melanie wystukuje numer i przeprowadza krótką rozmowę z kimś o imieniu Jan, a potem spogląda na mnie.

- Zaraz przyjdzie tutaj ktoś z organizatorów. - Wskazuje na jedną ze skórzanych sof i uśmiecha się. - Proszę spocząć.

Udaję się w kierunku siedzisk, ale nagle zawracam, bo widzę tam Davida Spellmana z działu korporacyjnego, z klientem. Chyba mnie nie poznał. Podchodzę do półek z lśniącymi reklamówkami firmy i udaję, że pograżam się w lekturze filozofii Carter Spink. Nigdy przedtem nie czytałam żadnej z tych broszur. Swoją drogą, cóż to za stek bzdur!

- Trish?

- Ja... tak? - odwracam się i widzę wypacykowaną kobietę w smokingu. Trzyma w dłoni kilka kartek i przygląda mi się ze zmarszczonym czołem.

- Jestem Jan Martin, szefowa kelnerów. Nie mam cię na liście. Pracowałaś już dla nas wcześniej?

- Jestem nowa - odpowiadam niskim głosem. - Pracowałam wcześniej dla Ebury Catering, w Gloucestershire.

- Nie znam. - Spogląda na papiery i przerzuca kartki,

unosząc niecierpliwie brwi. - Kochana, nie mam cię na liście. Nie wiem, co tu robisz.

- Rozmawiałam z jakimś gościem - odpowiadam z kamienną twarzą. - Powiedział, że przyda się wam dodatkowa pomoc.

- Z gościem? - pyta skonsternowana Jan. - Jakim gościem? Z Tonym?

- Nie pamiętam, jak miał na imię, ale powiedział, żebym się tu zgłosiła.

- Nie mógł...

- To jest Carter Spink, prawda? - rozglądam się. - Cheaps-dale numer 95, wielkie przyjęcie z okazji czyjegoś odejścia na emeryturę, tak?

- To prawda. - Na jej twarzy widzę pierwszy cień niepewności.

- W takim razie powiedziano mi, żebym tu przyszła. -Nadaję głosowi delikatny odcień wojowniczości tylko po to, żeby dotarło do niej, że nie zamierzam się łatwo poddać.

Jan Martin ewidentnie przeprowadza szybki rachunek: jeśli mnie wyrzuci, mogę wszcząć awanturę, a ona ma inne, ważniejsze rzeczy na głowie, jedna kelnerka więcej to nic takiego...

- W porządku! - mówi wreszcie zirytowanym tonem. -Ale będziesz się musiała przebrać. Przypomnij mi, jak się nazywasz?

- Trish Geiger.

- Dobrze - zapisuje mnie na liście. - Lepiej chodźmy na górę, Trish.

O mój Boże, udało się. Najwyraźniej jestem stworzona do popełniania przestępstw! Następnym razem podniosę nieco standard - okradnę jakieś kasyno w Vegas albo coś w tym stylu.

Kiedy wjeżdżamy na górę windą, czuję niemal uniesienie. Na mojej piersi widnieje plastikowy identyfikator TRISH GEIGER. Teraz już tylko muszę trzymać głowę nisko, odczekać, aż przyjdzie właściwy moment i dostać się na jedenaste

piętro. Mogę przedostać się na miejsce przewodem wentylacyjnym. Albo zjechać windą.

Wychodzimy z windy prosto do pomieszczeń kuchennych przylegających do sali bankietowej. Rozglądam się zaskoczona. Nie miałam pojęcia, że te pokoje w ogóle tu są. To zupełnie jakby dostać się na zaplecze w teatrze.

Szefowie kuchni krzątają się przy palnikach, kelnerzy kłębią się w kuchni, ubrani w charakterystyczne uniformy w biało-zielone paski.

- Ubrania są tam. - Jan pokazuje ogromny wiklinowy kosz pełen złożonych w kostkę liberii. - Musisz się przebrać.

- W porządku.

Wyszukuję uniform w moim rozmiarze i zabieram do damskiej toalety. Poprawiam makijaż i opuszczam włosy na twarz, a potem spoglądam na zegarek.

Jest za dwadzieścia szósta. Przyjęcie zaczyna się za dwadzieścia minut. Dziesięć po szóstej jedenaste piętro powinno już pustoszeć. Arnold jest bardzo popularnym współnikiem i nikt nie będzie chciał przegapić jego mowy pożegnalnej. Poza tym w Carter Spink wszystkie przemówienia są wygłaszane na samym początku, żeby ludzie mogli potem w każdej chwili wrócić do pracy.

Podczas gdy wszyscy będą słuchali Arnolda, ja wślizgnę się do jego biura. Powinno się udać. Musi się udać. Wpatruję się w swoje obce odbicie i wiem, po prostu wiem, że to zrobię. Nie pozwolę, żeby uszły mu płazem jego machlojki. Nie pozwolę, żeby wszyscy uważali Arnolda za radosnego, kochanego, nieszkodliwego misia. Nie wywinie się z tego!

Za dziesięć szósta wszyscy gromadzimy się w jednym z pomieszczeń kuchennych i otrzymujemy polecenia. Gorące przekąski... zimne przekąski... słucham tego jednym uchem. Przecież nie zamierzam być kelnerką. Kiedy Jan kończy wydawać rozkazy, wychodzę wraz z pozostałymi z kuchni. Otrzymuję tacę z lampkami szampana i pozbywam się jej najszybciej, jak mogę. Wracam do kuchni, chwytam otwartą

butelkę szampana i serwetkę, a potem, kiedy już się upewniam, że nikt mnie nie obserwuje, uciekam do łazienki. No dobrze, teraz najtrudniejszy moment. Zamykam się w toalecie i przez kwadrans siedzę tam w absolutnej ciszy. Nie kicham, nie stukam i nie chichoczę, kiedy słyszę, jak jakaś kobieta trenuje swoją przemowę pożegnalną dla kogoś o imieniu Mike. To najdłuższe piętnaście minut w moim życiu.

Wreszcie ostrożnie odblokowuję drzwi, wychodzę z łazienki i ostrożnie wyglądam za róg. Z miejsca, w którym stoję, widzę korytarz i drzwi prowadzące do sali bankietowej, w której zgromadził się już tłum. Słyszę śmiech i gwar rozmów. Kelnerzy i kelnerki krążą po sali, do której nadal napływają wartkim strumieniem nowi goście. Rozpoznaję dziewczyny z działu PR... kilkoro praktykantów... Olivera Swanna, starszego wspólnika... wszyscy idą na przyjęcie, po drodze chwytając kieliszki z szampanem.

Korytarz jest wolny. Czas ruszać.

Kiedy mijam wejście do sali galowej i zmierzam w kierunku wind i wejścia na klatkę schodową, potwornie trzęsą mi się nogi. Dopadam do drzwi w ciągu trzydziestu sekund i niemal na paluszkach schodzę na jedenaste piętro. W Carter Spink nikt nigdy nie używa schodów, ale mimo wszystko muszę bardzo uważać.

Docieram na miejsce i ostrożnie wyglądam przez szklaną szybę na korytarz. Nie widzę nikogo, co oczywiście nie oznacza, że nie ma tam jakichś ludzi. Równie dobrze może tu nadal przebywać cały tłum, tyle że poza zasięgiem mojego wzroku. Trudno, muszę podjąć ryzyko.

Biorę kilka głębokich oddechów i usiłuję dodać sobie animuszu. Przecież nawet jeśli ktoś tam jest, nie rozpozna mnie w tych biało-zielonych ciuchach kelnerki. Poza tym dla co bardziej wnikliwych mam odpowiednią historyjkę; jestem tu, aby dostarczyć butelkę szampana do biura pana Saville'a jako niespodziankę.

Dosyć tego. Nie mogę marnować czasu.

Powoli otwieram drzwi, wychodzę na wyłożony błękitnym

dywanem korytarz i oddycham z ulgą. Jest pusty. Na całym piętrze nie ma chyba nikogo. Wszyscy musieli udać się na przyjęcie. Słyszę w oddali kogoś rozmawiającego przez telefon, ale kiedy nerwowym krokiem ruszam w stronę biura Arnolda, mijam wyłącznie opustoszałe pokoje. Jestem spięta do granic wytrzymałości. Nigdy w życiu nie byłam tak przerażona.

Najważniejsze, żeby dobrze wykorzystać czas. Zacznę od komputera, a potem zobaczę. A może gdy komputer będzie się budził, powinnam najpierw przejrzeć szafkę z dokumentami? Albo przeszukać szuflady w biurku Arnolda. Jego laptop może tam być. Nie pomyślałam o tym wcześniej.

Szczerze powiedziawszy, w ogóle nie przemyślałam zbyt dobrze mojej ekspedycji poszukiwawczej. Część mnie nie spodziewała się, że dostanę się do budynku, nie mówiąc o wejściu do gabinetu Arnolda. Poza tym właściwie nie wiem, czego mam szukać. Może korespondencji, może jakichś danych liczbowych albo dysku zatytułowanego „inkryminujące informacje”. To byłoby przydatne...

Nagle zatrzymuję się w miejscu. Za moimi plecami rozlegają się jakieś głosy. Ktoś właśnie wyszedł z windy. Cholera. Muszę się dostać do gabinetu Arnolda, zanim mnie zauważą.

W panice zaczynam iść szybciej. Docieram do drzwi, otwieram je i zatrząskuję za sobą, a potem przykucam tuż pod szklanym panelem. Głosy są coraz bliżej. Rozpoznaję Davida Elldridge'a i Keitha Tompsona. Jest z nimi ktoś obcy. Mijają drzwi gabinetu. Zamieram w oczekiwaniu. Oddalają się, dzięki Bogu.

Powoli wypuszczam powietrze z płuc, wstaję i wyglądam na korytarz. Nie widzę żywej duszy. Jestem bezpieczna. Odwracam się i przyglądam bacznie gabinetowi.

Jest pusty.

Wysprzątnięty.

Wchodzę głębiej, czując ogarniające mnie przerażenie. Biurko jest ogołoczone, podobnie jak półki. Na ścianach widnieją jaśniejsze plamy w miejscach, gdzie kiedyś wisiały

oprawione w ramki fotografie. W pokoju nie ma niczego, poza rolką taśmy przemysłowej i kilku pinesek przypiętych na korkowej tablicy.

Nie mogę w to uwierzyć. To wszystko, co do tej pory zrobiłam, ma iść na marne? Nie mam czego szukać?

Muszą tu być jakieś pudła, myślę nagle. Tak. Wszystko zostało spakowane do pudeł, z myślą o przewodźce.

Pewnie stoją gdzieś na zewnątrz... wybiegam z gabinetu i rozglądam się gorączkowo. Nie widzę żadnych pudeł ani skrzynek. Niczego. Spójrzmy prawdzie w oczy, przybyłam za późno. Za późno. Jasny gwint! Mam ochotę walnąć w coś z całej siły. Oddychając ciężko, wracam do gabinetu i rozglądam się wokół jeszcze raz. Skoro już tu jestem, mogę przeszukać to miejsce, tak na wszelki wypadek.

Podchodzę do biurka i zaczynam metodycznie sprawdzać wszystkie szuflady, otwierając je do końca i zaglądając do środka w poszukiwaniu czegokolwiek. Przegrzebuję kosz, przesuвам dłonią z tyłu korkowej tablicy. Nic. Szafka na dokumenty też jest pusta... tak samo komoda...

- Przepraszam bardzo?

Zastygam z ręką zanurzoną w szafce na dokumenty. Cholera.

- Tak? - odwracam się, opuszczając włosy na twarz i wbijając wzrok w ziemię.

- Co ty tu robisz?

To praktykant, Bill... jak on się nazywał? Od czasu do czasu wykonywał dla mnie drobną robotkę. Tylko spokojnie. Nie poznał mnie.

- Miałam dostarczyć butelkę szampana, proszę pana - mamrocze głosem transwestyty, wskazując głową na butelkę, którą zostawiłam na podłodze. - Niespodzianka dla pracującego tu dżentelmena. Zastanawiałam się właśnie, gdzie ją umieścić.

- Na pewno nie w szafce - mówi Bill zjadliwie. - Po prostu postaw ją na biurku. Poza tym nie powinnaś w ogóle tu wchodzić.

284

- Właśnie miałam wyjść, proszę pana. - Pochyliam niżej głowę i zmywam się z pokoju. Jasna cholera, było blisko! Ruszam w kierunku klatki schodowej i wspinam się z powrotem na czternaste piętro, do pokoju, w którym zostawiłam swoje ubranie. Nie będę się fatygowała z przebieraniem. Zawsze mogę odesłać ten uniform pocztą...

- Trish?! - słyszę nagle za sobą głos Jan - To ty?

Do diabła. Odwracam się niechętnie. Wygląda na strasznie wkurzoną.

- Gdzie ty do diabła się podziewałaś?

- ...roznosiłam jedzenie?

- Nieprawda. Nie widziałam cię na sali ani razu! - odwar-kuje. - Nigdy więcej cię nie zatrudnię, to pewne. A teraz bierz to i do roboty! - Wręcza mi półmisek z małutkimi ekierkami i popycha w kierunku drzwi prowadzących do sali bankietowej.

Czuję uderzenie paniki. Nie. Nie mogę tam wejść. Nie ma mowy.

- Oczywiście! Muszę tylko... wziąć trochę serwetek koktajlowych... - Usiłuję się cofnąć, ale Jan chwyta mnie za ramię.

- Nie, nie musisz! Sama chciałaś tej pracy! Dalej, ruszaj! Popycha mnie brutalnie, tak że niemal wtaczam się do zatłoczonego pokoju. Czuję się niczym gladiator wprowadzony przemocą na arenę. Jan stoi w drzwiach z założonymi rękami. Droga ucieczki została odcięta. Muszę przez to jakoś przebrnąć. Chwytam półmisek mocniej, spuszcza głowę niżej i powoli wkraczam coraz głębiej do sali.

Nie mogę iść swobodnym krokiem. Nogi mam jak z drewna, włosy jeżą mi się na głowie i czuję, że uszy mam czerwone od pulsującej w nich krwi. Chyłkiem przesuwam się pomiędzy ludźmi odzianymi w drogie garnitury, nie śmiejąc na nich spojrzeć ani zatrzymać się choćby na chwilę. Przyciągam uwagę. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. Serwuję ekierki moim byłym kolegom, ubrana w biało-zielony mundurek.

Najgłupsze jest to, że nikt tego nie zauważa.

Kilka dłoni wyciąga się po ciasteczka, ale ich właściciele nawet nie raczą na mnie spojrzeć. Wszyscy są zbyt zajęci rozmowami i żartami. Panuje okropny hałas.

Nigdzie nie widzę Arnolda, lecz musi przecież gdzieś być. Żołądek kurczy mi się boleśnie na samą myśl. Bardzo chcę sprawdzić, gdzie jest, unieść głowę i rozejrzeć się dookoła. Nie mogę jednak ryzykować, więc ze spuszczonego wzrokiem powoli przesuвам się po sali. Otaczają mnie znajome twarze. Chwytam strzępki konwersacji.

- Gdzie jest Ketterman? - pyta ktoś.

- W Dublinie na jeden dzień - odpowiada Oliver Swann. Oddycham z ulgą. Gdyby Ketterman tu był, na pewno by mnie rozpoznał.

- Ekierki! Fantastycznie!

Siedem czy osiem dłoni na raz sięga w kierunku półmiska. Zastygam w miejscu. To grupa praktykantów. Pożerają jedzenie, jak to zwykle praktykanci.

- Oooch. Wezmę jeszcze jedną.

- Ja też..

Zaczynam się denerwować. Im dłużej stoję tak bez ruchu, tym bardziej czuję się wyeksponowana. Nie mogę jednak uciec. Ręce praktykantów wciąż wyciągają się po więcej.

- Nie wiesz przypadkiem, czy są jeszcze tarty truskawkowe? - pyta chłopak w okularach bez oprawek.

- Ja... nie wiem - mamrocę, wbijając wzrok w ziemię.

Cholera. Chłopak przygląda mi się teraz uważnie, pochylając się dla lepszego widoku, a ja nie mogę opuścić włosów na twarz, ponieważ obiema rękoma muszę trzymać półmisek...

- Czy ty jesteś... Samantha Sweeting? - Praktykant wygląda na zelektryzowanego odkryciem. - To naprawdę ty?

- Samantha Sweeting? - jedna z praktykantek upuszcza ekierkę. Druga sapie gwałtownie i zakrywa ręką usta.

- Ja... tak - szepczę wreszcie, czerwona jak burak. - To ja, ale proszę, nie mówcie nikomu. Nie chcę, żeby to się rozszło.

- Zostałaś kelnerką? - pyta praktykant w okularach, wyraźnie wstrząśnięty. - To właśnie robisz?
Wszyscy praktykanci wpatrują się we mnie, jakbym była Duchem Upadłego Prawnika.
- Nie jest tak źle. - Udaje mi się wykrzesać błady uśmiech. - Można dostać darmowe przekąski!
- Czyli co, popełniasz jeden błąd i już? - zachłystuje się dziewczyna, która upuściła ekierkę. - Cała twoja kariera prawnicza skończona?
- No... właściwie tak - kiwam głową. - Może ekierkę? Jednak wszyscy nagle stracili apetyt, właściwie to nawet trochę zzielenieli na twarzach.
- Może ja... wróć do pracy - jąka się chłopak w okularach. - Sprawdzę, czy nie mam jeszcze czegoś do zrobienia...
- Ja też - rzuca dziewczyna od ekierki, odstawiając kieliszek.
- To Samantha Sweeting! - słyszę nagle, jak inny praktykant szepcze głośno w kierunku młodszych współpracowników firmy. - Popatrzcie! Jest kelnerką!
- Nie! - zachłystuję się ze strachu. - Nie mówcie nikomu...
Ale jest już za późno. Widzę, jak ludzie z tamtej grupy odwracają się i spoglądają na mnie z identycznym wyrazem przerażonego zakłopotania na twarzach.
Jestem tak zażenowana, że mam ochotę zapaść się pod ziemię. To ludzie, z którymi kiedyś pracowałam, a teraz obsługuję ich, ubrana w idiotyczny pasiasty fartuszek.
Potem jednak powoli czuję, jak rośnie we mnie bunt.
Pieprzę was. Co w tym złego, że pracuję jako kelnerka?
- Hej - rzucam, odgarniając włosy z twarzy. - Ktoś ma ochotę na deser?
Coraz więcej ludzi odwraca się i spogląda w moim kierunku. Słyszę, jak szepczą o mnie w całej sali. Inni kelnerzy zgromadzili się w kącie, przyglądając mi się z uwagą. Widzę, jak odwracają się kolejne głowy, niczym mechaniczne zabawki. Nie widzę wśród nich ani jednej przyjaznej twarzy.

- Jezu Chryste! - mruczy ktoś. - Tylko spójrzcie na nią.
- Czy ona tu w ogóle powinna być? - pyta głośno ktoś inny.
- Nie - odpowiadam, starając się zachować spokój. - Macie rację. Nie powinnam.

Odwracam się, żeby wyjść, ale wokół mnie panuje taki ścisk, że nie mogę się przecisnąć do wyjścia. A potem nagle żołądek ściska mi się boleśnie. Przez szczelinę w tłumie dostrzegam charakterystyczne kręcone włosy, rumiane policzki i jowialny uśmiech.

Arnold Saville.

Spoglądamy na siebie z przeciwnych stron pokoju. Chociaż Arnold nadal się uśmiecha, jego oczy są zimne jak nigdy przedtem. Znalazł w sobie pokłady wyjątkowego gniewu, specjalnie dla mnie. Wpatruję się w niego i czuję się słaba, niemal przestraszona - nie z powodu jego furii, lecz dwulicowości. Oszukał wszystkich. Dla pozostałych tu zgromadzonych Arnold Saville jest kimś w rodzaju Świętego Mikołaja. Tłum się rozstępuje, kiedy rusza w moim kierunku. W dłoni trzyma kieliszek szampana.

- Samantha - mówi miłym tonem. - Czy to właściwe?

- Zabroniłeś mi wstępu do budynku - odpowiadam wbrew własnej woli. - Nie miałam większego wyboru.

O Boże. Zła odpowiedź. Idiotka!

Muszę się lepiej kontrolować albo przegram ten pojedynek słowny. I tak jestem w gorszym położeniu, kiedy stoję tu w uniformie kelnerki, oceniana przez cały pokój, jakbym była czymś odrażającym. Muszę się uspokoić, pozostać chłodna i skoncentrowana.

Spotkanie z Arnoldem po tym wszystkim, co się zdarzyło, wytrąciło mnie z równowagi. Chociaż usiłuję się uspokoić, nie potrafię. Twarz płonie mi z gniewu, oddycham coraz ciężiej. Wszystkie emocje i traumy ostatnich kilku tygodni wybuchają we mnie nagle płomieniem nienawiści.

- Wyrzuciłeś mnie z pracy - wybucham, zanim mogę się powstrzymać. - Kłamałeś!

- Samantha, rozumiem, że to dla ciebie bardzo trudny okres, ale doprawdy... - Arnold przemawia do mnie niczym nauczyciel do krnąbrnego ucznia. Spogląda na jakiegoś nieznanomego mężczyznę i wywraca oczami. - Była pracownica - mówi półgłosem. - Niestabilna emocjonalnie.

Co? Co takiego?

- Nie jestem niestabilna emocjonalnie! - wykrzykuję wstrząśnięta. - Chcę po prostu, żebyś odpowiedział na jedno małe pytanie. Bardzo proste. Kiedy dokładnie położyłeś swoją notkę na moim biurku?

Arnold wybucha śmiechem pełnym niedowierzania.

- Samantha! Odchodzę na emeryturę. Czy to odpowiedni moment? Proszę ją stąd wyprowadzić - rzuca do kogoś z boku.

- To dlatego właśnie nie chciałeś, żebym wróciła do biura, prawda? - Mój głos drży z wściekłości. - Ponieważ wtedy mogłabym zacząć zadawać niewygodne pytania i wreszcie odkryć prawdę.

W sali panuje poruszenie, ale nie na moją korzyść. Słyszę ludzi wdychających: „Nie, no, na miłość boską” i „Jak ona się tu dostała?”. Jeżeli chcę zachować resztki wiarygodności i godności, powinnam natychmiast przestać mówić - tylko że nie potrafię.

- Nie popełniłam błędu, prawda? - podchodzę do Arnolda. - Wykorzystałeś mnie, zniszczyłeś moją karierę. Przyglądałeś się, jak rozpada się całe moje życie...

- Doprawdy - przerywa Arnold agresywnym tonem. - To już przestaje być śmieszne.

- Po prostu odpowiedz na moje pytanie! - wrzeszczę w kierunku jego pleców. - Kiedy położyłeś swoją notkę na moim biurku? Ponieważ ja nie wierzę, że znalazła się tam przed upływem terminu zgłoszenia.

- Oczywiście, że tak. - Arnold odwraca się na chwilę, znudzony i pełen lekceważenia. - Przyszedłem do twojego gabinetu dwudziestego ósmego maja.

Dwudziestego ósmego maja?

Skąd mu się to nagle wzięło? Dlaczego coś mi tu nie gra?

- Nie wierzę ci - odpowiadam w bezsilnym gniewie. -Zwyczajnie ci nie wierzę. Myślę, że mnie wrobiłeś. Myślę, że...

- Samantha? - Ktoś stuka mnie w ramię. Odwracam się i widzę Ernesta, naszego ochroniarza. Jego znajoma, sękata twarz wykrzywiona jest w grymasie niedowierzania. - Muszę cię poprosić o opuszczenie terenu budynku.

Czuję się upokorzona. Naprawdę chcą mnie stąd wyrzucić? Po siedmiu latach niemal mieszkania tutaj? Resztki mojego spokoju znikają niczym sen złoty. W oczach wzbierają gorące łzy gniewu.

- Po prostu wyjdź, Samantha - rzuca Oliver Swann ze współczuciem. - Nie rób z siebie przedstawienia.

Wpatruję się w niego przez chwilę, a potem przenoszę wzrok na pozostałych współników.

- Byłam dobrym prawnikiem - mówię drżącym głosem. -Zrobiłam dla was kawał dobrej roboty. Wiecie o tym doskonale, a mimo to wykreśliliście mnie z życia firmy, jakbym nigdy nie istniała. - Przęłykam gulę w gardle. -
Wasza strata.

Odstawiam tackę z ekierkami na pobliskim stole i wychodzę z sali, w której panuje przeraźliwa cisza. W chwili, gdy wychodzę za drzwi, za moimi plecami zaczyna wrzeć ożywiona dyskusja.

Zjeżdżam z Ernestem na dół w milczeniu. Czuję, że gdybym teraz coś powiedziała, mogłabym się rozplakać. Nie mogę uwierzyć, że tak spieprzyłam swój plan. Nie dość, że nie dowiedziałam się niczego nowego, to jeszcze mnie rozpoznano. Na koniec zaś straciłam panowanie nad sobą w obecności wszystkich pracowników firmy i teraz stanę się jeszcze większym pośmiewiskiem niż dotychczas.

Po wyjściu z budynku sprawdzam komórkę. Czeka na niej wiadomość od Nata, który chce się dowiedzieć, jak mi poszło. Odczytuję tekst kilka razy, ale nie mogę się zmusić do odpisania ani tym bardziej do powrotu do domu Geigerów. Chociaż

z pewnością zdążyłabym jeszcze na pociąg, nie czuję się na siłach, aby znosić ich towarzystwo. Automatycznie kieruję się do metra i wsiadam do pociągu. Obserwuję swoje odbicie w szybie - blade i pozbawione wyrazu. Przez całą drogę w umyśle brzęczy mi jedna myśl. Dwudziesty ósmy maja. Dwudziesty ósmy maja. Zrozumienie przychodzi dopiero, kiedy docieram do mojego mieszkania. Dwudziesty ósmy maja. Pokaz kwiatowy w Chelsea. Oczywiście! Byliśmy tego dnia w Chelsea - ja, Arnold, Ketterman i Guy, na firmowym przyjęciu. Arnold przyjechał prosto z Paryża, a po wszystkim został odwieziony do domu. Tego dnia nie był ani przez chwilę w biurze. Kłamał. Oczywiście, że kłamał. Czuję wzbierający we mnie gniew, ale nie mogę już teraz nic zrobić. Nikt mi nie uwierzy. Do końca życia będę miała świadomość, że wszyscy uznali tę sprawę za mój błąd. Wjeżdżam na moje piętro, szukając klucza w torebce i modląc się w duszy, żeby pani Farley mnie nie usłyszała. Zamierzam wziąć długą, gorącą kąpiel. I nagle, stojąc już w drzwiach, zatrzymuję się jak wryta. Stoję tak bez ruchu przez kilka sekund, myśląc intensywnie. Potem odwracam się powoli i ruszam w kierunku windy. Mam jeszcze jedną szansę - i nic do stracenia. Wjeżdżam dwa piętra wyżej. Korytarz wygląda niemal identycznie, jak na moim piętrze - taki sam dywan, wykładzina, lampy. Różni się jedynie numerami na drzwiach. Trzydzieści jeden i 32, nie pamiętam, który to miał być numer, więc w końcu wybieram 31. Ma większą wycieraczkę. Siadam na niej, stawiam obok siebie torbę z ubraniami, opieram się o drzwi i zaczynam czekać. Gdy Ketterman wynurza się z windy, jestem już kompletnie wykończona. Spędziłam na tym piętrze trzy bite godziny, bez jedzenia i picia. Czuję się osłabiona i wyczerpana, ale na jego widok zrywam się na równe nogi, po czym przytrzymu-

ję się ściany, bo przed oczami robi mi się ciemno ze zmęczenia.

Przez moment Ketterman wygląda na oszołomionego, ale zaraz przybiera zwyczajowy kamienny wyraz twarzy.

- Samantho, co ty tutaj robisz?

Stoję tak i zastanawiam się, czy słyszał już o moich odwiedzinach w firmie. Pewnie tak. Opowiedziano mu tę ponurą historię ze wszystkimi detalami, ale oczywiście nie daje tego po sobie poznać.

- Co ty tutaj robisz? - pyta ponownie. W jednym ręku trzyma ogromną metalową teczkę. W świetle żarówek jego twarz spowijają dziwaczne cienie. Robię krok do przodu.

- Wiem, że jestem ostatnią osobą, którą chciałby pan widzieć - pocieram czoło. - Proszę mi uwierzyć, ja też nie chcę tu być. Ze wszystkich ludzi na świecie, do których mogłabym zwrócić się o pomoc... pan jest ostatnią. Zdecydowanie ostatnią.

Przerywam na chwilę. Ketterman słucha bez zmrużenia powieki.

- Tak więc to, że tu jestem, że do pana przychodzę... powinno być wystarczającym dowodem. - Spoglądam na niego błagalnie. - To poważna sprawa. Mam panu coś do opowiedzenia i musi mnie pan wysłuchać. Po prostu musi.

Zapada długa cisza. Na ulicy zderzają się samochody. Ktoś zaczyna się dziko śmiać. Twarz Kettermana nadal nie wyraża żadnych uczuć. Nie wiem, co teraz myśli. Wreszcie sięga do kieszeni po klucz, mija mnie i otwiera drzwi prowadzące do mieszkania numer 32. Już w drzwiach się odwraca.

- Wejdz-mówi.

22

Budzę się, widząc nad sobą popękany, brudny sufit. Przebiegam wzrokiem po pajęczynie w rogu i w dół po ścianie,
292

w kierunku rozchwierutanej półki z książkami, listami, taśmami magnetofonowymi, starymi dekoracjami gwiazdkowymi i jednej sztuce porzuconej tam bielizny.

Jak ja mogłam żyć w tym bałaganie przez siedem lat?

Jak to się stało, że w ogóle tego nie zauważyłam?

Odsuwam kołdrę, wstaję z łóżka i rozglądam się nieprzytomnie dookoła. Dywan niemal chrzęści pod moimi nogami.

Krzywię się z niesmakiem. Wymaga odkurzenia. Pewnie sprzątaczką przestała przychodzić, kiedy zabrakło pieniędzy.

Na podłodze leżą porozrzucane ubrania. Przegrzebuję je w poszukiwaniu szlafroka. Wkładam go i idę do kuchni. Zapomniałam już, jak tu zimno, surowo, nieprzytulnie. W lodówce oczywiście nie ma nic do jedzenia, udaje mi się jednak znaleźć saszetkę z rumiankiem. Nastawiam czajnik i przysiadam na stołeczku, wpatrując się w ceglana ścianę naprzeciwko.

Jest już piętnaście po dziewiątej. Ketterman powinien być w biurze, podejmując wszelkie niezbędne działania. Oczekuję drżenia, poczucia niepewności... ale nic się nie dzieje. Jestem dziwnie spokojna. Nie mogę zrobić nic więcej, wszystko jest w jego rękach.

Wysłuchał mnie. Naprawdę mnie wysłuchał. Zadawał pytania i nawet zrobił mi herbaty. Spędziłam w jego mieszkaniu ponad godzinę. Nie powiedział mi, co myśli, ani co zamierza zrobić. Nie powiedział wcale, czy mi uwierzył, ale coś mi mówi, że tak.

Woda w czajniku zaczyna się gotować i w tym samym momencie ktoś dzwoni do drzwi. Waham się przez chwilę, a potem owijam ciaśniej szlafrokiem i ruszam w kierunku korytarza. Przez wizjer widzę panią Farley, wpatrującą się w drzwi. W rękach ma pełno paczek.

Oczywiście. Któż to mógłby być inny?

Otwieram drzwi.

- Dzień dobry, pani Farley.

- Samantha, tak myślałam, że to ty! - wykrzykuje. -Przez ten cały czas nie miałam pojęcia... nie wiedziałam, co myśleć...

293

- Wyjechałam - uśmiecham się. - Przykro mi, że nie dałam pani znać, ale dla mnie samej to było dość niespodziewane.
 - Rozumiem. - Pani Farley przygląda się uważnie moim jasnym włosom, twarzy, a potem przenosi wzrok na mieszkanie, jakby szukała jakichś wskazówek.
 - Dziękuję za odebranie mojej poczty - wyciągam ręce. -Może wezmę te paczki...
 - Och! Oczywiście. - Wręcza mi kilka kopert wyłożonych folią bąbelkową i kartonowe pudełko. Widzę, że zżera ją ciekawość. - Przypuszczam, że w takich zawodach jak twój wysyłają was bez uprzedzenia za granicę...
 - Nie byłam za granicą. - Odkładam pocztę na stolik. -Jeszcze raz dziękuję.
 - Żaden kłopot, kochana! Wiem, jak to jest, kiedy się ma... kłopoty rodzinne! - ryzykuje pani Farley.
 - Nie miałam kłopotów rodzinnych - odpowiadam uprzejmie.
 - Oczywiście, że nie! - chrząka niepewnie. - W każdym razie wróciłaś już z... gdziekolwiek byłaś.
 - Pani Farley - z trudnością zachowuję powagę. - Czy chciałaby się pani dowiedzieć, gdzie byłam? Pani Farley reaguje przerażeniem.
 - Mój Boże, nie! To absolutnie nie moja sprawa! Naprawdę, w życiu by mi nie przyszło... muszę już lecieć... - Zaczyna się wycofywać.
 - Jeszcze raz dziękuję! - krzyczę, kiedy znika w swoim mieszkaniu.
- Zamykam drzwi, kiedy dzwoni telefon. Podnoszę słuchawkę, nagle zastanawiając się, ilu ludzi dzwoniło do mnie przez te ostatnie kilka tygodni. Automatyczna sekretarka jest przeładowana wiadomościami, ale po odsłuchaniu pierwszych trzech od coraz bardziej wściekłej mamy poddałam się.
- Halo?
 - Samantha? - słyszę oficjalny głos. - Mówi John Ketterman.

- Oh. - Czuję mimowolne ściśnięcie w dołku. - Dzień dobry.
- Muszę cię poprosić, abyś była dziś do naszej dyspozycji. Prawdopodobnie będziesz musiała porozmawiać z pewnymi ludźmi.
- Ludźmi?

Następuje krótka przerwa, a potem Ketterman mówi:

- Śledczymi.

O mój Boże. O Boże! Mam ochotę podskoczyć pod sufit, wybuchnąć płaczem albo co. Jakimś cudem jednak udaje mi się zachować spokój.

- Czy to znaczy, że coś pan znalazł?
- W tej chwili niczego nie mogę ci powiedzieć. - Ketterman jest zdystansowany i oficjalny, jak zwykle. - Muszę jednak wiedzieć, czy będziesz do dyspozycji.
- Oczywiście. Gdzie mam się pojawić?
- Chcielibyśmy, żebyś przyjechała do firmy - odpowiada bez cienia ironii.

Spoglądam na telefon i chce mi się śmiać. Mam przyjechać do tej samej firmy, z której wczoraj mnie wyrzucono? Tej samej firmy, do której zakazano mi wstępu? Mam ochotę zapytać o to Kettermana.

- Zadzwoń do ciebie - mówi. - Miej przy sobie komórkę. Odezwę się za kilka godzin.
- W porządku. - Nabieram powietrza w płuca. - Proszę, niech mi pan tylko powie, tak ogólnie... czy miałam rację?

Znów zapada cisza. Wstrzymuję oddech.

- Nie we wszystkich szczegółach - mówi wreszcie Ketterman i czuję niemal bolesny dreszcz triumfu. Oznacza to, że w niektórych miałam rację.

Połączenie zostaje przerwane. Odkładam słuchawkę i spoglądam na swoje odbicie w korytarzowym lustrze. Mam zaróżowione policzki i płonące dziwnym blaskiem oczy.

Miałam rację. A teraz oni to wiedzą.

Zaproponują mi moją dawną posadę, przychodzi mi nagle

do głowy. Zaproponują mi pozycję współnika. Na samą myśl ogarnia mnie podniecenie, a jednocześnie dziwny strach.

Nie będę mówiła hop, póki nie przeskoczę.

Wchodzę do kuchni nakręcona, nie jestem w stanie usiedzieć w miejscu. Co do diabła mam robić przez najbliższe kilka godzin? Zalewam rumianek wrzątkiem, przyglądam się torebce przez kilka sekund, mieszając ją łyżką. Potem przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

Zdobycie wszystkiego, co jest mi potrzebne, zajmuje jedynie dwadzieścia minut. Masło, jajka, mąka, wanilia, cukier puder, foremki do pieczenia ciasta, mikser, waga, miarki. Właściwie wszystko. Nie mogę uwierzyć, że moja kuchnia była tak słabo wyposażona. Czy ja w ogóle kiedykolwiek jej używałam?

Chyba nie.

Nie mam fartucha, więc udaje go stara koszula. Z braku miski, której zapomniałam kupić, biorę plastikową miednicz-kę z zestawu aromaterapeutycznego, który kiedyś ktoś mi podarował.

Po godzinie ubijania i ucierania udaje mi się wyprodukować ciasto. Waniliowy biszkopt przekładany dwiema warstwami kremu maślanego, ozdobiony lukrem cytrynowym i cukrowymi kwiatkami. Spoglądam przez chwilę na swoje dzieło, czując ciepło satysfakcji. To moje piąte ciasto w życiu i pierwszy raz udało mi się zrobić więcej niż jedną warstwę kremu. Zdejmuję koszulofartuch, sprawdzam, czy mam w kieszeni komórkę, biorę formę w ręce i wychodzę z mieszkania.

Pani Farley otwiera mi zdumiona.

- Dzień dobry! - mówię. - Przyniosłam pani ten drobiazg w podziękowaniu za pilnowanie mojej poczty.

- Och! - Spogląda na ciasto zaskoczona. - Samantho! To musiało dużo kosztować!

- Nie kupiłam tego ciasta - odpowiadam z dumą. - Sama je zrobiłam.

Pani Farley spogląda na mnie z niedowierzaniem.

- Tyje zrobiłaś?

- Uhm - rozpromieniam się. - Może wejdę i zrobię pani kawy.

Pani Farley jest zbyt wstrząśnięta, żeby odpowiedzieć, więc ją mijam i wchodzę do środka. Zawstydzona, uświadamiam sobie, że nigdy wcześniej tu nie byłam. Znam tę kobietę od trzech lat i nigdy nie przekroczyłam progu jej mieszkania. Jest nienagannie wysprzątane, pełne malutkich stolików i antyków. Na stoliku do kawy stoi miska płatków różanych.

- Niech pani usiądzie - mówię. - Sama znajdę wszystko, czego potrzeba.

Pani Farley, nadal zaskoczona, opada posłusznie na fotel.

- Proszę cię - mówi słabym głosem. - Tylko niczego nie zbij.

- Nie zamierzam niczego niszczyć! Chce pani mleko z pianką do kawy? Gałkę muszkatołową?

Dziesięć minut później wynurzam się z kuchni, niosąc dwie kawy i pokrojone ciasto.

- Proszę - nakładam pani Farley kawałek. - Co pani o tym sądzi?

Bierze z mojej ręki talerzyk i przygląda się jego zawartości przez kilka chwil.

- I ty to zrobiłaś, tak? - mówi wreszcie.

- Tak!

Pani Farley sięga po ciasto. Nagle zastyga w bezruchu. Jest wyraźnie zdenerwowana.

- To ciasto jest bezpieczne! - mówię i zjadam kawałek ze swojego talerzyka. - Widzi pani? Umiem gotować, przysięgam!

Bardzo ostrożnie pani Farley zaczyna przeżuwać malusieńką porcję. Spogląda na mnie ze zdumieniem.

- To... to jest pyszne! Takie lekkie! Naprawdę sama je zrobiłaś?

- Ubiłam osobno białka - wyjaśniam. - Dzięki temu ciasto jest lekkie. Mogę pani podać przepis, jeżeli pani chce. -

Wręczam jej filiżankę kawy. - Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani, iż użyłam pani miksera do mleka. Po doprowadzeniu do odpowiedniej temperatury działa naprawdę dobrze.

Pani Farley wpatruje się we mnie, jakbym plotła coś trzy po trzy.

- Samantha, gdzie ty byłaś przez ostatnie kilka tygodni? -pyta wreszcie.

- Ja... wyjechałam z Londynu. - Mój wzrok pada na ście-reczkę do kurzu i opakowanie sprayu do polerowania.

Musiała być w środku sprzątania, kiedy zadzwoniłam do jej drzwi. - Na pani miejscu nie używałabym tych ściereczek. Znam lepsze.

Pani Farley odstawia filiżankę i pochyla się w fotelu ze zmarszczonym czołem.

- Samantha, nie przyłączyłaś się do jakiejś sekty religijnej, prawda? - pyta.

- Nie! - Nie mogę powstrzymać się od śmiechu. - Ja po prostu... zajęłam się czymś innym. Jeszcze kawy?

Idę do kuchni, spieniam kolejną porcję mleka. Kiedy wracam do pokoju, pani Farley kończy właśnie drugi kawałek ciasta.

- Bardzo dobre - mamrocze z pełnymi ustami. - Dziękuję.

- Nie, to ja dziękuję. No... - wzruszam ramionami - za opiekowanie się mną przez ten cały czas.

Pani Farley kończy jeść, odstawia pusty talerzyk i przygląda mi się badawczo przez chwilę, z głową przechyloną niczym u dziwacznego ptaka.

- Złociutka - mówi wreszcie. - Nie wiem, gdzie byłaś i co robiłaś, lecz cokolwiek to było, zmieniłaś się.

- Wiem, moje włosy wyglądają inaczej... - zaczynam, ale pani Farley kręci przecząco głową.

- Widywałam cię ciągle w biegu, przychodziłaś do domu późno w nocy, wyglądałaś na wyczerpaną i zmartwioną.

Pamiętam, iż myślałam o tobie, że jesteś jak pusta skorupa. Jak wyschnięty liść. Jak łupina.

Wyschnięty liść? - myślę urażona. - Łupina?

- Ale teraz rozkwitłaś! Wyglądasz na zdrową, szczęśliwą osobę... po prostu doskonale... - Odstawia filiżankę i znów pochyla się do przodu. - Czymkolwiek się zajęłaś, dobrze ci to robi. Wyglądasz wspaniale.
- Och, dziękuję. - Uśmiecham się nieśmiało. - Rzeczywiście, chyba czuję się inaczej. Jestem bardziej zrelaksowana.
- Upijam nieco kawy i rozsiadam się wygodniej w fotelu. - Cieszę się życiem bardziej niż zwykle... dostrzegam więcej niż przedtem... - mówię zamyślona.
- Nie zauważyłaś, że dzwoni twój telefon - przerywa łagodnie pani Farley, kiwając głową w kierunku mojej kieszeni.
- Och! - wykrzykuję zaskoczona i wyciągam komórkę. -Przepraszam, powinnam to odebrać.
Otwieram klapkę i natychmiast słyszę głos Kettermana:

- Samantha.

Kolejne trzy godziny spędzam w Carter Spink, rozmawiając na przemian z przedstawicielem Stowarzyszenia Prawniczego, dwoma starszymi wspólnikami i jakimś człowiekiem z Third Union Bank. W porze lunchu czuję się wyprana z wszystkich sił od powtarzania tego samego w nieskończoność, spoglądając w takie same, pozbawione emocji twarze. Światła biurowe wywołują u mnie migrenę. Zapomniałam już, jak sucha i duszna atmosfera panuje w biurach.

Nadal nie wiem, co tak naprawdę się dzieje. Prawnicy potrafią być tak cholernie dyskretni. Wiem, że ktoś pojechał do domu Arnolda, żeby z nim porozmawiać. To wszystko. Nawet jeżeli nikt tego nie przyzna, wiem, że miałam rację. Zrehabilitowałam się.

Po ostatniej rozmowie ktoś przynosi do pokoju półmisek z kanapkami, wodę mineralną i ciastko. Wstaję, przeciągam się i podchodzę do okna. Czuję się tu jak więzień. Słyszę pukanie do drzwi. Za chwilę do pokoju wchodzi Ketterman.
- Jeszcze nie koniec? - pytam. - Jestem tu od trzech godzin.

306

- Możliwe, że będziemy musieli porozmawiać z tobą jeszcze raz - wskazuje na kanapki. - Zjedz coś.
Nie mogę usiedzieć w tym pomieszczeniu ani minuty dłużej. Muszę rozprostować nogi.
- Najpierw pójde na spacer, trochę się przewietrzę - mówię, i wychodzę z pokoju, zanim zdąży zaprotestować.
Kiedy wchodzę do łazienki, obecne tam kobiety natychmiast przestają mówić. Znikam w toalecie i z zewnątrz dobiegają mnie podniecone szepty i pomruki. Kiedy wychodzę, okazuje się, że łazienka jest nadal pełna. Czuję na sobie płonący wzrok wszystkich obecnych.
- Zatem wróciłaś do pracy, Samantha? - pyta wreszcie prawniczka o imieniu Lucy.
- Niezupełnie. - Pochyliłam się nad umywalką, czując się bardzo niezręcznie.
- Wyglądasz zupełnie inaczej - rzuca inna dziewczyna.
- Twoje ramiona! - mówi Lucy, kiedy myję ręce. - Są takie opalone i jędrne. Byłaś może w jakimś uzdrowisku?
- No... nie - uśmiecham się tajemniczo. - Mimo wszystko dziękuję. Jak ci się tu powodzi?
- Dobrze. - Lucy kiwa głową kilka razy. - Dużo pracy. W zeszłym tygodniu zaliczyłam sześćdziesiąt sześć godzin pracy. Dwie zarwane noce.
- Ja miałam trzy - wtrąca inna dziewczyna, jak gdyby nigdy nic.
Widzę na jej twarzy dumę. I ciemnozielone cienie pod oczami. Czy tak właśnie kiedyś wyglądałam? Błada, spięta, wymizerowana?
- Doskonale! - odpowiadam uprzejmie, wycierając ręce. - Chyba muszę już lecieć. Do zobaczenia.
Wychodzę z łazienki i ruszam w kierunku pokoju, w którym prowadziłam rozmowy, pogrążona w myślach.
- O mój Boże, Samantha! - słyszę nagle znajomy głos.
- Guy? - Spoglądam przed siebie i widzę, jak biegnie w moim kierunku korytarzem. Jest opalony, wypoczęty, a jego uśmiech jest jeszcze piękniejszy niż przedtem. Nie spodzie-

wałam się go tu zobaczyć. Szczerze powiedziawszy, robi mi się nieprzyjemnie.

- Popatrz no tylko! - Chwyta mnie za ramiona i przygląda się uważnie mojej twarzy. - Wyglądasz fantastycznie.

- Myślałam, że jesteś w Hongkongu.

- Wróciłem dziś rano. Właśnie się dowiedziałem. Cholera, Samantha, to niesamowite. - Ścisza głos. - Tylko ty mogłaś to rozpracować. Tylko pomyśleć, Arnold, najmniej podejrzany ze wszystkich ludzi na świecie. Jestem kompletnie ogłupiały. Wszyscy są. To znaczy ci, co wiedzą - dodaje, jeszcze bardziej ścisząc głos. - Bo sprawa nie wyszła jeszcze na światło dzienne.

- Ja jeszcze nawet nie wiem, jak wygląda ta „sprawa” - odpowiadam z lekką niechęcią. - Nikt mi nic nie mówi.

- Nie martw się, dowiesz się wszystkiego. - Sięga do kieszeni, wyciąga BlackBerry i przygląda się ekranowi, mrużąc oczy. - Jesteś przebojem miesiąca. Zawsze to wiedziałem. - Spogląda na mnie. - Wiedziałem, że nigdy nie popełniasz błędów.

Wpatruję się w niego z niedowierzaniem. Jak może tak mówić?!

- To nieprawda - odpowiadam, odnajdując wreszcie słowa. - Nieprawda. Przypomnij sobie, jak powiedziałeś, że popełniłam pomyłkę i że „nie można na mnie polegać”.

Czuję, jak rośnie we mnie dawna uraza i upokorzenie. Odwracam wzrok.

- Powiedziałem, że inni tak twierdzą. - Przerzywa pisanie i spogląda na mnie, marszcząc brwi. - Do diabła, Samantha, broniłem cię. Byłem po twojej stronie. Spytaj kogokolwiek!

Jasne, oczywiście. Dlatego właśnie nie chciałeś mnie u siebie przenocować.

Nie mówię jednak tego głośno. Naprawdę nie chcę rozdrapywać ran. To już przeszłość.

- W porządku - odpowiadam wreszcie. - Skoro tak mówisz.

Ruszamy razem korytarzem. Guy nadal zatopiony jest

w korespondencji na swoim palmtopie. Chyba jest uzależniony od tego cacka. Irytuje mnie to.

- Powiedz mi, gdzie ty, do diabła, zniknęłaś? - Przestaje w końcu pisać. - Co porabiałaś przez cały ten czas? Chyba nie jesteś kelnerką, co?

- Nie. - Nie mogę się powstrzymać od uśmiechu na widok jego miny. - Nie jestem. Znalazłam posadę.

- Wiedziałem, że ktoś cię wyłuska. - Kiwa głową z satysfakcją. - Kto jest tym szczęśliwcem?

- Och... nie znasz - odpowiadam po dłuższej przerwie.

- Ale zostałam w tej samej specjalizacji, prawda? - Chowa swoją zabawkę. - Robisz mniej więcej to samo?

Nagle staje mi przed oczyma obrazek mnie samej w niebieskim nylonowym fartuszk, zmywającej podłogę w łazience Trish.

- Cóż... tak się składa, że nie. - Jakimś cudem udaje mi się zachować powagę.

Guy wydaje się zaskoczony.

- Ale nadal zajmujesz się prawem finansowym, prawda? Nie mów mi, że zmieniłaś specjalność! - Nagle się spina.

- Nie przeczuciłaś się chyba na prawo handlowe?

- Nie... nie na prawo handlowe. Lepiej już pójdę - ucinam rozmowę i otwieram drzwi do pokoju, w którym prowadzono przesłuchania. - Do zobaczenia.

Zjadam kanapki i wypijam wodę. Przez pół godziny nikt nie zakłóca mi spokoju. Czuję się, jakbym była na kwarantannie z powodu jakiejś zaraźliwej choroby. Mogli chociaż podrzucić mi jakieś czasopisma. Po dłuższym przebywaniu w bezpośredniej bliskości z Trishowym „Heatem” i „Hello” wyrobiłam w sobie przyzwyczajenie do czytania plotek.

Wreszcie ktoś puka i do pokoju wchodzi Ketterman. *j*

- Samantho, chcielibyśmy się z tobą spotkać w sali konferencyjnej.

Podążam za nim korytarzem, świadoma trącania się łokciami i szeptów mijanych przez nas osób. Ketterman otwiera

olbrzymie podwójne drzwi do sali konferencyjnej, w której widzą połowę rady nadzorczej, czekającą na mnie. Kiedy Ketterman zamyka drzwi, panuje absolutna cisza. Spoglądam na Guya, który uśmiecha się do mnie pokrzepiająco, ale nie mówi ani słowa.

Czy powinnam teraz coś powiedzieć? Czyżbym nie dosłyszała instrukcji? Ketterman dołącza do grupy wspólników i staje zwrócony twarzą do mnie.

- Samantho, jak wiesz, śledztwo w sprawie... ostatnich wydarzeń jest w toku. Wyniki nie są jeszcze w pełni zdefiniowane - przerywa, wyraźnie spięty. Widzę, jak niektórzy wspólnicy wymieniają spojrzenia. - Mimo to doszliśmy do jednego wniosku. Pomyliliśmy się.

Spoglądam na niego w zdumieniu. Przyznaje to, tak po prostu? Zmuszenie prawnika do przyznania się do błędu jest niczym nakłonienie gwiazdy filmowej do przyznania się, że poddała się odsysaniu tłuszczu.

- Słucham? - mówię, wyłącznie po to, żeby powtórzył to jeszcze raz.

- Pomyliliśmy się.

Ketterman marszczy brwi. Wyraźnie nie podoba mu się ta część konwersacji. Chce mi się śmiać.

- My się pomyliliśmy? - pytam, wskazując palcem na siebie i jego, starając się nadać twarzy wyraz niezrozumienia. Czuję wzbierający we mnie śmiech.

- My się pomyliliśmy! - warczy Ketterman, pokazując na grupę wspólników. - My!

- Och, rozumiem. Dziękuję. - Uśmiecham się uprzejmie. - Doceniam to.

Zapewne zaoferują mi teraz jakiś bonus. Luksusowy zestaw, może nawet wakacje.

- Dlatego też chcielibyśmy zaoferować ci pozycję wspólnika z pełnym prawem do dywidendy, od zaraz.

Jestem tak zaskoczona, że niemal siadam na podłodze. Pozycja wspólnika z prawem do dywidendy? Otwieram usta, ale nie jestem w stanie nic wykrztusić. Zabrakło mi tchu w pier-

siach. Rozglądałam się bezradnie. To największy sukces, o jakim można marzyć, najbardziej prestiżowa posada w świecie prawników. Nigdy, przenigdy bym się tego nie spodziewała.

- Witamy w domu, Samantha - mówi Greg Parker.

- Witamy w domu - rzuca kilku innych.

David Elldridge uśmiecha się do mnie ciepło, a Guy pokazuje mi uniesione kciuki.

- Mamy tu szampana. - Ketterman kiwa głową w kierunku Guya, który otwiera drzwi do sali. W chwilę później pojawiają się w środku dwie hostessy obsługujące restaurację dla wspólników. Niosą tacki z kieliszkami pełnymi szampana. Ktoś wręcza mi jeden z nich.

To wszystko dzieje się zbyt szybko. Muszę coś powiedzieć.

- Przepraszam bardzo - wołam. - Jeszcze nie powiedziałam, czy przyjmuję tę ofertę.

Cały pokój zamiera niczym taśma wideo zatrzymana na pauzie.

- Słucham? - Ketterman spogląda na mnie z twarzą wykręconą w grymasie bezmiernego zdumienia.

O Boże. Nie jestem pewna, czy dobrze to odbierze.

- Chodzi o to... - przerywam i upijam nieco szampana dla kurażu, usiłując jednocześnie dobrać słowa jak najbardziej taktownie.

Myślałam o tym przez cały dzień, raz po raz od nowa. Bycie wspólnikiem w Carter Spink to marzenie całego mojego życia, nagroda w błyszczącym opakowaniu, wszystko, czego pragnęłam. Poza... tym, o czym nie wiedziałam, że właśnie tego pragnę. Poza tym, o czym nie miałam zielonego pojęcia jeszcze kilka tygodni temu. Świeże powietrze. Wolne wieczory i weekendy. Planowanie dnia z przyjaciółmi. Przesiadywanie w pubie po skończeniu pracy, popijanie cydru i słodkie nicnierobienie, niemyślenie o czymś, co wisi mi nad głową.

Nawet jeśli oferują mi pełny pakiet wspólnika, nie zmienia to faktów. Nie zmienia mnie. Pani Farley miała rację: rozkwitłam. Nie jestem już suchą łupiną.

Po co mam wracać do poprzedniego stanu? Chrząkam i rozglądam się po pokoju.

- To niezwykle zaszczyt otrzymać tak lukratywną propozycję - mówię szczerze. - Jestem wam wszystkim niezmiernie wdzięczna, naprawdę. Mimo to... wróciłam tutaj nie po to, aby odzyskać pracę, lecz po to, aby oczyścić swoje imię, dowieść, że nie popełniłam błędu. - Nie mogę się powstrzymać od patrzenia na Guya. - Prawda jest taka, że po opuszczeniu Carter Spink... zajęłam się czymś innym. Mam posadę, która mnie niezwykle satysfakcjonuje, dlatego nie przyjmuję waszej oferty.

Zapada pełna zaskoczenia cisza.

- Dziękuję - dodaje uprzejmie. - Ach... i dziękuję za szampana.

- Czy ona mówi poważnie? - pyta ktoś w tłumie. Ketterman i Elldridge spoglądają na siebie, marszcząc brwi.

- Samantho. - Ketterman wysuwa się naprzód. - Być może znalazłaś gdzie indziej możliwość zatrudnienia, ale jesteś człowiekiem Carter Spink. Tutaj się przyuczałaś i tutaj jest twoje miejsce.

- Jeżeli to kwestia pensji - dodaje Elldridge - to jestem pewien, że możemy ci zapłacić tyle samo, ile aktualnie zarabiasz w... - spogląda pytająco na Guya - właściwie w której firmie ona pracuje?

- Gdziekolwiek się zatrudniłaś, porozmawiam z tamtejszym prezesem - mówi Ketterman służbowym tonem.

- Dyrektorem działu zatrudnienia, czy kimkolwiek na odpowiednim stanowisku. Rozwiążemy tę sprawę, podaj mi tylko numer telefonu. - Wyjmuje swojego palmtopa.

Chce mi się śmiać.

- Nie ma żadnego dyrektora - wyjaśniam. - Ani prezesa.

- Nie ma prezesa? - Ketterman zaczyna tracić cierpliwość. - Jak może nie być prezesa?

- Nigdy nie powiedziałam, że pracuję jako prawnik. Równie dobrze mogłabym oświadczyć, że Ziemia jest płaska. Nigdy nie widziałam tylu skołowanych ludzi.

- Nie... nie pracujesz jako prawnik? - Elldridge patrzy na mnie w osłupieniu. - W takim razie jako kto? Miałam nadzieję, że nie dojdzie do tego etapu, chociaż z drugiej strony, dlaczego mieliby nie wiedzieć?

- Pracuję jako gosposia - uśmiecham się.

- Gosposia? - Elldridge wpatruje się we mnie. - Czy to nowy żargon oznaczający mediatora? Nie nadażam za tymi idiotycznymi nazwami zawodów.

- Zajmujesz się kwestiami proceduralnymi? - pyta Ketterman. - Czy to właśnie masz na myśli?

- Nie, nie to - odpowiadam cierpliwie. - Jestem gosposią. Ścielę łóżka, gotuję obiady. Jestem pomocą domową. Przez około sześćdziesiąt sekund nikt nie czyni najmniejszego ruchu. Rany, ależ bym chciała mieć teraz kamerę. Te ich twarze!

- Jesteś dosłownie gosposią? - wydusza wreszcie z siebie Elldridge.

- Uhm. - Spoglądam na zegarek. - Czuję się spełniona, zrelaksowana i szczęśliwa. Właściwie powinnam już wracać. Dziękuję za wysłuchanie mnie - dodaję w kierunku Kettermana. - Był pan jedyną osobą, która się na to zdobyła.

- Odrzucasz naszą ofertę? - pyta z niedowierzaniem Oliver Swan.

- Odrzucam waszą ofertę. - Wzruszam przepaszając ramionami. - Przepraszam. Do widzenia. Wychodzę z sali konferencyjnej na lekko trzęsących się nogach. Czuję się, jakbym grała w głupim filmie. Odrzuciłam ich ofertę. Odrzuciłam ofertę posady starszego wspólnika w Carter Spink.

Co na to powie moja matka?

Sama myśl o tym sprawia, że mam ochotę wybuchnąć histerycznym śmiechem.

Jestem zbyt nakręcona, żeby czekać na windę, więc ruszam w dół klatką schodową, stukając obcasami po zimnych schodach.

- Samantha! - rozbrzmiewa nagle nad moją głową głos Guya. O nie! Czego on jeszcze chce?

- Wychodzę! - odkrzykuję. - Zostaw mnie w spokoju!

- Nie możesz odejść!

Słyszę, że zaczyna zbiegać po schodach, więc przyspieszam. Wszystko już zostało powiedziane - o czym jeszcze chce rozmawiać? Moje obcasy stukają o kamienne schody, kiedy zbiegam na dół, trzymając się dla równowagi poręczy. Mimo to Guy mnie dogania.

- Samantho, to szaleństwo!

- Nieprawda!

- Nie pozwolę ci zrujnować sobie kariery z powodu... urazy! - wykrzykuje.

Odwracam się oburzona, niemal spadając przy tym ze schodów.

- Nie robię tego z powodu urazy! - odpowiadam.

- Wiem, że jesteś zła na nas wszystkich! - Guy oddycha ciężko. Podchodzi bliżej. - Z pewnością poczułaś się lepiej, odrzucając naszą ofertę i mówiąc, że pracujesz jako gospościa...

- Bo pracuję jako gospościa! - ucinam. - I nie odrzuciłam waszej oferty dlatego, że jestem zła. Odrzuciłam ją, ponieważ nie chcę tej pracy.

- Samantho, pragnęłaś zostać współnikiem bardziej niż czegokolwiek innego na świecie! - Chwyta mnie za ramię.

- Wiem, że tak było! Pracowałaś na to przez te wszystkie lata. Nie możesz teraz tak po prostu wyrzucić tego do kosza! To zbyt cenna rzecz.

- A jeśli dla mnie nie ma już takiej wartości?

- Minęło przecież zaledwie kilka tygodni! Nie wierzę, że wszystko się zmieniło w twoim życiu.

- Owszem. Ja się zmieniłam.

Guy potrząsa głową z niedowierzaniem.

- Mówisz poważnie o byciu gospościa?

- Jak najbardziej - odcinam się. - Co w tym złego?

- Och, na wszystkie świętości... - przerywa. - Posłuchaj,

wróc na górę. Porozmawiamy o tym. Konsultowaliśmy się z ludźmi z działu personalnego. Straciłaś pracę... zostałam źle potraktowana... nie dziwota, że nie myślisz logicznie. Zaproponowali rozmowę ze... specjalistą.

- Nie potrzebuję żadnego specjalisty! - Obracam się na pięcie i zaczynam znowu schodzić w dół. - Co, odechciało mi się być prawnikiem i od razu jestem wariatką?!

Zbiegam na parter i wypadam do przestronnego holu, z Guyem za plecami. Na skórzanej kanapie siedzi Hilary Grant, szefowa działu do spraw kontaktu z mediami, z jakąś nieznaną kobietą w czerwonym kostiumie. Obie spoglądają na mnie zaskoczone.

- Samantha, nie możesz tego zrobić! - krzyczy za mną Guy. - Jesteś jednym z najbardziej utalentowanych prawników, jakich znam. Nie mogę ci pozwolić na zrezygnowanie z posady starszego wspólnika, żebyś mogła pracować jako... pieprzona gosposia!

- Dlaczego nie, skoro właśnie to chcę robić? - Zatrzymuję się na środku marmurowego foyer i odwracam w jego stronę. - Guy, odkryłam wreszcie, co to znaczy żyć! Dowiedziałam się, jak to jest, gdy się ma wolne weekendy i nie czuje przez cały czas presji, i podoba mi się to!

Guy w ogóle mnie nie słucha i nawet nie próbuje zrozumieć.

- Chcesz mi powiedzieć, że wolisz sprzątanie toalet od zasiadania w radzie Carter Spink? - Jego twarz wyraża absolutne oburzenie.

- Tak! - rzucam buntowniczo. - Właśnie tak!

- Kto to jest? - pyta z zainteresowaniem kobieta w czerwonym kostiumie.

- Samantha, popełniasz największą pomyłkę w swoim życiu! - dogania mnie głos Guya, gdy zbliżam się do szklanych drzwi. - Jeżeli teraz wyjdiesz...

Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Jestem za drzwiami, zbiegam po schodach. Odchodzę.

Może właśnie popełniłam największą pomyłkę w swoim życiu. Siedzę w pociągu do Gloucestershire, popijając wino, żeby uspokoić skołatane nerwy, ale słowa Guya wciąż brzęczą mi w głowie. Kiedyś ta myśl doprowadziłaby mnie do załamania nerwowego, ale nie teraz. Chce mi się śmiać. Biedny Guy, nie ma o niczym pojęcia. Ostatnie wydarzenia nauczyły mnie jednego: nie istnieje coś takiego, jak największa pomyłka w życiu. Człowiek nie może zrujnować sobie życia, ponieważ okazuje się, że życie wcale nie jest takie kruche.

Docieram wreszcie do Lower Ebury i ze stacji ruszam prosto do pubu. Nathaniel stoi za barem, pogrążony w rozmowie z Eamonnem. Ma na sobie nową koszulę z kraciastej bawełny, z białym wątkiem i kolorową osnową. Przez chwilę obserwuję go z progu - silne ramiona, łuk szyi, sposób, w jaki marszczy brwi, kiwając głową. Od razu widzę, że nie zgadza się z tym, co mówi Eamonn, ale czeka na odpowiednią okazję, żeby taktownie przedstawić swój punkt widzenia.

Może jestem lepszą telepatką, niż sądziłam.

Nagle, jakby sam miał podobne zdolności, spogląda na mnie i jego twarz rozjaśnia się z radości. Uśmiecha się na przywitanie, ale widzę skrywane napięcie. Te dni musiały być dla niego trudne. Może myślał, że już nie wrócę. Ze strony tarczy do rzutek dobiega mnie głośny pomruk. Jeden z grających odwraca się i spostrzega, że podchodzę do baru.

- Samantha! - wykrzykuje. - Nareszcie! Potrzebujemy cię w drużynie!
- Chwileczkę! - rzucam przez ramię. - Hej - mówię do Nathaniela. - Ładna koszula.
- Hej - odpowiada na pozór niedbałym tonem. - Jak się udała wycieczka?
- Nieźle.

Kiwam głową, a Nathaniel wpuszcza mnie za bar. Przez cały czas przygląda mi się uważnie, szukając jakichś wskazówek.

- A więc... to koniec?

- Uhm - obejmuję go i przytulam się mocno. - To koniec. I w tamtej chwili naprawdę wierzę w to, co mówię.

23

Aż do lunchu panuje spokój.

Jak zwykle przygotowuję śniadanie dla Trish i Eddiego, odkurzam dom, a potem wkładam fartuch, który dostałam od Iris, wyciągam deskę do krojenia i zaczynam wyciskać sok z pomarańczy. Zamierzam przygotować mus z gorzkiej czekolady o smaku pomarańczowym na jutrzejszy lunch dobroczynny. Podamy go na warstwie karmelizowanych plastrów pomarańczy, a każdy talerz zostanie dodatkowo przyozdobiony prawdziwym srebrnym aniołkiem z katalogu gwiazdkowego. To był pomysł Trish, podobnie jak anioły zwisające z sufitu.

- Jak tam postępy w pracy? - Trish pojawia się w kuchni z klekotem obcasów, wyraźnie podenerwowana. - Zrobiłaś już mus?

- Jeszcze nie - odpowiadam, sprawnie wyciskając pomarańczę. - Pani Geiger, proszę się nie martwić. Wszystko jest pod kontrolą.

- Nie masz pojęcia, przez co ja przechodzę od kilku dni. - Chwyta się za głowę. - Coraz więcej ludzi potwierdza zaproszenia... Musiałam zmienić plan rozsadzenia gości...

- Wszystko będzie w porządku - mówię uspokajającym tonem. - Niech się pani spróbuje odprężyć.

- Tak. - Oddycha głośno, ściskając skronie dwoma palcami z polakierowanymi pazurami. - Masz rację. Pójdę sprawdzić siatki z darmowymi prezentami...

Nie mieści mi się w głowie, ile Trish wydała na ten lunch. Za każdym razem, gdy pytam, czy naprawdę musimy podwiesić pod sufitem w jadalni biały jedwab lub oferować każdemu

310

gościowi storczyk do wpięcia w ubranie, Trish wykrzykuje oburzona: „To wszystko w szlachetnym celu”.

A to mi przypomina, że już dawno temu miałam ją o coś zapytać.

- Pani Geiger - rzucam niedbale - czy zamierza pani sprzedawać wejściówki na ten obiad?

- O nie! - odpowiada. - To zdecydowanie nieeleganckie, nie uważasz?

- W takim razie, czy zorganizowała pani jakąś loterię?

- Nie. - Trish marszczy nos. - Ludzie nie cierpią loterii. Niemal nie śmiem zadać kolejnego pytania.

- W takim razie... hm... w jaki sposób planuje pani zebrać pieniądze na cele dobroczynne?

W kuchni zapada cisza. Trish zamarła i wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami.

- O choroba - mówi wreszcie.

Wiedziała. Nie pomyślała o tym. Jakimś cudem udaje mi się zachować wyraz twarzy pełnej szacunku gosposi.

- Może powinniśmy poprosić o dobrowolne donacje? - sugeruję. - Przy kawie i czekoladkach możemy puścić w obieg małą torebkę przeznaczoną na ten cel.

- Tak, tak. - Trish wpatruje się we mnie, jakbym była geniuszem. - To znakomity pomysł. - Wypuszcza głośno powietrze z płuc. - To naprawdę bardzo stresujące, Samantho. Nie mam pojęcia, jakim cudem udaje ci się zachować spokój.

- Och, nie wiem.

Uśmiecham się, czując nagle przyływ czułości w stosunku do Trish. Kiedy wróciłam wczoraj, poczułam się jak w domu, mimo że Trish zostawiła mi na stole całą stertę naczyń i notkę: „Samantho, proszę cię o wypolerowanie jutro rano wszystkich sreber”.

Trish wychodzi z kuchni, a ja zaczynam ubijać białka na mus. Potem dostrzegam jakiegoś mężczyznę, przemykającego się podjazdem. Ma na sobie dzinsy, stary golf i zawieszoną na szyi kamerę. Za chwilę znika z pola widzenia. Marszczę brwi ze zdziwieniem. Może to jakiś dostawca?

Odmierzam miarki cukier, nasłuchując jednym uchem dzwonka do drzwi. Zaczynam powoli dodawać cukier do piany, tak jak uczyła mnie Iris. Nagle nieznajomy pojawia się w drzwiach kuchennych, zaglądając przez okienko. Nie zamierzam zepsuć swojego deseru dla jakiegoś ulicznego sprzedawcy. Może poczekać kilka minut. Kończę dodawać cukier i dopiero wtedy otwieram drzwi.

- Czy mogę w czymś pomóc? - pytam uprzejmie.

Mężczyzna przygląda mi się w milczeniu przez kilka sekund, zerkając od czasu do czasu w złożoną gazetę brukową, którą trzyma w ręku.

- Czy pani jest Samantha Sweeting? - pyta wreszcie. Spoglądam na niego zaniepokojona.

- Dlaczego pan pyta?

- Jestem z „Cheltenham Gazette” - pokazuje mi identyfikator. - Chciałbym panią prosić o wyłączny wywiad. „Dlaczego wybrałam Cotswolds na moją kryjówkę” i tym podobne rzeczy.

Spoglądam na niego w osłupieniu przez kilka sekund.

- Eeee... o czym pan mówi?

- Nie widziała pani artykułu? - pyta zaskoczony. - Zakładam, że to pani.

Pokazuje mi gazetę. Kiedy na nią zerkam, żołądek wywraca mi się ze strachu i zaskoczenia.

W gazecie widnieje moje zdjęcie. To ja. Ja. Moja oficjalna fotografia z Carter Spink. Jestem na niej ubrana w czarny kostium, a włosy mam związane w kok. Nad fotografią widnieje duży nagłówek: **WOLEŃ SPRZĄTAĆ TOALETY NIŻ ZASIADAĆ W RADZIE NADZORCZEJ CARTER SPINK.**

O co tu do diabła chodzi?

Trzęsącymi się dłońmi wyrywam gazetę z rąk dziennikarza i przebiegam wzrokiem po tekście artykułu.

Są prawdziwymi mistrzami w swoim fachu; obiektem zazdrości sobie podobnych. Przewodząca firma prawnicza Carter Spink należy do najbardziej prestiżowych w kraju. Mimo to

wczoraj młoda kobieta odrzuciła ofertę pracy jako wspólniczka firmy na rzecz stanowiska skromnej gospodyni domowej.

WYCOFAJ SIĘ, PÓKI MOŻNA

Członkowie rady nadzorczej Carter Spink wyszli na durniów, kiedy utalentowana prawniczka Samantha Sweeting, pobierająca wynagrodzenie w wysokości 500 funtów za godzinę, odrzuciła ich ofertę, zawierającą między innymi obietnicę sześciocyfrowej pensji. Po uprzednim dyscyplinarnym wydaleniu z pracy ambitna prawniczka odkryła skandal finansowy w firmie. Kiedy jednak zaproponowano jej posadę wspólnika z pełnym prawem do dywidendy, panna Sweeting odrzuciła ofertę, jako przyczynę swojej decyzji podając presję zawodową i brak wolnego czasu. „Podoba mi się to, że wreszcie mam czas dla siebie”, powiedziała, kiedy wspólnicy błagali ją o pozostanie. Były pracownik firmy, który nie chce ujawniać swojego nazwiska, potwierdził, że w Carter Spink panują brutalne warunki pracy. „Oczekują od ciebie zaprzędania duszy - powiedział. - Musiałem zrezygnować z powodu stresu. Nie dziwię się, że Samantha woli pracę fizyczną”.

Rzeczniczka prasowa Carter Spink broniła praktyk firmy. „Jesteśmy nowoczesną firmą, elastyczną w wielu kwestiach, życzliwie nastawioną do pracowników. Chcielibyśmy porozmawiać z Samanthą o jej poglądach i zdecydowanie nie wymagamy od nikogo «sprzedawania duszy»”.

ZAGINIONA

Rzeczniczka prasowa firmy potwierdziła, że oferta pracy pani Sweeting jest nadal aktualna i że członkowie rady nadzorczej Carter Spink pragną porozmawiać z Samanthą. Jednak nasz współczesny Kopciuszek zniknął gdzieś od chwili opuszczenia firmy.

GDZIE ONA JEST?

Patrz komentarz na stronie 34.

Wpatruję się w tekst z przerażeniem. Komentarz? Jest tego więcej? Trzęsącymi się dłońmi przechodzę na stronę 34.

ZBYT WYSOKA CENA SUKCESU?

Utalentowana prawniczka mająca przed sobą błyskotliwą karierę rezygnuje z sześciocyfrowej pensji na rzecz posady gospodyni domowej. Co owa historia mówi nam o pełnym stresu życiu naszego społeczeństwa? Czy kobiety robiące karierę są pod presją? Czy wypalają się w pracy? Może ta niezwykła historia rozpocznie nowy trend? Jedno jest pewne - tylko Samantha Sweeting może odpowiedzieć na te pytania.

Wpatruję się w artykuł z niedowierzaniem. Jak - i kto... Jak?!

Moje rozmyślenia przerywa trzask flesza. Spoglądam w oszołomieniu na dziennikarza, który celuje we mnie kamerą.

- Proszę przestać! - wykrzykuję przerażona, zasłaniając twarz ręką.

- Czy mogę ci zrobić zdjęcie ze szczotką do czyszczenia toalet, kochanie? - pyta, ustawiając obiektyw na zbliżenie.

- Powiedzieli mi w pubie, że to ty. Trafiła mi się niezła sensacja.

Flesz rozbłyska znowu i mrużę oczy w ostrym świetle.

- Nie! Pan... pan się pomylił. - Oddaję mu zmiętą gazetę. - To... nie jezdem ja. Mam imię Martina. Jaki ja tam prawnik.

Dziennikarz spogląda na mnie podejrzliwie, a potem zerka na fotografię. Widzę w jego oczach cień wątpliwości. Z rozjaśnionymi włosami, przystrojona w fartuch, wyglądam kompletnie inaczej niż na zdjęciu.

- To nie jest francuski akcent - mówi.

To prawda. Naśladowanie akcentów nie jest moją mocną stroną.

- Ja... jezdem połową Belżjan. - Wpatruję się w podłogę. - Proszę do wizenia z nasz dom albo zwońię po polis.

- Daj spokój, złociutka, nie jesteś Belgijką.

- Pan wychozi! Wstęp zbroniiony! To szestępstwo! Wypycham go na zewnątrz, zatrzaskuję drzwi i zamykam na klucz. Zasłaniam okno i opieram się o drzwi. Serce mi wali. Cholera. Niech to diabli. Co ja teraz zrobię?

No dobrze, najważniejsze to nie wpadać w panikę i spojrzeć na całą tę sytuację obiektywnie.

Z jednej strony, cała moja przeszłość została opisana w ogólnokrajowym brukowcu. Z drugiej strony, ani Trish, ani Eddie nie czytają akurat tej gazety. Ani „Cheltenham Gazette”. Jedna głupia historyjka w jednym idiotycznym dzienniku, do jutra wszystko umrze śmiercią naturalną. Nie ma powodu, żeby im o tym mówić. Narobię tylko niepotrzebnego zamieszania. Lepiej będzie, jeśli zajmę się muscem czekoladowym, jak gdyby nic się nie stało. Tak. Wyparcie ostatnich wydarzeń ze świadomości jest najlepszym sposobem na przetrwanie.

Od razu czuję się nieco lepiej. Sięgam po czekoladę i zaczynam wrzucać połamane kawałki do szklanej miski.

- Samantho, kto to był? - Trish zagląda do kuchni.

- Nikt. - Uśmiecham się do niej sztucznie. - Nic się nie działo. Może zrobię pani filiżankę kawy i podam ją w ogrodzie?

Tylko spokojnie. Udawaj, że nic się nie stało. Wszystko będzie w porządku.

No dobrze, ten mój pomysł nie wypala, ponieważ na podjeździe pojawiają się kolejni trzej dziennikarze.

Dwadzieścia minut później porzucam mus czekoladowy i zaczynam wyglądać przez okno w holu z rosnącym przerażeniem. Na zewnątrz stoi dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Pojawili się tu znikąd. Wszyscy mają aparaty fotograficzne i gawędzą właśnie z facetem w błękitnym golfie, który pokazuje ręką w kierunku kuchni. Co jakiś czas któreś z nich przerywa i robi zdjęcie domu. W każdej chwili mogą zadzwonić do drzwi.

Nie wolno mi do tego dopuścić. Potrzebuję nowego planu. Muszę...

Odwrócić ich uwagę. Tak! Przynajmniej zyskam nieco na czasie.

Podchodzę do drzwi wejściowych, po drodze chwytając

jeden ze słomkowych kapeluszy Trish, z szerokim rondem. Potem ostrożnie wychodzę na zewnątrz i ruszam zwirowaną ścieżką w stronę bramy wjazdowej, gdzie natychmiast otacza mnie czwórka dziennikarzy.

- Czy pani jest Samantha Sweeting? - pyta jeden z nich, podsuwając mi dyktafon niemal pod sam nos.

- Czy żałuje pani rezygnacji z posady współnika? - pyta kolejny.

- Mam imię Martina - odpowiadam ze spuszczoną głową. - Jezdziecie w złym domu. Wiem Samanthę Sweeting i ona mieszka... tam - wskazuję na drugi koniec wioski. Oczekuję, że natychmiast rzucą się w tamtym kierunku, ale nikt nie rusza się z miejsca.

- Jezdziecie w złym domu! - powtarzam. - Proszę opuści teren!

- A co to niby za akcent? - pyta gość w ciemnych okularach.

- Belżjan - odpowiadam po chwili milczenia.

- Belgijski? - przygląda się mojej twarzy ukrytej pod rondem kapelusza Trish. - To ona - rzuca pogardliwie. - Ned, to ona! Chodź tu!

- Jest tutaj! Wyszła na zewnątrz!

- To ona!

Słyszę głosy z przeciwnej strony ulicy i ku mojemu przerażeniu na podjeździe pojawia się nagle kolejna grupa dziennikarzy, wbiegających pospiesznie przez bramę z kamerami, aparatami fotograficznymi i dyktafonami.

Skąd oni się tu wzięli?

- Czy naprawdę lubi pani czyścić toalety? - pyta ktoś, fotografując mnie z zaskoczenia. - Jakiego środka czyszczącego pani używa?

- Przestańcie! - krzyczę zdenerwowana. - Zostawcie mnie w spokoju! - Zaczynam pchać ciężkie skrzydła żelaznej bramy, aż udaje mi się je zamknąć. Odwracam się i czym prędzej wbiegam do domu, do kuchni.

Co ja teraz zrobię?

316

Chwytam przelotnie swoje odbicie w drzwiach lodówki. Mam zaczerwienione policzki i dziki wyraz twarzy. Na mojej głowie nadal tkwi kapelusz Trish. Ściągam go i porzucam na stole, dokładnie w chwili, gdy Trish wchodzi do kuchni. Trzyma w ręku książkę *Twoje własne eleganckie przyjęcie popołudniowe* oraz pustą filiżankę po kawie.

- Wiesz może, co tu się dzieje, Samantho? - pyta. - Wydaje mi się, że na ulicy panuje jakieś zamieszanie.

- Naprawdę? - mówię. - Ja... nie zauważyłam.

- Wygląda mi to na protest. - Trish marszczy brwi. - Mam nadzieję, że jutro już ich tu nie będzie. Protestujący są takimi egoistami... - Jej wzrok pada na blat kuchenny. - Nie skończyłaś jeszcze musu? Samantho, naprawdę, co ty robiłaś przez ten czas?!

- Ee... nic! - przetykam głośno ślinę. - Właśnie kończę, pani Geiger. - Sięgam po miskę i zaczynam rozlewać czekoladową miksturę do szklanek.

Czuję się zupełnie jak w jakiejś równoległej rzeczywistości. Wszystko się wyda, to tylko kwestia czasu. I co ja wtedy zrobię?

- Widziałeś tę pikietę? - pyta Trish Eddiego, który pojawia się w kuchni. - Tuż przed naszą bramą! Myślę, że powinniśmy zażądać, żeby się przesunęli.

- To nie jest żaden protest - odpowiada Eddie, zaglądając do lodówki. - To prasa.

- Prasa? - Trish spogląda na niego ze zdumieniem. - A co, na Boga żywego, miałyby tu robić prasa?

- Może mamy jakiegoś nowego sławnego sąsiada? - sugeruje Eddie, nalewając sobie piwa do szklanki.

Trish zakrywa dłonią usta.

- Joanna Lumley! - wykrzykuje. - Słyszałam plotki, że zamierza kupić jakąś wioskę. Samantho, słyszałaś coś o tym?

- Ja... nie - mamrocze, czerwona jak burak. Muszę coś powiedzieć. No dalej! Powiedz cokolwiek. Ale co? Od czego zacząć?

- Samantho, wyprasuj mi tę koszulę. Potrzebuję jej na

wieczór. - Do kuchni wkracza Melissa, trzymając w rękę koszulę bez rękawów, z nadrukiem. - Bądź bardzo ostrożna przy prasowaniu kołnierzyka, dobrze? - dodaje z irytacją. - Ostatnio krzywo zaprasowałam zagięcie.

- Och, naprawdę? Przykro mi z tego powodu - mówię. - Połóż to w pralni...

- Poza tym trzeba odkurzyć w moim pokoju - dodaje Melissa. - Wysypałam nieco pudru na podłogę.

- Nie jestem pewna, czy będę miała czas... - zaczynam.

- To go znajdź! - ucina ostro i bierze jabłko z półmiska. - Co się tam dzieje na zewnątrz?

- Nikt nie wie - odpowiada podekscytowana Trish. - Przypuszczamy jednak, że chodzi o Joannę Lumley!

Nagle rozlega się dzwonek do drzwi. Żołądek podchodzi mi do gardła. Przez chwilę mam ochotę je zaryglować.

- Ciekawe, czy to oni! - wykrzykuje Trish. - Eddie, zobacz, kto to. Samantha, przygotuj kawę. - Spogląda na mnie niecierpliwie. - No już!

Kompletnie sparaliżowało mnie ze strachu. Muszę coś powiedzieć, wyjaśnić, ale moje usta odmawiają współpracy. Całe moje ciało odmawia współpracy.

- Samantha? - Trish przygląda mi się podejrzliwie. - Dobrze się czujesz?

Z ogromnym wysiłkiem udaje mi się na nią spojrzeć.

- Pani... Geiger... - chrypię ze zdenerwowania. - Muszę... muszę pani coś... powinnam to...

- Melisso! - przerywa mi Eddie, wbiegając do kuchni z szerokim uśmiechem na twarzy. - Melisso, kochanie! Chcą rozmawiać z tobą!

- Ze mną? - Melissa spogląda na niego zdumiona. - O czym wujek mówi?

- „Daily Mail” chce przeprowadzić z tobą wywiad! - Eddie spogląda na Trish, pękając z dumy. - Wiedziałaś o tym, że Melissa jest jednym z najbardziej utalentowanych prawników w kraju?

O nie. Tylko nie to.

- Co takiego? - Trish niemal upuszcza książką o wyprawianiu przyjęć.
 - To właśnie powiedzieli! - kiwa głową Eddie. - Że być może wyda się nam to zaskakujące, ale gościmy pod naszym dachem jedną z najlepszych prawniczek w kraju. Oczywiście odrzekłem, że to nonsens! - obejmuje Melisę. - Zawsze wiedziałem, że jesteś prawdziwą gwiazdą.
 - Pani Geiger - wtrącam pospiesznie, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi.
 - Pewnie chodzi o tę nagrodę, którą zdobyłam na uniwersytecie! Skądś się o tym dowiedzieli! - Melissa oddycha ciężko. - O mój Boże! „Daily Mail”!
 - Chcą również zrobić ci kilka zdjęć! - wtrąca Eddie. -Prosili o wyłączność!
 - Muszę się umalować! - Melissa wygląda na kompletnie wytraconą z równowagi. - Jak wyglądam?
 - Proszę - Trish otwiera swoją torebkę. - Tusz do rzęs... szminka...
- Muszę to przerwać, jakoś do nich przemówić.
- Panie Geiger... - chrząkam głośno. - Czy jest pan pewien, że pytali o Melisę z nazwiska?
 - Nie musieli! - spogląda na mnie z błyskiem w oku. -Mamy tylko jednego prawnika w tym domu!
 - Zrób nam kawy, Samantha - instruje mnie ostro Trish. -Podaj ją w różowych filiżankach. Szybko! Umyj je przedtem.
 - Problem w tym, że... ja... ja mam państwu coś do powiedzenia.
 - Nie teraz, Samantha! Szybko, umyj te filiżanki! - Trish rzuca w moją stronę gumowe rękawiczki. - Naprawdę, nie mam pojęcia, co się z tobą dzisiaj dzieje...
- Nikt nie zwraca uwagi na to, co mówię. Wszyscy patrzą na Melisę.
- Jak wyglądam? - Melissa przygląda włosy.
 - Ślicznie, kochanie! - Trish pochyla się ku niej. - Trochę więcej szminki... będziesz wyglądała naprawdę cudownie...
 - Czy jest już gotowa do rozpoczęcie wywiadu?

Od strony drzwi do kuchni dobiega głos nieznajomej kobiety. Wszyscy zamierają z podniecenia.

- Proszę do środka! - Eddie otwiera drzwi, za którymi stoi ciemnowłosa kobieta w średnim wieku, ubrana w spodnie. Natychmiast omiata wzrokiem wewnątrz.

- Oto nasza gwiazda! - Eddie wskazuje na Melissę z dumnym uśmiechem na twarzy.

- Witam. - Melissa odrzuca włosy do tyłu, a potem robi krok do przodu, wyciągając rękę do nieznajomej. - Jestem Melissa Hurst.

Dziennikarka spogląda na nią nierozumiejącym wzrokiem.

- Nie ona - mówi wreszcie. - Ona - pokazuje na mnie. W pełnej zdumienia ciszy wszyscy wpatrują się we mnie.

Oczy Melissy zwęziły się w podejrzliwe szparki. Geigerowie wymienili spojrzenia.

- To jest Samantha - mówi wreszcie Trish, wyraźnie skonsternowana. - Nasza gosposia.

- Samantha Sweeting, prawda? - Kobieta wyciąga notatnik. - Czy mogę zadać pani kilka pytań?

- Chce pani przeprowadzić wywiad z pomocą domową? - Melissa wybucha sarkastycznym śmiechem.

Dziennikarka kompletnie ją ignoruje.

- Jest pani Samantha Sweeting, prawda? - powtarza.

- Ja... tak - przyznaję w końcu, czerwona jak burak. - Ale nie chcę udzielać żadnych wywiadów, nie mam nic do powiedzenia.

- Nic do powiedzenia? - Trish przygląda mi się nierozumiejącym wzrokiem. - Nic do powiedzenia na jaki temat?

- O co chodzi, Samantho? - Eddie wygląda na zaniepokojonego. - Wpadłaś w jakieś kłopoty?

- Nie powiedziała im pani? - Dziennikarka spogląda na mnie sponad notatnika. - Nie mają o niczym pojęcia, tak?

- Nie powiedziała nam o czym? - pyta zdenerwowana Trish. - O czym?

- Jest nielegalną imigrantką! - rzuca triumfalnie Melissa. - Wiedziałam! Zawsze wiedziałam, że było coś...

- Wasza „gosposia” jest jednym z najlepszych prawników z City. - Kobieta kładzie na stół egzemplarz brukowca. -I właśnie odrzuciła ofertę pracy jako wspólnik firmy Carter Spink oraz sześciocyfrową pensję, żeby dla was pracować. Zupełnie jakby w kuchni wybuchł granat. Eddie zatacza się do tyłu, Trish chwije się na swoich wysokich obcasach i chwyta się krzesła dla utrzymania równowagi. Twarz Melis-sy wygląda jak przekłuty balonik.

- Chciałam wam powiedzieć... - przygryzam wargę, spoglądając na ich twarze. - Właśnie zamierzałam...

Trish wpatruje się wytrzeszczonymi oczami w nagłówek, na przemian otwierając i zamykając usta, ale nie mówi ani słowa.

- Jesteś... prawniczką? - Niemal się krztusi.

- To jakaś pomyłka! - Policzki Melissy przybrały najgłębszy odcień purpury. - To ja jestem prawniczką. To ja dostałam nagrodę w szkole! Ona jest sprzątaczką!

- Ona dostała trzy nagrody w szkole. - Dziennikarka wskazuje na mnie głową. - I najwyższe wyróżnienie za pracę dyplomową.

- Ale... - Melissa robi się coraz bardziej czerwona - to niemożliwe.

- Najmłodszy wspólnik w Carter Spink... - Dziennikarka sprawdza swoje notatki. - Prawda, panno Sweeting?

- Nie! - odpowiadam. - To znaczy... w pewnym sensie. Czy ktoś ma ochotę na herbatę? - dodaję desperacko.

Nikt jednak nie jest zainteresowany piciem. Prawdę mówiąc, Melissa wygląda, jakby za chwilę miała zwymiotować.

- Czy mieliście pojęcie, że wasza gosposia ma iloraz inteligencji 158? - Dziennikarkę najwyraźniej bawi ta sytuacja.

-Jest właściwie geniuszem.

- Zawsze wiedzieliśmy, że jest inteligentna! - rzuca obronnym tonem Eddie. - Od razu to zauważyliśmy! Pomagaliśmy jej z... - przerywa, z głupią miną - z jej kursem angielskiego.

- Za co jestem niezmiernie wdzięczna! - wtrącam pospiesznie. - Naprawdę!
Eddie ociera czoło ściereczką. Trish nadal trzyma się kurczowo krzesła, jakby miała zaraz upaść.
- Nie rozumiem. - Eddie spogląda na mnie, odkładając nagle ręczniczek. - Jakim cudem udało ci się połączyć pracę gospodyni domowej z pracą prawnika?
- No właśnie! - wykrzykuje Trish, jakby budząc się ze stuporu. - Jakim cudem zdołałaś być prawniczką w City i nadal znaleźć wystarczająco dużo czasu na trening u Miche-la de la Roux de la Blanc?
- O Boże. Oni ciągle nie rozumieją?
- Tak naprawdę wcale nie jestem gospodynią domową -rzucam zdesperowana. - Nie jestem dyplomowaną kucharką. Michel de la Roux de la Blanc nie istnieje. Nie mam pojęcia, jak nazywa się naprawdę ten przedmiot. - Biorę do ręki leżącą z boku ubijaczkę. - Jestem... oszustką. - Nie mogę im spojrzeć w oczy. Nagle czuję się okropnie. - Zrozumiem, jeżeli państwo zechcecie, żebym odeszła - mamroczę. - Podjęłam tę pracę, oszukując państwa.
- Odejść? - Trish wygląda na przerażoną. - Nie chcemy, żebyś odchodziła, prawda, Eddie?
- Absolutnie nie. - Twarz Eddiego przybiera odcień czerwieni strażackiej. - Spisywałaś się doskonale, Samantho. Nic przecież nie poradzisz na to, że jesteś prawnikiem.
- „Jestem oszustką” - powtarza dziennikarka, zapisując coś uważnie w swoim notatniku. - Czuje się pani winna z tego powodu, panno Sweeting?
- Proszę przestać! - wołam. - Nie zamierzam udzielać wywiadu.
- Panna Sweeting twierdzi, że woli czyścić toalety niż być współnikiem w firmie Carter Spink - cytuje dziennikarka, zwracając się do Trish. - Czy mogłabym zobaczyć rzeczony pomieszczenia?
- Nasze toalety? - Na policzkach Trish pojawiają się różowe plamy. Spogląda na mnie niepewnie. - Jeszcze nie skoń-

czyliśmy remontu łazienek. Całe wyposażenie kupiliśmy od Royal Doultona1...

- Ile ich państwo macie? - pyta dziennikarka znad notatnika.

- Proszę natychmiast przestać! - Chwytam się za głowę. -Ja... ja złożę oświadczenie dla prasy, a potem chcę, żebyście wszyscy zostawili w spokoju mnie i moich pracodawców.

Wybiegam pospiesznie z kuchni i otwieram drzwi wejściowe do domu. Tuż za mną drepcze dziennikarka z „Daily Mail”. Na zewnątrz, za bramą, nadal tłoczą się pozostali fotoreporterzy. Może to tylko moja wyobraźnia, ale jest ich więcej niż przedtem.

- Och, nasza Martina - rzuca sarkastycznie mężczyzna w ciemnych okularach, kiedy zbliżam się do bramy.

Ignoruję go.

- Panie i panowie, proszę o uwagę - zaczynam. - Proszę wszystkich bardzo, byście zostawili mnie w spokoju. Nie mam dla was żadnej sensacyjnej historii.

- Zamierza pani pozostać gosposią? - pyta grubas w dżinsach.

- Tak, zamierzam - unoszę brodę. - Jest to moja decyzja, podjęta z powodów osobistych. Jestem tu bardzo szczęśliwa.

- Co z feminizmem? - pyta młoda dziewczyna. - Przez lata kobiety walczyły o równouprawnienie, a teraz mówi im pani, że powinny wrócić do kuchni?

- Niczego nie mówię współczesnym kobietom! - odpowiadam, zaskoczona. - Po prostu chcę mieć prawo do własnego życia.

- Uważa pani, że nie ma nic złego w tym, że niektóre kobiety całe życie spędzają przy garach? - pyta siwowłosa kobieta.

- Nie! - odpowiadam zaniepokojona. - To znaczy tak!

330

1Jeden z największych na świecie producentów i dystrybutorów porcelany angielskiej, posiadającej tzw. Królewską Gwarancję.

Myśle... - moja odpowiedź tonie w nawałnicy pytań i błysków fleszów.

- Czy Carter Spink był seksistowską firmą?

- Czy to wybieg, żeby uzyskać więcej od rady nadzorczej?

- Czy sądzi pani, że kobiety powinny robić karierę?

- Chcielibyśmy zaoferować pani kolumnę w naszym czasopiśmie. Udzielanie porad z zakresu gospodarstwa domowego - rzuca radosna blondynka w niebieskim berecie. - Chcemy ją zatytułować „Samantha podpowiada”.

- Co takiego? - Wpatruję się w nią osłupiała. - Nie mam żadnych porad!

- Może w takim razie przepisy? - Blondynka uśmiecha się beztrudnie. - Ulubione dania?

- Czy mogłaby nam pani pozować do zdjęcia w swoim fartuszu? - pyta grubas z lubieżnym mrugnięciem.

- Nie! - odpowiadam przerażona. - Nie mam nic więcej do powiedzenia! Bez komentarza. Proszę odejść!

Ignoruję okrzyki i nawoływania. Odwracam się i uciekam na drżących nogach do domu. Świat zupełnie oszalał.

Wpadam do kuchni, gdzie Trish, Eddie i Melissa czytają jak zaczarowani gazetę.

- Tylko nie to - mówię zrezygnowana. - Proszę tego nie czytać. Naprawdę, tp tylko... głupi... brukowiec...

Cała trójka spogląda na mnie, jakbym była przybyszem z kosmosu.

- Pobierasz... 500 funtów za godzinę? - Trish nie jest w stanie zapanować nad swoim głosem.

- Zaproponowali ci posadę wspólnika z pełnym prawem do dywidendy? - Melissa jest zielona na twarzy. - A ty odmówiłaś? Oszalałaś?

- Nie czytajcie tego artykułu! - Próbuję wyrwać im gazetę. - Pani Geiger, ja po prostu chcę pracować jak zwykle.

Nadal jestem państwa gosposią...

- Jesteś jedną z najbardziej utalentowanych prawniczek

324

w naszym kraju! - Trish stuka histerycznie w artykuł. - Tak o tobie napisali!

- Samantha? - Ktoś puka do drzwi. Po chwili w kuchni pojawia się Nathaniel ze świeżo wykopanymi ziemniakami.
- Wystarczy na lunch?

Spoglądam na niego ogłupiała i czuję, jak mi się żołądek ściska. On nie ma o niczym pojęcia. Niczego nie wie. O Boże. Powinnam mu powiedzieć. Dlaczego tego nie zrobiłam? Dlaczego mu nie powiedziałam?

- A ty kim jesteś? - pyta Trish, spoglądając na niego płonącym wzrokiem. - Naukowcem światowej sławy? A może tajnym agentem rządowym?

- Co proszę? - Nathaniel rzuca mi pytające spojrzenie, ale nie potrafię wykrzesać uśmiechu.

- Nathanielu... - przerywam.

Nie jestem w stanie mówić dalej. Nathaniel patrzy na nas kolejno, coraz bardziej niepewny.

- Co się tu dzieje? - pyta wreszcie.

Nigdy w życiu nie spisałam się gorzej niż teraz, gdy opowiadam Nathanielowi całą historię. Jąkam się, zacynam, powtarzam te same zdania i ogólnie gadam cały czas o tym samym.

Nathaniel słucha w milczeniu. Opiera się o stary kamienny słup stojący tuż obok ławki, na której siedzę. Jesteśmy ukryci przed wszystkimi. Widzę jego twarz z profilu, ocienioną w popołudniowym słońcu. W żaden sposób nie umiem zgadnąć, co teraz myśli.

Wreszcie udaje mi się skończyć. Nathaniel powoli podnosi głowę. Jeżeli liczyłam na uśmiech, to się przeliczyłam.

Nigdy przedtem nie widziałam go tak wstrząśniętego.

- Jesteś prawnikiem - mówi wreszcie.

- Tak - kiwam głową ze wstydem.

- Myślałem, że byłeś w toksycznym związku - wyrzuca ramiona w powietrze. - Myślałem, że to dlatego nie chciałeś

mówić o swojej przeszłości. A ty pozwoliłaś mi w to wierzyć. Kiedy pojechałaś do Londynu, martwiłem się o ciebie jak cholera. Jezu!

- Przykro mi. - Kurczę się z poczucia winy. - Przepraszam. Ja... po prostu nie chciałam, żebyś poznał prawdę.

- Dlaczego? - odpowiada, a w jego głosie słyszę ból. -Dlaczego mi nie zaufałaś?

- To nie tak! - protestuję nieco przestraszona. - Oczywiście, że ci ufam! Chodziło o coś innego... - przerywam.

-Musisz to zrozumieć. Kiedy się poznaliśmy, jak mogłam ci to powiedzieć? Wszyscy wiedzą, że nienawidzisz prawników. Masz nawet ten napis w pubie: „Nie obsługujemy prawników!”.

- Ten napis to żart! - macha niecierpliwie dłonią.

- Nieprawda. Przynajmniej nie do końca. - Spoglądam mu prosto w oczy. - Daj spokój. Czy gdybym ci powiedziała na samym początku, że jestem prawnikiem z City, traktowałbyś mnie w ten sam sposób?

Nie odpowiada. Jest zbyt uczciwy, żeby udzielić mi prostej odpowiedzi. Wie równie dobrze, jak ja, że prawdziwa odpowiedź brzmi „nie”.

- Cały czas jestem tą samą osobą. - Pochylam się ku niemu i chwytam jego dłoń. - Nawet jeśli byłam prawnikiem... wciąż jestem sobą!

Przez chwilę nie mówi nic, po prostu wpatruje się w ziemię. Wstrzymuję oddech, pełna desperackiej nadziei. Wreszcie spogląda na mnie z niechętnym półuśmiechem.

- To co, ile weźmiesz za tę rozmowę?

Oddycham z wielką ulgą. Pogodził się z tym. Wszystko w porządku.

- Och, gdzieś w granicach tysiąca funtów - odpowiadam z pozorną beztroską. - Wyślę ci rachunek.

- Samantha Sweeting, specjalistka w zakresie prawa o przedsiębiorstwie - przygląda mi się oceniająco przez chwilę.

- Nie. Nie widzę tego.

- Ja też nie! Ta część mojego życia się skończyła. - Ściskam mocno jego dłoń. - Naprawdę mi przykro. Nigdy nie planowałam, żeby to wszystko się tak ułożyło.

- Wiem.

Odpowiada na mój dotyk i rozluźniam się z ulgi. Na moje kolana opada liść laurowy z drzewka rosnącego za moimi plecami. Podnoszę go i machinalnie pocieram, aby uwolnić słod-kawy zapach.

- Co teraz? - pyta Nathaniel.

- Nic. Niedługo prasa przestanie się mną interesować. Znudzą się. - Pochylam się i opieram głowę na jego piersi.

Czuję, jak obejmuje mnie ramionami. - Podoba mi się moja praca. Jestem szczęśliwa tu, w tej wiosce. Z tobą. Chcę, żeby wszystko pozostało tak, jak jest.

24

Jestem w błędzie. Prasa nie przestaje się mną interesować. Następnego poranka budzę się po to, aby ujrzeć przed bramą wjazdową dwa razy więcej dziennikarzy niż poprzedniego dnia. Stoją tam też dwie telewizyjne furgonetki. Kiedy schodzę na dół, niosąc tacę z brudnymi filiżankami po kawie, widzę Melisse, która oparta o parapet przygląda się temu.

- Cześć - mówi. - Widziałaś dziennikarzy?

- Tak. - Nie mogę się powstrzymać przed ponownym spojrzeniem. - To jakieś szaleństwo.

- To musi być trudna sytuacja. - Odrzuca włosy do tyłu i przez chwilę przygląda się swoim paznokciom. - Ale wiesz... jestem tu, gdybyś potrzebowała pomocy.

Przez moment mam wrażenie, że się przesłyszałam.

- Słucham?

- Jestem tu, gdybyś potrzebowała pomocy. - Melissa spogląda na mnie. - Jestem twoją przyjaciółką. Pomogę ci przez to wszystko przejść.

334

Jestem zbyt zaskoczona, żeby się nawet roześmiać.

- Melisso, nie jesteś moją przyjaciółką - odpowiadam na tyle uprzejmie, na ile potrafię.

- Właśnie że jestem! - mówi zupełnie niewzruszona. - Zawsze cię podziwiałam. Tak naprawdę od początku wiedziałam, że nie jesteś gosposią, ale kimś więcej.

Nie mogę w to uwierzyć. Jak może stać tu i zachowywać się tak bezczelnie?

- Co, nagle stałaś się moją przyjaciółką? - Nie staram się ukrywać swojego sceptycyzmu. - Oczywiście nie ma to nic wspólnego z tym, że dowiedziałaś się o moim prawdziwym zawodzie, tak? Ani z tym, że sama planujesz karierę prawnika?

- Zawsze cię lubiłam - odpowiada uparcie.

- Melisso, daruj sobie. - Spoglądam na nią naj surowiej jak potrafię i z satysfakcją widzę, jak jej uszy lekko czerwienieją. Niemniej wyraz jej twarzy pozostaje bez zmian.

Nie chcę tego przyznać, ale ta dziewczyna będzie kiedyś świetnym prawnikiem.

- Taaak... a więc rzeczywiście chcesz mi pomóc? - mówię wreszcie, marszcząc brwi z namysłem.

- Jasne! - Kiwa głową, a w jej oczach widzę isierki podniecenia. - Mogłabym działać jako negocjator w rozmowach z firmą Carter Spink... albo mogłabyś mnie zatrudnić jako swoją rzeczniczkę...

- A może wzięłabyś to? - Ze słodkim uśmiechem wręczam jej tackę, którą niosłam. - Poza tym mam koszule do wyprasowania. Tylko bądź ostrożna przy kołnierzyku, dobrze?

Jej zagniewana mina jest dla mnie najlepszą nagrodą. Tłumiąc chichot, schodzę na dół do kuchni. Przy pokrytym gazetami stole siedzi Eddie. Spogląda na mnie, gdy wchodzę do środka.

- Jesteś we wszystkich gazetach - informuje mnie. - Spójrz.

Pokazuje mi dwustronicowy artykuł w „Sun”. Widnieje

w nim moje zdjęcie, nałożone na obrazek toalety. Ktoś dorysował mi szczotkę do czyszczenia ubikacji. „Wolę sprzątać toalety!” głosi wielki napis tuż koło mojej twarzy.

- O mój Boże. - Opadam na krzesło, wpatrując się w fotografię. - Dlaczego?!

- Jest sierpień. - Eddie przegląda „Telegraph”. - Nic innego nie ma w wiadomościach. Piszą tu, że padłaś ofiarą współczesnego, opętanego pracą społeczeństwa.

Odwraca gazetę, żebym mogła sama przeczytać mały artykuł, opatrzony tytułem: UTALENTOWANA PRAWNICZKA Z FIRMY CARTER SPLNK WYBIERA DOMOWĄ HARÓWKĘ PO PLOTKACH DOTYCZĄCYCH SKANDALU.

- Mówią tutaj, że jesteś „Judaszem” wszystkich kobiet, które robią karierę. - Za moimi plecami Melissa rzuca tackę na blat i chwyta do ręki „Heralda”. - Spójrz, ta felietonistka Mindy Malone jest naprawdę na ciebie wściekła.

- Wściekła? - powtarzam wstrząśnięta. - Dlaczego ktokolwiek miałby się na mnie gniewać?

- Za to w „Daily Mail” piszą, że próbujesz ocalić tradycyjne idee. - Eddie otwiera gazetę i czyta na głos - „Samantha Sweeting uważa, że kobiety powinny na powrót zająć się strzeżeniem ogniska domowego, dla własnego dobra i po to, aby uzdrowić nasze społeczeństwo”.

- Co takiego? Nigdy tego nie mówiłam! - Chwytam gazetę i z niedowierzaniem przeglądam tekst artykułu. - Dlaczego mają taką obsesję na moim punkcie?

- Taka pora roku - odpowiada Eddie i sięga po „Express”. - Czy to prawda, że w pojedynkę odkryłaś powiązania pracowników twojej firmy z mafią?

- Nie! - spoglądam na niego przerażona. - Kto tak powiedział?

- Nie pamiętam, gdzie to czytałem - mówi Eddie, przeglądając gazetę. - Tutaj jest zdjęcie twojej mamy. Przystojna kobieta.

- Mojej mamy? - Wpatruję się w niego z niepokojem.

- „Utalentowana córka uzdolnionej matki - odczytuje na głos Eddie. - Czy cena sukcesu była zbyt wysoka?"

O Boże. Mama mnie zabije.

- Zobacz, w tej jest ankieta. - Eddie otwiera kolejną gazetę. - „Samantha Sweeting: bohaterka czy wariatka? Zadzwoń albo wyślij wiadomość SMS-em". Podają też numer - sięga po telefon i marszczy brwi. - Na co mam głosować?

- Wariatka - podpowiada Melissa, chwytając słuchawkę. - Ja to zrobię.

- Samantho, ty już wstałaś?!

Podnoszę wzrok i widzę, że do kuchni wchodzi Trish z naręczem gazet pod pachą. Spogląda na mnie z tym samym wstrząśniętym do głębi wyrazem twarzy, jaki widziałam u niej wczoraj. Zupełnie jakbym była bezcennym dziełem sztuki, które nagle pojawiło się w jej kuchni.

- Właśnie o tobie czytałam!

- Dzień dobry, pani Geiger. - Odkładam „Daily Mail" i zrywam się z krzesła. - Co pani sobie życzy na śniadanie?

Może na początek kawa?

- Nie będziesz robiła kawy, Samantho! - odpowiada, najwyraźniej zdenerwowana. - Eddie, ty możesz zrobić kawę!

- Nie ma mowy! - sprzeciwia się Eddie.

- W takim razie... Melissa! - zarządza Trish. - Przygotuj nam dobrej kawy. Samantho, usiądźże wreszcie! Jesteś naszym gościem! - Wydaje z siebie wymuszony śmiech.

- Nie jestem waszym gościem - protestuję. - Jestem waszą gosposią!

Eddie i Trish wymieniają pełne zwątpienia spojrzenia. Co oni sobie myślą? Że zamierzam odejść?

- Nic się nie zmieniło - nalegam. - Nadal jestem waszą gosposią! Chcę po prostu wykonywać swoją pracę jak zwykle.

- Jesteś szalona - Melissa wywraca oczami ze wzgardą. - Widziałas, ile chcą ci zapłacić w Carter Spink?

- Nie zrozumiesz tego - odcinam się. - Pani Geiger, panie Geiger, wy mnie zrozumiecie. Mieszkając tutaj, wiele się

330

nauczyłam. Zmieniłam się jako człowiek i znalazłam satysfakcjonujący sposób życia. Tak, mogłabym zarabiać kupę pieniędzy jako prawnik w Londynie. Tak, mogłabym mieć doskonałą karierę i życie pod presją, ale to nie to, czego chcę. - Rozkładałam ramiona, wskazując na kuchnię. - To jest to, czego chcę. To jest to, co pragnę robić. Tutaj właśnie chcę być.

Chyba oczekuję, że Trish i Eddie wzruszą się moją małą przemową, ale oni wpatrują się tylko we mnie z totalnym niezrozumieniem, a potem spoglądają na siebie.

- Myślę, że mimo wszystko powinnaś rozważyć ich ofertę - mówi Eddie. - W gazecie piszą, że Carter Spink robi wszystko, żeby przekonać cię do powrotu.

- Nie obrazimy się, jeżeli odejdziesz - dodaje Trish, kiwając gorliwie głową. - Doskonale to zrozumiemy.

Czy to wszystko, co mają mi do powiedzenia? Nie cieszą się, że chcę zostać? Nie zależy im, żebym była ich gosposią?

- Nie chcę odchodzić! - mówię naburmuszona. - Chcę tu zostać i cieszyć się życiem o właściwym tempie.

- Rozumiem - odpowiada po chwili milczenia Eddie, a potem ukradkiem wykrzywia się pytająco do Trish.

Dzwoni telefon. Odbiera go Trish.

- Halo? - Słucha przez moment. - Tak, oczywiście, Mavis i Trudy. Do zobaczenia! - odkłada słuchawkę. - Dwoje więcej gości na lunch dobroczynny.

- Właśnie - spoglądam na zegarek. - Lepiej zajmę się przystawkami.

Kiedy wyciągam ciasto z lodówki, telefon dzwoni znowu.

- Jeżeli to kolejni chętni na lunch... - wzdycha Trish, odbierając. - Halo? - Słucha uważnie, a wyraz jej twarzy zmienia się stopniowo. Przykrywa dłonią słuchawkę - Samantha - syczy - czy chciałabyś wystąpić w reklamie telewizyjnej Toilet Ducka? Byłabyś w peruce adwokata i musiałabyś powiedzieć...

- Nie! - Cofam się z przerażeniem. - Oczywiście, że nie!

- Nigdy nie powinnaś odmawiać telewizji. - Eddie krę-

ci głową z dezaprobatą. - To mogła być dla ciebie wielka szansa.

- Nic podobnego! Nie chcę występować w żadnych reklamach! - Widzę, jak Eddie otwiera usta, dodaję więc szybko:
-Nie mam też ochoty udzielać wywiadów albo być czyimś wzorem do naśladowania. Chcę po prostu, żeby wszystko wróciło do normy.

Nic nie wraca do normy. Właściwie jest jeszcze bardziej nierealne niż przedtem.

Do lunchu otrzymuję kolejne propozycje wystąpienia w telewizji oraz jedną dotyczącą „gustownych” zdjęć dla czasopisma „Sun”, do których miałabym pozować w fartuszkach pokojówki. Trish udziela wyłącznego wywiadu dziennikarzowi „Maila”. Słuchacze stacji radiowej, której Melissa chciała koniecznie słuchać, dzwonili do rozgłośni, opisując mnie jako „antyfeministyczną kretynkę”, „nieudolną naśladowczynię Marthy Stewart” i „pasożyta żerującego na podatnikach, którzy zapłacili za moją edukację”. Z wściekłości omal nie dzwonię tam sama.

Zamiast tego jednak wyłączam po prostu radio i oddycham głęboko trzy razy. Jestem zdeterminowana, żeby nie dać się sprowokować. Mam na głowie co innego.

Na lunch charytatywny przybyło czternaścioro gości, którzy właśnie kłębą się na trawniku w ogrodzie. Muszę upiec tartinki grzybowe, doprawić sos szparagowy i upiec filety z łososia.

Bardzo chcę, żeby był tu teraz Nathaniel i uspokoił mnie, ale, niestety, pojechał do Buckingham po karpia koi, którego nagle zażyczyła sobie w stawie Trish. Podobno te ryby kosztują setki funtów i mają je wszystkie sławne osobistości. To idiotyzm. Nikt nigdy przecież nie zagląda do stawu.

Dzwonek do drzwi rozlega się dokładnie w chwili, gdy otwieram piekarnik. Wzdycham ciężko. Tylko nie to - kolejny gość. Rano kolejne cztery osoby zapowiedziały się z wizytą, co kompletnie zdeorganizowało moje plany.

Nie wspo-

332

minam nawet o dziennikarce z „Mirrora”, która przybyła tu w różowym kostiumie z kwiecistym nadrukiem i usiłowała wmówić Eddiemu, że jest nowa w wiosce.

Wkładam tartinki do piekarnika, zbieram resztki ciasta i zaczynam wycierać wałek do ciasta.

- Samantha? - Trish puka do drzwi. - Mamy kolejnego gościa!

- Jeszcze jednego? - Odwracam się, wycierając mąkę z policzka. - Ale ja już włożyłam przystawki do piekarnika...

- To twój przyjaciel. Mówi, że musi z tobą pilnie porozmawiać. W sprawach służbowych? - Trish unosi znacząco brwi i odsuwa się. Zamieram w pół ruchu, zaskoczona.

To Guy. W kuchni Trish. Ubrany w swój nieskazitelny garnitur z Jermyn Street² i koszulę z wykrochmalonymi mankietami. Wpatruję się w niego oniemiała, z kompletnym osłupieniem. Sądząc po jego wyrazie twarzy, też go zatkało.

- O mój Boże - mówi wreszcie powoli, przyglądając się mojemu fartuszkowi i umączonym rękom. - Ty naprawdę jesteś gosposią.

- Tak - unoszę dumnie brodę. - Naprawdę nią jestem.

- Samantha... - rzuca Trish z progu. - Nie chciałabym przerywać, ale... przystawki za dziesięć minut?

- Oczywiście, pani Geiger. - Dygam automatycznie, kiedy wychodzi. Guy niemal przewraca się z wrażenia.

- Ty dygasz?

- To rzeczywiście był drobny błąd - przyznaję. Chwytam jego zde gustowane spojrzenie i czuję, jak wzbiera we mnie chichot. - Guy, co ty tutaj robisz?

- Przyjechałem, żeby przekonać cię do powrotu. Oczywiście. Powinnam się domyślić.

- Nie zamierzam wracać. A teraz przepraszam. - Sięgam po miotłę i szufelkę. Zaczynam zmiatać z podłogi mąkę i resztki ciasta. - Uważaj!

340

²Londyńska ulica, która od 150 lat uchodzi za światowe centrum mody męskiej.

- Ach, tak, przepraszam. - Niezgrabnie usuwa mi się z drogi.

Wrzucam śmieci do kosza, po czym wyciągam z lodówki sos szparagowy, wlewam go do garnka i ustawiam na wolnym ogniu. Guy przygląda mi się speszony.

- Samantho - mówi, kiedy odwracam się w jego stronę. -Musimy porozmawiać.

- Jestem zajęta. - Minutnik brzęczy przeraźliwie. Otwieram dolną część piekarnika i wyciągam stamtąd bułeczki z czosnkiem i rozmarynem. Na ich widok czuję przyływ dumy. Są złotobrazowe i wydzielają delikatny ziołowy zapach. Nie mogę się powstrzymać i zjadam jedną, drugą podaję Guyowi.

- Sama je zrobiłaś? - pyta zaskoczony. - Nie wiedziałem, że potrafisz gotować.

- Nie potrafiłam, ale się nauczyłam. - Znów sięgam do lodówki, wyciągam niesolone masło, odkrajam spory kawałek i wrzucam do perkoczącego sosu. Potem rzucam spojrzenie Guyowi, który stoi obok stojaka ze sprzętem kuchennym. -Możesz mi podać trzepaczkę?

Guy spogląda bezradnie za siebie.

- Która to?

- Nie przejmuj się. Sama sobie wezmę.

- Mam dla ciebie ofertę pracy - mówi Guy, kiedy chwytam trzepaczkę i zaczynam ubijać sos. - Myślę, że powinnaś się jej przyjrzeć.

- Nie jestem zainteresowana. - Nawet nie podnoszę głowy.

- Nie widziałaś tego jeszcze. - Guy sięga do wewnętrznej kieszeni i wyciąga białą kopertę. - Proszę, spójrz.

- Nie jestem zainteresowana! - odpowiadam ostro. - Nie rozumiesz? Nie chcę wracać. Nie chcę być prawnikiem.

- Zamiast tego chcesz być gospożą.

Mówi to tak pogardliwie, że czuję ukłucie gniewu.

- Tak! - Rzucam trzepaczkę na blat. - Właśnie tak! Jestem tu szczęśliwa, zrelaksowana. Nie masz nawet pojęcia, jak to jest. Prowadzą zupełnie inne życie!

- Uhm, rzeczywiście. - Spogląda na miotłę. - Samantha, musisz wreszcie przejrzeć na oczy. - Wyciąga telefon z kieszeni. - Pewna osoba bardzo chce z tobą porozmawiać. - Wystukuje numer i spogląda na mnie. - Skontaktowałem się z twoją matką w sprawie całego tego zamieszania.

- Co takiego zrobiłeś? - wpatruję się w niego wstrząśnięta. - Jak śmiesz...

- Chcę tylko dla ciebie jak najlepiej. Ona też. Witaj, Jane - mówi do słuchawki. - Jestem tu z nią. Przekażę jej telefon. Nie mogę w to uwierzyć. Przez chwilę mam ochotę wyrzucić komórkę Guya przez okno. Ale nie robię tego. Poradzę sobie z tym.

- Cześć, mamó. - Odbieram komórkę od Guya. - Dawno nie rozmawialiśmy.

- Samantha. - Jej głos jest tak samo lodowaty, jak przy ostatniej rozmowie, ale tym razem jakimś cudem nie tężeję ze strachu i nie zaczynam się denerwować. Nie może mi mówić, co mam robić. Nie ma w ogóle pojęcia o moim życiu.

- Co ty sobie wyobrażasz? Co ty wyprawiasz? Pracujesz jako jakaś pomoc domowa?

- Tak, mamó. Jestem gosposią. Przypuszczam, że chcesz, bym wróciła do zawodu prawnika, tak? Cóż, trudno, bo jestem tu szczęśliwa i nie zamierzam tego zmieniać. - Kosztuję sosu szparagowego i dodaję nieco soli.

- Zapewne uważasz, że twoja nonszalancja jest niesłychanie zabawna - odpowiada sucho. - Chodzi o twoje życie, Samantha. Twoją karierę. Wydaje mi się, że nie pojmujesz w pełni...

- To ty nie pojmujesz! Nikt z was nie potrafi tego zrozumieć! - Rzucam gniewne spojrzenie Guyowi, a potem wyłączam gaz i zestawiam sos z palnika. - Mamó, nauczyłam się tu, że można prowadzić całkiem inne życie. Pracuję w dzień, potem kończę... i to wszystko. Jestem wolna. Nie muszę zabierać niczego do domu. Nie muszę trzymać mojego palmtopa włączonego dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni

w tygodniu. Mogę iść do pubu, robić plany na weekend, pójść do ogrodu i pobyczyć się tam przez pół godziny... i nic się nie dzieje. Wreszcie nie czuję tej ustawicznej presji. Nie jestem już zestresowana i dobrze się z tym czuję. - Sięgam po szklanę, nalewam do niej wody, upijam spory łyk i wycieram usta. - Przykro mi, ale się zmieniłam. Mam przyjaciół i chcę należeć do tutejszej społeczności. Tu jest jak... u Waltonów.

- U Waltonów? - pyta zdumiona. - Są tam jakieś dzieci?

- Nie! - wykrzykuję sfrustrowana. - Niczego nie rozumiesz! Po prostu wszystkim tutaj... zależy na sobie. Na przykład kilka tygodni temu zorganizowali mi tu najwspanialsze przyjęcie urodzinowe w moim życiu.

Zapada cisza. Zastanawiam się, czy dotknęłam wrażliwego miejsca. Może poczuje się winna... może zrozumie...

- To zastanawiające - odzywa się wreszcie zjadliwie. - Miałaś urodziny dwa miesiące temu.

- Wiem - wzdycham. - Posłuchaj, mamo. Podjęłam decyzję. - Alarm w piekarniku zaczyna pikać. Sięgam po rękawicę kuchenną. - Muszę kończyć.

- Samantha, jeszcze nie skończyłyśmy rozmowy! - rzuca wściekłym tonem.

- Owszem, skończyłyśmy! - Rozłączam się, ciskam telefon na stół i oddycham głęboko. Mimo wszystko jestem nieco roztrzęsiona. - Wielkie dzięki, Guy - mówię. - Masz jeszcze jakieś inne miłe niespodzianki?

- Samantha... - rozkłada bezradnie ramiona. - Próbowałem jakoś do ciebie dotrzeć...

- Nie trzeba do mnie docierać. - Odwracam się. - A teraz przepraszam, ale mam pracę. Za to mi płacą.

Otwieram piekarnik i wyciągam tacki pełne tartinek. Zaczynam przekładać je na małe, ogrzane talerzyki.

- Pomogę ci - ofiaruje się Guy.

- Nie możesz mi pomóc - krzywię się.

- Oczywiście, że mogę. - Ku mojemu zdumieniu ściąga marynarkę, podwija rękawy i wkłada fartuszek w wisienki.

-Co mam robić?

Nie mogę się powstrzymać od zduszonego chichotu. Wygląda przezabawnie.

- No dobrze. - Wręczam mu tacę. - Możesz mi pomóc roznosić przystawki.

Ruszamy do jadalni z tartinkami grzybowymi i bułeczkami. Kiedy wchodzimy do przystrojonego białym jedwabiem pokoju, gwar rozmów cichnie nagle i czternaście polakiero-wanych, ufarbowanych czupryn odwraca się w naszym kierunku. Goście Trish siedzą przy stole, popijając szampana. Każda z kobiet ma na sobie kostium w innym pastelowym kolorze. Zupełnie jakbyśmy znaleźli się w środku palety kolorów Duluxa.

- A to jest Samantha! - oświadcza Trish, której policzki przybrały odcień intensywnego różu. - Wszyscy znacie Sa-manthę, naszą gosposię... a także czołowego prawnika w naszym kraju!

Ku mojemu zażenowaniu goście zaczynają klaskać.

- Widzieliśmy cię w gazetach - mówi kobieta w kremowym kostiumie.

- Muszę z tobą porozmawiać - inna, w niebieskim wdzianku, pochyla się ku mnie ze skupionym wyrazem twarzy. - Chodzi o mój rozwód.

Chyba po prostu będę udawać, że tego nie słyszałam.

- A to jest Guy, który dziś będzie mi pomagał - mówię, serwując tartinki.

- I który jest przy okazji współnikiem w Carter Spink - dodaje z dumą Trish.

Widzę, jak goście wymieniają pełne szacunku spojrzenia. Starsza kobieta siedząca u szczytu stołu spogląda na Trish zdumiona.

- Czy cała twoja służba to prawnicy?

- Nie cała - odpowiada Trish niedbale, upijając spory łyk szampana. - Ale sama rozumiesz, po zatrudnieniu prawniczki wyedukowanej w Cambridge nie można obniżać poziomu.

- Skąd ty ich bierzesz? - pyta z zainteresowaniem rudowłosa kobieta. - Jest od tego jakaś specjalna agencja?

- Tak. Nazywa się „Gosposie Oxbridge” - mówi Guy, stawiając przed nią talerzyk z tartinką. - Bardzo selektywna. Tylko najlepsi mogą tam aplikować.

- Mój Boże! - Rudzielec wpatruje się w niego z podnieceniem.

- Ja z kolei studiowałem w Harvardzie, więc należę do Agencji „Pomoc z Harvardu”. Nasze motto brzmi: „Dlatego właśnie wybrałeś Ligę Bluszczową³”. Prawda, Samantha?

- Zamknij się - mamroczę. - Po prostu serwuj jedzenie. Wreszcie kończymy serwować przystawki i wycofujemy się do kuchni.

- Bardzo śmieszne. - Odstawiam tacę ze szczękiem. -Ależ ty jesteś dowcipny.

- Do diabła, Samantha. Chcesz, żebym traktował to wszystko poważnie? Jezu Chryste! - Zdejmuje fartuszek i rzuca go na stół. - Podawanie jedzenia bandzie pustogłowów i pozwalanie, by traktowali cię protekcjonalnie.

- Mam robotę - odpowiadam sucho, otwierając piekarnik, żeby sprawdzić łososia. - Jeżeli nie zamierzasz mi pomagać...

- To nie jest praca, którą powinnaś wykonywać! - wybucha nagle. - Samantha, to jakaś pieprzona karykatura. Masz więcej w głowie niż ktokolwiek w tamtym pokoju i nadal im usługujesz? Dygasz przed nimi? Czyścisz ich toalety? W jego głosie jest tyle ognia i emocji, że odwracam się zdumiona. Ma zaczerwienioną twarz i nie dostrzegam na niej ani krzty ironii.

- Samantha, jesteś jedną z najgenialniejszych kobiet, jakie znam - ciągnie chropowatym z gniewu głosem. - Masz najwspanialszy prawniczy umysł, jaki mógł się pojawić na tym świecie. Nie mogę pozwolić ci tak po prostu zaprzepaścić swojego życia dla tego... tego naiwnego szajsu!

Wpatruję się w niego rozszereżona.

338

³Ivy League, inaczej Stara Ósemka, stowarzyszenie ośmiu najbardziej elitarnych uniwersytetów amerykańskich. Nazwa pochodzi od bluszczu oplatającego stare budynki.

- To nie jest żaden naiwny szajs! Tylko dlatego, że nie „wykorzystuję mojego stopnia naukowego”, tylko dlatego, że nie tkwię w jakimś biurze, marnuję sobie życie? Guy, jestem szczęśliwa. Cieszę się życiem tak, jak nigdy przedtem. Lubię gotowanie. Lubię prowadzenie gospodarstwa domowego. Lubię zbieranie truskawek w ogrodzie...
- Żyjesz w świecie wyobraźni! - wykrzykuje. - To jest dla ciebie nowość! Cieszysz się tym, ponieważ nigdy wcześniej tego nie doświadczyłaś! Ale kiedyś to cię znudzi, nie rozumiesz?

Czuję nieprzyjemne łaskotanie wątpliwości, lecz ignoruję je.

- Nie, nie znudzi mi się. - Zdecydowanym ruchem mieszam sos szparagowy. - Kocham moje życie.

- Czy nadal będziesz je kochała, gdy przyjdzie ci sprzątać toalety przez dziesięć lat? Zejdź na ziemię. - Podchodzi do kuchenki, a ja odwracam się do niego plecami. - No dobrze, potrzebowałaś wakacji, odpoczynku. Rozumiem, w porządku, ale teraz powinnaś wrócić do rzeczywistości.

- To jest moja rzeczywistość - odcinam się. - Bardziej realna niż moje dotychczasowe życie.

Guy kręci głową.

- W zeszłym roku pojechaliśmy z Charlotte do Toskanii i tam wzięliśmy udział w kursie malowania akwarelami. Uwielbiałem to. Drzewa oliwne... zachody słońca... wszystko. - Przez chwilę wpatruje mi się intensywnie w oczy, a potem pochyla się ku mnie. - Nie oznacza to, że mam zostać jakimś cholernym malarzem tokańskim.

- To co innego! - Odwracam wzrok. - Guy, nie zamierzam wrócić do tego nawału pracy, tej całej presji i stresu.

Pracowałam siedem dni w tygodniu przez siedem cholernych lat...

- No właśnie! A gdy masz zostać za to nagrodzona, wycofujesz się? - Chwyta się za głowę. - Samantho, nie jestem pewien, czy rozumiesz sytuację, w jakiej się znajdujesz. Zaoferowano ci pozycję współnika z pełnym prawem do dywi-

dendy. Praktycznie możesz zażądać takiej pensji, jakiej sobie zażyczysz. Masz całkowitą kontrolę!

- Co takiego? - Spoglądam na niego zaintrygowana. - Co przez to rozumiesz?

Guy wypuszcza głośno powietrze z płuc i spogląda w górę, jakby przyzywał pomocy prawniczych niebios.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak źle cała ta sytuacja wygląda dla Carter Spink? W tym tygodniu mieliśmy najgorszą prasę od czasu skandalu Storesons w latach osiemdziesiątych.

- Nie planowałam tego - bronię się. - Nie prosiłam, żeby dziennikarze pojawiali się u moich drzwi...

- Wiem, ale zrobili to i reputacja naszej firmy bardzo na tym ucierpiała. W dziale zatrudnienia nie posiadają się z gniewu. Po wszystkich ich programach, dopieszczaniu, trosce, warsztatach dla stażystów ty mówisz całemu światu, że wolisz sprzątać toalety. - Parska śmiechem. - Ładny mi PR.

- Cóż, to prawda. - Znów dumnie unoszę brodę. - Naprawdę wolę sprzątać toalety.

- Przestań być taka uparta! - Guy wali w stół ze złością. -Przyłożyłaś Carter Spink nóż do gardła! Chcą, żeby cały świat mógł zobaczyć twój powrót do firmy. Zapłacą ci, ile chcesz! Jesteś szalona, jeżeli odrzucasz taką ofertę!

- Nie interesują mnie pieniądze - odcinam się. - Mam ich wystarczająco dużo...

- Nic nie rozumiesz! Samantho, jeżeli wrócisz, zarobisz tyle, że po dziesięciu latach będziesz mogła przejść na emeryturę! Ustawiona na całe życie. A wtedy możesz sobie zbierać truskawki w ogrodzie, myć podłogi czy robić cokolwiek, co cię bawi.

Automatycznie otwieram usta, żeby odpowiedzieć... ale nagle nie znajduję słów. Nie potrafię zwerbalizować myśli, przytrzymać ich w miejscu. Skaczą po mojej głowie, w kompletnym zagubieniu.

- Zasłużyłaś sobie na tę pozycję - mówi Guy już spokojniejszym tonem. - Zasłużyłaś sobie na nią, Samantho. Wykorzystaj ją.

340

Guy nie mówi ani słowa więcej na ten temat. Zawsze wiedział, kiedy należy zakończyć dyskusję. Powinien zostać adwokatem. Pomaga mi podać łososia, a potem przytula mnie i prosi, żebym zadzwoniła do niego, jak tylko będę miała czas przemyśleć sprawę. I odjeżdża, zostawiając mnie w kuchni sam na sam z moimi myślami.

Byłam tak przekonana co do swoich racji, tak pewna, a teraz...

Argumenty Guya rozbrzmiewają echem w mojej głowie i uderzają we właściwe nuty. Może rzeczywiście się łudzę. Może rzeczywiście to wszystko nowość i po kilku latach prostego życia przestanę być szczęśliwa, stanę się zgorzkniała i sfrustrowana. Nagle wyobrażam sobie siebie zmywającą podłogi, w nylonowej chustce na głowie, zameczającą ludzi zwierzeniami w stylu: „Kiedyś byłam radcą prawnym, wiecie?”.

Mam mózg i całe życie przede mną.

Guy ma rację. Zapracowałam sobie na tę pozycję. Zasłużyłam na nią.

Ukrywam twarz w dłoniach, opierając łokcie na stole, i słucham bicia własnego serca. Z każdym uderzeniem wydaje mi się zadawać pytanie: Co mam robić? Co mam robić?

Mimo to przez cały ten czas tylko jedna odpowiedź wydaje mi się możliwa. Racjonalna odpowiedź. Odpowiedź, która ma najwięcej sensu.

Wiem jaka, po prostu nie jestem jeszcze gotowa, aby ponieść jej konsekwencje.

Zajmuje mi to czas do szóstej wieczorem. Po zakończeniu lunchu sprzątam brudne naczynia. Goście Trish powędrowali do ogrodu, wypili herbatę i powoli rozjechali się do domów.

Wychodzę na zewnątrz, prosto w łagodny, balsamiczny wieczór. Nathaniel i Trish stoją nad stawem, u stóp Nathaniela widzę plastikowy pojemnik.

Kiedy się do nich zbliżam, czuję, jak coś zaczyna ścisnąć mnie w żołądku.

348

- To jest kumonryu - mówi Nathaniel, wyciągając coś z pojemnika w zielonej siatce. - Chce pani popatrzeć? Podchodzę bliżej i widzę, że w podbieraku tkwi ogromna, cętkowana ryba, łapiąc rozpaczliwie powietrze. Nathaniel podsuwa ją pod nos Trish, która odskakuje do tyłu z piskiem obrzydzenia.

- Zabierz to ode mnie! Wpuść ją do stawu!

- Zapłaciła pani za nią dwieście funtów. - Nathaniel wzrusza ramionami. - Myślałem, że zechce się pani przywitać. Rzuca mi rozbawione spojrzenie nad ramieniem Trish. Jakimś cudem udaje mi się uśmiechnąć w odpowiedzi.

- Wrzuc je do wody. - Trish otrząsa się z obrzydzeniem. -Przyjdę tu i przyjrzę się im z bliska, kiedy już będą pływały w stawie. - Z tymi słowy odwraca się na pięcie i rusza w kierunku domu.

- Wszystko w porządku? - Nathaniel spogląda na mnie. -Ja się udał wielki lunch dobroczynny?

- Nieźle.

- Słyszałaś już nowiny? - Wrzuca kolejną rybę do stawu. - Eamonn właśnie się zareczył! W przyszłym tygodniu wyprawia przyjęcie w pubie.

- To... to cudownie.

Zaschło mi w ustach. Dalej, po prostu mu powiedz.

- Wiesz, my też powinniśmy mieć staw z koi w naszej szkółce - mówi Nathaniel, wrzucając resztę ryb do wody.

-Wiesz, jaki jest zysk...

- Nathanielu, ja wracam - zamykam oczy, usiłując zignorować ukłucie bólu w piersi. - Wracam do Londynu.

Przez chwilę Nathaniel nie wykonuje żadnego ruchu. Potem, bardzo powoli odwraca się do mnie, wciąż z podbierakiem w dłoni. Z jego twarzy nie mogę wyczytać żadnych uczuć.

- Rozumiem - mówi.

- Wracam, żeby podjąć pracę prawnika. - Mój głos trzęsie się lekko. - Guy z mojej dawnej firmy był tu dziś i przekonał mnie... pokazał mi... pomógł mi zrozumieć... - przerywam i gestykuluję bezradnie.

342

- Zrozumieć co? - pyta Nathaniel, marszcząc lekko brwi. Nie uśmiechnął się. Nie powiedział: „Doskonały pomysł. Sam miałem to zasugerować”. Dlaczego nie chce mi tego ułatwić?

- Nie mogę być gosponią przez całe życie! - bronię się bardziej, niżbym chciała. - Jestem dyplomowanym prawnikiem! Mam głowę na karku.

- Wiem, że masz głowę na karku.

Teraz to on się broni. O Boże, chyba nie idzie mi najlepiej prowadzenie tej konwersacji.

- Zasłużyłam sobie na pozycję wspólnika. Z pełnym prawem do dywidendy. W firmie Carter Spink - spoglądam na niego, usiłując przekazać mu pozawerbalnie znaczenie tych słów. - To najbardziej prestiżowa... lukratywna... niesamowita... w ciągu kilku lat mogę zarobić wystarczająco dużo pieniędzy, żeby przejść na emeryturę!

Na Nathanielu najwyraźniej nie robi to wielkiego wrażenia. Spogląda na mnie niewzruszenie.

- Jakim kosztem?

- Co przez to rozumiesz? - Unikam jego spojrzenia.

- Kiedy się tutaj pojawiłaś, byłaś kłębkim nerwów. Wyglądałaś jak przerażony królik. Błada jak płótno, sztywna jak deska, wyglądałaś, jakbyś nigdy wcześniej nie widziała słońca, jakbyś nigdy nie zaznała przyjemności w życiu...

- Przesadzasz.

- Nie. Czy nie widzisz, jak bardzo się zmieniłaś? Przestałaś być taka nerwowa, taka przewrażliwiona. - Chwyta moje ramię, unosi je w górę i pozwala opaść. - Kiedyś twoja ręka została w gorze!

- W porządku, rzeczywiście trochę się rozluźniłam! - Wyrzucam w górę ramiona. - Wiem, że się zmieniłam. Uspokoiłam się, nauczyłam się gotować, prasować, nalewać piwo... i w ogóle świetnie się bawiłam. Ale to jest jak wakacje. Nie może trwać wiecznie.

Nathaniel potrząsa głową zrozpaczony.

- Więc po tym wszystkim zamierzasz tak po prostu wró-

cić, przejąć ster i zachowywać się, jak gdyby nigdy nic się nie stało?

- Tym razem będzie inaczej! Sprawię, żeby było inaczej. Będę utrzymywała równowagę.

- Kogo próbujesz oszukać? - Chwyta mnie za ramiona. -Samantho, czeka cię tam ten sam stres, ten sam styl życia... Czuję nagły przypływ gniewu na niego za to, że nie próbuje mnie zrozumieć, że nie stara się mnie wspierać.

- Przynajmniej próbuję czegoś nowego! - Słowa zaczynają się wylewać z moich ust. - Przynajmniej spróbowałam, jak to jest żyć inaczej!

- A co to ma oznaczać? - wyraźnie poruszony rozluźnia uścisk.

- A to, że ty nigdy nie spróbowałaś niczego nowego, Nathanielu! - Wiem, że zachowuję się jak rozhisteryzowana agresywna wariatka, ale nie mogę się powstrzymać. - Jesteś taki ograniczony! Mieszkasz w tej samej wiosce, w której się urodziłeś, prowadzisz rodzinny biznes, kupujesz szkółkę roślinną w pobliżu... praktycznie biorąc, jesteś jeszcze płodem. Zanim więc zaczniesz mnie pouczać na temat życia, sam spróbuj pożyć, dobrze?

Przerywam, dysząc. Nathaniel wygląda, jakbym go uderzyła. Mam ochotę odciąć sobie język.

- Ja... ja nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało - mamroczę. Odsuwam się kilka kroków, bliska płaczu. To nie tak się miało rozegrać. Nathaniel miał mnie wesprzeć, przytulić i powiedzieć, że podjęłam właściwą decyzję. Tymczasem stoimy tu, rozdzieleni nieprzebytą odległością, nawet na siebie nie patrząc.

- Myślałam o rozwinięciu skrzydeł - mówi wreszcie bezbarwnym głosem. - Jest taka szkółka ogrodnicza w Konwalii, którą strasznie chciałbym mieć. Fantastyczny teren, doskonały interes... ale nawet o tym nie pomyślałam. Nie chciałem pracować sześć godzin jazdy samochodem od ciebie - wzrusza ramionami. - Chyba masz rację. To dość ograniczony sposób myślenia.

Nie wiem, jak na to odpowiedzieć. Przez chwilą panuje cisza. Słyszymy tylko gruchanie gołębi gdzieś w głębi ogrodu. Nagle zauważam, jak piękny jest ten wieczór. Ostatnie promienie słońca prześwitują przez korony wierzby, a trawa pod moimi stopami pachnie wręcz oszałamiająco.

- Nathanielu... ja muszę wrócić - mówię drżącym głosem. - Nie mam wyboru. Przecież nadal możemy być ze sobą, ja i ty. Możemy sprawić, żeby wszystko się układało. Będziemy mieli wakacje... weekendy... wrócę na przyjęcie zaręczynowe Eamonna... nie zauważysz nawet, że mnie tu nie było!

Milczy przez chwilę, bawiąc się rączką wiadra. Kiedy w końcu spogląda na mnie, czuję gwałtowny, bolesny skurcz w sercu.

- Nieprawda - mówi cicho. - Zauważę.

25

Wiadomość o moim powrocie dostaje się na pierwszą stronę „Daily Mail”. Nagle staję się ważną osobistością. SA-MANTHA WYBIERA PRAWO ZAMIAST TOALET. Następnego dnia, kiedy wchodzę do kuchni, Trish właśnie wczytuje się w artykuł. Eddie studiuje inną gazetę.

- Zobacz, wydrukowali wywiad z Trish! - ogłasza dumnie.

- „*Zawsze wiedziałam, że Samantha nie jest przeciętną gospodynią*, mówi Trish Geiger, 37 lat - odczytuje zadowolona Trish. - *Często dyskutowaliśmy na tematy filozoficzne i etyczne podczas odkurzania*”.

Spogląda na mnie i wyraz jej twarzy natychmiast ulega zmianie.

- Samantho, dobrze się czujesz? Wyglądasz na wykończoną.

- Nie spałam zbyt dobrze - przyznaję i wstawiam czajnik. Tę noc spędziłam u Nathaniela. Nie rozmawialiśmy już

352

więcej o moim wyjeździe, ale o trzeciej nad ranem, kiedy spojrzałam na niego, on też nie spał. Wpatrywał się w sufit.

- Potrzebujesz dawki energii! - mówi zaniepokojona Trish. - To twój wielki dzień! Musisz wyglądać jak najlepiej!

- Będę - próbuję się uśmiechnąć. - Muszę się po prostu napić kawy.

Rzeczywiście, to będzie wielki dzień. Dział do spraw kontaktu z mediami w Carter Spink przystąpił do działania, jak tylko podjęłam decyzję o powrocie. Rozkręcił sprawę mojego powrotu do wielkiego wydarzenia prasowego. Przed domem Geigerów mam odbyć konferencję prasową, na której cały kraj się dowie, jaka jestem szczęśliwa z ponownej współpracy z firmą Carter Spink. Kilku wspólników uściśnie moją dłoń w blasku fleszy. Mam również udzielić kilku krótkich wywiadów, a potem wszyscy razem wrócimy pociągiem do Londynu.

- Spakowana? - pyta Eddie, kiedy wsypuję kawę do dzbanuszka.

- Właściwie tak. Pani Geiger... proszę. - Wręczam Trish mój fartuszek, który trzymałam przez cały ten czas pod pachą. - Wyprany i uprasowany, gotowy dla następnej gosposi.

Trish odbiera ode mnie uniform, jakby nagle coś ją zabolalo.

- Oczywiście - odpowiada drżącym głosem. - Dziękuję, Samantho. - Przykłada serwetkę do oczu.

- No już, już.

Eddie klepie ją po plecach. Sam też ma wilgotne oczy. O Boże, mnie też zbiera się na płacz.

- Jestem państwu naprawdę bardzo wdzięczna za wszystko - jękam się. - I przepraszam, że zostawiam państwa na lodzie.

- Nie chodzi o to. Wiemy, że podjęłaś właściwą decyzję. - Trish ociera oczy.

- Jesteśmy z ciebie bardzo dumni - dodaje chrapliwie Eddie.

- No, ale dosyć! - Trish zbiera się w sobie i upija nieco

kawy. - Zdecydowałam, że wygłoszę oświadczenie na konferencji prasowej. Jestem przekonana, że dziennikarze będą tego oczekiwali.

- Oczywiście - mówię nieco skonsternowana. - Dobry pomysł.

- W końcu stajemy się osobowościami mass mediów...

- Osobowościami mass mediów? - przerywa zdziwiony Eddie. - Nie jesteśmy żadnymi osobowościami mass mediów!

- Oczywiście, że jesteśmy! Wydrukowano wywiad ze mną w „Daily Mail”! - Trish lekko się zarumienia. - To może być dla nas początek. Jeżeli zatrudnimy właściwego rzecznika prasowego, możemy znaleźć się w reality show! Albo... reklamować campari!

- Campari? - oponuje Eddie. - Trish, ty nie pijesz campari!

- Ale mogłabym! - broni się Trish. - Poza tym mogą użyć kolorowanej wody...

U drzwi rozlega się dzwonek. Uśmiecham się i ruszam w kierunku korytarza, wygładzając szlafrok. Może to Nathaniel przyszedł życzyć mi powodzenia.

Kiedy jednak otwieram drzwi, widzę całą żeńską drużynę z działu PR w Carter Spink, wszystkie w identycznych garniturach.

- Samantho - Hilary Grant, szefowa działu, skanuje mnie wzrokiem - jesteś gotowa?

Zanim wybija dwunasta, wkładam czarny kostium, czarne rajstopy, buty na obcasach i najbielszą białą koszulę, jaką kiedykolwiek widziałam. Zajęli się mną profesjonalnie, zrobili mi makijaż i upięli włosy w kok. Hilary przywiozła ubranie, wizażystkę i fryzjera. Teraz siedzimy w salonie, a ona po raz milionowy tłumaczy, co mam powiedzieć dziennikarzom.

- Co jest najważniejsze? - dopytuje się.

- Nie wspominać o toaletach - odpowiadam zmęczona. - Obiecuję, że tego nie zrobię.

- A jeśli zapytają cię o przepisy kulinarne? - Odwraca

się do mnie z miejsca, w którym przechadzała się w tę i z powrotem.

- Odpowiem: „Jestem prawnikiem. Moim jedynym przepisem jest przepis na sukces”. - Jakimś cudem udaje mi się wypowiedzieć te słowa z kamienną twarzą.

Zapomniałam, jak bardzo poważnie podchodzą to tego wszystkiego. Ale w końcu to ich praca, poza tym cała sprawa była dla nich właściwie koszmarem. Od chwili przyjazdu Hilary była dla mnie uprzedzająco miła, ale mam wrażenie, że na jej biurku leży woskowa laleczka z moją twarzą i kilkoma porządnie wbitymi szpilami.

- Chcę się tylko upewnić, że nie powiesz niczego niestosownego. - Uśmiecha się do mnie ze skrywaną złością.

- Nie zrobię tego! Powiem wszystko tak, jak zostało ustalone.

- Po wszystkim dziennikarze z „News Today” pojedą za tobą do Londynu. - Sprawdza coś na swoim BlackBerry.

-Daliśmy im wyłączność na resztę dnia. Nie masz nic przeciwko temu?

- Cóż... chyba nie.

Nie mogę uwierzyć, jak poważna stała się ta sprawa. Wiadomości telewizyjne chcą poświęcić całą sekcję programu mojemu powrotowi do Carter Spink. Czy naprawdę nic ważniejszego nie dzieje się na całym świecie?

- Nie patrz w kamery. - Hilary nadal wyrzuca z siebie instrukcje. - Powinnaś być wesola i pozytywnie nastawiona.

Możesz powiedzieć coś o możliwości kariery, jaką otrzymałaś w Carter Spink, i o tym, jak bardzo cieszysz się na powrót do firmy. Nie wspominaj o swojej pensji...

Drzwi otwierają się i z korytarza dobiega głos Melissy:

- Czyli mogę zadzwonić do ciebie i opowiedzieć ci o moich planach zawodowych? A może wyskoczmy gdzieś na drinka?

- Oczywiście. To... znakomity pomysł. - W drzwiach pojawia się Guy i szybko zamyka je za sobą. - Kto to był, do diabła?

348

- Melissa - krzywię się. - Nawet nie pytaj.
- Mówi, że jest twoją protegowaną. Podobno nauczyłaś ją wszystkiego, co wie. - Uśmiecha się rozbawiony. - Chodziło jej o prawo korporacyjne czy pieczenie bułeczek?
- Ha, ha, ha - odpowiadam z politowaniem.
- Hilary, na zewnątrz jest jakieś zamieszanie - mówi Guy. - Jakiś dziennikarz się awanturuje.
- Do diabła! - Hilary spogląda na mnie. - Mogę cię na chwilę zostawić, Samantho?
- Naturalnie. - Staram się nie mówić tego zbyt żarliwie. -Poradzę sobie!

Kiedy wychodzi, oddycham z ulgą.

- Powiedz mi, jak się czujesz? - Guy unosi pytająco brwi. - Jesteś podekscytowana?
- Tak! - uśmiecham się.

Tak naprawdę czuję się nieco nierealnie, znów odziana w czarny kostium, otoczona ludźmi z Carter Spink. Nie widziałam Trish ani Eddiego od kilku godzin. Moja firma chyba zupełnie przejęła władzę nad domem.

- Podjęłaś właściwą decyzję, wiesz o tym? - mówi Guy.
 - Wiem. - Strącam kłaczek z koszuli.
 - Wyglądasz rewelacyjnie. Powalisz ich na kolana. - Przysiada na oparciu sofy naprzeciwko mnie i wzdycha. - Jezu, brakowało mi Ciebie, Samantho. Od kiedy odeszłaś, nic nie było już takie samo.
- Spoglądam na niego w milczeniu. Czy ma odrobinę poczucia ironii, czy tym również zajęli się w Harvardzie?
- Czyli co, znowu jesteś moim najlepszym przyjacielem, tak? - Nie mogę się powstrzymać od lekkiej drwiny. - Zabawne.

Wpatruje się we mnie zaskoczony.

- A co to ma znaczyć?
- Daj spokój, Guy. - Chce mi się śmiać. - Nie chciałeś mieć ze mną do czynienia, kiedy miałam kłopoty, a teraz nagle znowu jesteśmy kumplami?
- To niesprawiedliwe - odpowiada urażonym tonem. -

Zrobiłem dla ciebie wszystko, co mogłem. Walczyłem o ciebie na tamtym spotkaniu. To Arnold głosował za tym, żeby cię nie przyjmować. W tamtej chwili nie mieliśmy pojęcia, dlaczego...

- Niemniej nie chciałeś mnie przyjąć pod swój dach, prawda? - Uśmiecham się do niego ironicznie. - Twoja przyjaźń nie sięgała aż tak daleko.

Guy wygląda na szczerze urażonego. Przygląda włosy obiema rękoma.

- Czuję się okropnie z tego powodu. To nie ja, to Charlotte. Byłem na nią wściekły...

- Oczywiście, że byłeś.

- Naprawdę!

- Jasne - mówię sarkastycznie. - Pewnie pokłóciliście się strasznie i zerwaliście ze sobą.

- Tak - odpowiada Guy.

Zupełnie wytrąca mnie to z równowagi.

- Tak? - zachłystuję się.

- Rozstaliśmy się. - Wzrusza ramionami. - Nie wiedziałas?

- Nie! Nie miałam zielonego pojęcia! Przykro mi, ja naprawdę... - przerywam skonsternowana. - To... to nie było przeze mnie, prawda?

Guy nie odpowiada, wpatruje się tylko we mnie uważnie. W głębi duszy czuję nagłe uderzenie strachu.

- Samantho - mówi wreszcie, nie spuszczać ze mnie wzroku - zawsze czułem... - Wsadza ręce do kieszeni marynarki. - Zawsze uważałem, że ty i ja w jakiś sposób... straciliśmy szansę bycia ze sobą.

Nie. Nie. To się nie może dziać. Straciliśmy szansę bycia ze sobą? Teraz to mówi?

- Zawsze szczerze cię podziwiałem i czułem, że jest między nami iskra - waha się. - Zastanawiałem się, czy czułaś coś podobnego.

To jakiś koszmar. Ile razy wyobrażałam sobie, że słyszę

te słowa od Guya? Milion? Dwa? Ileż to razy wyobrażałam sobie, że patrzy na mnie tymi swoimi ciemnymi oczami? A teraz Guy rzeczywiście to robi, tyle że jest za późno. Wszystko się pokręciło.

- Samantha?

Nagle zdaję sobie sprawę, że wpatruję się w niego niczym zombi.

- Och, tak. - Zbieram się w sobie z wysiłkiem. - Cóż... tak. Może rzeczywiście kiedyś czułam to samo. - Bawię się rąbkiem spódnicy. - Problem w tym, że... poznałam kogoś. Od kiedy tu zamieszkałam.

- Ogrodnika - domyśla się Guy.

- Tak! - odpowiadam zaskoczona. - Skąd...

- Jacyś dziennikarze mówili o tym przed domem.

- Ach, no cóż, to prawda. Ma na imię Nathaniel - czuję, że się czerwienię. - Jest... jest naprawdę bardzo miły.

Guy marszczy brwi, jakby nie był pewien, co chce powiedzieć.

- Ale to tylko wakacyjny romans - rzuca wreszcie.

- Wcale nie! - odpowiadam nieprzyjemnie zaskoczona. - To związek. Myślmy o sobie poważnie.

- Zamierza się przeprowadzić do Londynu?

- On... nie. Nathaniel nie cierpi Londynu. Ale zorganizujemy to sobie.

Przez chwilę wpatruje się we mnie z niedowierzaniem, a potem odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

- Naprawdę jesteś naiwna, Samantha. Żyjesz z głową w chmurach.

- Co to ma znaczyć? - pytam rozsierdzona. - Zorganizujemy to. Jeżeli oboje będziemy tego chcieli...

- Nie jestem pewien, czy dobrze pojmujesz swoją sytuację. - Guy potrząsa głową. - Samantha, ty stąd odchodzisz.

Wracasz do Londynu, do rzeczywistości, do pracy. Uwierz mi, nie utrzymasz tej przelotnej wakacyjnej miłości.

- To nie była żadna wakacyjna miłośćka! - wykrzykuję z furją.

W tym momencie otwierają się drzwi i Hilary spogląda na Guya z niepokojem i podejrzliwością.

- Wszystko w porządku? - pyta.

- Tak - odwracam się od Guya. - W porządku.

- Doskonale! - Stuka w zegarek. - Czas zaczynać.

Mam wrażenie, jakby cały świat zwrócił oczy na posiadłość Geigerów. Kiedy wychodzę przed dom w towarzystwie Hilary i jej dwóch asystentek, na podjeździe stoi dobra setka ludzi. Rząd kamer telewizyjnych kieruje się na mnie, fotografowie i dziennikarze tłoczą się tuż za nimi. Wszędzie pełno jest pracowników działu PR z Carter Spink. Rozdają kawę pod namiotem, który wyrósł tu nagle jakby spod ziemi. Przy bramie widzę grupkę bywalców pubu, przyglądających się wszystkiemu ciekawie. Rzucam im pełen przerażenia uśmiech.

- Jeszcze kilka minut - mówi Hilary, rozmawiając przez telefon. - Czekamy na przedstawicieli „Daily Telegraph”.

Przy maszynie do cappuccino widzę Davida Elldridge'a i Grega Parkera. Obaj wystukują coś zawzięcie na swoich palmtopach. Dział PR chciał tu sprowadzić tak wielu współpracowników, jak się dało, jednak nikt inny nie mógł się pojawić. Szczerze powiedziawszy, i tak mieli szczęście, że zdołali ściągnąć aż dwóch. Ku swojemu najwyższemu zdumieniu widzę, że podchodzi do nich Melissa, ubrana w zgrabny beżowy garnitur i wręcza im... czy to życiorys?

- Witam! - zaczyna mówić. - Jestem dobrą przyjaciółką Samantha Sweeting i Guya Ashby'ego. Oboje doradzili mi, że powinnam złożyć podanie o przyjęcie mnie do Carter Spink.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Ależ ta dziewczyna ma tupet.

- Samantha. - Spoglądam w bok i widzę Nathaniela. Zbliży się do mnie zwirowaną ścieżką, z pochmurną twarzą i niespokojnym spojrzeniem. - Jak się czujesz?

- Ja... dobrze. - Przyglądam się mu przez kilka sekund. - Wiesz, to taki kołowrót.

Ściska moją dłoń, a ja przeplatam swoje palce z jego, tak

mocno, jak potrafię. Guy się myli. Ułożymy to sobie. Przetrywamy. Na pewno.

Czuję, jak gładzi mnie kciukiem, tak jak pierwszego wieczoru, który spędziliśmy razem. To taki nasz prywatny język, jakby jego skóra przemawiała do mojej.

- Przedstawisz mnie, Samantha? - zbliża się do nas Guy.

- To Guy - rzucam niechętnie. - Mój współpracownik z Carter Spink. A to Nathaniel.

- Cieszę się, że cię poznałem! - Guy wyciąga dłoń, którą Nathaniel musi uścisnąć. Puszczam mnie. - Dziękuję, że tak dobrze opiekowałaś się naszą Samantha.

Czy musi się zachowywać tak protekcyjnie? I co to ma oznaczać „nasza” Samantha?

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiada Nathaniel, spoglądając na niego spode łba.

- Rozumiem, że zajmujesz się ogrodem. - Guy rozgląda się po podjeździe. - Bardzo ładny. Dobra robota!

Widzę, jak Nathaniel zaciska pięści. Proszę, tylko go nie uderz. Nie uderz go. Ku mojej uldze widzę, jak przez bramę wchodzi Iris, przyglądając się dziennikarzom z zainteresowaniem.

- Zobacz! - rzucam pospiesznie do Nathaniela. - Twoja mama.

Macham do Iris. Ma na sobie kuse bawełniane spodnie, espadryle, włosy zaplotła w dwa warkocze, które upięła dookoła głowy. Podchodzi bliżej i przygląda się uważnie mojemu koczowi, czarnemu garniturowi i butom na wysokich obcasach.

- Mój Boże - mówi wreszcie.

- Wiem - śmieję się niepewnie. - Wyglądam trochę inaczej.

- Widzę, Samantha, że odnalazłaś swoją drogę. - Spogląda na mnie łagodnie.

- Tak - przetykam ślinę. - Odnalazłam. To właściwa droga, Iris. Jestem prawnikiem. Zawsze byłam. To znakomita okazja. Byłabym... byłabym głupia, gdybym jej nie wykorzystwała.

Iris kiwa głową, nie pokazując po sobie żadnych uczuć.

- Nathaniel mi o tym opowiedział. Jestem pewna, że podjęłaś właściwą decyzję - przerywa. - Zatem do zobaczenia, kurczaczku. I powodzenia. Będziemy za tobą tęsknić.

Kiedy nachylałam się, żeby ją przytulić, czuję nagle pod powiekami piekące łzy.

- Iris... nie wiem, jak ci dziękować - szepczę. - Za wszystko, co zrobiłaś.

- Sama tego dokonałaś. - Ścisła mnie mocno. - Jestem z ciebie bardzo dumna.

- Poza tym, to nie jest pożegnanie. - Wycieram oczy chusteczką, modląc się, żeby przy okazji nie rozmazać makijażu.

- Wrócę, zanim się zorientujesz, że mnie nie było. Zamierzam przyjeżdżać we wszystkie weekendy, i w ogóle, kiedy tylko będę mogła...

- Pozwól, że ja to zrobię.

Wyjmuje chusteczkę z mojej dłoni i wyciera mi oczy.

- Dzięki - uśmiecham się do niej niepewnie. - Ten makijaż musi wytrzymać cały dzień.

- Samantha? - woła do mnie Hilary, która stoi przy namiocie z kawą, rozmawiając z Davidem Elldridge'em i Gre-giem Parkerem. - Czy możesz tu podejść?

- Momencik! - odkrzykuję.

- Samantha, zanim odejdiesz... - Iris chwyta moje obie dłonie. Na jej twarzy maluje się niepokój. - Kochanie, jestem pewna, że robisz to, co dla ciebie najlepsze, ale pamiętaj, każdy ma tylko jedną młodość. - Przygląda się mojej dłoni, gładkiej i świeżej w porównaniu z jej rękami. - Tylko raz w życiu jest ci dane przeżyć te cenne lata.

- Zapamiętam - przygryzam wargę. - Obiecuję.

- Dobrze. - Klepie mnie lekko po dłoni. - A teraz już idź.

Podchodzę do stanowiska z kawą, ściskając mocno dłoń Nathaniela. Nasze palce są ciasno splecione. Za kilka godzin przyjdzie nam się pożegnać.

Nie. Nie mogę o tym myśleć.

Hilary wygląda na nieco zestresowaną.

- Masz swoje oświadczenie? - pyta. - Przygotowałam się.
- Tak. - Wyjmuję z jej dłoni złożoną kartkę. - Hilary, poznaj Nathaniela.
Hilary przygląda się mu bez zainteresowania.
- Witam - rzuca. - A teraz, Samantha, przejdźmy jeszcze raz przez wszystkie punkty. Odczytujesz oświadczenie, potem odpowiadasz na pytania, następnie masz sesję fotograficzną. Zaczynamy za trzy minuty. Moi asystenci właśnie rozdają pakiety prasowe... - nagle przygląda mi się uważniej. - Co się stało z twoim makijażem?
- Nic... po prostu zęgnalam się z kimś - mówię przeprasząc. - Nie jest przecież tak źle.
- Musimy cię umalować od nowa. - Jej głos trzęsie się ze złości. - Tylko tego brakowało. - Odchodzi, wołając jedną ze swoich asystentek.
Jeszcze trzy minuty. Trzy minuty i moje dawne życie rozpocznie się na nowo.
- Wrócę na przyjęcie Eamonna - mówię do Nathaniela, wciąż ściskając jego dłoń. - To zaledwie kilka dni. W piątek wieczorem przyjadę pociągiem, spędzę tu weekend...
- Nie następny weekend - wtrąca się Guy, posypując cappuccino czekoladą. Spogląda na nas. - Będziesz w Hongkongu.
- Co takiego? - pytam zgłupiała.
- W Samatronicie ucieszyli się niezwykle z twojego powrotu i poprosili, żebyś pracowała nad fuzją ich przedsiębiorstw. Jutro lecimy do Hongkongu. Nikt ci nie powiedział?
- Nie. - Wpatruję się w niego osłupiała. - Nikt mi o tym nie wspomniał.
Guy wzrusza ramionami.
- Myślałem, że wiesz. Pięć dni w Hongkongu, a potem Singapur. Mamy tam zdobyć nowych klientów. - Upija łyk kawy. - Musisz się zabrać do roboty, Samantha Sweeting, współniku dywidendowy. Nie możesz spocząć na laurach. Jeszcze nawet nie zaczęłam na dobre, a oni już mówią o spoczywaniu na laurach?

- W takim razie kiedy wrócimy? Guy znowu wzrusza ramionami.
- Za dwa tygodnie?
- Samantha! - woła Elldridge. - Czy Guy wspominał już o tym, że chcemy cię zabrać na polowanie we wrześniu? Jechdziemy wszyscy do Szkocji. Zapowiada się znakomita zabawa.
- Rozumiem. Tak, to brzmi doskonale - pocieram nos. - Problem w tym, że zamierzam mieć wolne weekendy... zachować nieco równowagi w swoim życiu...
Elldridge przygląda mi się zdumiony.
- Miałaś już przecież wakacje - rzuca jowialnie. - Czas wrócić do pracy. Musimy porozmawiać o Nowym Jorku.
- Klepie mnie po ramieniu i odwraca się do barmana. - Poproszę o jeszcze jedno espresso.
- Realistycznie rzecz biorąc, nie będziesz miała wolnego weekendu aż do Gwiazdki - mówi Guy. - Ostrzegałem cię.
- Unosi znacząco brwi i odchodzi, żeby porozmawiać z Hilary.
Zapada cisza. Nie wiem, co powiedzieć. Wszystko dzieje się zbyt szybko. Myślałam, że tym razem będzie inaczej, że zachowam nad swoim życiem więcej kontroli.
- Gwiazdka - powtarza w końcu Nathaniel, jakby rażony gromem.
- Nie - odpowiadam natychmiast. - To przesada. Nie będzie tak źle. Przearanżuję wszystko. - Pocieram czoło. - Posłuchaj, Nathanielu... wrócę przed Gwiazdką, obiecuję. Niezależnie od wszystkiego.
Dziwny grymas przebiega po jego twarzy.
- Nie zmieniaj tego w obowiązek.
- Obowiązek? - Wpatruję się w niego z niedowierzaniem. - Nie to miałam na myśli. Przecież wiesz.
- Dwie minuty! - Podchodzi do mnie Hilary w towarzystwie wizażystki, ale ignoruję ją.
- Nathaniel...
- Samantha! - warczy Hilary, usiłując odciągnąć mnie na bok. - Naprawdę nie mamy na to czasu!

- Powinnaś już iść. - Nathaniel wskazuje na nią głową. - Jesteś zajęta.

To okropne. Zupełnie jakby wszystko między nami uległo zniszczeniu. Muszę coś zrobić, znów nawiązać kontakt.

- Nathanielu, po prostu mi powiedz - proszę go trzęsącym się głosem. - Powiedz mi, zanim pójdę. Tamtego dnia na farmie... co wtedy powiedziałeś?

Nathaniel spogląda na mnie przez długą chwilę, a potem w jego oczach gaśnie coś, co przedtem widziałam.

- To było długie, nudne i skomplikowane. - Odwraca się z lekkim wzruszeniem ramion.

- Proszę, zrób coś z tymi smugami - mówi Hilary. - Czy mógłby się pan odsunąć? - rzuca ostro w stronę Nathaniela.

- Już się usuwam z drogi. - Nathaniel puszcza moją dłoń i odchodzi, zanim jestem w stanie zareagować.

- Nie stoisz mi na drodze! - wołam za nim, ale nie jestem pewna, czy mnie słyszy.

Wizażystka zaczyna poprawiać mi makijaż. Mój umysł pracuje na tak wysokich obrotach, że czuję się słabo. Nagle zniknęła gdzieś cała moja pewność siebie.

Czy robię właściwie?

O Boże. Czy podjęłam właściwą decyzję?

- Zamknąć proszę. - Wizażystka maluje mi powieki. - A teraz otworzyć...

Otwieram oczy i widzę Nathaniela stojącego z Guyem, gdzieś w oddali. Guy mówi coś, a Nathaniel słucha, wyraźnie spięty. Czuję ukłucie zaniepokojenia. O czym rozmawiają?

- Proszę zamknąć - żąda wizażystka.

Niechętnie wykonuję jej polecenie. Czuję, jak nakłada mi pędzelkiem więcej cienia. Na wszystkie świętości, ile jeszcze to będzie trwało. Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, jak wyglądam?

Wreszcie przestaje machać pędzelkiem.

- Otworzyć proszę.

Robię, co mi każe. Widzę Guya stojącego dokładnie w tym samym miejscu, ale Nathaniel zniknął. Gdzie on jest?

- Zamknąć usta... - instruuje wizażystka, wyciągając pędzelek do szminki.

Nie mogę mówić, nie mogę się ruszyć. Szukam panicznie wzrokiem Nathaniela wśród tłumu kłębiącego się na podejździe. Potrzebuję go. Muszę z nim porozmawiać, zanim zacznie się ta konferencja prasowa.

Mam tylko jedno życie. Czy na pewno to właśnie chcę z nim zrobić? Czy przemyślałam sobie wszystko wystarczająco dobrze?

- Gotowa na wielką chwilę? Masz swoje oświadczenie? - Hilary znowu jest przy mnie, świeżo skropiona perfumami.

- Wyglądasz teraz o niebo lepiej! Broda do góry! - Podnosi mi ją tak gwałtownie, że aż krzywię się z bólu. - Jakies pytania?

- Tak - rzucam desperacko. - Zastanawiałam się... czy moglibyśmy nieco przesunąć początek? Tylko o kilka minut. Hilary zamiera.

- Co takiego? - pyta wreszcie.

Mam nieprzyjemne wrażenie, że za chwilę wybuchnie.

- Czuję się nieco... skołowana - przęłykam ślinę. - Nie wiem, czy podjęłam właściwą decyzję. Potrzebuję więcej czasu na zastanowienie się... - Uciekam wzrokiem przed spojrzeniem Hilary.

Podchodzi do mnie i przysuwa twarz bardzo blisko mojej. Nadal się uśmiecha, ale jej wzrok jest zimny jak lód, a nozdrza falują z gniewu. Odsuwam się, ale chwytą mnie za ramiona tak mocno, że czuję jej paznokcie wbijające mi się w ciało.

- Samantha - syczy. - Pójdiesz tam, odczytasz oświadczenie i powiesz, że Carter Spink jest najlepszą firmą prawniczą na świecie. Jeżeli tego nie zrobisz... zabiję cię.

Chyba mówi poważnie.

- Wszyscy czujemy się zagubieni. Wszyscy potrzebujemy więcej czasu do namysłu. Takie jest życie - potrząsa mną.

-Przestań się wreszcie nad tym zastanawiać. - Wypuszcza ze

świsłem powietrze z płuc i przygląda spodniom. - Dobrze! Idę cię zapowiedzieć.

Rusza w stronę trawnika. Ja zostaję tam, gdzie stałam, roztrzęsiona.

Mam trzydzieści sekund. Trzydzieści sekund na to, żeby zdecydować, co zrobić ze swoim życiem.

- Panie i panowie, proszę o uwagę! - Głos Hilary dźwięczy w głośnikach, kiedy przemawia do mikrofonu. - Witam wszystkich zgromadzonych.

Nagle dostrzegam Guya, który raczy się właśnie wodą mineralną.

- Guy! - wołam. - Guy! Gdzie jest Nathaniel?

- Nie mam pojęcia - wzrusza ramionami niefrasobliwie.

- Co mu powiedziałeś? O czym rozmawialiście przed chwilą?

- Nie musiałem mówić zbyt wiele - odpowiada. - Odniosłem wrażenie, że wie, w którym kierunku wieje wiatr.

- Co masz na myśli? - Wpatruję się w niego. - Wiatr nie wieje w żadną stronę.

- Samantha, nie bądź naiwna. - Pociąga łyk wody. - To dorosły mężczyzna. Rozumie sytuację.

- ...naszego najnowszego wspólnika zasiadającego w radzie nadzorczej firmy Carter Spink, panią Samanthę Sweeting!

Głos Hilary ginie w burzy oklasków. Ledwie zauważam, że właśnie mnie przedstawiła.

- Co dokładnie rozumie? - pytam z przerażeniem. - Co ty mu powiedziałeś?

- Samantha! - przerywa mi Hilary z uśmiechem przepełnionym jadowitą słodyczą. - Wszyscy na ciebie czekamy!

Jest tu wielu zajętych ludzi! - Chwyta mnie za ramię żelaznym uściskiem i ciągnie z niespodziewaną siłą na trawnik.

-Dalej! Baw się dobrze. - Popycha mnie brutalnie i odchodzi.

W porządku. Trzydzieści sekund nie wystarczyło. Stoję przed dziennikarzami ze wszystkich gazet krajowych i nie wiem, czego chcę. Nie wiem, co powinnam zrobić.

Nigdy w życiu nie czułam się taka zagubiona.

- Dalej! - Groźba w głosie Hilary sprawia, że aż podskakuję ze strachu. Czuję się, jakbym jechała na ruchomym chodniku. Jedyne co mogę zrobić, to przeć do przodu.

Na drżących nogach wychodzę na środek trawnika, gdzie został ustawiony mikrofon. Słońce odbija się w obiektywach aparatów fotograficznych, na poły mnie oślepiając. Wpatruję się w tłum, rozpaczliwie szukając Nathaniela, ale nigdzie go nie dostrzegam. Po mojej prawej stronie, w odległości kilku metrów stoi Trish w swoim spodnim koloru fuksji i macha do mnie gorączkowo. Tuż za nią widzę Eddiego z domową kamerą w ręku.

Powoli rozkładam oświadczenie i wyglądam kartkę.

- Dzień dobry - mówię do mikrofonu cieniutkim głosikiem. - Jestem szczęśliwa, że mogę podzielić się z państwem radosnymi nowinami. Po otrzymaniu wspaniałej oferty z firmy Carter Spink, dziś powracam do niej jako wspólnik. Nie muszę dodawać... jestem podekscytowana. - Nie udaje mi się nadać głosowi odpowiedniego zabarwienia. Moje słowa brzmią bezbarwnie i pusto. - Jestem poruszona szczodrością i ciepłem, z jakim odnoszą się do mnie moi współpracownicy z Carter Spink - ciągnę niepewnie. - Jestem zaszczycona, że mogę dołączyć do tak prestiżowej grupy ludzi obdarzonych... - Wzrokiem nadal szukam Nathaniela. Nie mogę się skoncentrować na tym, co mówię.

- Talentem i perfekcją! - warczy Hilary za moimi plecami.

- Tak... - odnajduję odpowiednie miejsce w tekście. - Talentem. I perfekcją.

Wśród grupy dziennikarzy rozlega się nerwowy chichot. Chyba nie idzie mi najlepiej.

- Usługi ofiarowane przez firmę Carter Spink są... em... najwyższej klasy - ciągnę, starając się, by brzmiało to przekonywająco.

- Lepszej jakości niż toalety, które zwykłaś czyścić? - woła reporter z rumianymi policzkami.

360

- Na tym etapie nie będziemy udzielać odpowiedzi na żadne pytania. - Obok mnie pojawia się Hilary. - Poza tym nie będziemy odpowiadać na żadne pytania dotyczące toalet ani żadnych innych form urządzeń sanitarnych. Samantha, możesz kontynuować.

- Nieopisane, tak? - rzuca rumiany facet, rechocząc.

- Samantha, mów dalej - warczy Hilary jadownicie.

- Z całą pewnością nie były nieopisane! - Na trawniku pojawia się Trish. Jej obcasy zapadają się w miękkiej ziemi.

- Nie pozwolę, aby obrażano moje toalety. Wszystkie zostały wyposażone przez Royal Doulton. To łazienki Royal Doultona - powtarza do mikrofonu. - Najwyższa jakość. Bardzo dobrze ci idzie, Samantha! - Klepie mnie po ramieniu.

Dziennikarze zaczynają się śmiać w głos. Twarz Hilary jest purpurowa ze złości.

- Przepraszam - mówi do Trish z hamowanym gniewem. - Odbywamy właśnie konferencję prasową. Czy mogłaby pani odejść na bok?

- To mój trawnik! - odcina się Trish, dumnie unosząc głowę. - Prasa przybyła tu również dla mnie! Eddie, gdzie jest moje przemówienie?

- Nie będzie pani wygłaszała żadnego przemówienia! - rzuca Hilary z przerażeniem, bo Eddie zbliża się już ku nam ze zwiniętym wydrukiem komputerowym.

- Chciałam podziękować mojemu mężowi Eddiemu za wsparcie - zaczyna Trish, ignorując Hilary. - A także dziennikowi „Daily Mail”...

- To nie jest żadne cholerne rozdanie Oscarów! - wybucha Hilary.

- Proszę nie przeklinać w mojej obecności! - ripostuje Trish. - Proszę pamiętać, że jestem właścicielką tej rezydencji.

- Pani Geiger, czy nie widziała pani może Nathaniela? - Rozglądam się rozpaczliwie po raz milionowy. - Zniknął gdzieś.

- Kim jest Nathaniel? - pyta któryś z dziennikarzy.

- To ogrodnik - odpowiada za mnie rumiany na twarzy facet. - Kochanek. Co, wszystko skończone? - dodaje, zwracając się do mnie.

- Nie! - odpowiadam urażona. - Zamierzamy nadal kontynuować naszą znajomość.

- Jakim sposobem?

Czuję, że ostatnie pytanie wzbudziło żywe zainteresowanie wśród tłumu dziennikarzy.

- Po prostu. Szczegóły są nieważne. - Nagle, bez specjalnej przyczyny czuję, że jestem bliska łez.

- Samantha! - rzuca rozwścieczona Hilary. - Proszę, wróć do oficjalnego oświadczenia!

Odpycha Trish od mikrofonu.

- Proszę mnie nie dotykać! - skrzeczy oburzona Trish. -Pozwę panią do sądu. Moim prawnikiem jest Samantha Sweeting.

- Hej, Samantha! Co Nathaniel sądzi o twoim powrocie do Londynu? - wykrzykuje ktoś.

- Woląłeś karierę od miłości? - wtrąca się blada dziewczyna.

- Nie! - odpowiadam z rozpaczą. - Ja... ja muszę z nim porozmawiać. Gdzie on jest? Guy?! - Nagle dostrzegam

Gu-ya, stojącego na brzegu trawnika. - Gdzie on jest? Co mu powiedziałaś? - Ruszam w jego kierunku, niemal się przewracając. - Musisz mi powiedzieć, co mu nagadałeś.

- Doradziłem mu, żeby zachował godność. - Guy wzrusza arogancko ramionami. - Szczerze powiedziawszy, przedstawiłem mu prawdę. Nie wrócisz tu już nigdy.

- Jak śmiałeś! - zachłystuję się z wściekłości. - Jak śmiałeś to powiedzieć! Wrócę. Poza tym on może przyjechać do Londynu...

- Och, proszę cię - Guy unosi oczy ku niebu. - Nie ma ochoty plątać się koło ciebie jak jakiś żaloszny dupek, ciągle pchając ci się pod nogi, przynosząc ci wstyd...

- Przynosząc mi wstyd? - wpatruję się w Guya osłupiała. - Czy to właśnie mu powiedziałaś? Dlatego odszedł?

362

- Na Boga, Samantha, daj sobie spokój - warczy Guy niecierpliwie. - Przecież to ogrodnik.

Moja pięść działa, nim mam szansę pomyśleć. Walę Guya prosto w szczękę.

Słyszę głośne sapnięcia, okrzyki zaskoczenia i trzask fleszy, ale nic mnie to nie obchodzi. To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam.

- Auu! Cholera! - Guy chwyta się za twarz. - Co to było, do diabła?

Fotoreporterzy tłoczą się wokół nas, zadając setki pytań. Ignoruję ich wszystkich.

- To ty przynosisz mi wstyd - wyrzucam z siebie. -W porównaniu z Nathanielem nie jesteś wart nic. NIC!

Ku swojemu przerażeniu czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Muszę znaleźć Nathaniela, natychmiast.

- Wszystko jest pod kontrolą! Wszystko jest pod kontrolą! - Hilary przepycha się przez tłum, łopocząc nogawkami czarnego spodnium. - Samantha jest dzisiaj nieco przeciążona. - Chwyta moje ramię żelaznym uściskiem, jej twarz zastyga w grymasie uśmiechu. - To jedynie drobne nieporozumienie między dwoma przyjaciółmi, współnikami.

Samantha nie może się doczekać nowych wyzwań czekających na nią i jej nową, światowej sławy drużynę prawniczą. Prawda, Samantha? - Jej uścisk się zacieśnia. - Czy nie mam racji?

- Ja... nie wiem - odpowiadam zdesperowana. - Po prostu nie wiem. Przykro mi, Hilary.

Wyrywam się z jej uścisku. Hilary z wściekłością sięga po moje ramię, ale robię unik i zaczynam biec przez trawnik, w kierunku bramy.

- Zatrzymajcie ją! - wrzeszczy Hilary do swoich asystentek. - Odetnijcie jej drogę!

Dziewczyny w zaprasowanych na kant spodniach zaczynają zachodzić mnie ze wszystkich stron. Jakimś cudem udaje mi się wywinąć. Jedna chwyta mnie za marynarkę, ale zrzucam ją szybko, podobnie jak buty. Nie zauważam nawet, że żwir kaleczy mi stopy.

Dobiegam do bramy z bijącym sercem. Trzy asystentki Hilary blokują mi drogę.

- Daj spokój, Samantha - mówi jedna głosem miłego gliny. - Nie bądź głupia.

- Chodź, wrócimy teraz na konferencję. - Jedna z nich przybliżyła się do mnie ostrożnie, z wyciągniętymi przed siebie rękoma.

- Pozwólcie jej przejść! - dobiega mnie zza pleców donośny głos. Spoglądam przez ramię i ku mojemu zdumieniu widzę Trish zbliżającą się do nas na tyle szybko, na ile pozwalają jej fuksjowe buty na obcasach. - Pomóżcie mi, głupcy! - rzuca w kierunku najbliższej grupki dziennikarzy.

W chwilę później asystentki Hilary zostają otoczone przez fotoreporterów. Brama jest otworzona, droga wolna.

Wybiegam i pędzę ulicą, nie oglądając się za siebie.

Kiedy przybywam do pubu, moje pończochy są podarte na strzępy, część włosów wyslizgnęła się z koka i opadła na szyję. Makijaż spłynął w strumieniach potu, a płuca rozrywa ból.

Muszę mu powiedzieć, że go kocham. Nie wiem, dlaczego wcześniej mu tego nie powiedziałam. To takie oczywiste. Byłam ślepa.

- Eamonn - wołam, zbliżając się do stolika, z którego zbiera akurat puste szklanki. Eamonn spogląda na mnie zaskoczony. - Muszę porozmawiać z Nathanielem. Jest tutaj?

- Tutaj? - Eamonn zdaje się nie znajdować słów. - Samantha, minęliście się. Już wyjechał.

- Wyjechał? - zatrzymuję się, dysząc ciężko. - Dokąd wyjechał?

- Zająć się tym przedsiębiorstwem, które chce kupić. Wyjechał samochodem przed chwilą.

- Chodzi ci o szkółkę w Bingley? - pytam z nadzieją, nadal łapiąc oddech. - Czy możesz mnie tam podwieźć? Muszę z nim porozmawiać.

- On nie... - Eamonn pociera zaczerwienioną twarz. Ma

dziwną minę. Wpatruję się w niego nagle pełna złych przeczuc. - Samantha... on pojechał do Kornwalii.

Wiadomość uderza mnie niczym piorun. Nie mogę wydusić z siebie słowa, nie mogę się poruszyć.

- Myślałem, że wiedziałaś. - Eamonn podchodzi bliżej, osłaniając ręką oczy od słońca. - Powiedział, że będzie tam przez kilka tygodni. Myślałem, że wiesz.

- Nie - odpowiadam słabym głosem. - Nie wiedziałam.

Nagle moje nogi robią się jak z galarety. Opadam na jedną z beczek. Słyszę głucho uderzenia serca. Nathaniel pojechał do Kornwalii, bez słowa, bez pożegnania.

- Zostawił list, na wypadek gdybyś tu wpadła. - Eamonn sięga do kieszeni i wyciąga kopertę. Wręcza mi ją z wyraźnym zmartwieniem widocznym na twarzy. - Samantho, bardzo mi przykro.

- W porządku - udaje mi się uśmiechnąć. - Dzięki, Eamonn.

Biorę do ręki kopertę i wyciągam kartkę papieru. S.

Oboje chyba dobrze wiemy, że to koniec. Lepiej zostawmy to, dopóki oboje jesteśmy sobie w stanie z tym poradzić. Chciałem tylko, żebyś wiedziała - to lato było cudowne.

N.

Łzy spływają mi po twarzy, gdy czytam list od Nathaniela, jeszcze raz, i jeszcze. Nie mogę uwierzyć, że odszedł. Jak mógł tak po prostu z nas zrezygnować? Cokolwiek powiedział mu Guy, cokolwiek sobie o tym pomyślał, jak mógł tak po prostu odejść?

Mogliśmy sprawić, że wszystko by się ułożyło. Czyżby o tym nie wiedział? Nie czuł tego w głębi duszy?

Dobiegają mnie jakieś odgłosy. Podnoszę wzrok i widzę Guya i otaczający mnie tłum dziennikarzy. Nawet nie zauważyłam ich nadejścia.

365

- Odejdźcie - rzucam stłumionym głosem. - Zostawcie mnie w spokoju.
 - Samantho - mówi Guy niskim, uspokajającym głosem. - Wiem, że jest ci przykro. Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem.
 - Zaraz uderzę cię jeszcze raz. - Wycieram oczy wierzchem dłoni. - Mówię poważnie.
 - Może teraz wszystko wygląda nie najlepiej. - Guy zerka na list od Nathaniela - ale masz przed sobą fantastyczną karierę.
- Nie odpowiadam. Mam przygarbione ramiona, zasmarkany opuchnięty nos, rozwiane włosy, opadające na twarz lakierowanymi kosmykami.
- Bądź rozsądna. Nie zamierzasz przecież wracać do czyszczenia toalet. Nic cię już tu nie trzyma. - Guy czyni krok w moim kierunku i stawia na stole obok mnie moje lakierki na obcasie. - Dalej, współniku. Wszyscy czekają.

26

Jestem odrętwiąta. To naprawdę koniec. Siedzę w przedziale pierwszej klasy, w pociągu do Londynu z pozostałymi współnikami. To ekspres. W ciągu kilku godzin będziemy na miejscu. Mam nowe rajstopy i poprawiony makijaż. Udało mi się nawet wygłosić nowe oświadczenie dla prasy, naprędce skonstruowane przez Hilary: „Chociaż na zawsze będę czuła głęboki sentyment do moich przyjaciół w Lower Ebury, nic nie wydaje mi się bardziej ekscytujące i ważne w moim życiu niż kariera w Carter Spink”.

Wypowiadam to dość przekonująco. Udaje mi się nawet wydobyć z siebie uśmiech, kiedy ściskam dłoń Davida Elldridge'a. Możliwe nawet, że wydrukują to zdjęcie, zamiast tego, na którym biję Guya, kto wie?

Kiedy pociąg odjeżdża ze stacji, czuję bolesne ukłucie

373

w piersi. Zamykam na chwilę oczy, usiłując zachować spokój. Robię właściwą rzecz. Wszyscy tak uważają. Pociągam łyk cappuccino, potem następny. Jeżeli wypiję odpowiednią ilość kawy, może się ożywię i stracę to poczucie, że poruszam się we śnie.

Przycupnięty w rogu przedziału siedzi kamerzysta z dziennika telewizyjnego wraz z producentem wiadomości Dominikiem, mężczyzną w dżinsowej kurtce i modnych okularach. Czuję na sobie wzrok kamery, śledzącej każdy mój ruch, nieustannie robiącą zbliżenia, utrwalającą na taśmie każdy wyraz mojej twarzy. Naprawdę mogłabym się bez tego obejść.

- I oto prawniczka Samantha Sweeting opuszcza wioskę, w której znana była jedynie jako pomoc domowa - dyktuje Dominie do mikrofonu niskim głosem profesjonalnego reportera. - Pozostaje jedynie pytanie... czy nie żałuje podjętej decyzji. Zerka na mnie pytająco.

- Podobno miałeś się absolutnie nie narzucać - warczę, spoglądając na niego z bolesnym wyrzutem.

- Proszę bardzo! - Guy rzuca mi na kolana gruby plik dokumentów. - Oto umowa dotycząca fuzji Samatrona. Zabierz się do tego.

Spoglądam na kontrakty. Kiedyś, dawno temu, sam widok nowiutkiej, dopiero co wyprodukowanej umowy spowodowałby przyływ adrenaliny. Zawsze chciałam być tą pierwszą, która dostrzeże jakąś anomalię, jako pierwsza poda coś w wątpliwość. Teraz nic mnie nie wzrusza.

Wszyscy w przedziale zajęci są pracą. Przeglądam kontrakt, usiłując wydobyć z siebie odrobinę entuzjazmu. Dalej, to teraz moje życie. Jak tylko się rozbujam, zacznę się cieszyć pracą.

- Od książek kuchennych do kontraktów - mamrocze Dominie do mikrofonu. - Od drewnianych łyżek do nakazów sądowych.

Facet naprawdę zaczyna mnie wkurzać. Wracam do przeglądania umowy, ale słowa skaczą mi przed oczami. Nie mogę się skoncentrować. Myślę tylko o Natha-

nieu. Próbowałam do niego zadzwonić, ale nie odbiera telefonu. Nie odpowiada też na wiadomości tekstowe. Zupełnie, jakby nie chciał mieć ze mną nic więcej do czynienia.

Jak to możliwe, że między nami wszystko skończone? Jak mógł tak po prostu odejść?

Znowu czuję łzy pod powiekami. Mrugam zawzięcie, usiłuję powstrzymać się od płaczu. Nie wolno mi płakać. Jestem współnikiem. Wspólnicy nie płaczą. Próbuję wziąć się w garść. Wyglądam przez okno. Chyba zwalniamy, co jest dość dziwne.

- Uwaga, uwaga, informacja dla pasażerów - rozlega się nagle z głośników. - Pociąg został przemianowany na osobowy. Zatrzymamy się w Hitherton, Marston Bridge, Bridbury...

- Co takiego? - Guy spogląda na głośnik. - Osobowy?

- Jezu Chryste - jęczy David Elldridge. - Ile jeszcze będziemy tak jechać?

- ...na stacji Paddington pojawimy się pół godziny później. Bardzo przepraszamy za niedo...

- Pół godziny?! - David Elldridge wyciąga komórkę, błądy z wściekłości. - Będę musiał przesunąć spotkanie.

- A ja będę musiał odesłać z kwitkiem ludzi od Pattinsona Lobba. - Guy wygląda na równie wkurzonego. Zaczyna wystukiwać numer na swojej komórce. - Hej, Mary, tu Guy. Słuchaj, kompletnie się pomieszało. Pociąg będzie spóźniony o pół godziny...

- Przenieś spotkanie z Derekiem Tomlinsonem... - instruuje David.

- ...musimy odłożyć spotkanie z Pattinsonem Lobbem. Odwołaj tego gościa z „Prawnika”...

- Davina - rzuca do słuchawki Greg Parker. - Pieprzony pociąg się opóźni. Powiedz reszcie zespołu, że pojawię się pół godziny później. Wysyłam mejla... - Odkłada komórkę i natychmiast zaczyna pisać na palmtopie. W chwilę później Guy zaczyna robić to samo.

Przyglądam się temu szaleństwu z niedowierzaniem. Wszyscy wyglądają na potwornie zestresowanych. Co z tego, 368

że pociąg się opóźni? To tylko pół godziny. Trzydzieści minut. Jak ktoś może się tak zdenerwować z powodu trzydziestu minut?

Czy taka właśnie się stanę? Bo ja już zdążyłam zapomnieć, jak to się robi. Może w ogóle zapomniałam, jak to jest być prawnikiem?

Pociąg powoli zatrzymuje się w Hitherton. Wyglądam przez okno i wzdycham głośno. W powietrzu, tuż nad dachem stacji unosi się ogromny balon napełniony gorącym powietrzem. Jest jasnożółty i czerwony. W koszu siedzą ludzie, machając do gawiedzi. Balon wygląda jak żywcem wyjęty z bajki.

- Hej, popatrzcie! - wykrzykuję. - Tylko spójrzcie!

Nikt nie podnosi głowy. Wszyscy zapamiętali stukają w klawiaturę.

- Popatrzcie! - próbuję znowu. - To niesamowite!

Nadal żadnej odpowiedzi. Nie interesuje ich nic, poza zawartością ich minikomputerów. W tym czasie balon zdołał już odlecieć w dal. Za chwilę zniknie z zasięgu wzroku. A oni kompletnie tego nie dostrzegą.

Przyglądam się im wszystkim, śmietance świata prawniczego, ubranym w ręcznie szyte garnitury za tysiąc funtów, dzierżącym w dłoniach minikomputery najnowszej generacji. Nie obchodzi ich to, co na zewnątrz, i nie przejmują się tym, że nic ich to nie obchodzi. Żyją we własnym świecie.

Do którego ja nie należę. To nie mój świat. Nie jestem jedną z nich.

Nagle spływa na mnie zrozumienie, absolutna pewność. Nie pasuję do nich, nie umiem ich zrozumieć. Może kiedyś potrafiłam, ale to się zmieniło. Nie potrafię tak. Nie mogę strawić całego życia w pokojach konferencyjnych. Nie mogę przejmować się niemal obsesyjnie każdą straconą minutą. Nie mogę nie zauważać świata dookoła mnie.

Siedzę tak z umowami spiętrzonymi na kolanach i czuję narastające we mnie napięcie. Popełniłam błąd. Ogromny błąd. Nie powinnam się tutaj w ogóle znaleźć. Nie tego

chcę w życiu, nie tym chcę się zajmować. Nie chcę być taką osobą.

Muszę się stąd wydostać. Natychmiast.

Ludzie wsiadają i wysiadają z pociągu, trzaskając drzwiami, targając za sobą walizki. Na tyle spokojnie, na ile potrafię, sięgam po walizkę i wstaję.

- Przykro mi - mówię. - Popęłniłam błąd. Właśnie zdałam sobie z tego sprawę.

- Co? - Guy spogląda na mnie nieprzytomnie.

- Przykro mi, że zabrałam wam tyle czasu - mówię lekko drżącym głosem. - Jednak... nie mogę zostać. Nie potrafię.

- Jezu Chryste. - Guy chwyta się za głowę. - Tylko nie to, Samantha. Nie uderzaj znowu w ten sam...

- Nie próbuj mnie przekonywać - przerywam mu. - Już postanowiłam. Nie potrafię być taka jak wy. To nie dla mnie.

Przepraszam. Nie powinnam była wsiąść do tego pociągu.

- Chodzi o tego ogrodnika? - pyta rozdrażniony. - Bo jeśli tak, to szczerze mówiąc...

- Nie! Chodzi o mnie! Ja po prostu - waham się, szukając odpowiednich słów. - Guy... nie chcę stać się kimś, kto nigdy nie spogląda przez okno.

Widzę, że Guy nie ma pojęcia, o czym mówię. Zresztą nie spodziewałam się zrozumienia z jego strony.

- Żegnajcie. - Otwieram drzwi i wychodzę z pociągu na peron, ale Guy chwyta mnie w ostatnim momencie za ramię.

- Samantha, po raz ostatni cię proszę, zaprzestań tej gry! Znam cię! Jesteś prawnikiem.

- Nie znasz mnie wcale, Guy! - wybucham nagłą złością. - Nie próbuj mnie zdefiniować! Nie jestem prawnikiem, jestem człowiekiem!

Wyrywam się i zatrzasnę mu drzwi przed nosem. Cała się trzęsę. Za chwilę drzwi otwierają się znowu i z pociągu wyskakuje Dominie wraz z kamerzystą.

- I oto w przedziwnym zwrocie akcji Samantha Sweeting rezygnuje ze swej kariery prawniczej!

Naprawdę za chwilę go skopię.

Pociąg odjeżdża ze stacji. Widzę, jak Guy i pozostali współnicy przyglądają mi się w konsternacji. Chyba właśnie zaprzepaściłam na zawsze szansę powrotu.

Podróżni zaczynają powoli schodzić z peronu, pozostawiając mnie samą na stacji Hitherton, z jedną walizką dla towarzystwa. Kamera wciąż skierowana jest na mnie. Mijający mnie ludzie rzucają zaintrygowane spojrzenia.

Co mam teraz zrobić?

- Kiedy Samantha spogląda na szyny, dopada ją kryzys -słyszę niski, współczujący głos Dominica.

- Nieprawda - mruczę pod nosem w odpowiedzi.

- Tego poranka była zdruzgotana odejściem człowieka, którego pokochała. Teraz straciła również możliwość zrobienia kariery - przerywa, a potem dodaje grobowym głosem: -Kto wie, jakie czarne myśli krążą teraz w jej głowie?

Co on usiłuje zasugerować? Że rzucę się pod następny pociąg? Pewnie by się tym zachwycił, czyż nie? Dzięki temu zdobyłby nagrodę Emmy.

- Czuję się dobrze. - Podnoszę głowę i zaciskam dłoń na rączce walizki. - Wszystko będzie dobrze. Ja... zrobiłam właściwą rzecz.

Kiedy jednak spoglądam na opustoszałą stację i właściwie oceniam swoje położenie, czuję lekki przypływ paniki.

Nie mam pojęcia, o której przyjedzie następny pociąg i co więcej, nie wiem nawet, dokąd chcę jechać.

- Masz jakiś plan, Samantha? - pyta Dominie, podstawiając mi pod nos mikrofon. - Cel?

Czy mógłby zostawić mnie w spokoju?!

- Czasem ludzie nie potrzebują celu w życiu - odpowiadam zaczepnie. - Nie trzeba dostrzegać dalekiej przyszłości, wystarczy po prostu znać swój następny krok.

- A jaki będzie twój następny krok?

- Ja... ja... się zastanawiam. - Odwracam się i ruszam z dala od kamery, w kierunku poczekalni. Kiedy się zbliżam, ze środka wychodzi kierownik stacji.

- Przepraszam bardzo - zatrzymuję go. - Chciałabym się dowiedzieć, jak dojechać do... - zawieszam niepewnie głos. Gdzie właściwie chcę się dostać? - Do...

- Do...? - pyta kierownik stacji z miłym uśmiechem.

- Do... Kornwalii.

- Do Kornwalii? - wygląda na zdumionego. - A gdzie konkretnie?

- Nie wiem. - Przełykam ślinę. - To znaczy nie jestem pewna. Ale muszę się tam dostać jak najszybciej.

Nie może tam być zbyt wielu centrów ogrodniczych na sprzedaż. Jakoś znajdę tę właściwą. Odnajdę Nathaniela. Udam się.

- Muszę sprawdzić w rozkładzie jazdy - mówi kierownik stacji ze zmarszczonym czołem. Znika w swojej służbówce. W oddali Dominie szepcze coś gorliwie do mikrofonu, ale nic mnie to nie obchodzi.

- Proszę bardzo - kierownik stacji wychodzi znów na peron z kartką papieru pokrytą zapiskami. - Obawiam się, że do Penzance czeka panią sześć przesiadek. Poza tym bilet będzie kosztował sto dwadzieścia funtów. Pociąg odjeżdża niedługo - dodaje. - Z peronu drugiego.

- Dziękuję. - Chwytam walizkę i zaczynam wspinać się na kładkę ponad torami. Słyszę, jak Dominie telepie się za mną z kamerzystą.

- Samanthę najwyraźniej opuściły zdrowe zmysły - dyszy do mikrofonu. - Stres spowodowany ostatnimi wydarzeniami chyba spowodował załamanie nerwowe. Kto wie, jaki nieprzemyślany krok uczyni za chwilę?

Ależ on najwyraźniej oczekuje, żebym skoczyła pod pociąg! Zamierzam go zignorować. Staję na peronie, z dala od kamery.

- Bez adresu i bez planu. Samantha wyrusza w długą, niepewną podróż, aby odnaleźć mężczyznę, który porzucił ją dziś rano. Mężczyznę, który odszedł bez pożegnania. Czy to mądra decyzja?

O nie, mam już tego dosyć.

- Może to i głupi plan! - Odwracam się do niego, oddychając ciężko. - Może i go nie odnajdę, a może nigdy nie będzie chciał mnie znać, ale muszę spróbować.

Dominie otwiera usta do kolejnego komentarza.

- Zamknij się - rzucam. - Po prostu się zamknij.

Nim nadjeżdża pociąg, wydaje mi się, że upłynęły całe godziny. Niestety, to nie ten pociąg. Nie w tym kierunku.

Kolejny transport do Londynu. Podjeżdża na stację, słyszę otwierające się drzwi, a na peron wysypują się ludzie.

- Pociąg do Londynu! - wykrzykuje kierownik stacji. - Pociąg do Londynu odjedzie z peronu pierwszego.

Powinam w nim siedzieć. Gdybym była normalna. Gdybym nie postradała zmysłów. Przesuwam wzrok od okna do okna, przyglądając się pasażerom, siedzącym, śpiącym, czytającym, słuchającym swoich iPodów...

I nagle wszystko zamiera. Czyja śnieć?

To Nathaniel. W pociągu do Londynu. Za ledwie trzy metry ode mnie, siedzi przy oknie, wpatrując się w dal niewi-dzącym spojrzeniem.

Co on... dlaczego...

- Nathaniel! - krzyczę, ale mój głos tonie w hałasie dworcowym. - Nathaniel! - Macham rozpaczliwie ramionami, usiłując przyciągnąć jego uwagę!

- Jezu Chryste, to on! - wykrzykuje Dominie. - Nathaniel! - wrzeszczy co sił w płucach. - Tutaj, człowieku!

- Nathaniel! - wreszcie udaje mi się przebić przez zgiełk. - Na-tha-niel!

Dzięki Bogu, wreszcie spogląda w bok i aż cofa się, zaskoczony na mój widok. Przez chwilę jego twarz wyraża szczere niedowierzanie, a potem nagle rozjaśnia się w niesamowitym uśmiechu. Słyszę, jak drzwi się zamykają. Za chwilę pociąg ruszy z peronu.

- Szybciej! - przyzywam go rozpaczliwie.

Widzę, jak się zrywa, chwyta plecak, przeciska obok kobiety siedzącej tuż obok. Potem znika z pola widzenia, dokładnie w chwili, gdy pociąg rusza ze stacji.

- Za późno - mówi kamerzysta smętnym tonem. - Nie uda mu się.

Za bardzo ściska mnie w piersi, żeby mu odpowiedzieć. Mogę tylko wpatrywać się w odjeżdżający pociąg, przesu-
wające się przed moimi oczami kolejne wagony, jadące coraz szybciej... aż w końcu znikają.

Nathaniel stoi na peronie. Jest tam.

Nie spuszczać z niego wzroku, zaczynam iść w kierunku kładki, powoli przyspieszając. On robi to samo.

Wbiegamy na schody, robimy po kilka kroków i zatrzymujemy się pół metra od siebie. Oddycham szybko i czuję,
jak krew uderza mi do twarzy. Jestem wstrząśnięta, upojona i jednocześnie niepewna.

- Myślałam, że pojechałeś do Kornwalii - mówię wreszcie. - Żeby kupić swoje centrum ogrodnicze.

- Zmieniłem zdanie. - Nathaniel wygląda na równie wstrząśniętego, jak ja. - Pomyślałem, że zamiast tego mógłbym...
odwiedzić przyjaciela w Londynie. - Spogląda na moją walizkę. - Dokąd się wybierałaś?

Chrząkam głośno.

- Myślałam o... Kornwalii.

- Kornwalii? - Patrzy na mnie w osłupieniu.

- Uhm.

Pokazuję mu swój plan podróży. Nagle zachciewa mi się śmiać. Co za idiotyczna sytuacja.

Nathaniel opiera się o barierkę, zakłada kciuki za rąbki kieszeni i gapi się na drewniane deski kładki.

- Gdzie... gdzie się podziali twoi przyjaciele?

- Nie wiem. Pojechali. Poza tym to nie byli moi przyjaciele. Rozbiłam Guyowi nos - dodaję z dumą.

Nathaniel odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

- Wylali cię? - pyta.

- To ja ich wylałam - poprawiam go.

- Naprawdę? - pyta zadziwiony.

Wyciąga ku mnie rękę, ale nie chwytam jej. Nadal czuję się niepewnie. Ból dzisiejszego poranka jeszcze nie minął.

Nie mogę udawać, że wszystko jest w porządku.

- Dostałam twój list - spoglądam mu w oczy. Krzywi się niemiłosiernie.
 - Samantha... w pociągu napisałem do ciebie zupełnie inny list. Na wypadek gdybyśmy się nie spotkali w Londynie. Szuka czegoś w kieszeni, wreszcie wyciąga list, długi na kilka kartek. Obie strony pokryte są gęstym pismem. Trzymam je w rękę, nie czytając.
 - Co... co w nim jest? - spoglądam na niego.
 - Jest długi i nudny. I bardzo źle napisany.
- Powoli przewracam kolejne kartki w dłoniach. Od czasu do czasu dostrzegam zbitki słów, od których łzy nabiegają mi do oczu.
- I co teraz?
 - Teraz? - Nathaniel obejmuje mnie w talii, jego ciepłe wargi dotykają moich ust. Kiedy przytula mnie mocno, czuję, jak po moich policzkach zaczynają płynąć łzy. Tutaj właśnie jest moje miejsce. Odsuwam się od Nathaniela i spoglądam na niego, ocierając oczy.
 - Dokąd teraz? - Spogląda ponad kładką, a ja podążam za jego wzrokiem. Tory prowadzą w obie strony, daleko w nieznanie. - W którą stronę?
- Patrzę na uciekające w dal tory i mrużę oczy w blasku słońca. Mam dwadzieścia dziewięć lat. Mogę pojechać, dokąd chcę. Robić, co chcę. Być, kim chcę.
- Nie ma pośpiechu - odpowiadam wreszcie i wspinam się na palce, szukając ponownie jego warg.